

Piotr Lipiński

Ofiary

Niejasnego

Wstęp

To książka o ludziach, którym nigdy nie potrafiłbym dorównać. O ludziach, którzy opowiedzieli się przeciw komunizmowi i niekiedy zapłacili za to życiem. Kto z naszych znajomych gotów byłby dziś ponieść laką ofiarę w obronie wolności?

„Ofiary Niejasnego” zamykają tryptyk poświęcony polskiemu stalinizmowi. Pierwsza książka z tego cyklu, „Bolesław Niejasny”, opisywała Bolesława Bieruta, Forresta Gumpa polskiego komunizmu, człowieka, którego po części przypadek wywindował na pierwsze miejsce wśród polskich powojennych komunistów. Przypadek nie może jednak usprawiedliwiać szkodliwej roli, jaką odegrał w historii Polski. Druga, „Towarzysze Niejasnego”, to historia ludzi, bez których ten system nie mógłby funkcjonować. Tych, którzy byli jego wiecznymi trybami - premiera Cyrankiewicza, marszałka „Rolę”-

Żymierskiego, generała Świerczewskiego - ale też postaci na niższym szczeblu: prokuratorów, sędziów, oficerów śledczych. Wszyscy oni zazębiali się, tworząc maszynę stalinizmu.

Opisując świat, reporter czasami zadaje sobie pytanie: jak ja zachowałbym się, gdyby los postawił mnie w roli opisywanej postaci? Nie jest to pytanie absurdalne. Można przyjąć, że świat dzieli się na tych, którzy tworzą, i na tych, którzy opisują. Można się z tym zgodzić, ale wówczas reporter znaczy nie więcej niż taśma magnetofonowa. Potrzeba przynajmniej namysłu, jak zachowałby się, będąc na miejscu opisywanych postaci. To zresztą pomaga zrozumieć ich wybory, a tym samym zbliżyć się do prawdy o bohaterze tekstu.

Tak więc bez kokieterii żadnej się przyznaję, że brak mi przekonania, abym potrafił żyć tak jak Kazimierz Pużak czy Jan Rodowicz „Anoda”. Dramat lat wojny i wczesnych lat komunizmu wydaje mi się bowiem całkowicie

niezrozumiały w początkach XXI wieku. Przeniesieni w świat SMS-ów i Internetu nie potrafimy zrozumieć hierarchii wartości ludzi, którzy wówczas żyli. Kto dziś podziela ich przekonanie, że za wolność Polski należy oddać życie?

Ludzie lat wojny i pierwszych lat reżimu komunistycznego żyli w świecie zbyt odmiennym, abyśmy się mogli z nimi porównywać. To nie był świat, w którym heroizmem było sprzeciwienie się prezesowi, dyrektorowi, szefowi firmy. Powtórzę: wówczas płaciło się życiem.

Ludzie głęboko doświadczeni przez komunizm, ci, którzy swoją młodość przeżyli w latach wojny, różnią się od późniejszych pokoleń. Zbierając materiały do tej książki, zauważyłem, że czasami bardzo trudno rozmawia się z ówczesnymi ofiarami. Bywają to ludzie bardzo zamknięci. To zrozumiała postawa wśród katów - dziś mają zbyt dużo do stracenia, aby być równie wylewnymi, jak w

czasach, kiedy hołubiono „bohaterów walki o umacnianie władzy ludowej”. Dlaczego jednak milczą ofiary? Prawdopodobnie dlatego, że ostatnie lata wolnej Polski to zaledwie epizod w ich życiu. Krótki okres, kiedy wolno mówić.

Podziemie miało swoje czarne strony. Oprócz bohaterów tamtych lat pojawiają się w tej książce osoby, które nie przysporzyły chwały powojennemu podziemiu - jak sprawcy mordu na Ukraińcach w Wierzchowinach czy Żydach w Kańczudze na przykład. Opisuję też największego - prawdopodobnie - prowokatora tamtych lat: Stefana Sieńkę, który współpracując z funkcjonariuszami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, przez pięć lat donosił na podziemie.

ROTMISTRZ I PROKURATOR

W czasie wojny poszedł dobrowolnie do Auschwitz. Miał sporządzić raport z obozu śmierci. Po wojnie trafił przed oblicze komunistycznego wymiaru sprawiedliwości. Ta próba okazała się trudniejsza.

Rotmistrz Witold Pilecki (urodzony w 1901 r.) napisał poemat o rodowym majątku Sukurcze pod Lidą. Wspominał dzieciństwo:

Budowałem zamki na konarach drzewa.

W alejach ogrodu miałem swe kryjówki.

Wyznaczałem kwiatom ich przydział we wojsku:

To byli ułani, a tamto - dragoni,

Husarzy, semeni, piechota łanowa.

Pokrzywa to Niemcy, kwiat żółty - Tatarzy.

Szablą z drzewa ciąłem wrogie mi szeregi,

Szczędząc od zgniecenia - własne wojsko w trawie.

Dwór w Sukurczach, który według rodzinnej tradycji pamiętał jagiellońskie sejmiki szlacheckie, już nie istnieje. Po wojnie rozebrano go na budulec na chłopskie domy i chlewy.

Andrzej Pilecki, syn Witolda, opowiada o dzieciństwie: Rano zawsze z ojcem wychodziliśmy na obchód pól. Wracając, zachodziliśmy do krynicy. Nie mieliśmy garnuszka, czerpaliśmy czapką. A potem śniadanie. Nie cierpiałem kaszy, upychałem w mysiej dziurze. Dostałem za to od ojca takie cięgi, że do dziś pamiętam.

Zofia Optułowicz, córka Witolda Pileckiego, wspomina: Ubóstwiałam ojca. Dla niego uczyłam się akrobacji sportowych: mostek, szpagat. Uczył nas dyscypliny. Wychodząc, pokazywał w pokoju miejsce, w którym ma pojawić się słońce, dopiero wtedy mogliśmy

wyść z domu.

Obaj byli żołnierzami Armii Krajowej. Po wojnie spotkali się na sali sądowej - jeden oskarżał, drugi był oskarżonym. Oskarżony dziś nie żyje - wykonano na nim wówczas wyrok śmierci. Oskarżyciel żyje - czeka na swój proces. Zarzut: udział w mordzie sądowym.

Kilka lat czekałem na rozmowę z Czesławem Ł. To on w 1947 r. oskarżał rotmistrza Witolda Pileckiego, bohatera Armii Krajowej, którego angielski historyk, profesor Michael Foot, w książce „Six Faces of

Courage" zaliczył do sześciu najwybitniejszych ludzi ruchu oporu w czasie II wojny światowej. Rozprawa zakończyła się wyrokiem śmierci. Dziś spośród prokuratorów i sędziów, którzy brali w niej udział, żyje tylko Czesław Ł. Odnalazłem go, kiedy pisałem o aferze mięsnej - sprawie z epoki Gomułki, w której na karę śmierci skazano człowieka za malwersacje gospodarcze. O tym procesie

Czesław Ł. zgodził się mówić. Bo wówczas występował już jako obrońca, a nie prokurator.

O procesie Pileckiego jednak nie chciał rozmawiać. Prosił o czas do namysłu.

Dzwoniłem co kilka miesięcy. Po jakimś czasie dał mi maszynopis swoich wspomnień. Zastrzegł jednak, że mogę je opublikować dopiero za kilka lat. Napisał w nich na początku: „Niewielu spośród tych rzeczywistych kreatorów stalinowskiej represji żyje w kraju, znaczna część znalazła schronienie za granicą, głównie w Izraelu”.

Kiedy Instytut Pamięci Narodowej wysłał do sądu akt oskarżenia przeciwko Ł., zarzucając mu przyczynienie się do mordu sądowego na Pileckim, znowu zadzwoniłem. Zapytałem, czy nie uważa, że to już ostatni moment, aby opowiedzieć reporterowi, dlaczego wówczas oskarżał. Czesław Ł. zgodził się natychmiast. Ma 91 lat i kłopoty ze zdrowiem. Mało sypia; kiedy rozmawiamy po kilka godzin, jest wyraźnie zmęczony: gubi wątek, długo się

namyśla, nie pamięta wielu nazwisk. Mówi:

Uważam całe postępowanie przeciwko mnie za bezzasadne, bo niestety, ci patrioci, wśród nich Pilecki, naruszyli obowiązujące wówczas prawo.

Podtrzymuje pan, że Pilecki był szpiegiem?

Tak. Czuję się moralnie dwuznacznie, bo muszę drugi raz udowadniać winę skazanych wówczas osób. Istnieją jednak dowody ich winy. Wyrażam przy tym swoje ubolewanie nad ich losem.

Podczas rozmowy Czesław Ł. prawi mi mnóstwo komplementów, zachowuje się dystyngowanie, można o nim powiedzieć: człowiek starej daty. Siedzi obok swojego biurka. Sylwetka ciemno odcina się od świata za oknem.

Jego matka Antonina zmarła, kiedy miała 24 lata, a on był dwulatkiem. Ojciec Julian był lekarzem. W 1930 r. Czesław wstąpił na

medycynę w Krakowie, ale miał zbyt rozrywkowy charakter. Trafił do studenckiej korporacji, bo dobrze pił piwo; został nawet jej prezesem. Zawalił egzaminy.

O tym, co zdarzyło się potem, do dziś opowiada z werwą: trafił do słynnej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim.

- Wtedy połknąłem bakcyła wojska - wspomina. - Ten kult zaszczepił mi ojciec, kiedy po powrocie z Rosji malowniczo opowiadał, jak oglądał zgromadzone u rodziny świętej pamięci mojej mamy pamiątki: odznaczenia i dystynkcje po Chłopickim, moim prapradziadku. A jeszcze wcześniej, jako trzylatek, zapamiętałem w Dąbrowie Górniczej - i do dziś mam przed oczyma - szarże Kozaków z szablami i ostrzeliwujących się Niemców w pikielhaubach osłoniętych wołokiem. Kozacy cięli szablami i nahajkami, a Niemcy, oddając nieliczne strzały, usiłowali bronić się bagnietami na lufach karabinów. W

roku dwudziestym byłem pod wrażeniem mojego starszego kuzyna, który wrócił z frontu z archaicznym, wielkim karabinem; potem mi go w drodze wyjątku pozwalał dotykać. Kiedy więc trafiłem do podchorążówki, wszystkie te moje tęsknoty nagle się spełniły. Ochoczo poddawałem się rygorom, mianowano mnie starszym klasy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym po raz pierwszy wystawialiśmy historyczną wartę w Dniu Podchorążego. We wspaniałych mundurach z epoki, w białych ladywerkach, do których z tyłu mocuje się ładownice. Nasze wojsko we Włodzimierzu Wołyńskim miało szczególną oprawę. My jedyni w Polsce nosiliśmy kozackie szable, szaszki -w czarnej skórzanej pochwie, mosiężna garda, takie okucia. Jak na święta przyjechałem do domu z tą szablą, to było wielkie wydarzenie.

Witold Pilecki o przedwojennym wojsku opowiadałby zapewne z nie mniejszym zapalem niż Czesław Ł. Gdyby żył.

Opowiadałby zapewne nie tylko o szablach i hełmach, ale też o prawdziwych bitwach. Walczył od wczesnej młodości. Zgłosił się do wojska w grudniu 1918 r., miał wówczas 17 lat. Kiedy garnizon niemiecki zaczął opuszczać Wilno, Pilecki w noc sylwestrową został dowódcą placówki w Ostrej Bramie.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej zgłosił się do I Wileńskiej Kompanii Harcerskiej. Jego dowódca, kpt. Tadeusz Kawalec, wystawił mu po walkach opinię: „Pilecki wykazał na froncie bardzo dobrą postawę bojową, jako żołnierz śmiały, energiczny i orientujący się w sytuacji”.

Po podchorążówce Czesław Ł. zrezygnował ostatecznie z medycyny, zaczął studiować prawo. Odezwała się ambicja, aby nie pozostawać już na utrzymaniu ojca. Zatrudnił się w inspekcji pracy. Dorabiał, pisząc felietony, które sąsiadowały z felietonami biskupa Choromańskiego. Czytał w radiu. Po kursie lektorów dostał poważne zlecenie: na antenie czytał fragmenty książki o wojnie

domowej w Hiszpanii, opisujące bohaterstwo żołnierzy generała Franco.

A studiowałem w ten sposób, że na dwa tygodnie przed egzaminami obkładałem się pudełkami papierosów, kupowałem mnóstwo kawy i przez dwa tygodnie wkuwałem to, co studenci robili przez cały rok -wspomina Czesław Ł. - Idąc na egzamin, pytałem woźnego, jak wygląda profesor, bo przez pracę nie miałem czasu chodzić na zajęcia.

Tak dobrnął do 1939 r., w którym oblał ostatni na studiach egzamin procedury cywilnej. W sierpniu został zmobilizowany, trafił do dywizjonu artylerii lekkiej w Rembertowie.

Byłem rezerwistą tego dywizjonu - opowiada. - Już po ukończeniu podchorążówki utrzymywałem przyjazne kontakty. Jeździłem tam na Bieg Huberta, wypijaliśmy hektolitry wódki, nawet na 3 maja 1937 roku jeden z zawodowych oficerów pożyczył mi szablę, z którą, prowadząc u boku moją kuzynkę, udałem się obserwować defiladę. Żyłem

życiem tego szczególnego dywizjonu. Jak do Warszawy przyjeżdżał ktoś z dowództwa zachodnich armii, to zawsze wieziono go do Rembertowa. Pamiętam generała Ironside'a, szefa sztabu brytyjskiego, który siedząc w loży z naszymi sztabowcami, był olśniony, jak kładziemy ogień.

Przygotowania do wojny zaczął na warszawskim stadionie Skry, gdzie przewodniczył komisji odbierającej na potrzeby wojska, za asygnaty, konie od cywilów. Czesław Ł. znowu się ożywia:

Zasiadam na trybunie, obok mnie lekarze weterynarii, inni oficerowie artylerii. Słoneczny dzień i w tej kurzawie podprowadzają setki koni. Na dole stoją podoficerowie i jeden felczer, przeprowadzają wstępne badania, każą szybkim klusem konia przeprowadzić. Niezapomniane chwile. Podjeżdża warszawski dorożkarz z piękną klaczą, choć w dorożce chodziła. Mówię ogniomistrzowi, żeby wypisał

asygnatę na trzysta złotych. A dorożkarz ciska czapkę w piach i desperuje: „Czio, pan porucznik mnie czysta złotych daje? Ona derby warszawskie wygrywała!”. Z drugiej strony żydowskie towarzystwo Ostatnia Posługa przyprowadziło osiem wspaniałych czarnych koni, wypucowanych, wyglansowanych, kopyta oczyszczone: bez mrugnięcia okiem, bez żadnych targów te wszystkie konie oddali. Wzruszająca scena: w tej kurzawie, w tym wrzasku, w tym rzeniu koni wtacza się wielki wózek - warszawska stara firma Karpiński przysłała komisji ogromne zbiorniki wody mineralnej. A potem oddała konie.

Ł. mianowano oficerem ogniowym i skierowano na granicę z Prusami, pod Ostrołękę. Do bagażu, który podróżował w taborach, spakował eleganckie skórzane rękawiczki, bo szykował się na zwycięską defiladę w Berlinie. Kiedy oddziały musiały się cofać, okazało się, że mają mapy Niemiec - ale nie Polski. Trzy tygodnie walk zakończyły

się rozkazem o demobilizacji, który zastał go pod Tomaszowem Mazowieckim.

Kiedy już rozwiązano oddział, powracający żołnierze natknęli się na Rosjan.

- Widzę w pewnej chwili takiego cudaka w brązowym szynelu prawie do ziemi i z wielkim bagnetem na karabinie opowiada Czesław Ł.

Stoi przed lasem, widać czegoś pilnuje. Podchodzimy. Zobaczył na moich butach ostrogi. Żąda: „*Daj mienia szpary*”. Ja patrzę, że on ma normalne, niskie, piechocińskie buty, do których już przyczepił jedną ostrogę. Mówię: „*U Ciebie jest szpary*”. A on, z języka sądząc, Ukrainiec, upiera się: „*Tyłki odna*”.

W lesie, na wielkiej polanie, stały trzy, cztery radzieckie czołgi. A wokół tłum polskich jeńców. Z jednego z czołgów zaczął przemawiać jakiś komandir w czarnym mundurze. Mówił, że całej wojnie winni są *pamieszcziki i aficery*, posiadacze i oficerowie. Winni są nieszczęściu żołnierzy. Niech więc

oni wskażą swoich oficerów, bo trzeba ich ochronić przed Niemcami. Ja w tym momencie uświadomiłem sobie, że mam na nogach oficerskie buty. Mój plutonowy też; szepcze do mnie: „Panie poruczniku, buty, buty”. A to były buty niezwykle eleganckie, szyte u jednego z najlepszych warszawskich szewców za sto dwadzieścia złotych. Cały front w nich przechodziłem, państwowych nie wzięłem. Udało nam się jakoś wycofać z tej polany. U chłopa zamieniłem te buty na polskie kamaszki i przykrótkie spodnie. Ruszyliśmy do Warszawy.

W 1939 roku Witold Pilecki znowu - jak w 1920 - ruszył na wojnę. Matka z dziećmi uciekała od Rosjan.

- Tata nazywał mnie swoją Generałką - mówi córka. - Z mamą szliśmy przez zieloną granicę, Rosjanie nas złapali. Mamę zamknęli w chlewiku, dzieci trzymali na schodach. Jak któryś przechodził, to nas kopał. Wiedziałam, że nie mogę płakać, byłam przecież

Generałką Mojego Ojca.

Eleonora Ostrowska, szwagierka Pileckiego, wspomina: Witold był mrukliwy, małomówny, rzadko się śmiał. Miał głęboko osadzone oczy pod krzaczastymi brwiami. Tymi oczami prześwidro-wywał rozmówcę.

Miał ułańską fantazję. Kiedy skończyła się kampania wrześniowa, wrócił do żony w mundurze, na koniu. Przez most na Broku we wsi Topory przegalopował, niemieckie warty ani się obejrzały.

Zofia Optułowicz: W czasie okupacji ćwiczył ze mną konspirację. Wychodziliśmy na ulicę, puszczał mnie przodem. Gdybym spostrzegła niemiecką wartę, miałam podejść do wystawy, żeby on wiedział, że coś jest nie w porządku.

We wrześniu 1939 r. Pilecki był dowódcą plutonu kawalerii. Kiedy dywizja została rozformowana, żołnierze, m.in. Pilecki i major Jan Włodarkiewicz, przysięgli sobie, że będą walczyć nadal, w konspiracji. Umówili się na

spotkanie w Warszawie.

Pilecki zatrzymał się tu w mieszkaniu swojej kuzynki, Eleonory Ostrowskiej. W kamienicy na Żoliborzu odbywały się konspiracyjne spotkania, w kotłowni pod pieczę dozorczy Jana Kiliańskiego urządzono skład broni. W tym mieszkaniu,

prawdopodobnie na początku listopada 1939 r., zawiązała się Tajna Armia Polska.

Początkowo TAP skłócona była z głównym nurtem polskiego podziemia. Generał Rowecki „Grot” w listopadzie 1940 r. meldował do Londynu o TAP: „Ideologią tej grupy jest faszyzm katolicki”. Rok później jednak TAP podporządkowała się Związkowi Walki Zbrojnej.

Witold Pilecki formalnie był agentem w hurtowni kosmetycznej. Używał legitymacji ubezpieczeniowej na nazwisko Tomasz Serafiński (jak się później okazało, prawdziwy Tomasz Serafiński żył, ale posługiwał się dokumentami na inne nazwisko).

Pod koniec 1939 r. Czesław Ł. spotkał swoich znajomych oficerów i podchorążych.

Poczułem taki impuls, żeby sobie strzelić w łeb - wspomina. - Klęska wrześniowa była dla mnie czymś potwornym. Spotkałem znajomego porucznika zawodowego. Mówi: „Słuchaj, wchodzimy jako instruktorzy wojskowi do konspiracji”. To była Polska Ludowa Armia Niepodległościowa.

Jednym z członków PLAN był Tadeusz Płużański - po wojnie Ł. oskarżał go w jednym procesie z Pileckim. W styczniu 1940 r. wielu działaczy PLAN aresztowało gestapo. Uwięziło m.in. Tadeusza Płużańskiego, trafił do obozu koncentracyjnego Stutthof.

Czesław Ł. konspirował nadal, już w Związku Walki Zbrojnej. Został dowódcą kompanii na Ochocie. Szacuje, że podlegało mu około stu żołnierzy. Z polecenia przełożonych zatrudnił się w kasynie. Zbierał materiały wywiadowcze o Polakach, którzy wydawali sporo pieniędzy,

sporządził plan usytuowanego nieopodal gmachu gestapo, odkrył agenta, którego później prawdopodobnie zlikwidowano.

Kiedy Witold Pilecki uczył swoją córkę ulicznej konspiracji, powstawał siódmy niemiecki obóz koncentracyjny: Auschwitz. 20 maja 1940 przywieziono tam niemieckich kryminalistów, którzy wkrótce zostali więźniami funkcyjnymi. Zaczęły się masowe aresztowania wśród Polaków. Do obozu trafiło m.in. wielu członków TAP.

Dziś już nie wiadomo, czy Witold Pilecki sam postanowił, że dostanie się do Auschwitz, czy pomysł wyszedł od jego zwierzchników. Na pewno jednak konspiracja nie wysłałaby do obozu nikogo, kto sam nie chciałby tam pójść.

W swoich wspomnieniach rotmistrz Pilecki napisał: „Mjr Jan Włodarkiewicz, pseudonim «Jan», gdy spotkał mnie z początkiem sierpnia 1940 r., powiedział: «No, spotkał Ciebie zaszczyt, a Twoje nazwisko wymieniłem u „Grota” jako jedyne go oficera,

który tego dokona»".

Witold Pilecki rozpoczął drogę do Auschwitz 19 września 1940 r.

Eleonora Ostrowska wspomina:

- Siadaliśmy z Witoldem do śniadania, gdy wpadł dozorca z krzykiem, że Niemcy otoczyli domy, wyłapują mężczyzn. Powiedział Witoldowi, żeby natychmiast uciekał ogródkami. Nie chciał. Słysząc już było dobijających się Niemców. Otworzyłam drzwi, Niemiec nawet nie wrzeszczał, zapytał, czy są mężczyźni. Zanim odpowiedziałam, Witold stanął przed Niemcem, a mnie szepnął: „Zamelduj, gdzie potrzeba, że rozkaz wykonałem”.

Według późniejszej relacji Pileckiego Niemcy zgromadzili około tysiąca mężczyzn w ujeżdżalni pułku szwoleżerów. Kazali im położyć się twarzą do ziemi, deptali, kopali, tłukli bykowcami. Dwa dni później wywieźli wszystkich do Oświęcimia.

Witold Pilecki stał się numerem 4859.

Później w swoim raporcie napisał:

„Pędzono nas przed siebie. W drodze kazano jednemu z nas biec do słupa w bok od drogi i zaraz za nim puszczano serię z P-ma. Zabito. Wyciągnięto z szeregu dziesięciu przygodnych kolegów i zastrzelono w marszu z pistoletów na skutek odpowiedzialności solidarnej za «ucieczkę», którą zorganizowali sami SS-mani. Wszystkich jedenastu ciągnięto na rzemieniach uwiązanych do jednej nogi. Drażniono krwawymi trupami psy i szczuto je na nich. Robiono to przy akompaniamencie śmiechu i kpin. Zbliżyliśmy się do bramy umieszczonej w ogrodzeniu z drutów, na której widniał napis «Arbeit macht frei». Później dopiero nauczyliśmy się go dobrze rozumieć”.

Maria Pilecka, żona Witolda, opowiada:

- Umarła moja mama. Siostrę wywieźli do Ravensbriick. Szwagra rozstrzelali. Kiedy

Witold trafił do Oświęcimia, nie wiedziałam, że to żołnierskie zadanie. Byłam przerażona.

- Zaczęłam dostawać listy z Oświęcimia - wspomina Eleonora Ostrowska. -

Korespondencja była cenzurowana, niewiele można było się dowiedzieć o jego losie.

Jednak w którymś z listów napisał, że sadzi drzewka, które dobrze rosną. Domyśliłam się, że tworzy w obozie konspirację. Już wcześniej, na wolności, mówił o swojej pracy w TAP: „Sadzę drzewka”.

Pilecki zaczął organizować w Auschwitz siatkę konspiracyjną, opartą na piątkach. Członkowie piątki nie znali się nawzajem, wiedzieli tylko, kto piątką kieruje.

Pierwszym konspiratorem zwerbowanym przez Pileckiego był pułkownik Władysław Surmacki. Znał się na miernictwie, dzięki temu trafił do Baubiura (biura budowlanego), jednego z lepszych miejsc w obozie, bo pracowano pod dachem.

Drugim był doktor Władysław Dering, który nie pracował jeszcze w obozowym szpitalu, ale nosił kamienie na drogę.

Trzecim był rotmistrz ułanów Jerzy de Virion, członek TAP.

Czwartym Alfred Stossel, podporucznik, blokowy w baraku chorych zakaźnie.

Nie wiadomo, kto był piątym.

W późniejszych raportach o Oświęcimiu Pilecki zaprzeczał temu, „żeśmy, jak myślała Warszawa, byli kościotrupy”. Przez słowo „kościotrupy” rozumiał wycieńczenie moralne, bierność. Pisał: „Każda z «piątek» nie wiedziała nic o piątkach innych i sądząc, że jest jedynym szczytem Organizacji, rozwijała się samodzielnie, rozgałęziając się tak daleko, jak ją suma energii i zdolności jej członków naprzód wypychały”.

Wyliczał, że praca podziemnej organizacji polegała na zorganizowaniu dożywiania i

dostaw bielizny, urządzaniu konspiratorów na lepszych posadach, kolportowaniu w obozie wiadomości z zewnątrz, przekazywaniu wiadomości z obozu na zewnątrz, skoordynowaniu akcji opanowania obozu, gdy nadejdzie rozkaz lub desant z zewnątrz.

Pilecki nazwał tę organizację Związkiem Organizacji Wojskowych. Wkrótce organizacja miała swoich ludzi w dwóch najważniejszych miejscach: w szpitalu i w biurze pracy.

Uruchomiono radiostację. Zmontowano ją w piwnicach baraku, w którym przebywali chorzy na tyfus; SS-mani omijali to miejsce.

Na początku 1941 r. Pilecki przeżył ciężki kryzys obozowy.

W obozie ogłoszono odwieszenie, nadzy więźniowie stali na mrozie. Dostał wysokiej gorączki. Kilka dni później zemdlął. „Przyjęto go na blok 15 - pisze Józef Garliński w „Oświęcimiu walczącym” - i położono na podłodze, na resztkę siennika, tuż pod

otwartym oknem, dając do przykrycia jeden koc. Wszy zaatakowały go z taką siłą, że choć z gorączki stracił zmysły, resztką świadomości rozpoczął z nimi walkę. Strząsał je nieustannie z szyi, drewnianą listwą zagradzał drogę nowym kolumnom, które wdrapywały się na koc, wciągnął do pomocy sąsiada z prawej strony, który także nie chciał się poddać".

Dopiero po kilku dniach Pilecki zdecydował się przekazać dr. Deringowi, który już pracował w szpitalu, prośbę o pomoc.

Pilecki dążył do zjednoczenia organizacji podziemnych w Oświęcimiu. W obozie działał Związek Walki Zbrojnej, Bojowa Organizacja PPS, byli też przedstawiciele wielu przedwojennych ugrupowań politycznych: PPS, ONR, PSL.

W końcu 1941 r. udało się zorganizować wspólny dla całego obozu komitet polityczny nadzorujący podziemie wojskowe. „Dopiero w Oświęcimiu doczekałem się momentu, o którym mogło się kiedyś na wolności marzyć

beznadziejnie. Oto dopiero w obliczu stosów trupów odrzucili nasi działacze wstrętne dla mnie zawsze marnowanie energii na partyjne zżeranie się wzajemnie" zanotował Pilecki w swoim raporcie.

Józef Garliński, więzień Auschwitz, w książce „Oświęcim walczący" pisze: „W dzień wigilijny 1941 r., późnym wieczorem, gdy opustoszały obozowe ścieżki, a żołnierze opuścili obóz, na bloku nr 25, gdzie przebywał Pilecki, odbyła się niecodzienna uroczystość. Na izbie nr 7, mocno strzeżonej i pięknie udekorowanej, ustawiono choinkę z orłem polskim, wyciętym z brukwi. Nikt o tym nie mówił, ale małe kółko włajemniczonych wiedziało, że przyjdą najwybitniejsi przedstawiciele podziemnej organizacji, politycy i wojskowi. Pileckiemu bardzo na tym zależało, chciał zobaczyć ich razem, chciał tym zewnętrznym aktem poleczyć ich i scementować jak najmocniej. Był to krok ryzykowny, przeczący zasadom konspiracji, mogący wysłać do bunkra i na śmierć całą konspiracyjną górę.

Przemówili gospodarze, blokowy i jego zastępca, nawołując do solidarności i wyrażając tęsknotę za rodzinnymi domami, a po nich zabrał głos senior zgromadzonych konspiratorów. Nie żył już Norbert Barlicki, podniósł się więc z grona zebranych profesor Rybarski [prof. Roman Rybarski, przed wojną działacz Stronnictwa Narodowego, zginął w Auschwitz w 1942 r. - P.L.]. Potem mocno uścisnął dłoń profesora socjalista Dubois [Stanisław Dubois, przedwojenny działacz PPS, w obozie pod nazwiskiem Stanisław Dębicki, rozstrzelany pod oświęcimską «Scianą straceń» w 1942 r. - P.L.]. Zatarły się różnice poglądów, przestały istnieć bariery polityczne".

Z raportu Witolda Pileckiego:

„Przechodzimy koło krematorium.

Naprzeciwko wejścia stoi grupka mężczyzn i kobiet. Polacy. Wrażenie akurat takie, jak się widzi kilka krów przed rzeźnią. Mój Boże kobiety Polki, zaraz, gdy tylko wejdziemy do

lagru, poproszą ich żywcem do krematorium, dadzą im mydełko i ręcznik. W krematorium otworzy się okno u góry i spadnie bańka rozbijając się z gazem. I koniec z życiem. Dla małej grupki żałowano gazu ogłuszano uderzeniami po głowie i żywcem wpychano na ruszt. (...) lecz twarde jest serce łagrowca oto w pół godziny potem myśl jego zaprzątnięta jest wyłącznie tym, gdzie «zorganizować» jakieś «żarcie» i stoi, ubijając jakiś interes «margarynowy» z jakimś kolegą, zupełnie nie widząc tego, że stoi o krok od ogromnego stosu nagich trupów, którym «zrobiono» na rozkaz zastrzyk z fenolu dziś tylko stu kilkudziesięciu i rzucono tu jednych na drugich ze szpitala z porozrzucanymi kończynami, martwymi źrenicami, przyglądających się załatwianiu sprawy handlowej, w oczekiwaniu na wóz, który za parę godzin zawiezie ich do krematorium. Nikomu nawet na myśl nie przyjdzie wzdrygnąć się, gdy oprze się lub nawet nastąpi na jednego z tych nagusów. Wczoraj był jego kolegą, dziś leży tu

spokojnie, jutro może on sam będzie tu leżał - wielka rzecz!".

Warunki Oświęcimia musiały odbić się na metodach, jakimi więźniowie walczyli o przetrwanie.

Na konfidentów podziemna organizacja wydawała wyroki śmierci. Wykonywano je zwykle w szpitalu.

Józef Garliński, powołując się na Pileckiego, opisuje „egzekucję” na dwóch konfidentach: „Pierwszemu dolano do zupy olejku krotonowego, a gdy dostał rozstroju żołądka i zgłosił się do szpitala, wtajemniczeni pracownicy doprowadzili go do śmierci. W drugim przypadku leżącemu w szpitalu agentowi gestapo prześwietlono płuca, zamieniono zdjęcia i obchodzącemu szpital SS-manowi Klehrowi, który szukał ofiar do swych śmiertelnych zastrzyków, wskazano na więźnia jako gruźlika. Zapisał jego numer i następnego dnia zabił go dosercowym zastrzykiem fenolu”.

W szpitalu hodowano też wszy tyfusowe, które rzucono na płaszcze SS-manów. Wszy trafiły do koszar SS, zabiły na pewno jednego z nich, Siegfrieda Schwella. Wielu SS-manów przewieziono do szpitala w Katowicach.

W obozie Witold Pilecki zetknął się ze współwięźniem Józefem Cyrankiewiczem, członkiem PPS, premierem w powojennym komunistycznym rządzie.

Józef Cyrankiewicz trafił do obozu dwa lata po Pileckim. Wstąpił do obozowej Organizacji Bojowej PPS, był też członkiem Związku Organizacji Wojskowej Pileckiego.

Być może ta właśnie znajomość zaciążyła na przyszłych losach Pileckiego. Po wojnie propaganda przedstawiała Cyrankiewicza jako głównego organizatora podziemia w Oświęcimiu.

W muzeum w Oświęcimiu w sali poświęconej ruchowi oporu w obozie nie było do 1975 r. ani

jednego zdjęcia Witolda Pileckiego, wiele miejsca zajmował natomiast Cyrankiewicz. W 1975 r. na Zachodzie ukazała się książka Józefa Garlińskiego „Oświęcim walczący”, która była pierwszym całościowym opisem oświęcimskiego podziemia.

Na początku 1943 r. Pilecki zaczął planować ucieczkę z Auschwitz. Nadszedł czas złożenia władzom podziemnym raportu o sytuacji w obozie.

Uciekł w Wielkanoc, korzystając ze stępionej czujności SS-manów. Plan wymagał wielu przygotowań, z których najważniejsze było umieszczenie Pileckiego w komandzie piekarni, z którego najłatwiej było zbiec.

Zbiegiem okoliczności jedną z pierwszych osób, które Pilecki spotkał na wolności, był... Tomasz Serafiński, człowiek, pod którego nazwiskiem przebywał w obozie. Spotkali się w Wiśniczu, w dworku zwanym Koryznówką; bywał tam Jan Matejko, związany z rodziną Serafińskich.

Pierwszy raport o Auschwitz Witold Pilecki sporządził już w Wiśniczu, następne - w Warszawie. Trafiły do Komendy Głównej AK, zostały przetłumaczone na angielski, francuski, niemiecki. Były pierwszym dokładnym opisem sytuacji w Auschwitz, jaki trafił na Zachód.

- Pół roku przed Powstaniem Warszawskim aresztowano dwóch ludzi z mojej kompanii - wspomina Czesław Ł., powojenny oskarżyciel Witolda Pileckiego. Musiałem wiać z Warszawy. Wysłano mnie w teren do partyzantki. Miałem dostać fikcyjną posiadłość leśniczego, chociaż drzew nie odróżniałem. Po drodze uczestniczyłem w dwóch akcjach zbrojnych. Raz dostałem pistolet, a następnym razem nic. Rozegrała się scena, która miała wielki wpływ na moją świadomość. W nocy dowódca wspólnie z szefem kompanii poszli do wioski i zastrzelili sekretarza gminnego PPR. W zaufaniu opowiedział mi o tym potem ten szef kompanii. Ja pytam, za co

go zastrzelili. Jak to, za co? Zginął, bo był sekretarzem. Po latach uświadomiłem sobie, że synowie, bracia, siostrzeńcy tego zastrzelonego mogli po wojnie pójść do milicji albo bezpieczeństwa i odnajdywali tytuł moralny, aby dobierać się do skóry swoim przeciwnikom politycznym.

Władze polskiej konspiracji zdawały sobie sprawę, że wkrótce przez teren Polski przetoczy się Armia Czerwona. W 1944 r. skierowały Pileckiego do organizacji Nie, która miała się stać niepodległościowym podziemiem pod okupacją sowiecką. Dla pełnej konspiracji Pileckiemu zakazano udziału w Powstaniu Warszawskim. Wbrew rozkazowi jako zwykły szeregowy walczył w zgrupowaniu Choroby II. Po klęsce trafił do oflagów w Lamsdorf (Łambinowice) i Murnau.

Czesław Ł. tuż przed wybuchem Powstania znalazł się w Warszawie. Dostał rozkaz stawienia się w szklarni przy ulicy Barskiej i objęcia dowództwa kompanii. Dostał malutki

pistolet i dwie sidolówki - puszki wypełnione materiałem wybuchowym. Drugiego dnia Powstania został ranny. Jego żona i syn dowiedzieli się, że zginął na placu Narutowicza. Syn dostał więc furażerkę i prawo do codziennego talerza zupy z kotła wojskowego.

Witold Pilecki po uwolnieniu z oflagu wyjechał do Włoch, do II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych. Generał Władysław Anders po dwóch rozmowach wysłał go do kraju. „Obecność pana w kraju jest potrzebna” - powiedział.

W październiku 1946 r. Pilecki wyruszył do kraju z łączniczką Marią Szelańską. Zrezygnowała dla niego z własnego życia osobistego, rozwiodła się z mężem. Dzieliła los Pileckiego w czasie wojny, po wojnie była sądzona wraz z nim i odsiedziała wieloletni wyrok. Umarła niedawno.

Kiedy Witold Pilecki wyruszał do kraju, organizacja Nie już nie istniała. Wniosek do

Londynu o jej rozwiązanie wysłał pozostający w konspiracji pułkownik Jan Rzepecki, po czym otrzymał depeszę od szefa Sztabu Naczelnego Wodza, generała Stanisława Kopańskiego, zatwierdzoną przez generała Władysława Andersa, o mianowaniu go delegatem Sił Zbrojnych na Kraj.

Wkrótce sytuacja polityczna znacznie się zmieniła - międzynarodowe uznanie stracił rząd polski na emigracji, a uzyskał je rząd rezydujący w Polsce, składający się głównie z komunistów i nielicznych peeselowców wicepremiera Mikołajczyka.

- Cofnięcie uznania rządowi londyńskiemu wiązało się z tym, że przestały działać najwyższe organy państwowe, Ministerstwo Obrony - opowiada historyk Zbigniew Wawer, badacz dziejów II Korpusu. - II Korpus przez cały czas pobytu we Włoszech podlegał dowództwu VIII armii brytyjskiej. Otrzymywał przydziały nowego sprzętu, bo jeszcze w kwietniu czterdziestego piątego nie wiadomo

było, jak się potoczą dalsze losy. To się kończy w październiku tego roku, Brytyjczycy postanawiają rozwiązać Korpus. Żołnierze wyjeżdżają na Wyspy i trafiają do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia.

W sierpniu Rzepecki praktycznie zerwał współpracę z emigracją, w miejsce Delegatury Sił Zbrojnych tworząc Wolność i Niezawisłość. Dwa miesiące później do Polski wyruszył Pilecki.

Nikt dotąd nie dotarł do dokumentów wskazujących, czy materiały Pileckiego przekazywano zachodnim sojusznikom. Współpraca wywiadu Andersa z wywiadem brytyjskim zaczęła się w czasie wojny. Wiadomo też, że polskie ośrodki emigracyjne nawiązywały później współpracę z zachodnimi wywiadami - w pierwszej połowie lat 50. skończyło się to poważnymi skandalami związanymi z tzw. sprawą Bergu i Piątej Komendy WiN.

- Na emigracji tworzy się po wojnie kilka

ośrodków dyspozycyjnych, które usiłują przejąć kontakty z krajem i kontynuować współpracę z Zachodem - opowiada historyk Andrzej Chmielarz. - Posiadanie więc dobrych, sprawdzonych informacji z Polski staje się silnym atutem. Jeśli były jakieś umowy z zachodnimi wywiadami, to warto, aby wreszcie je ujawniono. Żeby dowiedzieć się, co gwarantowano polskiej emigracji w zamian za te materiały. Wówczas dopiero można by rozstrzygać, czy ofiara życia, jaką złożył Pilecki, warta była ceny.

- Jak pan trafił do sądownictwa wojskowego? -
pytani Czesława Ł.

- Miałem poczucie dwóch klęsk: wrześniowej, mimo że starałem się bić do ostatniego naboju, jak to się szumnie mówi, i Powstania, gdzie niewiele walczyłem, bo mnie trzasnęli. A tutaj szły wojska na Berlin. I to wojska uzbrojone, nie tak jak w Powstaniu Warszawskim. Zgłosiłem się w wojskowej komendzie uzupełnień, miałem zresztą

obowiązek się zarejestrować. Myślałem, że pójdę do artylerii, a tymczasem usłyszałem decyzję: prokuratura wojskowa. Jak się broniłem, że nie mam dyplomu, usłyszałem: „*Niczewo, niczewo, potrzebujemy prawników*”. Później się zorientowałem, że taki prawnik bez dyplomu, bez praktyki to jest zero. Nim można manipulować. I w tym tkwiła perfidia. To tak, jakby lekarzowi, który dostał ledwie dyplom, kazać operować.

- A nie myślał pan, żeby pójść do podziemia?

- Nie. Sytuację oceniałem racjonalistycznie. Uważałem, że podziemie nie ma sensu. Nie ma co liczyć na następną wojnę. Ja na pomoc aliantów czekałem już w trzydziestym dziewiątym. Liczyliśmy, że Francuzi zaraz tu przylecą. A te żabojady dostały w dupę w bardziej skandaliczny sposób niż my mieli przecież czołgi, mieli linię Maginota. Kalkulowałem tak: jak się skończy wojna, będzie ogłoszony pokój, Polska w drodze umów międzynarodowych wróci na należne jej

miejsce. Naiwnie liczyłem na tak zwaną sprawiedliwość międzynarodową, chociaż już miałem świadomość Jałty, rozdzielenia strefy wpływów.

- Jak pan sobie wyobrażał pracę w prokuraturze wojskowej?

- Że będę w ramach zależności służbowych wykonywał to, co mi polecą. Przede wszystkim będę się uczył. I nie dam się wciągnąć w żadne świństwo. Zawsze przecież istnieje możliwość uchylenia się, wymigania, niekoniecznie od razu buntu. Przecież już orientowaliśmy się, co to jest NKWD, co to jest terror stalinowski.

Kiedy Helena Sieradzka miała 94 lata (dziś już nie żyje), uważała, że dobre zdrowie zawdzięcza mężowi, który nauczył ją wegetarianizmu.

Mąż, Makary Sieradzki, siedział na ławie oskarżonych razem z Witoldem Pileckim. Ją skazano w procesie „odpryskowym”.

Mieszkaliśmy na ulicy Pańskiej w Warszawie - opowiadała Helena Sieradzka. - Jak Pilecki po wojnie wrócił z Włoch od Andersa, to przyszedł do nas. Był pełen entuzjazmu, że sprawa nie jest jeszcze przegrana i zaczęła się robota dla wolnej Polski.

Pewnego dnia zauważyłam, że naprzeciwko naszych okien, w oknach klatki schodowej, stoją dwaj mężczyźni. Najpierw myślałam, że to pijacy. Ale jak tam tkwili dniami i nocami, upewniłam się, że nasze mieszkanie jest pod obserwacją. Powiedziałam Pileckiemu. Twierdził, że jego ludzie sprawdzili i nikt nas nie obserwuje. Trudno było powiedzieć: niech pan nie przychodzi, bo się boję.

Szóstego maja wieczorem w naszych drzwiach pojawiło się pięciu mężczyzn. Wyciągnęli legitymacje UB i zrobili kocioł. Ósmego maja wieczorem przyszedł Pilecki. Zawieźli nas na Koszykową do MBP.

Skazali mnie na siedem lat, siedziałam w

Fordonie.

Tadeusz Płużański, profesor filozofii, od września 1939 r. nosi w sobie jedenaście odłamków, walczył m.in. pod Janowem Podlaskim. W Stutthofie Niemcy kazali utopić go w korycie. Ksiądz bernardyn Sylwester Niewiadomy przeciągnął go na inny blok, dał kurtkę z nowym obozowym numerem. W czasach marksizmu Tadeusz Płużański habilitował się z „Paradoksu w nowożytnej filozofii chrześcijańskiej”. W siedemdziesiątym czwartym roku życia zaczął pisać wiersze.

...jeden przygląda się tylko moim butom drugi
rozbiera mnie wzrokiem z wytartego
więzieniem ubrania trzeci wbija już oko w mój
kark - ten będzie strzelał...

W 1948 r. Tadeusz Płużański przesiedział 73 dni w celi śmierci. Skazano go na dwukrotną karę śmierci w procesie Pileckiego. Wiersz „Z innego świata” to zapis tego, co może czuć skazany, prowadzony na śmierć. Płużański zbliżył się tylko do granicy tych doznań -

nadeszło ułaskawienie. Pilecki granicę przekroczył.

chwytają pod rękę chociaż idę spokojnie (...)
prawą stopę uwiera mi przyciasny but
dlaczego temu z lewej zadrżało ramię...?
przecież we mnie już cisza (...)

Józef Różański, dyrektor departamentu śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, w czasie śledztwa powtarzał Płużańskie-mu: „Zobaczysz, przyjdą, wyprowadzą, pierdolną ci w łeb. I to będzie zwykła ludzka śmierć, nic z bohaterstwa”.

Tadeusz Płużański podziwiał wojenną odwagę Pileckiego: Gdyby go Niemcy złapali, nie pozwoliliby mu spokojnie umrzeć. Wtedy szedł do obozu z określonym zadaniem, żył w stanie euforii. Kiedy go poznałem, to jeszcze euforia nie wygasła. Fanatyk konspiracji; miało to dobre i złe strony. Miał pomysł, żeby zbrojnie odbić Oświęcim kompletnie nierealistyczny. Był obrażony, że dowództwo AK się nie

zgadzało. Obóz był obsadzony przez SS, dookoła garnizony Wehrmachtu. Gdyby ludzi nawet uwolniono, to co z nimi zrobić? Gdzie ich zamelinować?

Pileckiego poznałem w Warszawie w 1945 r., kiedy wróciłem ze Stutthofu opowiadał Tadeusz Płużański (dziś już nie żyje). Poznał mnie z nim Sieradzki. Pilecki był emisariuszem II Korpusu, rozpoczęła się nasza współpraca. Na jego polecenie pojechałem do Włoch, do II Korpusu Andersa, żeby złożyć meldunek o sytuacji w Polsce. Zauważyłem, że oficerowie wywiadu w II Korpusie bardzo wysoko go cenią.

W Polsce nasza konspiracyjna działalność polegała na zbieraniu materiałów dotyczących gospodarki, służby bezpieczeństwa, organizacji młodzieżowych, stanu oddziałów leśnych. Materiały przekazywaliśmy do II Korpusu. Dlatego nie uważam, że byliśmy szpiegami - przecież wszystkie wiadomości przesyłaliśmy do polskiej jednostki.

Jednym z głównych zarzutów podczas naszego procesu było przygotowywanie zamachów na funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Rzeczywiście przewidywaliśmy w przyszłości rozprawy z osobami z MBP, ale na razie nie mieliśmy do tego żadnych technicznych możliwości.

Niedługo przed aresztowaniem Pilecki i ja dostaliśmy z II Korpusu wyraźny rozkaz wyjazdu z kraju, były jakieś sygnały, że grozi nam niebezpieczeństwo. Rozmawiałem wtedy z Pileckim i on postawił sprawę tak: co oni wiedzą o sytuacji, czytają tylko raporty. I postanowi! nie słuchać rozkazu, został w kraju. Wobec tego ja też zostałem.

Jednym z poważnych dowodów przeciwko Pileckiemu był raport „Brzeszczota” przekazany na Zachód. Autor sugerował w nim likwidację kilku wyższych funkcjonariuszy MBP: Józefa Różańskiego, Julii Brystygierowej, Józefa Czaplickiego. Być może jednak raport ten był elementem

provokacyjnej gry MBP wobec Pileckiego.

W Łodzi Czesław Ł. oskarżał kapitana Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”, twórcę i dowódcę powojennego zbrojnego Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Dla mieszkańców ziemi łódzkiej „Warszyc” był tym, czym „Ogień” na Podhalu. Historycy szacują, że podlegało mu od trzech do sześciu tysięcy żołnierzy.

W połowie lat 30. Stanisław Sojczyński odbył w Częstochowie Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy. Czesław Ł. w tym samym czasie kończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Obaj w tym samym roku - 1936 - zostali mianowani podporucznikami rezerwy.

Stanisław Sojczyński walczył w 1939 r. w okolicach Hrubieszowa i Janowa Podlaskiego. Potem Armia Krajowa. W sierpniu 1943 r. odbił aresztowanych z niemieckiego więzienia w Radomsku. W kwietniu 1946 jego żołnierze odbili 57 aresztowanych z komunistycznego

więzienia w Radomsku. „Warszyc” bowiem po rozwiązaniu AK nie złożył broni wiosną 1945 r. zaczął zbierać swoich dawnych podkomendnych. Nazwali się początkowo Manewr, potem, we wrześniu przemianowali na Konspiracyjne Wojsko Polskie. KPW działało w województwach śląskim, łódzkim, świętokrzyskim, wielkopolskim. Miało swoich informatorów w UB i PPR, rozbijało placówki milicji i UB. Dwukrotnie zajęło Radomsko. Wydawało i wykonywało wyroki śmierci. Dwóch z nich wykonać się nie udało na Mieczysławie Moczarze, szefie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Łodzi (za m.in. „stosowanie metod terroru, określonych przez prawo polskie i międzynarodowe jako zbrodnicze” - jak napisano w wyroku), i wojewodzie Stanisławie Dąb-Kocioł.

„Warszyca” aresztowano 27 czerwca 1946 roku.

- Sojczyński to było rozwalanie ubeków,

krwawa walka - twierdzi dziś Czesław Ł.

- Czy to prawda, że „Warszyc” miał pod swoją komendą kilka tysięcy żołnierzy?

- Nie wiem. Byłem w tej sprawie tylko prokuratorem pomocniczym, ja się z nią zapoznałem tylko po łebkach.

- Jak to? Przecież kierował pan łódzką prokuraturą, a sprawa Sojczyńskiego musiała być jedną z najważniejszych i najgłośniejszych spraw w Łodzi?

- Byłem w tej sprawie tylko prokuratorem pomocniczym. Z Warszawy przysłano jako głównego oskarżyciela prokuratora Kazimierza Graffa. Śledztwo nadzorował Gabryel Henner, co prawda mój zastępca, ale w rzeczywistości szef łódzkiej prokuratury. Był ode mnie starszy osiem lat, znacznie wcześniej został majorem. Partyjność harmonijnie łączył z religijnością, bo żołnierze widywali go w domu odzianego w czarną sutannę z wielkim drewnianym krzyżem na

piersi. Jego syn był kapitanem Informacji Wojskowej w Łodzi. Powierzchność miał Henner rzeczywiście bardzo semicką. Ja byłem tylko figurantem jako szef prokuratury, jako goj. Henner miał kontakty z bezpieczeństwem, odwiedzał areszty. I on, doktor praw, był zastępcą Ł., który nie miał dyplomu! To była fikcja, od razu się zorientowałem, że jestem sztucznie mianowanym szefem prokuratury. Nigdy nie występowałem w sali sądowej, nigdy nie byłem w areszcie, nie zatwierdzałem żadnego aktu oskarżenia. Przyjmowałem interesantów, adwokatów, lustrowałem więzienia. Spowodowałem nawet uwolnienie dwudziestu czterech ludzi, inteligentów spod Tomaszowa, którzy siedzieli na podstawie tylko kartki napisanej przez szefa NKWD.

Po aresztowaniu śledczy MBP zanotowali zeznania Witolda Pileckiego:

„Płużański Tadeusz dostarczał mi informacji z Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego, z

dziedziny gospodarczej i inne.

W pokoju, gdzie mieszkałem, pod podłogą koło okna leży pistolet Vis w skórzanym futerale i tamże naboje w szklanym stoiku do tego pistoletu.

Sieradzki Makary pokazał mi w Dzienniku Ustaw RP dekret o dodatku uposażeniowym dla wojska biorącego udział w walkach z oddziałami leśnymi i oświadczył, że jest to «kainowe» zarządzenie. Ja przeczytałem ten dekret i wykorzystałem go jako materiał wywiadowczy, gdyż przed odpisaniem tego dekretu ułożyłem wstęp odpowiednio naświetlający charakter dekretu o dodatku uposażeniowym, dając mu nazwę dekretu «kainowego»".

Według córki Witolda Pileckiego więźniowie, którzy zetknęli się z jej ojcem, opowiadali, że był straszliwie torturowany. Że miał zerwane wszystkie paznokcie. Eleonora Ostrowska twierdziła, że w czasie procesu Pilecki zakrywał dłonie rękawami, jakby chciał ukryć

ślady tych zerwanych paznokci.

Pytałem Tadeusza Płużańskiego, czy podczas procesu zauważył u Pileckiego ślady pobicia. Płużański twierdził, że ich nie dostrzegł. Ale jak mówiono później w więzieniu - Pileckiemu już po wyroku urządzono nowe śledztwo, w czasie którego był torturowany.

W aktach operacyjnych sprawy Pileckiego zachowała się jednak notatka „agenta celnego”. Donosił 27 V 1947 r.: „On sam nie chciał nic mówić, przez osiem dni odmawiał zeznań, próbował się powiesić, potem próbował się udusić, ale gdy nic z tego «nie wyszło» i gdy zagrożono mu aresztowaniem żony i osadzeniem jej w więzieniu razem z dziećmi, musiał zacząć zeznawać”.

Czy to jednak prawda? Pileckiego aresztowano prawdopodobnie 8 maja 1947 r. - taką datę podano w aktach, taka też widnieje na protokole rewizji osobistej. Tego samego dnia przesłuchiwany przez Eugeniusza

Chimczaka (w połowie lat 90. skazano go za torturowanie więźniów w latach stalinizmu), opowiadał szczegółowo o swojej wojennej działalności. Sześć dni później napisał do Józefa Różańskiego wierszowany list:

Na skórze wciąż gładki - wewnętrzny trąd
miałem, Co wżarł mi się w duszę - nie żywiąc
się ciałem. Z nim chodząc po mieście - w ślad
wlokłem zarazę... Przeciętny znajomy nic o
tym nie wiedział, Że prosząc: wstąp do nas,
bo będę urazę Miał do Cię - narażał się sam,
bo gdym siedział Z nim pijąc lub z jego
małżonką - herbatę, (a na zapytanie: gdzie
teraz pracuję? starając się wzrok swój gdzieś
wlepić w makatę mówiłem, że piszę lub
rzeźbię, maluję) -A samą bytnością już bakcyl
wnosiłem, Co skrycie się czając w pozornym
niebycie, Złem płacąc - za serce - (żem jadł
tam i piłem) -

Mógł wtrącić do lochu i złamać im życie. (...)
Dlatego - więc piszę niniejszą petycję, By
sumą kar wszystkich - mnie tylko karano I

choćby mi przyszło postradać me życie, Tak
wolę - niż żyć wciąż, a w sercu mieć ranę.

W więzieniu oprócz wiersza napisał też list do
pułkownika Józefa Różańskiego (brak daty):

„Szanowny Panie Pułkowniku.

Po rozmowie Pana Pułkownika ze mną we
wtorek w ubiegłym tygodniu - myślałem skąd
może pochodzić niewiara w to, co
powiedziałem o wszystkich osobach, jak
również słowa Pana Pułkownika, że dla mnie
ktoś zbierał jakieś dane i doszedłem do
wniosku, że mogą pochodzić od moich
znajomych z czasów dawnej konspiracji,
którzy obecnie byli poza kręgiem tych, z
którymi coś robiłem i dlatego nie uważałem za
konieczne ich włączać do mojej obecnej
sprawy. Wolałbym na ten temat mówić Panu
Pułkownikowi osobiście, gdyż jestem zdania,
że Pan Pułkownik posiada dostateczny zasób
przenikliwości wystarczający na to, by patrząc
na mówiącego widział, kiedy on łże, a kiedy
mówi prawdę. Natomiast w protokule pisanym

przez kogokolwiek brak momentu obserwacji człowieka mówiącego. Pytałem w ubiegłą środę i w kilka dni potem, czy nie będzie wypadkiem p. Pułkownik na Rakowieckiej, ponieważ to się przeciąga, prosiłem o zezwolenie napisania niniejszego wyjaśnienia".

Podczas rozprawy w sądzie Pilecki zeznawał:

- Za granicą mówiło się, że jest to Polska ZSRR. Otrzymałem rozkaz wyjazdu do kraju, montowania siatki wywiadowczej i wysyłania wiadomości do II Korpusu generała Andersa. Orientowali się oni, że ja oprę się na strukturze organizacji NIE. Wyjaśniam, że z pułkownikiem „Nilem” nigdy nie rozmawiałem, jednak wiedziałem, że był on szefem organizacji NIE.

Korpus generała Andersa uważałem jako jednostkę polską i rozumiałem, że nie mógł być utrzymywany przez Rząd Polski w Kraju, bo przecież był wówczas rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty. Po przyjeździe

do kraju zmieniłem swój pogląd i przez pierwsze dziewięć miesięcy pobytu nic nie robiłem i nie zbierałem żadnych wiadomości, to jest do września czterdziestego szóstego. W tym okresie utrzymywałem kontakty z oskarżoną Szelałgowską, która trudniła się produkcją materiałów kosmetycznych. Oskarżony Sieradzki przyprowadził mi oskarżonego Płużańskiego jako tego, który chciałby wyjechać za granicę. Płużański motywował mi wyjazd swój za granicę tym, że w kraju czuje się niepewnym. O tym, co ja robię, nie wiedzieli oni, natomiast wiedzieli, że jestem oficerem z Korpusu generała Andersa. Gdy Płużański miał wyjechać za granicę, wówczas dałem mu trasę, którą ja powracałem, adresy na Pragę i Regensburg, jak też dałem mu kartkę z wiadomością, że przyjechałem do kraju szczęśliwie, że rozpoczynam „pracę”, i kartkę tę miał oddać w Korpusie Andersa.

Zaznaczam, że nie pamiętam dokładnie, czy napisałem w kartce, że rozpoczynam „pracę”.

Do gromadzenia materiałów przystąpiłem wówczas, gdy otrzymałem rozkaz powrotu do Korpusu, i wtedy zrozumiałem, że muszę dać jakąś wiadomość. W rozkazie powrót mój motywowany był tym, że jestem w kraju zagrożony. Jednakże nie chciałem jechać za granicę, nie miałem zaufania do sposobów pracy tam. Chciałem pozostać w kraju i dlatego wolałem zbierać tu materiały.

Podobnie swoją historię przedstawił w piśmie o łaskę do prezydenta Bieruta, dokumencie szczególnym, bo w tym wypadku jeszcze trudniej niż na podstawie nawet zeznań ocenić, co jest autentycznym wyznaniem, a co tylko grą wymuszoną okolicznościami. Pilecki pisał o Powstaniu Warszawskim: „Miałem żal do dowództwa za chaos w polityce, walce, a potem kapitulację”. O swojej działalności po powrocie do kraju: „Po przyjeździe do Polski otumanienie zaczęło mijać, lecz nie mogło przyjść raptownie. Zastałem tu Polskę, która z tygodnia na tydzień zaczęła do nas przemawiać coraz zrozumialszym językiem.

Nie podjąłem pracy konspiracyjnej, nie oparłem się na opozycji jawnej jeszcze P.S.L., nie szukałem kontaktów z podziemiem Winu czy N.S.Z."

Dodawał, że potem zaczął pracę pod wpływem dwóch kurierów, którzy przyjechali z II Korpusu. „Nigdy jednak w świadomości mojej nie powstała myśl, że działanie moje jest szpiegostwem, gdyż nie działałem na rzecz obcego mocarstwa, a posyłałem wiadomości do macierzystego oddziału polskiego i miałem zawsze nadzieję, że jednak kiedyś Rząd Polski i Ośrodki Emigracyjne już jakoś wreszcie się porozumieją. Jakkolwiek może już dawno się pozbyłem wiary i sentymentu do

ośrodków emigracyjnych i jakkolwiek rozumiałem, że może to zmienić moją sytuację na korzyść, nie mogłem się zdecydować na publiczne oskarżenie na rozprawie sądowej tych ośrodków, lub gdziekolwiek bądź indziej, gdyż rozmowałem

w ten sposób, że oficer, który oczernia swój oddział macierzysty, zasłuży sobie u każdego na pogardę, nawet u samych oficerów śledczych. Z chwilą aresztowania mnie ustosunkowałem się do śledztwa pozytywnie i sam wskazałem miejsce przechowywania archiwum, które zawierało wszystkie materiały mnie obciążające. W ciągu roku nie wynikła żadna okoliczność, która by dowodziła, że mówiłem nieprawdę lub wprowadzałem w błąd oficerów śledczych".

Maria Pilecka, żona Witolda (dziś już nie żyje), opowiadała mi

o rozprawie przeciw mężowi:

- Niewiele pamiętam. Byłam w rozpacz. Na procesie ostatni raz pożegnałam się z mężem. Już po wyroku mogłam chwilę z nim porozmawiać. Powiedziałam, że zrobię wszystko, żeby go uratować. I prawie zdarzył się cud. Poszłam do tego głównego budynku, gdzie były wojskowe sądy. A tam wszędzie warty. I ja przeszłam obok wszystkich, nikt

mnie nie zatrzymał. Dotarłam do prokuratora, stanęłam oko w oko.

I wtedy cud się skończył. Prokurator powiedział, że mój mąż to wrzód, który trzeba wyciąć.

Czesław Ł. twierdzi, że nigdy z jego ust nie padły te słowa.

- To niemożliwe podkreśla. - Chyba że żona Pileckiego podeszła do mnie w przerwie rozprawy, wówczas, aby zachować twarz wobec publiczności, mogłem powiedzieć coś zbliżonego, o wrzodzie. Ale na pewno nie w moim gabinecie.

- Dlaczego oskarżał pan Pileckiego?

- Chciałem odejść z sądownictwa. Z Łodzi zostałem przeniesiony do Ministerstwa Sprawiedliwości, zajmowałem się wnioskami o ułaskawienie. Odetchnąłem. Obawiałem się, że wyjdzie na jaw moja przynależność do AK - do tej pory nie przyznawałem się do niej.

Pisałem, że w czasie wojny zajmowałem się handlem. W końcu mój szef załatwił ze swoim kolegą z sekretariatu, że podrzuci moje antydatowane oświadczenie o przynależności do AK. Wówczas pojawił się oficer Informacji Wojskowej, który dał mi do zrozumienia, że o wszystkim wie. I że będą mi się przyglądać.

Pracowałem więc w Ministerstwie Sprawiedliwości i nagle, cztery dni przed procesem Pileckiego, wzywa mnie Zarakowski, szef Naczelnej Prokuratury Wojskowej, i mówi, że prokurator, który miał oskarżać, zachorował. I że to ja mam wystąpić przeciwko Pileckiemu. To była głośna sprawa, anonsy w prasie. Pobiegnąłem po ratunek do mojego szefa, Mieczysława Halskiego. O niesłychanie ciekawej biografii. Pochodził z żydowskiej rodziny, ale osierocony, był w Związku Radzieckim „bezprizornym”. Niezwykle przyzwoity. Zaprzyjaźniliśmy się ogromnie. Poradził mi, że bym w aktach sprawy znalazł jakieś nieścisłości, błędy - to był jedyny sposób, żeby wymigać się od

udziału w procesie. Poszedłem do sądu, dwa dni studiowałem akta. I nie znalazłem niczego - sprawa nie była dęta, dowody winy przekonywały. Pilecki przyznawał się do faktów, choć inaczej je interpretował. Nie nazywał swojej działalności szpiegostwem, bo twierdził, że pozostawał żołnierzem polskiego II Korpusu. Informował o magazynach broni. Podawał, jakie informacje przekazywał za granicę. Gromadził najsekretniejsze materiały, między innymi tajne biuletyny Ministerstwa Żeglugi. Biuletyny dotyczące handlu ze Związkiem Radzieckim. Przechowywał arsenał broni, między innymi dwa ciężkie karabiny maszynowe i cztery pistolety maszynowe, granaty. Siła ognia plutonu piechoty. W czyich rękach? Konspiratorów o konfrontacyjnym nastawieniu do rządu. Halski nie mógł mi w niczym pomóc - nie było żadnego punktu zaczepienia. Kiedy ktoś mi mówi, że nawet wbrew przekonaniu o słuszności oskarżenia powinienem odmówić oskarżania więźnia Auschwitz, odpowiadam,

że bohaterstwo stanowi cenną cnotę, ale nie ma obowiązku bycia bohaterem, a problem sprowadza się wyłącznie do świadomego i w pełni samodzielnego wyboru.

- Uczestniczył pan w propagandowych szkoleniach?

- Myśmy je niepoważnie traktowali. Jednym z wykładowców był na przykład sędzia Leo Hochberg [w drugiej instancji utrzymał wyrok śmierci na Pileckim P.L.]. Wtedy mówiliśmy: „O, dziś ma prelekcję rebe”. Sam się z tego śmiał. Było też dwóch gorliwców z naczelnej prokuratury, także obaj starozakonni. Jeden się nazywał Gol, z takim wielkim nochalem, przezywaliśmy go de Gaulle, a drugi Feld.

- I od nich nauczył się pan użytych potem w przemówieniu prokuratorskim oskarżeń o reakcyjność, imperializm?

- A nie, takie zwroty czytało się w gazecie. Bo na szkoleniach wskazywano na źródła marksizmu-leninizmu, ale nie instruowano, jak

przemawiać. To były liturgiczne zwroty. Przed procesem prokurator Podlaski wręczył mi kartkę z kilkoma takimi zwrotami; już ich nawet nie pamiętam.

- Dlaczego zażądał pan kary śmierci?

- To była tragedia. Przed końcowym wystąpieniem zostałem wezwany do prokuratora Podlaskiego. Wręczył mi kartkę z żądaniem: cztery kary śmierci.

Zaprotestowałem, że ja żadnego żądania kary śmierci nie postawię. Owszem, wina jest niewątpliwa, ogromne magazyny broni, szpiegostwo. Ale Pilecki był więźniem Oświęcimia, do wszystkiego się przyznawał. Zaczęli mnie uspokajać, że to jest żądanie demonstracyjne, proces jest nagłościony, że tu idzie o to, żeby wywołać lęk u ewentualnych naśladowców, a żadna kara śmierci i tak nie zostanie wykonana. Przed nami jeszcze Sąd Najwyższy i prawo łaski Bieruta. Sąd Najwyższy to była dla mnie mowa-trawa. Widziałem ten Sąd Najwyższy, same Żydy,

słyszałem o ich wyrokach, że śmiechu można było pęknąć. Ale argument o ułaskawieniu przemówił do mnie. Bo wcześniej opracowywałem wnioski o ułaskawienie do Bieruta. I w sprawach, w których skazany przyznał się do winy i ułatwił prowadzenie śledztwa, Bierut z reguły korzystał z prawa łaski. A Pilecki spełniał wszystkie te kryteria - oskarżany przeze mnie od pierwszej chwili otworzył wszystkie sekrety tej sprawy.

Biograf Pileckiego, Wiesław Jan Wysocki, napisał w swojej książce „Rotmistrz Pilecki”: „Wiele przemawia za tym, że powodem zguby Pileckiego była konspiracja oświęcimska, a bezpośrednią przyczyną -Józef Cyrankiewicz”.

Obaj, Pilecki i Cyrankiewicz, działali w oświęcimskim ruchu oporu. Jednak po wojnie to Cyrankiewicz miał uchodzić za główną postać obozowej konspiracji był przecież premierem w komunistycznym rządzie.

Według podawanej z ust do ust wieści premier Józef Cyrankiewicz wysłał do sądu list, w

którym sugerował, że Pileckiego trzeba skazać z całą surowością prawa.

Eleonora Ostrowska, kuzynka Pileckiego, twierdzi, że niedługo przed aresztowaniem Pilecki powiedział jej o swoim liście do Cyrankiewicza. Miał w nim przypomnieć premierowi obozową przysięgę, że jeśli odzyskają wolność, będą mówić tylko prawdę o Oświęcimiu - a tymczasem Cyrankiewicz kłamie. Eleonora Ostrowska miała też słyszeć, jak potem w sądzie odczytano list Cyrankiewicza.

- Słyszałam to - opowiadała mi Eleonora Ostrowska. - Cyrankiewicz stwierdzał, że rzeczywiście Pilecki był w obozie, ale jednocześnie określał go jako wroga ludu. I stwierdzał, że przewinienia Pileckiego są tak wielkie, że sąd nie powinien łagodzić kary ze względu na jego pobyt w Oświęcimiu.

W sądzie nie odczytano żadnego listu Cyrankiewicza - zapewnia Czesław Ł. - To są

jakieś bajki.

Jak więc było z tym listem? Czy oskarżający wówczas prokurator Kłamie? Po co miałyby to robić - przecież ujawnienie takiego listu chyba w niczym nie mogłoby mu zaszkodzić.

W aktach sprawy, które przeglądałem, nie ma listu Cyrankiewicza.

Cyrankiewicz trafił do obozu dwa lata po Pileckim - opowiada doktor Adam Cyra, historyk z oświęcimskiego muzeum. - Razem byli w obozie trochę ponad pół roku. Wtedy przetrzymywano w Auschwitz dwadzieścia tysięcy więźniów. Nie sądzę, aby Cyrankiewicz kiedykolwiek zetknął się z Pileckim.

Adam Cyra rozszyfrował pseudonimy z raportu Pileckiego - wśród dwustu nazwisk nie pojawił się Cyrankiewicz. Kiedy po wojnie II Korpus pytał Pileckiego, czy zna Cyrankiewicza, ten odpowiedział, że nie.

Adam Cyra spisał relację Ludmiły Serafińskiej, która opowiadała o Pileckim: „O jego aresztowaniu w 1947 r. dowiedzieliśmy się dopiero z gazet. W Krakowie odwiedził nas adwokat Witolda Pileckiego. Powiadomił on mnie, że Pilecki prosi, aby w jego sprawie interweniować u Cyrankiewicza, który był wówczas premierem.

Udałam się do Rady Ministrów. Józef Cyrankiewicz, który znał mnie z wcześniejszych pobytów u swojej matki w Krakowie, przyjął mnie bardzo grzecznie, lecz oświadczył, że wszystko zależy od prezydenta Bolesława Bieruta, natomiast on sam nic nie może pomóc. Nie odniosła też skutku petycja do premiera Józefa Cyrankiewicza w sprawie uwolnienia Witolda Pileckiego, podpisana przez trzydziestu byłych więźniów Oświęcimia”.

Adwokat Pileckiego, Lech Buszkowski, pisał w liście po wyroku i odrzuceniu prośby o łaskę: „Jak zawsze w

takich wypadkach stawiam sobie pytanie, czy wszystko, co było możliwe, zostało przeze mnie dokonane". Dodawał, że przecież „mieliśmy za sobą pomoc p. C.". Pytał: „Byłbym wdzięczny, gdyby była pani łaskawa, jeżeli to możliwe [wyjaśnić], dlaczego nie odniosła skutku pomoc p. C.".

W latach PRL w oświęcimskim muzeum nie było zdjęcia Pileckiego, główne miejsce w sali poświęconej obozowemu ruchowi oporu zajmował portret Cyrankiewicza. Dziś portret Pileckiego zajmuje właściwe, pierwsze miejsce, a Cyrankiewicz wisi dwunasty od lewej.

Rozprawie sądowej przeciwko Pileckiemu przewodniczył ppłk Jan Hryckowian, wcześniej kapitan Armii Krajowej, odznaczony Krzyżem Walecznych. Ławnikiem był kapitan Stefan Nowacki, sędzią Józef Badec-ki, przedwojenny asesor sądowy, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, oficer II Armii, odznaczony Krzyżem Virtuti

Militari.

Sąd skazał Witolda Pileckiego na karę śmierci oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze.

W uzasadnieniu wyroku napisano:

„Od zarania odzyskania niepodległości reakcyjne podziemie i inspirujące je zagraniczne ośrodki dyspozycyjne, działające pod kierownictwem obcego imperializmu, prowadziły walkę z Polską Ludową i Jej osiągnięciami we wszystkich dziedzinach życia.

Walka ta prowadzona w imię nieprzejednanej nienawiści do obozu demokratycznego i kierowanego przez ten obóz podczas okupacji ruchu robotniczego była prowadzona zgodnie ze wskazówkami kół imperialistycznych, dążących do osłabienia Państwa Polskiego.

Działalność kierowanej przez osk. Pileckiego ekipy szpiegowsko-dywersyjnej polegała w

pierwszym rządzie na prowadzeniu wszechstronnego wywiadu, tj. gromadzeniu i przekazywaniu za granicę wszelkich wiadomości z życia wewnętrznego kraju, na prowadzeniu oszczerczej i rozkładającej propagandy, na przygotowywaniu nielicznych, lecz dobrze obmyślanych aktów terroru i gwałtownych zamachów na osobach zajmujących kierownicze stanowiska w organach bezpieczeństwa publicznego i czołowej demokratycznej partii politycznej, a wreszcie na zawiązaniu ścisłej współpracy z innymi ugrupowaniami podziemnymi, u których osk. Pilecki znalazł wybitną pomoc w realizacji jego zbrodniczych działań".

W aktach sprawy zachowała się zalakowana koperta. W środku opinia sędziów (przewodniczący: Jan Hryckowian, sędzia Józef Badecki, ławnik Stefan Nowacki) na wypadek prośby o łaskę. Sędziowie uznali, że karę śmierci na pewno powinni ponieść Witold Pilecki i Tadeusz Płużański. W przypadku łączniczki Pileckiego Marii Szelańskiej

uznali, że tylko jej płeć może być okolicznością łagodzącą.

W 1990 r. Naczelną Prokuraturę Wojskową wniosła o uniewinnienie rotmistrza Pileckiego.

NPW zasugerowała nową ocenę materiału dowodowego. Według niej nielegalne posiadanie broni przez Pileckiego nie stanowiło przestępstwa, „bowiem nie stwierdzono jego szkodliwości społecznej”. Uznała, że Pilecki jedynie zabezpieczał broń już od Powstania Warszawskiego, a po wojnie wciąż wywiązywał się z otrzymanego rozkazu. Według NPW sąd orzekający w 1947 r. powinien więc umorzyć zarzut nielegalnego posiadania broni, uznając za „przypadek mniejszej wagi” przechowywanie dwóch ręcznych karabinów maszynowych, 26 granatów ręcznych, 260 sztuk amunicji, czterech pistoletów maszynowych, pistoletu Parabellum, 26 magazynków amunicji, 890 nabojów amunicji różnego kalibru, pistoletu vis, trzech magazynków, 203 nabojów do visa

i materiału wybuchowego.

Najpoważniejszy zarzut - szpiegostwa - sąd według NPW powinien i ównież oddalić, gdyż działanie Pileckiego było „zbieraniem i przekazywaniem informacji dla Polskiego Wojska na Zachodzie i reprezentującego je Rządu Londyńskiego i miało charakter polityczny, a nie agentu-ralny, gdyż dotyczyło zagadnień społeczno-gospodarczych, a także działania władz bezpieczeństwa publicznego”.

Gdyby ktoś chciał się uczyć historii Polski z wyroków, jakie zapadły w III Rzeczypospolitej na osobach odpowiedzialnych za zbrodnie stalinizmu, zapewne odkryłby, że polski stalinizm polegał głównie na stosowaniu tortur. Do tej pory bowiem udawało się skazywać tylko tych funkcjonariuszy śledczych, którzy maltretowali uwięzionych. Nigdy nie udało się sięgnąć na wyższy szczebel władzy. Chociaż żyli jeszcze wiceministrowie bezpieczeństwa, nigdy nie przedstawiono im żadnych zarzutów. Nigdy nie udało się też skazać żadnego

prokuratora ani sędziego.

Tymczasem sprawy dotyczące zbrodni stalinowskich przejął w miejsce prokuratury Instytut Pamięci Narodowej. Oskarżenie przeciwko Ł. to kolejna próba, aby doprowadzić do skazania prokuratora albo sędziego z lat stalinizmu. Wyrok skazujący udało się IPN uzyskać do tej pory tylko w jednej sprawie sędziego, niezbyt znanego.

Pierwszy wniosek, jaki w 1990 r. w sprawie rehabilitacji Pileckiego złożyła Naczelna Prokuratura Wojskowa, wnosił o obalenie wyroku z powodu błędu formalnego. Okazało się, że ówczesny sąd w ogóle nie był sądem. W sprawie orzekali przewodniczący, sędzia i ławnik. Procedura karna nie przewidywała takiego składu - musiał być przewodniczący i dwóch sędziów albo dwóch ławników.

Wkrótce jednak NPW poprawiła swój wniosek, przedstawiając argumenty, które obalały też kwalifikację prawną wszystkich zarzutów postawionych oskarżonemu w procesie

Pileckiego.

Dziś akt oskarżenia IPN przeciwko Czesławowi Ł. również zaczyna się właśnie od tego zarzutu formalnego, który staje się podstawą do poważniejszego zarzutu: podżegania do mordu.

- Oskarżony jako prokurator wojskowy nie dopełnił obowiązku złożenia wniosku o zmianę niezgodnego z prawem składu orzekającego - mówi prokurator Małgorzata Kuźniar-Plota z IPN, która prowadziła sprawę przeciwko Ł. - Skład sądu był nieznaną ustawie, w związku z tym Czesław Ł. występował przed sądem, który de facto sądem nie był, i zażądał wymierzenia czterech kar śmierci i kilku wyroków długoletniego pozbawienia wolności, mimo iż oskarżeni nie popełnili przypisanych im przestępstw. A więc uznajemy, że Czesław Ł. nakłaniał w ten sposób do bezprawnego orzeczenia zarówno kar śmierci, jak i kar pozbawienia wolności, wnosząc o wymierzenie więzienia.

- Oskarżenie zaczyna się więc od tego, że Ł. nie sprawdził składu sądu?
- To wynika z protokołu rozprawy - twierdzi prokurator Kuźniar--Plota. Dokładnie cytując z protokołu archiwalnego: „Przewodniczący składu orzekającego sprawdził prawidłowość obsady sądu, ogłosił jego skład. I pouczył również o prawie wyłączenia ewentualnie członków sądu, oskarżyciela”.
- Czyli przewodniczący jednak potwierdził, że jest to skład prawidłowy?
- Przewodniczący sprawdził prawidłowość, ogłosił skład. Czyli w tym momencie prokurator będący na sali wie, jaki jest skład sądu, a jaki powinien być. Rolą prokuratora było przeciwdziałanie wszelkim nieprawidłowościom.

Dla IPN istotną rolę odgrywa rehabilitacja Pileckiego z 1990 r.

- Powołujemy się na wyrok Sądu

Najwyższego, ponieważ on uniewinnił Pileckiego. Ten sąd przyjął, że nie można uznać za szpiegostwo przesyłania materiałów do polskiej jednostki. W sprawie szpiegostwa musimy wziąć pod uwagę kilka elementów: czy działali na szkodę państwa polskiego, czy przekazywali informacje dla obcego wywiadu. W żaden sposób nie zostało dowiedzione, że ich działalność przyniosła szkodę państwu polskiemu, że zbierali informacje będące tajemnicą państwową bądź wojskową.

- Czyli według wyroku sądu z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku Pilecki przesyłał do II Korpusu materiały bezwartościowe?

- Tak sprawy ujmować nie można. Należy tu podkreślić, że w żaden sposób nie zostało dowiedzione, że Witold Pilecki przekazywał zebrane informacje rządowi państwa obcego albo też jakiemuś obcemu ośrodkowi agenturalnemu.

IPN nie zajmował się badaniem, jak II Korpus

wykorzystywał przesłane do niego materiały.

Musieliśmy ocenić, czy ówczesny materiał dowodowy zebrany w tamtym postępowaniu wystarczał do skazania Pileckiego - wyjaśnia prokurator Małgorzata Kuźniar-Plotą. - Naszym zdaniem tamten mali i iał nie pozwalał na udowodnienie winy.

Zgodnie z prawem podżegacz do mordu odpowiada tak samo jak sprawca - Czesławowi Ł. grozi więc, biorąc pod uwagę górną granicę kary, dożywotnie więzienie.

Nazwisko Czesława Ł. zaczęło się pojawiać w prasie na początku lat 90. W 1993 r. „Gazeta Wyborcza” opublikowała list otwarty kilkudziesięciu żołnierzy AK i historyków, w którym przypomniano osoby związane ze stalinowskim wymiarem sprawiedliwości - między innymi Ł. Usunięto go z palestry i koła kombatantów AK.

- Co pan myślał o Pileckim w czasie procesu? To był pana kolega z AK.

- Perfidia systemu polegała właśnie na tym, aby byłych AK-owców konfrontować na sali sądowej - mówi Czesław Ł. - I patrzeć, co z tego wyniknie. Pilecki imponował mi z powodu swojej działalności w Auschwitz. A po wojnie był dla mnie człowiekiem, który wybrał inną niż ja drogę. Drogę konfrontacji.

- Był dla pana przestępcą?

- Dla mnie osobiście czy dla prokuratora?

Może nie rozgraniczajmy tego, bo zaraz pan powie, że jako człowiek szanował pan Pileckiego, a jako prokurator uważał za przestępcę.

- Zmieńmy więc określenie: był dla mnie człowiekiem, który popełnił przestępstwo. Pomińmy to określenie: przestępca, bo to już określenie moralne. Nie miałem wątpliwości, że to, co zarzucam oskarżonym, to prawda. Oskarżeni popełnili, niestety zawsze dodają to „niestety” -te czyny. Byli patriotami, ale zabrnęli w drogę konfrontacji.

- Zgodzi się pan może, że w Polsce toczyły się procesy pokazowe, skazywano niewinnych ludzi?

Wiedziałem o tym. Nie byliśmy małymi dziećmi, wiedzieliśmy, co wyprawia UB, Informacja Wojskowa. Dlatego kiedy wyznaczono mnie do sprawy Pileckiego, Halski powiedział: „Idź, przeczytaj akta, zobacz, czy nie ma tam czegoś lewego”. To była szatańska gra przełożonych, żeby mnie, byłego AK-owca, sprawdzić. Może liczyli, że ja po prostu odmówię. Pójdzie oskarżać inny prokurator, a ja trafię do więzienia.

Wyrok śmierci na Witoldzie Pileckim wykonano 25 maja 1948 r. o godzinie 21.30.

U żony Witolda Pileckiego, Marii.

Jeszcze kilka lat temu w Polsce nie było żadnej ulicy poświęconej Pileckiemu. Kiedy próbowano nadać w Warszawie jednej z ulic nazwę rotmistrza Pileckiego, wybrano ulicę

Indiry Gandhi. Przeciwno zmianie zaprotestowała ambasada Indii, wrócono do dawnej nazwy.

Zofia Optułowicz, córka, mówi:

- Tata nie ma nawet Virtuti Militari.

Pokazuje wiersz K.K. Baczyńskiego:

Jakie szczęście, że nie można tego dożyć,
Kiedy pomnik ci wystawią bohaterze I
morderca na nagrobkach kwiaty złoży.

- Nie staram się nadmiernie eksponować w świecie mojego ojca -mówi córka. - Gdyby tego chciał, na pewno by powiedział. A tata nic nie mówi. Czasami mama się skarży: i na co się zdała walka ojca.

Maria Pilecka, żona, tłumaczy:

- Ja płaciłam cenę jego patriotyzmu. Pan jest za młody, żeby zrozumieć, co to jest miłość do ojczyzny. Witold złożył przysięgę, że będzie walczył. Ja musiałam usunąć się w cień, zając

dziećmi. Wszyscy wtedy ponosili ofiary.

Córka, Zofia, podaje nam herbatę, a matka ją strofuje:

- Coś Zosiu zrobiła taką słabą? U mnie herbata musi być mocna i gorąca jak miłość.

styczeń 1995 - maj 2003

PS

W połowie 2003 r. rozpoczął się proces przeciwko Czesławowi Ł., oskarżonemu o mord sądowy na rotmistrzu Witoldzie Pileckim.

OBOWIĄZEK ŻYCZLIWOŚCI

Stalin nie żyje twierdził w 1949 r. Bronisław Feler, szewc z ulicy Czerniakowskiej, za co skazano go na rok więzienia. Józef Bednarczyk wyrządził szkodę Państwu Polskiemu, bo nie dopuścił do założenia spółdzielni produkcyjnej we wsi Jartypory. Kiedy odczytano statut, wykrzyknął:

- Dawniej śpiewano „nie rzucim ziemi”, a teraz „nie damy ziemi”. Wypowiedź spowodowała zamieszanie, ze stu zgromadzonych gospodarzy na sali pozostało siedmiu, z których tylko czterech zechciało przystąpić do spółdzielni. Bednarczyka skazano więc na rok.

Julian Olejko nie wykorzystał według prokuratury szansy, jaką władze ofiarowały mu, umożliwiając udział w wielkim dziele odbudowy Warszawy. Tak się złożyło, że Julian Olejko już był więźniem i kiedy w obozie pracy grupowy odczytywał na głos „Trybunę

Ludu", Olejko w ramach obowiązkowej dyskusji stwierdził, że gazety kłamią. Skazano go na dodatkowe dwa lata.

Wyroki otrzymali z artykułu 22 dekretu z 13 czerwca 1946 r., zwanego małym kodeksem karnym: „Kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić istotną szkodę interesowi Państwa Polskiego, albo obniżyć powagę jego naczelnych organów, podlega karze więzienia od sześciu miesięcy do pięciu lat”.

Bolesław Bierut przekonywał: „Nie wolno nam zamykać oczu na fakt, że nawet nieliczni dywersanci i agenci obcych wywiadów, rekrutujący się głównie z niedobitków obszarniczo-spekulanckich, mogą przez dywersyjne plotki i szeptaną propagandę wyrządzić szkodę. Ta zbrodnicza dywersja musi być zlikwidowana bez reszty”.

Sąd Najwyższy stwierdził, że fałszywa wiadomość szeptana skrycie „na ucho” jest o wiele niebezpieczniejsza niż wypowiedziana

publicznie na zebraniu ludzi pracy. Sens tej myśli był taki, że na zebraniu mógł ją sprostować czynnik polityczno-społeczny, a przez ucho działali agenci imperializmu amerykańskiego.

Sąd Najwyższy uzna! wreszcie, że aby wiadomość rozpowszechnić, wystarczy ją przekazać jednej osobie.

Bezrobotny obciążacz

- Spod sklepów ludzi wywożą za miasto i wypuszczają w pole albo zamykają w obozach pracy - powiedział w kolejce po słoninę Stanisław Pawlonek z Warszawy, za co skazano go z artykułu 22.

Było tak: pod sklepem na Hożej dziewiętnastoletni funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego dostrzegł „politykującego” osobnika. Postanowił wdać się w rozmowę. Prowokacyjnie wyraził nadzieję, że wkrótce wybuchnie wojna i „rząd amerykański przepędzi zawieszonych

bolszewików".

Na komisariacie Pawlonek, z zawodu obciążacz wód gazowanych, wypowiedzi tłumaczył rozgoryczeniem z braku pracy. Przyznał się, że podczas Powstania pięć tygodni chodził głodny, podobnie jak obecnie. Oraz że jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce nikt nie będzie jadł mięsa.

Sąd skazał go na sześć miesięcy więzienia.

Matka Boska i obce agentury

Fryzjer Zbigniew Kocielnik dostał dwa lata za opowiadanie, że z obrazu Matki Boskiej ciekną krwawe lzy.

13 lipca 1949 r., koło południa, podczas strzyżenia klienta powiedział, że w katedrze lubelskiej Matka Boska płacze, ponieważ w Boże Ciało pułkownik rosyjski wjechał samochodem w procesję, zabił jedną osobę i połamał monstrancję. Klient Zabłocki nie uwierzył, bo z powodu całej okupacji niemieckiej nie było żadnego cudu, nie

przypuszczał więc, aby zdarzył się przez jednego oficera rosyjskiego.

Eugeniusz Janczyk, oficer śledczy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, streszczając prokuratorowi sprawę Kocielnika, wyjaśnił międzynarodowe powiązania cudu: „Gdy olbrzymia większość społeczeństwa stanęła do uczciwej i konstruktywnej pracy, niedobitki reakcji, inspirowane przez międzynarodową reakcję, starają się utrudniać i opóźniać odbudowę. Jedną najnowszych ich broni jest rozpowszechnianie fałszywych wersji o rzekomych cudach, za pomocą których chcą wnieść rozdzźwięk w społeczeństwie”.

(Międzynarodowe powiązania najwcześniej odkryła „Trybuna Ludu”: cud nic schodził z jej pierwszej strony przez sześć dni.

Organizatorów cudu potępiał świat pracy Lublina, rolnicy Bydgoszczy i naukowcy Wybrzeża).

Przed Sądem Apelacyjnym oskarżony twierdził, że namawiał tylko klientów, aby w

Lublinie przekonali się na własne oczy, jak jest naprawdę. Świadek Zabłocki zeznał jednak, że Kocielnik z przekonaniem opowiadał o krwawych łzach.

Sąd uznał, że „plotka skierowana była przeciwko oficerom Armii Czerwonej i godziła w sojusz polsko-radziecki przez sianie nienawiści do Związku Radzieckiego, który jest gwarantem niepodległości Polski, twierdzą pokoju oraz oparciem wszystkich narodów miłujących wolność i walczących o utrwalenie pokoju”.

Zdaniem sądu oskarżony bez wątpienia wiedział, że informacje o cudzie sfabrykowały obce agentury, ponieważ był inteligentny i pochodził z miasta.

Awans społeczny

Stanisław Rombak był robotnikiem. Po odsłużeniu wojska i wstąpieniu do partii został zatrudniony w organach bezpieczeństwa. Wyjechał do USA, w ambasadzie pracował

jako szyfrant.

Już w samolocie do USA zaczął rozpowiadać, że w Polsce pracę dostają tylko partyjni. Świadek Eugeniusz Kułaga zeznał, że w Nowym Jorku Rombak nawiązał kontakty z Polonią, przez co się zamerykanizował. Rozpowszechniał informacje, że Polską rządzą Sowieci, a w Ameryce jest lepiej. Wreszcie bez zgody władz ożenił się z Amerykanką polskiego pochodzenia.

Rombaka skazano na pięć lat więzienia. Nie udowodniono mu, że fałszywe informacje rozpowszechniał wśród Polonii. Udało się jedynie dowieść, że czynił to wobec kolegi z pracy, Eugeniusza Kułagi. Sąd jednak zaznaczył, że skoro oskarżony wypowiadał się tak w obecności kolegi, to musiał jeszcze niebezpieczniejsze historie opowiadać żonie i jej rodzinie.

Kłopoty urzędnika

W 1952 r. podczas „tzw. świąt Bożego

Narodzenia" - jak zanotowano w protokole - Jerzy Włodarski dowiedział się, że od nowego roku zostaną zniesione bony towarowe i podwyższone ceny. Przekazana w tajemnicy pogłoska pochodziła od zaprzyjaźnionego pracownika Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego.

Włodarski, zatrudniony w Departamencie Rozdzielnictwa Bonowego Ministerstwa Handlu Wewnętrznego, udał się do zwierzchnika, aby wyrazić wątpliwość, czy powierzone mu przygotowywanie bonów na następny rok jest sensowne, skoro bony mają być zniesione. Dyrektor wyjaśnił, że o zmianach niczego nie wie, a gdyby nawet miały nastąpić, to MHW stać na wydrukowanie kilku niepotrzebnych nakładów.

„Włodarski mówił, że od nowego roku buty, skóra i wódka zdrożeją o sto procent” zeznawali jego koledzy z pracy. Sugerował, że towary pierwszej potrzeby ludzie będą oglądać przez szyby wystawowe.

Za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości Jerzego Włodarskiego aresztowano 4 stycznia 1953 r. Tego samego dnia prasa i radio oficjalnie poinformowały o zniesieniu systemu bonowego i podwyżce cen.

Sąd Wojewódzki uznał, że chociaż wiadomości okazały się prawdziwe, to oskarżony fałszywie je komentował, i skazał go na rok więzienia.

Blżej ołtarza

Przed wojną ksiądz Marian Pirożyński zasłynął książką „Co czytać?”. Karol Dickens, według księdza Pirożyńskiego, opisywał nazbyt drobiazgowo sceny wyznań miłosnych. „Przedwiośnie” Żeromskiego zaś to „ohydny paszkwil na Polskę i na inteligencję wiejską, stronnnicze i niezgodne z rzeczywistością apoteozowanie warstwy robotniczej i Żydów”.

Marian Pirożyński pierwszy raz naruszył prawo podczas okupacji. Ukrywał dwie Żydówki: matkę i córkę.

Po raz drugi przestępcą okazał się 28 września 1953 r. W akcie oskarżenia zarzucono mu, że wygłaszał kazania szkalujące MO, ZMP i święto 1 Maja oraz rozpowszechniał fałszywe wiadomości o procesie biskupa Kaczmarka. Ponadto posługiwał się sfałszowanym dowodem osobistym (na nazwisko Jan Czerwiński) i założył tajny kobiecy związek Błękitne.

19 maja 1954 r. Pirożyński z aresztu pisemnie poinformował Sąd Wojewódzki, że podczas kazań nie podrywał autorytetu władzy ludowej. O MO opowiadał tylko to, co przeczytał we wrocławskiej prasie: że milicjant zaprosił do domu dziewczynę, upił się, napastował ją i zabił, za co skazano go na śmierć.

Ordynariusz wrocławski w opinii podkreślił, że oskarżony działał nadzwyczaj pożytecznie nie tylko dla Kościoła, ale także państwa ludowego. Z tego powodu Bolesław Bierut odznaczył go Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Przed Sądem Wojewódzkim świadek Jan

Majewski oznajmił, że protokoły przesłuchań sporządzone w śledztwie nie odpowiadały temu, co zeznawał. Nie mógł sugerować, że Pirożyński szkalował ZMP, ponieważ świadek nie wiedział, co oznacza ten skrót. Ustalono, że Pirożyński podczas kazania powiedział: „Jak złe dziecko, to ZMP nie pomoże i Kościół nie wychowa”.

Podczas innej mszy namawiał stojących przy wejściu, aby podeszli do ołtarza: „Chodźcie bliżej, pierwszego maja nogi was nie bolały”.

Nie udowodniono Pirożyńskiemu ani szkalowania MO, ani ZMP, ani 1 Maja. Okazał się jednak winny sugerowania, że oskarżenie biskupa Kaczmarka oparto na fałszywych zarzutach.

Za wszystkie przestępstwa skazano go na rok i sześć miesięcy więzienia (w tym rok za biskupa).

„W Kantynie Rosjanie szczelali Polaków”

Akta śledztwa przeciwko Antoniemu

Sienkiewiczowi opatrzone klauzulą „Ściśle tajne”.

Tajna więc była notatka służbowa, w której milicjant Eugeniusz Klimowicz raportował: „Będąc w obchodzie dziennym w dniu 7 IV 1952 r. we wsi Boicie, i spotkałem się z ob. Sienkiewiczem Antoni, który to w obecności mojej w trakcie rozmowy-muwił, że jak był w niewoli w ZSRR i był w Kantynie to widział na swoje oczy jak Rosjanie szczelali oficerów polskich”.

„Ze Smoleńska brano zdrowych żołnierzy i wożono samochodami do pracy w Katyniu - zeznał na komisariacie Sienkiewicz. - Tam myśmy kopali rowy długości około pięćdziesięciu metrów, szerokości około trzech metrów, głębokości około półtora metra. Ja tam kopałem cztery dni. Takich rowów było moc, zajmowały cztery hektary ziemi. Z dwudziestoma kolegami zakopaliśmy jeden rów. Czterech znosiło z maszyn, które przywoziły zabitych jeńców polskich, czterech

posypywało chlorkiem, jak już byli położeni w rowie, a reszta zasypywała piaskiem".

Milicjanci nie uwierzyli Sienkiewiczowi, w szczególności nie dali wiary, że po zasypyaniu rozstrzelanych Rosjanie na grobach sadzili świerki i brzozy.

Ponieważ podczas przesłuchań Sienkiewicz powtarzał wiadomości,

o których rozpowszechnianie był podejrzany, poddano go obserwacji psychiatrycznej.

Wywiad lekarski ustalił, że podejrzany cierpi na psy-chotomię, co powoduje koloryzowanie faktów.

W szpitalu psychiatrycznym Sienkiewicz odwołał wcześniejsze zeznania. Wyznał, że nigdy nie był w Katyniu, na terenie ZSRR ochotniczo pracował przy budowie mostu.

W Komendzie Głównej MO porucznik Bogusław Łamacz wydobył z Sienkiewicza prawdę, zgodnie z którą podejrzany o Katyniu

dowiedział się z zachodnich rozgłośni. Głosu Ameryki słuchano przez radio marki Pionier, które gromada otrzymała za ponadplanowe wykonanie skupu zboża.

Sąd Wojewódzki skazał Sienkiewicza na sześć miesięcy więzienia. Sienkiewicz uniknął wyższego wyroku, ponieważ sąd dostrzegł okoliczności łagodzące, wśród nich terminowe wywiązywanie się oskarżonego z obowiązkowych dostaw.

Menażki w kolchozie

Józef Wrombel w pociągu między stacjami Burkut i Tuczki powiedział Strażnikom Ochrony Kolei:

Nic dziwnego, że wszyscy kolejarze kradną. Jak im zaczną potrącać na Warszawę i święta dla wojska, to z pensji nic nie zostanie.

Wyjaśnił, że właśnie wraca z odprawy sołtysów, na której kazano zbierać wśród chłopów składki na odbudowę Warszawy oraz na Gwiazdkę dla wojska. Na prezydenta

Bieruta więc ch... położył, bo w rządzie sami złodzieje, którzy kiedyś paśli krowy, a teraz chcą władać Koroną Królowej Polski.

W kuźni w Koszelewach Wrombel przestrzegł gospodarzy: Jak powstaną kołchozy, to z menażkami będziemy po zupę chodzić i od świtu do zmroku pracować, ale nie na własnej ziemi.

Za „złodziei w rządzie” skazano Wrombla na dwa lata. Za propagandę przeciwko spółdzielczości produkcyjnej - na kolejne dwa. Obrazę prezydenta wyceniono na pięć lat. Łączny wyrok: siedem lat więzienia.

Agitator z chęci zysku

Odbywający służbę wojskową Stefan Księżak opowiadał, że widział Chełmie żołnierzy z bagnetami na karabinach, co miało świadczyć o zbliżającej się wojnie. Utrzymywał też, że wkrótce wybuchnie rewolucja, bo w Łodzi strajkują robotnicy z powodu niskich płac. Zastanawiał się, gdzie podziewają się

pieniądze z podatków i kto je przepija. W grudniu 1947 r., patrolując granicę ze strzelcem Wróblem, dowodził, że przed wojną w armii było lepiej. Podczas grupowego odczytywania pisma „Polska Zbrojna” powiedział:

W Polsce popełniane błędy zawsze są ujawniane kilka lat później.

Śledztwo ustaliło, że Księżak został przestępcą przez Stanisława Ciurzyńskiego, przewodniczącego PSL we wsi Kamion.

Przed referendum Ciurzyński zaproponował, aby Księżak agitował wśród chłopów za PSL. Ciurzyński sam agitować nie mógł, trzy tygodnie przed referendum został aresztowany, wypuszczono go tydzień po głosowaniu.

Sąd uznał, że Księżak działał z chęci zysku, ponieważ za propagandę otrzymywał od Ciurzyńskiego wynagrodzenie: dokładnie pół metra drewna opałowego, drelich na spodnie i

kilka paczek papierosów Bałtyk.

Obu skazano na cztery lata więzienia.

Sąd Apelacyjny w uzasadnieniu wyroku napisał: „Rząd Polski Ludowej w czasach międzynarodowej walki z kapitalizmem czyni heroiczne wysiłki w kraju dla polepszenia bytu szerokich mas pracujących

i dlatego ma pełne prawo domagać się od swoich obywateli nie tylko lojalnego ustosunkowania się, ale całkowitej życzliwości”.

październik 1991

OKNO

Był legendą swego pokolenia.

„Anoda” Jan Rodowicz. Pierwszy w akcji pod Arsenalem rzucił butelką w więźniarkę przewożącą „Rudego”.

Zginął w 1949 r. w gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Oficjalna wersja: popełnił samobójstwo, skacząc z okna czwartego piętra.

Jak zginął „Anoda”? Czy kiedykolwiek poznamy odpowiedź?

Piąta trzydzieści rano przed bramą Cmentarza Powązkowskiego. Ściskam dłoń Władysława Rodowicza, stryjecznego brata Jana Rodowicza. Idziemy do kwatery, w której spoczywa „Anoda”.

Władysław Rodowicz, więzień Oświęcimia i Majdanka, ma 80 lat, jest starszy od „Anody” o siedem. „Anoda”, kiedy zginął w warszawskim

Urzędzie Bezpieczeństwa, miał lat 27 - tyle, ile ja dziś.

Za pół godziny rozpocznie się zarządzona przez prokuratora Stefana Szustakiewicza ekshumacja „Anody”.

Wywodził się z rodziny znanej w Warszawie. Wnuk powstańców styczniowych. Ojciec - profesor na Politechnice Warszawskiej, ceniony specjalista inżynierii wodnej. Matka - siostra generała Władysława Dortnowskiego, dowódcy Armii Pomorze we wrześniu 1939.

Wojna, batalion „Zośka”. Stanisław Sieradzki mówi o Anodzie: Mój dowódca, mój przyjaciel. Pamiętam, jak przekraczaliśmy Liwiec. Ktoś musiał najpierw przeskoczyć most, żeby ubezpieczać przejście kolumny. Pobiegliśmy ja i Janek. Pamiętam jego radość na twarzy z tego biegu.

Na leśnym zgrupowaniu rano, jeszcze przed myciem i śniadaniem, gonił nas przez kolczaste krzaki, żebyśmy się hartowali.

Pamiętam, jak strużki krwi mieszały się z rosą.

Uczestniczył w dziesiątkach akcji. Uwalniał więźniów wiezionych z Lublina do Oświęcimia. Wykolejał pociąg pod Pogorzela. Zdobywał posterunek żandarmerii w Wilanowie. Walczył w Powstaniu. Wielokrotnie ranny.

Anna Borkiewicz-Celińska mówi:

- Przystojny, wesoły. Każda jego mina powodowała wybuch śmiechu. Urodzony aktor. Wszyscy go kochali.

Idziemy alejką do rodzinnego grobu.

Władysław Rodowicz uchyla kapelusza, kiedy przechodzi obok grobu Grzegorza Przemyka i Barbary Sadowskiej.

Stajemy przed grobowcem Rodowiczów. Z drzewa zwisa biało-czerwona chorągiewka.

Prokurator obawia się, że po otwarciu grobu wszystkie cząstki mogą okazać się zmieszane. Kilka dni temu Władysław Rodowicz przyniósł prokuratorowi pismo, które

być może umożliwi odróżnienie kości „Anody”. To pismo to podanie z 1945 r. w sprawie przyznania mu grupy inwalidzkiej (uznano, że utracił 81 proc. zdrowia). „Anoda” opisywał: „5 sierpnia 1944 r. zostałem ranny na ul. Okopowej pociskiem z pistoletu maszynowego w lewą nogę. Po opatrunku walczyłem dalej. 10 sierpnia na ul. Spokojnej doznałem przetrzału lewego płuca pociskiem z kb. 15 września na ul. Wilanowskiej zostałem ranny po raz trzeci z niemieckiej rusznicy ppanc. w lewe ramię i łopatkę, z potrzaskaniem kości. Następnego dnia w drodze do szpitala zostałem ranny odłamkami z granatnika w lewy łokieć i przy upadku noszy doznałem złamania lewej ręki w łokciu”.

Obok „Anody” spoczywa jego brat. Spłonął podczas Powstania. Półtora roku później rodzina dokonała jego ekshumacji.

Nad braćmi w grobie leżą rodzice. Przeżyli śmierć obu synów. Przeżyli ekshumacje obu.

A teraz szczątki całej rodziny zostaną

poruszone.

Po wojnie zaczął studia na Politechnice. Był już bohaterem literackim.

„To chyba właśnie wtedy, na tej wycieczce, po raz pierwszy usłyszałem, że ktoś, chyba Kryśia Szpotańska, zwrócił się do Janka per «Anoda». Dlaczego Anoda? - zdziwiłem się. «Coś ty - obruszyła się Krystyna. - Nie czytałeś „Kamieni na szaniec"»?»

Zdrętwiałem. Nie mogłem uwierzyć. Nie mieściło mi się w głowie, że ten nasz wspaniały sympatyczny Rodowicz to legendarny «Anoda» spod Arsenалу" - wspominał Rodowicza jego kolega ze studiów, Jan Suzin, później słynny prezenter telewizyjny. Podczas odsłonięcia tablicy „Anody" na Politechnice w 1988 r. mówił: „Bohater lektur nastolatka nagle ożył!".

Alicja Arens opowiada o „Anodzie", jakby rozstali się wczoraj: Trudno mi dziś opowiadać o miłości dwudziestolatki. A to była moja i jego

pierwsza prawdziwa miłość, i to od pierwszego wejrzenia. W czterdziestym piątym, już po wojnie, przyjechał na imieniny do mojej kuzynki. I już cały wieczór tańczyliśmy tylko ze sobą. Pięknie tańczył.

Wcześniej ślubował, że dopóki trwa okupacja, nie zatańczy. Pracowałam na poczcie w Skolimowie, zaczynałam o szóstej rano wspomina Alicja Arens. - Po imieninach pierwszy na pocztę przyszedł Janek.

Pamiętam, jak przez ogródek do poczty idzie Janek z ogromnym naręczem groszków. Nie chodzę specjalnie na jego grób. Tylko kiedy gdzieś zobaczę groszek.

Aresztowano go 24 XII 1949 r. Krystyna Rodowicz, żona stryjecznego brata, mówi:

Matka gotowała wigilijną wieczerzę. Przyszło ich kilku. Rewidowali dwie godziny. Wzięli go ze sobą. Matce udało się niepostrzeżenie w miąć mu opłatek.

Przesłuchiowano go w Departamencie V, który

zajmował się wywiadowczym rozpoznaniem działaczy kulturalnych, związków, organizacji.

"Anoda" wskazał, gdzie ukrywa broń.

W dniu śmierci przesłuchiwali go Wiktor H. i Bronisław K.

Wiktor H. pytał o próbę porwania w 1945 r. rosyjskiego generała, którego AK-owcy chcieli wymienić na aresztowanego Radosława.

Według protokołu „Anoda” opowiadał:

„Porwanie miało nastąpić w czasie przejazdu generała radzieckiego z Konstancina do Warszawy.

Oczekiwaliśmy dwoma samochodami na trasie koło Powsina. Jeden z naszych samochodów, którym kierował Marian Rajewski, zatarasował drogę nadjeżdżającemu samochodowi. Kierowca radziecki wyminął przeszkodę i wymknął się z zasadzki. Porwanie było przygotowane z polecenia płk. Rybickiego, ps. Maciej,

zastępcy Radosława".

Później przesłuchiwał go Bronisław K. Pytał o różne osoby.

Po pytaniu: „Co wiecie o Zakrzewskim Jerzym?”, Bronisław K. nie zanotował odpowiedzi. W poprzek strony protokołu zapisano: „Podejrzany wyskoczył oknem i zabił się”.

Niektórzy „Zośkowcy” przypuszczali, że „Anoda” popełnił samobójstwo, bo przeraził się swych zeznań. Mógł w pewnym momencie uznać, że opowiadając o miejscach ukrycia broni, szkodzi kolegom.

Nie wiadomo, czy zaszkodził. Wśród „Zośkowców” UB miało konfidenta o kryptonimie „Górnik”. Trudno ustalić, co zawierały jego raporty.

„Anoda” był pierwszym spośród aresztowanych „Zośkowców”. Największe aresztowania wśród „Zośkowców” miały

miejsce cztery dni przed jego śmiercią. Ale przeprowadzał je już Departament Śledczy, a nie Departament V MBP.

Rodzice łatwo - co było czymś niezwykłym w tamtej sytuacji dowiedzieli się, gdzie spoczywa syn.

Pomógł w tym kierownik zakładu pogrzebowego, któremu UB poleciło pogrzebać „Anodę”. Szef zakładu znał go. W 1945 r. razem ekshumowali ciała powstańców. Polecił swoim pracownikom zapamiętać miejsce, gdzie pogrzebano „Anodę”, i przekazać informację, gdyby zgłosiła się rodzina.

Zofia Rodowicz wiele lat później, w 1968 r., spisała swoją relację: „Mogila była w środku cmentarza w drugim rzędzie, pokryta jak cały cmentarz całunem śniegu”.

Przeniesienie ciała wyznaczono na 16 marca.

„Sprawa wyglądała zagadkowo i widać było,

że wśród ludzi, którzy zakatowali naszego syna, był ktoś, kto pomyślał z sercem o nas i umożliwił odszukanie grobu, za co zawsze będę mu wdzięczna! Był ubrany w swe wojskowe angielskie ubranie, zapięte agrafką pod szyją, ułożony starannie, uczesany, nawet kanty spodni były wyrównane".

Alicja Arens, narzeczona:

- Wyglądał jak żywy człowiek, który śpi. Ładnie opalona twarz. (Głowa przechylona na lewo, nie mieścił się w białej trumnie z prostym wiekiem. Ręce wciąż były piękne, złożone i przyciśnięte do lewego boku.

Rodzice „Anody” poprosili Annę Rodowicz, jego drugą bratową, aby przyszła na przenoszenie ciała, ponieważ była lekarką. Anna Rodowicz opowiada:

Obmacałam ręce, nogi. Nic nie było złamane. Twarz zupełnie niezniszczona. Ale za lewym uchem była dziurka, jakby wlot od kuli. Na szyi zastygła strużka krwi. Może tej krwi wcześniej

było więcej, ale obmyli i potem się tylko sęczyła.

Według dzisiejszej opinii Zakładu Medycyny Sądowej Anna Rodowicz nie mogła stwierdzić, czy kości były całe, ponieważ ciało było zmarznięte. Ślad za uchem mógł pozostać po sekcji zwłok.

Alicja Arens przedstawia inny powód śmierci: Nie widziałam wlotu po kuli, ale pamiętam, że wtedy mówiono () postrzale w kark.

Kilka tygodni po przeniesieniu zwłok „Anody” rodzice byli na zebraniu towarzyskim u dr. Konrada Okolskiego. Lekarz poprosił ojca Anody” na bok, mówiąc, że chce ulżyć katolickiemu ojcu, który żyje myślą, że syn popełnił samobójstwo.

„Zdecydował się złamać słowo honoru dane profesorowi Grzywo-Dąbrowskiemu, ówczesnemu kierownikowi Zakładu Medycyny Sądowej, w którym była robiona sekcja, i przekazać nam tajemnicę, powierzoną mu

przez profesora - zanotowała Zofia Rodowicz.
- Janek nie popełnił samobójstwa, lecz został
w czasie śledztwa zamęczony - miał
wgniecioną klatkę piersiową".

Tadeusz Sumiński, kolega „Anody” z batalionu
„Zośka”: Dla mnie nie ma znaczenia, czy
Janka zabito, czy popełnił samobójstwo.
Zmuszenie go do samobójstwa było mordem,
może gorszym niż zwyczajny.

Przy grobie jest już prokurator Szustakiewicz,
policjanci, robotnicy cmentarni, koledzy
„Anody” z batalionu „Zośka”. Robotnicy
zaczynają zdejmować płytę, cicho tłucze się
pierwsza lampka nagrobna.

Okazuje się, że grób nie jest podwójny, ale ma
szerokość jednej trumny. Robotnicy wyciągają
pierwszą trumnę, drewnianą, brązową. Widać
jeszcze białą tkaninę, nieco tylko
przybrudzoną ziemią. Leży w niej Zofia
Rodowicz, matka „Anody”. Zmarła cztery lata
temu, przeżyła 96 lat.

Następna warstwa, w niej spoczywa ojciec „Anody”, zmarły w 1951 r. Trumna rozpadła się, widać brązowe kości.

Władysław Rodowicz mówi:

- Prosiłem prokuratora o wizję lokalną na Koszykowej. Janek był przecież wcześniej schorowany, a dwa tygodnie w piwnicach więzienia musiały zrobić swoje. Musiałby wejść na parapet, otworzyć okno, przecież był środek zimy, okno musiało być zamknięte.

Krystyna Rodowicz jednak zapamiętała, że styczeń wówczas był wyjątkowo ciepły. A mrozy miały się zacząć dopiero w marcu, kiedy ekshumowano „Anodę”.

Sprawdziłem w archiwum Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, jaka była pogoda 7 I 1949 r. Temperatura minimalna wynosiła minus 1 stopień, maksymalna plus 1,6 stopnia. Nie zanotowano opadów, chmury były nisko, wiał słaby zachodni wiatr. Do późnych godzin popołudniowych unosiła się

mgła.

Śledztwo w sprawie śmierci „Anody” rozpoczęła trzy lata temu Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Po przesłuchaniu świadków przekazała akta prokuratorowi Stefanowi Szustakiewiczowi z wnioskiem o umorzenie postępowania.

Umorzenie zbiegło się z listem, jaki otrzymał jeden z „Zośkowców”. Wcześniej na wszelkie sposoby próbowali znaleźć świadków, którzy mogliby powiedzieć coś o więziennych losach „Anody”. Doprowadzili do opublikowania w kilku dziennikach informacji o poszukiwaniach. I to właśnie im, „Zośkowcom”, udało się odnaleźć świadka, wówczas także więźnia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który odmienił losy śledztwa.

Prokurator nie chce powiedzieć, kim on jest. Żołnierze batalionu „Zośka” też nie powiedzą, bo zastrzegł sobie anonimowość.

Różnymi drogami udało mi się jednak dotrzeć do informacji. Świadek wciąż się boi. Mieszka daleko od stolicy. Średni biznesmen. Czuje, że gdyby się ujawnił, mógłby zginąć.

Mówi:

- Obito mi się o uszy, że Rodowicz siedzi na Koszykowej. Był przyjacielem mojego stryja. Nie widziałem go aż do śmierci.

Współwięźniowie opowiadali, że widzieli Rodowicza kulejącego, utykającego i pobitego. Przesłuchiwano mnie zwykle w nocy. Kiedy przesłuchiwał mnie śledczy, który był niski, szczupły, miał czarne wąsiki, nad ranem usłyszałem bardzo głośny strzał dochodzący z drugiego, trzeciego pokoju od mojego w kierunku schodów. Mój śledczy natychmiast wyskoczył na korytarz, zarepetował pistolet. Nie domknął drzwi. Na korytarz wyskoczył też Bronisław K, byli bardzo podnieceni, K. krzyczał do mojego śledczego, jakby się usprawiedliwiając: „Nie mogłem wytrzymać, kurwa mać, zastrzeliłem

tego skurwysyna". Doszedł jeszcze jeden UB-ek, naradzili się. Wyciągnęli Rodowicza na korytarz, zanieśli pod okno, otworzyli i wyrzucili ciało.

Skąd wie, że strzelał K?

Świadek:

- Następnego dnia współwięźniowie mówili, że zabito „Anodę” i że zastrzelił go K.

Odnalazłem Bronisława K. Nie zgadza się na spotkanie.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie miałem nic wspólnego z tym, tylko że był i ode mnie wyszedł.

Bronisław K. jest rówieśnikiem „Anody”, też urodził się w 1923 r. Skończył trzy klasy szkoły zawodowej, w MBP prowadził kartotekę wszystkich studentów w Polsce.

Bronisław K. w 1992 r. mówił prokuratorowi:

„W styczniu 1949 r. ktoś z Wydziału w

godzinach południowych przyprowadził do mojego pokoju Jana Rodowicza i polecił mi przesłuchać go. Siedziałem za biurkiem przy oknie zakratowanym, a Rodowicz bliżej drzwi. W trakcie rozmowy albo przesłuchiwania, które trwało ok. 20 minut, polecono mi, ale nie pamiętam kto, abym doprowadził Jana Rodowicza do gabinetu Wiktora H. Gabinet naczelnika znajdował się po przeciwnej stronie korytarza. Okna z gabinetu wychodziły na Al. Ujazdowskie. Doprowadziłem J. Rodowicza do sekretariatu. Kiedy otworzyłem drzwi, powiedziano mi: «Jeszcze chwileczkę, przejdź do następnego pokoju, drzwi są otwarte i nikogo w pokoju nie ma». Otworzyłem drzwi i wszedłem pierwszy do pokoju. Jan Rodowicz wszedł za mną i biegiem wskoczył na parapet otwartego okna i wyskoczył. Nie mogłem go powstrzymać, przeleciał koło mnie jak wicher. Okno było dwuskrzydłowe, otwarte na oścież. Do okna nie podchodziłem, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że na pewno poniósł

śmierć".

Wtedy, w lutym 1949 r., Bronisław K. udał się na miesięczny urlop wypoczynkowy.

Siąpi deszcz. Ekshumacja trwa. Na cmentarz przyjeżdża profesor Bronisław Młodziejowski, który zajmował się ekshumacjami w Miednoje.

Przed dziewiątą profesor odnajduje na głębokości 1,2 m czaszkę ojca „Anody”. Kości są w fatalnym stanie, prawie wszystkie się rozpadły. Profesor obawia się, że szczątki „Anody”, który zmarł dwa lata wcześniej, też mogą być w złym stanie.

Cała nadzieja w tym, że „Anoda” był młody i kości nie uległy odwapnieniu mówi.

Na rozmowę zgadza się Wiktor H., który przesłuchiwał „Anodę”. Rozmawiamy w mieszkaniu H. Za oknem: kort tenisowy na tyłach rosyjskiej ambasady.

Ma 75 lat. Kiedy miał 15, wstąpił do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej.

W Warszawie kierował Rewolucyjnym Związkiem Niezamożnej Młodzieży Polskiej. W czasie Powstania stał po drugiej stronie Wisły - był oficerem politycznym w artylerii. Trafił do V Departamentu MBP; słynna Julia Brystygierowa, dyrektor Departamentu V, była koleżanką jego matki. Potem wykładał ekonomię na SGPiS. W latach 70. został profesorem.

Pytam:

- Czy był wśród funkcjonariuszy człowiek odpowiadający rysopisowi: niski, szczupły, czarny wąsik?

Wiktor H. odpowiada:

- To ja, tylko nie byłem niski.

Mówi o powodach aresztowania „Anody”:

- Akurat w Belwederze mieszkała Zofia Dzierżyńska, wdowa po Feliksie. W łazience, gdzie miała się kąpać, wybuchło coś z instalacji, jakiś piec czy coś. Od

Brystygierowej dowiedziałem się, że podejrzewają o zamach Politechnikę, a konkretnie „Anodę”. Byliśmy przekonani, że to bzdura. Ale w bezpieczeństwie i partii niektórzy koniecznie chcieli rozprawić się z inteligencją. Ten wybuch mógł być pretekstem. Trzeba było się spieszyć, zanim Dzierżyńska wróci do Moskwy. Brystygierowa podpisała nakaz aresztowania „Anody”, żeby trafił do nas, a nie do Departamentu Śledczego. Tam właśnie mogłaby zacząć się nagonka. Proces przeciwko „Anodzie” o zamach na Dzierżyńską stałby się początkiem poważnej rozprawy z inteligencją, zamykaniem uniwersytetów, czymś podobnym do czeskiej wywózki wszystkich praskich adwokatów na prowincję.

Bito „Anodę”?

Do naszego departamentu dobierało się takich ludzi, którzy nie byli od bicia. Nawet nie było warunków do bicia. Departament na czwartym piętrze, bez żadnych krat, bez akustycznej

izolacji. Przez ściany wszystko było słychać. Kręcili się interesanci.

Dwa bloki od pana mieszka człowiek, który był przy śmiertelnym pobiciu Tadeusza Łabędzkiego w czterdziestym szóstym. To też działo się w gmachu na Koszykowej.

Łabędzkiego pobito już w terenie, a zmarł na Koszykowej. Nie mogło być tak, że funkcjonariusz samowolnie kogoś zabił. System nie tolerował różnorodnych ośrodków decyzyjnych. I miał wystarczające możliwości popełnienia zbrodni sądowych.

Jak według pana zginął „Anoda”?

Bronisław K. prowadził go do mnie na przesłuchanie. „Anoda” odepchnął K., wskoczył na parapet i rzucił się przez okno. K. ukarano dziesięcioma dniami aresztu.

- Miał pan broń?

- Nie pamiętani, raczej nie nosiłem, byłem roztargniony, jeszcze bym zgubił. Nie wiem,

czy K. miał pistolet. Wszyscy mieliśmy prawo do noszenia broni.

- Dlaczego „Anoda” wyskoczył?

- Przeżywał kryzys polityczny, był krytyczny w stosunku do AK--owskiego dowództwa.

- Czuje się pan odpowiedzialny za jego śmierć?

- Za aresztowanie nie mogę czuć się odpowiedzialny. Samobójstwo? Popełnił je po rozmowach ze mną, pewnie te rozmowy wpłynęły na jego decyzję. Nie mogłem przewidzieć.

Po dwóch godzinach rozmowy mówię mu wreszcie o człowieku, który twierdzi, że to K. zastrzelił „Anodę”. H. słyszy o tym świadku pierwszy raz. Podnosi wysoko ręce, uśmiecha się szeroko, jak zresztą podczas całej rozmowy.

- Zastrzelony? - mówi. - Co pan sobie wyobraża, żeby zastrzelić kogoś kilkadziesiąt

metrów od gabinetów pięciu ministrów? Pan sobie wyobraża huk w gmachu? Jak można coś takiego powiedzieć, myśleć...

Pytam, jak daleko były gabinety ministrów. Mówi, że w innym skrzydle budynku.

- Dlaczego „Anodę” aresztowano w Wigilię?

- Baliśmy się o każdą godzinę, to było bolesne, dla nas Wigilia też była świętem.

W 1981 r. zespół ekspertów Solidarności wydał raport „Kryzys gospodarki polskiej”. Autorzy to m.in.: Ryszard Bugaj, Jerzy Eysymontt, Waldemar Kuczyński i Wiktor H.

W 1982 r. został wyrzucony z PZPR. Komisja weryfikacyjna uzasadniła: „Tow. Wiktor H. brał udział w strajkach politycznych. Nie jest w stanie pryncypialnie ocenić działalności «Solidarności» i nie dostrzega w niej żadnych antysocjalistycznych akcentów. Neguje celowość wprowadzenia stanu wojennego”.

Robotnicy odkrywają kolejną warstwę.

Okazuje się, że trumna „Anody” jest w stanie o wiele lepszym niż trumna jego ojca.

Robotnicy odsłaniają wieko. Ukazują się znakomicie zachowane skórzane buty „Anody”. Kawałki czaszki, a na nich spora kępka zru-działych włosów.

Profesor znajduje odłupany kawałek kości. Oznajmia:

- Na pewno przeprowadzono wtedy sekcję zwłok.

Profesor znajduje odznaczenia, które matka „Anody” przypięła mu do munduru. Kładzie na obmurowaniu grobu Krzyż Walecznych - za akcję pod Arsenalem, Virtuti Militari - za Powstanie Warszawskie. Odkrywa baretkę oznaczającą przyznanie drugiego Krzyża Walecznych -za wysadzenie przepustu kolejowego pod Rogoźnem.

Znajduje kość lewego ramienia.

- Była złamana - mówi. Zwraca się do

prokuratora: - Czy z akt wynika, że mogło to być wcześniejsze uszkodzenie?

Zamiast prokuratora odpowiada Stanisław Sieradzki:

- To było w czasie Powstania, rana od niemieckiej rusznicy.

Po ponad czterech godzinach od rozpoczęcia ekshumacji profesor ocenia stan kości:

- Jest gorzej niż źle. Nie ma mowy, żeby je dziś badać. Trzeba zabrać do zakładu i najpierw kilka dni suszyć.

Do małej trumienki zostają złożone wszystkie szczątki, jakie udało się wydobyć. Stanisław Sieradzki, kolega „Anody” z batalionu „Zośka”, odchodzi na bok i składa ręce do modlitwy.

PS

Ekshumacja nie przyniosła jednoznacznych dowodów. Z kości zostały drobne szczątki, niepozwalające ani potwierdzić, ani

zaprzeczyć wersji o wypadnięciu z okna czy o postrzale. Żadna z nielicznych kości, które się zachowały, nie była połamana.

Ekshumacja rozstrzygnęła jednak jedną kwestię. Okazało się - co do tej pory było wątpliwe że z całą pewnością ktoś po śmierci „Anody” dokonał sekcji zwłok. Prokurator nadal jednak nie wiedział, kto mógł ją wtedy przeprowadzić. Nigdzie nie natrafił na urzędowe dokumenty związane z ówczesną sekcją. Prawdopodobnie nie zostały w ogóle sporządzone.

PS 1

Bogusław B., mieszkaniec Kołobrzegu, wciągnął w swoje wizje policję, prokuraturę warszawską i gdańską, ogólnopolską prasę. To on słyszał strzał. To on był owym tajemniczym świadkiem śmierci „Anody”. To on w liście do „Zośkowców” napisał, jak od kuli zginął „Anoda”.

Prokurator zaczął szukać dowodów, że

Bogusław B. rzeczywiście był więziony na Koszykowej. W żadnych archiwach nie znalazł śladu potwierdzającego ten fakt. Prokurator Stefan Szustakiewicz umorzył więc śledztwo. Nie przekonałby sądu, że wizja Bogusława B., według której „Anodę” zastrzelili ubecy, jest prawdziwa.

Zanim jeszcze doszło do umorzenia, prokurator, czytając gazety opisujące sprzedawanie mydła „z ludzkiego tłuszczu” na gdańskim jarmarku, miał wrażenie, że głównym bohaterem tych wypadków był właśnie Bogusław B. Prokurator więcej nie zajmował się tą sprawą, nie miała ona znaczenia dla jego śledztwa.

Wojciech Tochman pisał w „Gazecie”:
„Wróciła sprawa mydła. Tomasz Zdybel, dziennikarz z naszego dodatku w Trójmieście, zauważył

na Jarmarku Dominikańskim stare mydło. Na kartce obok podano cenę 20 nowych złotych - oraz informację, że mydło wyprodukowała

niemiecka firma RIF z ludzkiego tłuszczu, w większości z Żydów pomordowanych w obozie koncentracyjnym Stutthof".

Mydło RIF pojawiło się również na jarmarku w Toruniu. Sprzedawca opatrzył je papierową reklamą: „Mydło RIF zrobione ze zwłok więźniów obozów koncentracyjnych, przeważnie z Żydów - 15 złotych”.

W Toruniu sprzedawca namawiał oglądającą bazar Niemkę: „*Kaufen, kaufen, Judenseife, gut, gut, kaufen*”.

Gdańska policja odnalazła handlarza. Przesłuchała go. W grę mógł wchodzić zarzut o znieważanie ludzkich zwłok.

Kiedy prokurator Stefan Szustakiewicz po umorzeniu śledztwa w sprawie „Anody” powiedział mi o swoich przypuszczeniach, sprawdziłem w Warszawie i Gdańsku dane personalne niezwykłego świadka śmierci i handlarza mydła. To był ten sam człowiek: Bogusław B.

Wojciech Tochman dociekał, czy Niemcy rzeczywiście w czasie wojny produkowali mydło z ludzi.

Eksperymenty nad przemysłowym wykorzystaniem zwłok prowadził profesor Rudolf Spaner. Nigdy nie osiągnęły charakteru przemysłowego. Z danych polskiej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie wynika, że mydła RIF nie produkowano z tłuszczu ludzkiego.

Mydło, które sprzedawał Bogusław B., było więc zwyczajne.

Dlaczego Bogusław B. chciał zmienić historię? Czy kierowała nim chęć zysku albo potrzeba sławy? Czy raczej chciał dramatyzować historię jak reżyser filmu, któremu potrzeba przejmujących scen: ubecy strzelają do młodego bohatera AK, Niemcy wyciągają z kadzi mydło z żydowskich trupów.

Bogusława B. nie można już odnaleźć. Wciąż

jeździ po różnych jarmarkach. Nawet rodzina w Kołobrzegu nie wie, gdzie teraz jest. Może wróci do domu na początku przyszłego miesiąca. Ostatnio zawiadamiał rodzinę, gdzie go powinna szukać, ale adres jest już nieaktualny i nikt nie wie, dokąd teraz wyruszył jarmarczny handlarz, świadek i kreator niezwykłych wydarzeń. Bogusław B. krąży po Polsce.

PS 2

Relacja lekarza Andrzeja Biedrzyckiego potwierdza to, czego wcześniej matka „Anody” dowiedziała się w tajemnicy o śmierci syna.

W 1949 r. dokonano sekcji zwłok. Wynika z niej, że „Anodę” zakato-wali na śmierć ubecy.

„W świątecznym numerze «Gazety Wyborczej» ukazał się Pański artykuł «Okno», a w jego nadtytule dwa pytania: Jak zginął «Anoda»? Czy kiedykolwiek poznamy odpowiedź?” - napisał Andrzej Biedrzycki, sześć-dziesięciosześcioletni mieszkaniec

Ostrowca Świętokrzyskiego. „Wydaje mi się, że poznają Pan po przeczytaniu mojego listu”.

Spisana relacja była tak niezwykła, że postanowiłem pojechać do nadawcy.

Siedzimy na ławeczce w ogrodzie, pod liliowym bzem, na którym wisi jeszcze słoninka dla sikorek.

Andrzej Biedrzycki mieszka w Ostrowcu Świętokrzyskim. Od roku jest na emeryturze. Wciąż pozostaje zapalonym kolarzem amatorem. W liście użył niezwykłych już dziś określeń: „Pański niegodny i oddany przyjaciel w Panu”. Kiedy spieszyłem się na autobus, sześćdziesięciosze-ścieoletni Andrzej Biedrzycki posadził mnie na ramie swojego roweru i odwiózł na przystanek.

Jego ojciec, ochotnik w wojnie 1920 r., był leśnikiem, potem pracował w gazowni. Matka uczyła śpiewu w szkole powszechnej.

W 1948 r. zaczął studia medyczne w

Warszawie. Na piątym roku zaliczał medycynę sądową u profesora Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego. Był grupowym, sprawdzał obecność studentów na wykładach, dlatego profesor go zapamiętał.

Po studiach Andrzej Biedrzycki wrócił do Ostrowca Świętokrzyskiego, w miejscowym szpitalu przeprowadzał sekcje zwłok - do dziś przeprowadził ich kilka tysięcy. W 1960 wyjechał na kilkumiesięczny kurs specjalistyczny anatomii patologicznej do szpitala Przemienienia Pańskiego w Warszawie.

- Interesowały mnie przede wszystkim sekcje sądowe - mówi.

Profesor¹ Janina Dąbrowska umożliwiła mu odbycie części stażu w Katedrze Medycyny Sądowej u profesora Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego.

Byłem tam kilka miesięcy, w zakładzie żyliśmy się jak bracia - opowiada Andrzej

Biedrzycki. - W czasie jakiejś rozmowy wspomniałem o „Anodzie”, zupełnie bez związku, nie mogłem przypuszczać, że lulaj ktoś wie o jego losach. I wtedy powiedziano mi, że zwłoki „Anody” przeszły przez ten zakład. Tak jak to dziś pamiętam, najpierw opowiadali mi o tych wypadkach asystenci profesora, a potem on sam. Zwłoki „Anody” przywieźli ubecy. Dziś w pana tekście mówią, że wyskoczył przez okno z czwartego piętra. A wtedy lekarzom powiedzieli, że z pierwszego. Właśnie to niezwykle poruszyło asystentów z Zakładu Medycyny Sądowej. Opowiadali mi o tym prawie z uśmiechem na twarzy, bo już pobieżne oględziny zwłok wskazywały, że takie obrażenia nie mogą powstać po skoku albo wypadnięciu z pierwszego piętra. Widzieli, że połamany jest wszędzie. Trumna była zabita gwoździami, zakazano jej otwierania. Ale oczywiście pracownicy otworzyli trumnę. Mało tego. W nocy profesor Grzywo-Dąbrowski przeprowadził sekcję zwłok. W czasie sekcji znaleziono ciężkie

wielokrotne złamania, inaczej mówiąc, pogruchotane były wszystkie niemal kości. Towarzyszyło temu rozerwanie i zmiżdżenie prawie wszystkich trzewi jamy brzusznej i klatki piersiowej oraz rozległe urazowe wylewy krwawe w powłokach, jamach ciała, mięśniach. Wszystko dowodziło, że powstały za życia. Nie znaleziono natomiast jakiegokolwiek rany postrzałowej.

Wyjątkowa ciężkość i rozległość obrażeń wykluczały możliwość powstania ich przy upadku z okna twierdzy Biedrzycki. - Możliwe było tylko ciężkie pobicie „Anody”. Takie obrażenia mogły powstać np. przez wskakiwanie na „Anodę” całym ciężarem ciała sprawców, którzy, być może, nosili wojskowe buty.

Ta część relacji Andrzeja Biedrzyckiego zgodna jest z tym, co matka „Anody” spisała w 1968 r. w swoich krótkich wspomnieniach dotyczących śmierci syna.

Napisała wówczas: „W parę tygodni po

ekshumacji dr Konrad Okolski, ówczesny dyrektor szpitala Dzieciątka Jezus, wielki nasz przyjaciel, na zebraniu towarzyskim u siebie odwołał męża mego i mnie. Powiedział, iż przypuszcza, że rodzaj śmierci naszego syna - samobójstwo - jest dla nas, praktykujących katolików, bardzo ciężkie, więc chce nam przynieść ulgę, dać dowód przyjaźni i zaufania. Zdecydował się złamać słowo honoru dane profesorowi Grzywo-Dąbrowskiemu, ówczesnemu kierownikowi Zakładu Medycyny Sądowej, w którym była robiona sekcja, i przekazać nam tajemnicę powierzoną mu przez profesora. Janek nie popełnił samobójstwa, lecz został w czasie śledztwa zamęczony. Miał wgniecioną klatkę piersiową, o czym w protokole nie wspomniano. Protokół opiewał, że przyczyną śmierci był krwotok z tętnicy głównej spowodowany upadkiem z okna. Profesor nie chciał kłamliwego protokołu podpisać i miał w związku z tym duże przykrości. Wzruszeni i wstrząśnięci zobowiązaliśmy się dochować

tajemnicy, by profesora Grzywo-Dąbrowskiego nie narażać.

Doktorostwo Okolscy wkrótce zmarli. W 1960 r. zwróciłam się osobiście do profesora Grzywo-Dąbrowskiego, nie ujawniając moich wiadomości, że doszły do mnie słuchy o nieścistości w sporządzonym urzędowym zawiadomieniu i proszę, by zechciał sobie przypomnieć lub sprawdzić w aktach zakładu sprawę mego syna.

Profesora spotykałam u znajomych i wiedziałam od niego, że kolegował się z bratem mym, generałem Władysławem Bortnowskim. Liczyłam, iż wobec zmienionej sytuacji w kraju zechce podać mi dane. Niestety, nie pamiętał nic, lecz obiecał polecić odszukanie akt syna. Po kilku dniach zakomunikował mi telefonicznie, że w aktach nie natrafiono na nazwisko syna. Sądzę, że uznał, iż nie może mi jeszcze tajemnicy służbowej ujawnić".

Andrzej Biedrzycki pytał o „Anodę” dokładnie

w tym samym roku, co matka zabitego. On uzyskał odpowiedź, matka - nie. Dlaczego? Czy profesor obawiał się powiedzieć matce, a potem dręczyło go sumienie i postanowił jednak komuś powierzyć tę tajemnicę?

Andrzej Biedrzycki przypuszcza:

- Byliśmy lekarzami. Swój swojego wyczuje.

Żadne inne dowody, wcześniejsze i późniejsze, nie potwierdziły powyższej relacji.

kwiecień-czerwiec-listopad 1995

PŁYNAŁ W POWIETRZU

Przed wojną, za kontakty z komunistami, więzień Berezy Kartuskiej.

Podczas okupacji dowódca ponad czterdziestu tysięcy chłopów. Potem zwolennik ich wstępowania do milicji.

Dla władzy komunistycznej Narcyz Wiatr „Zawojna” powinien stać się wymarzonym sojusznikiem, którego należało hołubić. Ubecy zastrzelili go na dwa tygodnie przed końcem wojny.

Już wtedy marnie wyglądał, na bardzo schorowanego - opowiada Zuzanna Litawa o spotkaniu (1994 r.) w krakowskiej prokuraturze ze Stanisławem P. - To był drugi raz, kiedy go widziałam. Prokurator pytał, czy podtrzymuję zeznania. Patrzyłam temu mężczyźnie w oczy i powiedziałam: tak. Pierwszy raz widziałam go, kiedy strzelał do mojego ciotecznego brata Narcyza.

Narcyz Wiatr „Zawojna” zginął 21 kwietnia

1945 r. W czasie wojny dowodził jednym z największych w Polsce okręgów Batalionów Chłopskich: na Małopolskę i Śląsk. Funkcjonariusze UB zastrzelili go na krakowskich Plantach.

Można to też powiedzieć inaczej: strzelali do niego niedawni podkomendni -jeszcze kilka miesięcy wcześniej służyli bowiem w Batalionach Chłopskich.

Teraz, po półwieczu, prokurator oskarżył jednego z nich, Stanisława P., o zabójstwo Narcyza Wiatra. W środę 22 maja 1994 odbyło się pierwsze posiedzenie krakowskiego sądu. Podejrzany Stanisław P. nie stawił się - leży w szpitalu.

Narczyż przyszedł na świat we wrześniu 1907 r. Jego matka zmarła, gdy miał sześć lat. Wychowywał go ojciec. Zuzanna Litawa wspomina:

- Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy on już był dorosły i mówił o ważnych sprawach. A ja

stałam gdzieś z boczku. Jego ojciec był światłym chłopem, zwiedzał nawet Amerykę, a w Polsce był wójtem. Miał sześcioro dzieci. Trzech synów wysłał do Poznania na studia, chociaż gospodarował tylko na pięciu hektarach ziemi.

Narczyz Wiatr ukończył prawo, wrócił do Nowego Sącza i zaczął aplikację adwokacką.

Był wysoki, szczupły - zapamiętała Zuzanna Litawa.

- Czarne włosy czesał na bok, miał wydatny nos - opisuje Wojciech Dudek, wojenny podkomendny Wiatra.

Troszkę schylony w przód, wysmukła twarz - wspomina Edward Kaleta, współpracownik Wincentego Witosa.

Andrzej K., rzeźbiarz, który widział śmierć Wiatra, zapamiętał trzy wydatne punkty na jego twarzy: nos, podbródek i grdykę.

W Poznańskim, gdzie Wiatr studiował,

dominowała endecja. Małopolska, gdzie mieszkał, słynęła z ludowców. Wstąpił do Wici, organizacji młodzieży wiejskiej, politycznie zbliżonej do Stronnictwa Ludowego.

Kiedy policjanci podczas święta ludowego w Grybowie zerwali portret Witosa, chłopci rzucili się na nich z pięściami - opowiada Zuzanna Litawa. Policjantów osłonił Narcyz.

Edward Kaleta, którego z powodu współpracy z Witosem uważano wśród ludowców za prawicowca, wspomina, że Wiatr miał opinię radykała, lewicowca.

Trzeba jednak pamiętać, że my, ludowcy, byliśmy przeciwni sanacji i Piłsudskiemu - mówi Kaleta. - A potem komuniści ukradli sporo naszego programu.

Wojciech Dudek twierdzi:

- Wiatr kontaktował się z komunistami. Widział dla ich partii miejsce w Polsce.

W 1937 r. Narcyz Wiatr stał się dla władz

niewygodny. Zbyt często organizował chłopskie pochody, zbyt ostro wypowiadał się przeciwko rządzącym. Aresztowano go i zamknięto w Berezie Kartuskiej. Siedział sześć tygodni.

O jego radykalnych przekonaniach ludowcy pamiętali jeszcze podczas wojny. Niektórzy protestowali, gdy mianowano go dowódcą Batalionów Chłopskich na Małopolskę i Śląsk. W maju 1943 r. dowództwo Batalionów Chłopskich podpisało umowę scaleniową z Armią Krajową. Wówczas został zastępcą dowódcy krakowskiego okręgu AK do spraw BCh.

Władysław Gwizdała, dziś wiceprezes Fundacji im. Narcyza Wiatra, był wtedy dowódcą kompanii. Pamięta początek ślubowania Batalionów Chłopskich: „W obliczu wiekuistości minionych pokoleń, w obliczu dręczonego narodu...”.

Zuzanna Litawa została łączniczką „Zawojny”, przybrała pseudonim „Cyganka”.

Wojciech Dudek, akowiec, poznał Narcyza Wiatra w czerwcu 1943 r.

- Przeżyłem wielką wyspę, wpadło ponad tysiąc osób z AK - opowiada. Ukrył się na wsi, skontaktował z ludowcami. Przedstawił się jako oficer o przekonaniach ludowych (w BCh przez całą wojnę brakowało oficerów). Wkrótce do Dudka przyjechał Wiatr.

- Prześwidrował mnie wzrokiem z góry do dołu - wspomina Dudek. Mówił krótko, po wojskowemu. Świetny organizator, bardzo odważny.

Wojciech Dudek opowiada, że Wiatr był przeciwnikiem niepotrzebnych rajdów wojskowych.

- W czterdziestym trzecim przysłali do mnie instruktora z Londynu, miał uczyć dywersji. Mówi, żeby mu dać bojówkę, to pokaże, jak się robi akcję na niemiecki posterunek. Proszę pana, mówię, taką akcją to ja sam potrafię

zrobić. Ale co dalej? Chłopcy uciekną do lasu, a Niemcy z zemsty pozabijają dziesiątki ludzi. To się dywersant na mnie obraził i poskarżył do Wiatra. A Narcyz pochwalił mnie za rozsądek. Był moim wielkim przyjacielem.

Kiedy kończyła się wojna, Narcyz Wiatr wciąż się ukrywał. Nie nosił jednak broni, chodził bez obstawy. Używał sfalszowanej kenkarty na nazwisko Stanisław Zięba.

- Był za tym, aby bechowcy wstępowali do legalnych organizacji, a nawet pracowali w milicji - wspomina Zuzanna Litawa „Cyganka”.
-Uważał, że to korzystne dla wsi.

Z „Cyganką” umówił się w Krakowie 21 kwietnia 1945 r.

- Żyłam w lęku o tych, którzy przeżyli wojnę - wspomina Zuzanna Litawa. - Najpierw w Oświęcimiu zginął mój szwagier, nauczyciel. Potem gestapo zamęczyło brata Narcyza, a mojego ciotecznego. Później zginęli moi rodzice i dwóch braci. Tego dnia spotkaliśmy

się o dziesiątej u państwa Wsołków na ulicy Gertrudy - opowiada. - To było jedno z konspiracyjnych mieszkań „Zawojny”. Chwilę czekałam, bo był zajęty. Wsołkowa wróciła z miasta, powiedziała, że krążą szpicle. Narcyz zachowywał się tak, jakby uważał, że jeszcze nie pora, by jego mogło coś spotkać. Dzień wcześniej wziął rodzinne zdjęcia, miał zrobić ich reprodukcje. Nigdy tych zdjęć nie odzyskałam. Wyszliśmy. Przeszliśmy przez ulicę Gertrudy na Planty. Nie wiem, ile mogliśmy zrobić kroków, kiedy od tyłu podbiegł do nas człowiek z pistoletem. Wyraźnie podenerwowany zwrócił się do Narcyza: „Proszę kenkartę”.

Prokurator Krzysztof Urbaniak z krakowskiej prokuratury wojewódzkiej odnalazł tego człowieka. Stanisław P. był wówczas funkcjonariuszem UB w Myślenicach.

Polecenie aresztowania Wiatra wyszło z inspiracji radzieckiego doradcy UB w Myślenicach twierdzi prokurator Urbaniak.

Doradca nazywał się Makutin albo Mikutin. Bezpośredni rozkaz aresztowania wydał zastępca szefa UB w Myślenicach, Stefan Mańkut. Akcję zlecił Janowi T. i Stanisławowi P.

Jan T. i Stanisław P. przyjechali do Krakowa dzień wcześniej okazją. Przenocowali u znajomych. Rano, około godziny piątej, poszli pod kamienicę na ulicy Gertrudy.

Stanisław P. zeznał prokuratorowi, że Jan T. polecił mu: masz zatrzymać Wiatra, ja będę z tyłu ubezpieczał.

Stanisław P. uznał, że to rozsądne. Wiedział, że Wiatr zna Jana T. i może przestraszyć się, gdy go zobaczy.

„Cyganka” wspomina:

- Kiedy Stanisław P. zażądał kenkarty, Narcyza przeszył dreszcz, pobladł.

Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął dokument na fałszywe nazwisko.

Zuzanna Litawa pomyślała wówczas, że sama nie ma przy sobie żadnego dokumentu.

I po prostu odeszłam - wspomina. -

Mężczyzna z pistoletem był tak zdenerwowany, skupiony na Narcyzie, że zupełnie nie zwrócił na mnie uwagi.

Po kilkunastu krokach odwróciła się: dwaj mężczyźni nadal stali w tym samym miejscu. Pomyślała, że Wiatrowi grozi aresztowanie.

- Ludzie wówczas ginęli bez śladu, przystanąłam nieopodal, żeby zapamiętać, co się będzie działo - wspomina. - Stali jeszcze chwilę, wreszcie wolno ruszyli. Ich pogawędka nie budziła we mnie żadnych obaw. Doszli do rogu Plant, w miejscu, gdzie przecina je Dominikańska. Znowu przystanęli.

Dwaj mężczyźni gawędzili jeszcze około kwadransa. Zuzanna Litawa była spokojniejsza. Przypuszczała, że za chwilę Wiatr podejdzie do niej i wyjaśni, na czym polegało to niewątpliwe nieporozumienie.

Wreszcie Stanisław P. położył rękę na ramieniu Narcyza - zapamiętała Zuzanna Litawa. Do dziś nie wiem, co to oznaczało: gest przyjaźni, popchnięcie czy sygnał do ucieczki. Narcyz zrobił dwa, trzy energiczne kroki. Potem zaczął biec.

Antoni K., krakowski rzeźbiarz, szedł wówczas Plantami z więzienia, w którym zostawił paczkę dla ojca. Nagle dostrzegł biegnącego człowieka. Zapamiętał, że mężczyzna biegł wspaniale, jak sportowiec, płynął w powietrzu, pędził jak wiatr. Antoni K. usunął się z drogi.

Zuzanna Litawa: Stanisław P. wyszarpnął broń, którą w czasie rozmowy schował. Strzelił za Narcyzem. I nagle z całych Plant posypały się strzały.

Stanisław P. zeznał prokuratorowi, że kiedy usłyszał strzały, wyciągnął broń i odwrócił się. Twierdził, że strzelał nie do Wiatra, ale do tyłu, za siebie.

Zuzanna Litawa: Nagle wiele osób, których wcześniej nie zauważyłam, zaczęło strzelać. Krzyczeli: „Łapać folksdojczya!”.

Wiatr potknął się i przewrócił. Otoczyli go ludzie częściowo ubrani po wojskowemu, częściowo po cywilnemu. Antoni K. zauważył pierwszych dwóch, którzy dobiegli i strzelali do leżącego (sekcja zwłok potwierdziła, że Wiatr mógł zginąć, kiedy już leżał). Usłyszał jeszcze, jak jeden do drugiego mówił: „Kurwa, przestań, on już ma dość”. Zauważył jedyne go, który nosił mundur oficera WP. Był niski, wyglądał na nie więcej niż piętnaście lat. Na głowie miał rogatywkę. Podeszedł do martwego Wiatra i kopnął go w rękę. Obszedł zwłoki i kopnął z drugiej strony.

Wojciech Dudek pamięta, że Wiatr tego dnia wezwał go do siebie na ulicę Gertrudy. Wyglądało, jakby chciał zwołać jakąś naradę. Kiedy Dudek podeszedł do drzwi, schodząca dziewczyna ostrzegła go, że w mieszkaniu UB urządziło kocioł. Wychodząc, usłyszał na

zewnątrz strzały. W jego stronę nadbiegał kolega z Batalionów, który krzyknął: „Uciekaj, «Zawojnę» zastrzelili”.

„Zawojna” zginął od jednej tylko kuli, która trafiła go w plecy i przeszła prawe płuco.

Zuzanna Litawa mówi:

- Narcyz padł, otoczyli go milicjanci, a ja ciągle stałam na rogu ulicy. Nie wiedziałam nawet, skąd doleciała śmiertelna kula. Nie wiedziałam, który z nich go zabił.

- Na Wawelu odznaczano mnie medalem partyzanckim - wspomina Wojciech Dudek. To było jakoś tak w siedemdziesiątym piątym. Przypięto mi odznaczenie i słyszę, że wyczytują nazwisko: Jan T. Zabójca mojego dowódcy stał następny za mną w szeregu do odznaczenia! To był wstrząs! Wybiegłem z sali.

Władysław Gwizdała opowiada:

- Dwaj koledzy, Jan Mazurek, wojenny szef łączności, i Wojciech Jekiełek, który

kontaktował się z obozem w Oświęcimiu, wykradli zwłoki Wiatra z Zakładu Medycyny Sądowej. Dotarli do jakiegoś laboranta, wieczorem wywieźli ciało.

Według innej wersji zwłoki „Zawojny” wykupiono.

Czy to możliwe, żeby wówczas ubekom ukradziono ciało? I na dokładkę wynajęto firmę pogrzebową, która zajęła się pochówkiem? Ci, którzy mieli tego dokonać, już nie żyją. Zuzanna Litawa, która jako jedna z kilku zaledwie osób uczestniczyła w pogrzebie, nie zna żadnych szczegółów.

Narcyza Wiatra pochowano pod nazwiskiem Stanisław Zięba - na takie wystawiono fałszywą kenkartę. Dopiero w 1957 r. przeniesiono ciało do Kwatery Partyzanckiej na krakowskim Cmentarzu Rakowickim i oznaczono prawdziwym nazwiskiem.

Prokuratora zdziwiły niektóre zeznania Stanisława P.:

- Miał zatrzymać Wiatra do dyspozycji myślenickiego UB, a nie zapewnił sobie żadnego środka transportu. Po wylegitymowaniu oddał Wiatrowi kenkartę, a wiadomo, że jak się kogoś aresztuje, to dla pewności zatrzymuje się dokument tożsamości. Nie zastosował kajdanek, miał prowadzić Wiatra za rękę. Wreszcie nie wiedział, dokąd ma prowadzić Wiatra. Jan T., który dowodził, nie powiedział mu tego. W pobliżu był posterunek milicji, ale oni się od niego oddalali. Wiele wskazuje na to, że ucieczkę Wiatra sprowokowano.

Ludowcy ginęli z rąk komunistów od pierwszych powojennych dni. Historycy szacują, że w ciągu dwóch lat po wojnie zginęło ich około dwustu.

Władysława Kojdera, powszechnie uważanego za następcę Wincentego Witosa, zamordowano 17 września 1945 r. W następnym roku w Małopolsce zginęli m.in.: Józef Burda, Paweł Sikora, Józef Hachlica,

Apoloniusz Józefowicz, Stefan Miłkowski.

Alina Fitowa, badająca dzieje ruchu ludowego w Małopolsce, odnalazła w Archiwum Akt Nowych rozkaz z grudnia 1945 r., podpisany przez ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza, a dotyczący Stronnictwa Pracy i PSL: „Polecam kierownikom placówek UBP, aby w jak największej tajemnicy przygotowali akcję mającą na celu likwidowanie czołowych działaczy tych stronnictw, przy czym musi być ona upozorowana jakoby robiły to bandy reakcyjne”.

Dokument ten cytuje również prokurator Urbaniak w akcie oskarżenia Stanisława P.

Profesor Andrzej Paczkowski podejrzewa jednak, że dokument nie jest autentyczny.

- Ten rozkaz był już dziesiątki razy wałkowany, nikomu nie udało się potwierdzić jego autentyczności. Miano go znaleźć, zdaje się, w czasie rewizji u któregoś z działaczy

Stronnictwa Ludowego. Wówczas zdarzało się, że funkcjonariusze UB dla dezinformacji podrzucali podziemiowi różne dokumenty. W archiwum Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego nie udało się nikomu odszukać tego dokumentu, pod tą datą żadnego również nie brakuje - mówi profesor Paczkowski.

Nawet jeśli dokument był autentyczny, to Radkiewicz wydał go w grudniu 1945 r. Kojder zginął jesienią 1945 r., a „Zawojna” jeszcze wiosną. Formalnie nie istniało jeszcze nawet PSL, ale jego poprzednik, Stronnictwo Ludowe.

- Właściwie ta śmierć niczym się nie tłumaczy - mówi krakowski historyk Grzegorz Mazur. - Zginął, jeszcze zanim do kraju przyjechał

Mikołajczyk i zanim powstał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Później, przed referendum „trzy razy tak”, dałoby się jego śmierć wytłumaczyć. Choćby chęcią zastraszenia ludowców.

Wtedy jeszcze ludzie myśleli, że zaczyna się normalne życie - dodaje. - Co prawda patrol na ulicy wciąż mógł wylegitymować, ale otwierano polskie szkoły, teatry, kina.

Zwierzchnicy pozwalali żołnierzom Batalionów Chłopskich wstępować do milicji; chyba nie zdawali sobie sprawy, że wzmacniają nowy system.

Jednak już w marcu 1945 r. Rosjanie pojmali przywódców Polski Podziemnej, których wkrótce skazali w tzw. procesie szesnastu. Wśród skazanych byli trzej ludowcy: Stanisław Mierzwa, Adam Bień i Kazimierz Bagiński.

Alina Fitowa zastanawia się, dlaczego zginął Narcyz Wiatr: W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego dokonywano licznych aresztowań mających na celu rozbić państwa podziemnego. Wiatr mógł zatem trafić na listę do aresztowania. Był także działaczem podziemnych Wici. Według wyraźnych dyrektyw Stalina z marca czterdziestego piątego Stronnictwo Ludowe

nie mogło się ujawnić i rozpocząć działalności politycznej. Stalin polecił Gomułce, aby utrzymywał je w podziemiu. Tymczasem piętnastego marca ludowcy na ogólnopolskim zjeździe pod Warszawą zdecydowali, że należy ujawnić się, a w tym celu nawiązać kontakt z dowództwem wojsk sowieckich. Było to niewygodne dla Polskiej Partii Robotniczej ze względu na jej słabość, niewielką liczebność i nikłe oparcie w społeczeństwie. Dlatego można domniemywać, że usunięcie Wiatra miało zepchnąć Stronnictwo Ludowe z powrotem do podziemia. Ale to tylko przypuszczenie, niepoparte żadnymi dokumentami.

Alina Fitowa twierdzi, że równie wiele przemawia za tym, że zabicie Wiatra z punktu widzenia władzy komunistycznej było absurdalne.

- Przecież już przed wojną znano go jako radykała - mówi. - Kontaktował się z komunistami, chociaż sam nie komunizował.

Pozyskanie Wiatra dałoby więc PPR pewien pożytek propagandowy i polityczny.

Pepeerowcy podkreślaliby, że budują Polskę robotniczo-chłopską. „Zawojna” miał oparcie wśród swych żołnierzy. Gdyby zdecydował się na współpracę z rządem lubelskim, pewnie pociągnąłby za sobą znaczną część podkomendnych. Ten element przeczy teorii, że zastrzelono go z powodów czysto politycznych.

12 Płynął w powietrzu

Kilka dni po śmierci „Zawojny” do Krakowa przyjechał minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz. O śmierci Wiatra mówił na posiedzeniu KC PPR w maju 1945 r., pierwszym, z którego zachował się kompletny protokół.

Radkiewicz: „Na mieszkanie, gdzie odbywało się zebranie razem z Wiatrem, wywiadowcy nie poszli, lecz zatrzymali Wiatra na ulicy. Wiatr legitymował się fałszywym dokumentem. Ponieważ zaczął uciekać, wywiązała się

strzelanina, w czasie której Wiatr został zabity".

Minister Radkiewicz dodał: „Możliwe, że Wiatr szedłby teraz z nami".

Trzy razy wszczynano śledztwo w sprawie śmierci Wiatra - dwa razy w 1945 r., raz w 1957 r. Nie zachowały się żadne dokumenty z tych śledztw.

Prokurator Urbaniak ustalił, że po śmierci Wiatra zatrzymano Stefana Mańkuta (nie żyje), wiceszefa UB w Myślenicach. Jednak w jego aktach personalnych nie podano powodu aresztowania.

Żadne represje nie dotknęły dwóch ustalonych z nazwiska funkcjonariuszy, którzy uczestniczyli w akcji na Wiatra: Jana T. i Stanisława P.

Jan T. nie żyje zaledwie od dziesięciu lat.

Powinien był zginąć już w czasie wojny wówczas Narcyz Wiatr uratował mu życie.

Jan T. dowodził czternastoosobową grupą wypadową Ludowej Straży Bezpieczeństwa - związanej z BCh w okolicach Pcimia. Oddział zaczął rabować. Nakładał na ludzi kontrybucje, z których nie rozliczał się przed przełożonymi.

Armia Krajowa wydała na niego wyrok śmierci. Jan T. odnalazł Wiatra i błagał o przebaczenie.

Władysław Gwizdała spotkał kiedyś świadka tego wydarzenia.

- Jan T. klękał przed Wiatrem - mówi - ujmował go pod kolana. Płakał. Mówił, że ma żonę i dzieci. Wiatr zawiesił wykonanie wyroku do końca wojny. Ale wyrzucił Jana T. z BCh.

Prokurator Urbaniak sądzi więc, że Wiatr mógł równie dobrze zginąć z powodów politycznych, co osobistych. Jan T. mógł skorzystać z rozkazu aresztowania Wiatra i na własną rękę postanowił go zgładzić. Czuł się poniżony i zagrożony.

Z pewnością wygodnie było mu się posłużyć Stanisławem P. Jan T. znał jego ojca, młodemu P. sam załatwił pracę w UB.

To była romantyczna miłość: przynosił jej bez, raz nawet załatwił nylonowe pończochy. Ona była maszynistką w Urzędzie Bezpieczeństwa, a on młodszym referentem, ścigał „reakcyjne bandy”.

Stanisław P. wciąż żyje. Jego żona Lidia również.

Prokurator oskarżył Stanisława P. o zabójstwo. Grozi mu kara od sześciu lat więzienia.

Stanisław P. ma 76 lat. Ta sprawa o tyle różni się od innych, że Stanisława P. trzeba było krótko przesłuchiwać, robić długie przerwy, żeby nie poczuł się zmęczony - mówi prokurator Urbaniak.

Peryferie Krakowa. Licha chałupa, na stole cerata i „Trybuna”. Starsza kobieta woła do

mieszkania, psika swój sweter dezodorantem.

Gdzie to szukać winnego tego wypadku po pięćdziesięciu latach? -wyrzeka Lidia P. -

Trzeba było robić proces, jak żył Jan T.

- Ale on zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku...

- No właśnie, wtedy trzeba ich było przesłuchiwać. Teraz, jak ktoś pracuje w milicji albo innym UOP-ie, to chyba już wie, że go za pięćdziesiąt lat będą ścigać. A oni wtedy nic nie wiedzieli.

Lidia P. opowiada: Ojciec męża był działaczem ludowym, to mąż wstąpił do Batalionów Chłopskich. Był łącznikiem, nigdy nie brał udziału w strzelaninach. Na rodzinnej gospodarce ziemia kamienista, siedmoro dzieci, bez wykształcenia, bez pracy. Łapali, co się dało. Mąż poszedł z partyzantki do milicji.

Wiatr się widocznie czegoś obawiał, bo

popchnął męża i mąż upadł. Wiatr uciekał i zaczęli za nim strzelać. Zanim mąż się pozbierał, to Wiatr już leżał zastrzelony.

Dziś mąż jest ślepy, głuchy. Oczy mu zaszły mgłą, w jednym oku ma minus dziewięć i pół, w drugim minus jedenaście. Nadciśnienie, głuchota starcza, zmiany od cukrzycy. Dwa dni temu poszedł na badania, już go nie wypuścili ze szpitala.

W czterdziestym szóstym przestrelili mu brzuch. Rok później doznał rany na głowie, ma do dziś. Jechali willysem, a bandyci obrzucili ich granatami. Potem cała zmiążdżona noga, do dziś utyka, od potyczki z bandą „Mściciela”.

W pięćdziesiątym pierwszym przez Bataliony Chłopskie zamknięto go w więzieniu jako niepewnego politycznie. Siedział kilka miesięcy. Wyrzucono go z UB.

Wcześniej o wypadku z Wiatrem nie opowiadał mi, dopiero kiedy go trzy lata temu

wezwali do prokuratury. On już taki jest fajtłapowaty. Wszystko im szczegółowo wyjawiał, to go teraz do sądu ciągną. Cały czas nosi nitroglicerynę w aerozolu. Jak tak dalej pójdzie, to męża zaszczują.

Sąsiedzi żadnych wstrętów nam nie czynią. Na imieniny, na chrzciny poproszą. Nie mogę narzekać. A z mężem to już jego pech, że on jeszcze żyje.

maj 1996

LICZĄ, LICZĄ, CIĄGLE NIE „TAK”

Wbrew temu, co dotąd sądzili historycy, referendum w czerwcu 1946 r. fałszowali głównie Rosjanie, a nie Polacy. Referendum w szkole na warszawskiej Pradze spowodowało awarię klozetów. W rurach kanalizacyjnych znaleziono karty, na których wyborcy napisali „nie”.

W Sulęcinnie zapalił się gmach komisji wyborczej. Piec nie wytrzymał nadmiaru kart do głosowania.

Trzech pepeerowców w obwodowej komisji nr 168 w Warszawie porwało wieczorem urnę i uciekło z nią na pierwsze piętro. Zatrzasnęli się w pokoju i mimo dobijania się innych członków komisji drzwi nie otworzyli.

Referendum, które odbyło się pięćdziesiąt lat temu, 30 czerwca 1946 r., było jednym z najważniejszych wydarzeń w czasie становienia nowej władzy. Komunistom

uświadomiło, na jak znikomym społecznym poparciu mogą liczyć. A społeczeństwu pokazało, że brak jego poparcia nie ma dla władzy żadnego znaczenia.

Kazimierz Styś, który odezwał się na mój apel w „Gazecie Wyborczej” (prosiłem o kontakt osoby uczestniczące w organizowaniu referendum 1946 r.), mieszkał wówczas w Radomiu. W wieczór po referendum do jego domu przyszedł milicjant oddelegowany do ochrony komisji w miejscowości Mleczków. Był zły. Pokrzykiwał: „Chłopów trzeba trzymać krótko za mordy. Nie chcą dobrobytu zapewnianego przez PPR”.

- Zapytałem, o co mu chodzi - wspomina Kazimierz Styś. - Powiedział, że był przy liczeniu głosów w Mleczkowie i tylko trzy osoby na dziewięciuset dziewięćdziesięciu sześciu głosujących napisały „tak” przy

pytaniu dotyczącym granic, a cała reszta na wszystkie pytania odpowiedziała „nie”. Zwróciłem mu uwagę, że pewnie jest

zmęczony i nie pamięta wyników. Radziłem, aby się przespał, a jutro zobaczy w prasie, że wszyscy głosowali „tak”. Już o siódmej rano przyszedł do mnie z gazetą: napisano, że w Mleczkowie na dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć osób dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy odpowiedziały trzy razy „tak”.

Edward Osóbka-Morawski ma dziś 87 lat. Na początku rozmowy zaznaczył:

Jestem już ostatnim żyjącym z PKWN.

W czasie referendum był premierem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej i przewodniczącym Centralnej Komisji Wykonawczej Polskiej Partii Socjalistycznej. W specjalnym wydaniu „Głosu Ludu”, który ukazał się w dniu referendum, nawoływał:

„Nie dawajmy posłuchu mącicielom i rozbijaczom jedności narodowej!

Przez trzykrotną odpowiedź «tak» potwierdzicie te wyniki w odbudowie kraju,

które osiągnął Rząd Jedności Narodowej dzięki ciężkiej, ofiarnej pracy milionów Polaków".

Referendum służyło tylko odwleczeniu wyborów-mówi dzisiaj bo nas mocarstwa zobowiązały do jak najszybszego ich przeprowadzenia. Ale był głód, konflikt w państwie. Za trudny okres, żeby robić wybory. Chcieliśmy je odwlec.

Tuż po referendum, 8 lipca 1946 r., premier Osóbka-Morawski powiedział zagranicznym dziennikarzom, że na pierwsze pytanie odpowiedziało „tak” 60 proc. głosujących. Dziś mówi, że na pierwsze pytanie padło mniej niż 50 proc. odpowiedzi „tak”.

I to nas bardzo zdziwiło. Przecież to było takie niewinne pytanie, bo i dzisiaj większość nie chce Senatu, i przed wojną partie demokratyczne go nie chciały.

- Dlaczego sfalszowano referendum? - pytam byłego premiera.

- To nie było poważne wydarzenie, ale propagandowe. Dla nas najważniejsze było pytanie o ziemie zachodnie. A Polacy nie zawsze postępują zgodnie z racją stanu. Byli tam wilnianie i lwowianie, którym się zdawało, że jak będą głosować za ziemiemi zachodnimi, to nigdy nie wrócą do siebie za Bug. Myśmy nie mogli dopuścić, żeby wynik był przeciwny ziemiom zachodnim. W związku z tym zdarzały się „cuda nad urną”, zwłaszcza dotyczące tego trzeciego pytania.

- Dlaczego sfałszowano dwa pierwsze?

Nie uzyskałem wyjaśnienia. Osóbka-Morawski wciąż wracał do granic zachodnich. Wreszcie powiedział, że to zła przysługa dla kraju, zajmować się dziś referendum.

Referendum było ściśle związane z wyborami do Sejmu.

Uchwały konferencji jałtańskiej z lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku zobowiązywały do przeprowadzenia w Polsce

w możliwie szybkim czasie wolnych, nieskrępowanych wyborów, w których uczestniczyć miały wszystkie partie demokratyczne i antynazistowskie mówi dr hab. Alina Fitowa, krakowski historyk zajmujący się ruchem ludowym.

Tymczasem polscy komuniści dostali ostrzeżenie: w jesiennych wyborach na Węgrzech zwyciężyła Partia Drobnych Rolników, odpowiednik polskiego PSL. Zaczęli więc odwlekać wybory. Tymczasowym rozwiązaniem okazało się referendum. PSL zgodziło się na nie, bo według umowy z przedstawicielami nowej władzy wybory do Sejmu miały nastąpić nie później niż pół roku po nim.

Przed wojną ludowcy byli zwolennikami zniesienia Senatu. To, że PSL postanowiło zanegować pierwsze pytanie referendum, wynikało z chęci odróżnienia się od innych partii, a przy tym oszacowania liczby swoich zwolenników.

Komuniści przekonywali:

Dymią się polskich fabryk kominy

Nad Odrą, Nysą, Kłodzkiem, Szczecinem,

W łopocie biało-czerwonych flag

Niech zagrzmi nasze potężne TAK!

Tadeusz Marczał, wrocławski historyk, przeanalizował archiwalia Ministerstwa Informacji i Propagandy, które przed referendum prowadziło akcję trzy razy „tak”. Z wyliczeń wynikało (T. Marczał, „Propaganda polityczna stronnictw przed referendum z 30 VI 1946 r.”, Wrocław 1986), że nakład broszur, ulotek i plakatów wyniósł 84 701 159 sztuk. Z tego 15 160 000 egzemplarzy zrzucono z samolotów. Ministerstwo

przyznało w swoim sprawozdaniu, że „nie tylko miasta, ale pola i lasy były zarzucone nieprawdopodobną liczbą ulotek, odezw itd.”.

Przed referendum w Polskę wyjechały 43 kina

objazdowe, które pokazały 1099 seansów. Każdy seans poprzedzała dziesięciminutowa prelekcja.

To, nad czym radził Sejm i uchwalał, Senat przewlekał albo obalał. Szlacheckie „veto” to jego znak. Czy znieść go trzeba? - Oczywiście TAK!

Liczbę członków grup agitacyjnych i brygad propagandowych oszacowano na 41 829 osób.

Chłop dzisiaj własne orze zagony Chłop sam z tej ziemi powiezie plony Po obszarniku nie został znak Ziemia dla chłopów! Mówimy TAK!

Prelegenci meldowali o nastrojach. Według warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego PPR chłopi najczęściej pytali agitatorów: Dlaczego w Polsce mają być kołchozy? Dlaczego Armia Czerwona okupuje Polskę? Dlaczego w ramach repatriacji ze Wschodu przyjeżdżają tylko Żydzi? Jak głosować w referendum, aby nie być za rządem sowieckim?

Tak jak teraz, pięćdziesiąt lat temu, 30 czerwca, była niedziela. Warszawski Komitet Wojewódzki PPR apelował w „Głosie Ludu”: „W dniu 30 czerwca członkowie PPR pierwsi oddają swój głos między 7 a 8 rano”.

W ciągu ostatnich dni przed referendum Polskie Radio agitujące trzy razy „tak” zaczęło kojarzyć z tym hasłem wszystko.

Krystyna Kersten w książce „Narodziny systemu władzy” wyliczała: „13 czerwca Mikołajczyk mówił o tym, co państwo zrobiło dla odbudowy rolnictwa, a po jego przemówieniu spiker wzywał: «głosujcie 3 x tak». 26 czerwca za informacją o zwrocie zbiorów Ossolineum przez USRR odczytywano hasło: «Kaźde nie Polaka to tak dla niemieckich dążeń odwetowych, to tak dla protektorów Niemiec». (...) I tak dzień po dniu: 27 czerwca, po audycji o odbudowie kościoła św. Anny w Warszawie, padło hasło: «Polska powstała z męki milionów. Nie zapomnijmy tej ofiary głosując 3 x tak». 28 czerwca: «Zwłoki

gen. Władysława Sikorskiego spoczną na wieki w ziemi ojczystej głosuj 3 x tak»".

Zbigniew Przyrowski, późniejszy redaktor naczelny „Młodego Technika”, był wówczas nauczycielem w Puszczy Augustowskiej, nad Czarną Hańczą. Uczył we wsiach Giby i Froncki. Wyznaczono go do komisji referendalnej, która mieściła się w szkole.

- Tydzień przed referendum przed szkołę zajechało wojsko - wspomina. - Zakładają stanowisko karabinu maszynowego. Oficer tłumaczy mi, że skierowano ich do ochrony lokalu i komisji. Parę dni później jeden z żołnierzy prosi mnie na bok. Powiada, że jest z UB i polecono mu również zajmować się mną. Więc mi doradza: „Najlepiej niech pan przy mnie nic nie mówi!”.

Wieczorem po głosowaniu wojsko odwiozło komisję i urnę do Suwałk, tłumacząc, że na miejscu nie można liczyć głosów, bo zagrażają bandy.

Kiedy przyjechaliśmy do Suwałk, od razu nas poprosili na kolację, namawiali, że głosy policzymy później wspomina Zbigniew Przyrowski. - Jako przewodniczący mówię, że najpierw liczymy, potem jemy. W urnie nie było ani jednego głosu trzy razy „tak”, chociaż przecież głosowali także ochraniający nas żołnierze. Około osiemdziesięciu pięciu procent głosowało trzy razy „nie” i kilkanaście procent zgodnie z apelem Mikołajczyka. Oddaliśmy protokół, ale kolacji już nie dostaliśmy. Zamknęli nas w pokoju pod strażą do czasu, aż ogłoszą wyniki w całym okręgu. Nad ranem wyszedł przewodniczący komisji i ogłosił, że w okręgu było siedemdziesiąt pięć procent głosów trzy razy „tak”, a dwadzieścia pięć procent miało głosować według wezwania Mikołajczyka. Wyniki w poszczególnych obwodach utajniono. Nikt w takiej sytuacji nie protestował.

Ludowcy nawoływali:

Tylko kaczka, głupi ptak, mówi ciągle tak, tak,

tak. Mądry człowiek wie, co chce, i na pierwsze mówi: NIE.

Przed referendum propaganda PSL była jednak wątła, choćby z tego powodu, że władze rozwiązały właśnie wiele powiatowych organizacji stronnictwa.

Do połowy maja 1946 r. zawieszono działalność PSL w 12 powiatach - m.in. włoszczowskim, augustowskim, suwalskim, pułuskim. Jako powód zawieszenia działalności PSL w powiecie grójeckim UB podało współpracę członków PSL z oddziałami leśnymi. Aresztowano jedenastu członków stronnictwa. W dochodzeniu okazało się, że zarzuty są bezpodstawne. Podobnie było w innych powiatach.

Mieczysław Moczar, szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi, zapowiedział Józefowi Balcerzakowi, prezesowi Wojewódzkiego Zarządu PSL, że każe aresztować każdego, kto będzie agitował na rzecz PSL.

Starosta człuchowski jeździł po wsiach w asyście milicji oraz szefa UB i nawoływał, by chłopi głosowali trzy razy „tak”. W przeciwnym razie - groził - mogą stracić krowy.

Władze wprowadzały kolejne przepisy, które utrudniały działanie opozycji. Przed referendum zmieniono zasady wydawania zgody na wiece i pochody. Uprawnienie do wydawania zezwoleń odebrano ministrowi administracji publicznej (był nim wtedy Władysław Kiernik z PSL) i przekazano ministrowi bezpieczeństwa publicznego.

Wprowadzono zaostrzone przepisy karne, zwane małym kodeksem karnym.

„Dla celów fałszowania i zniekształcania woli narodu wyszkolono przy generalnym komisarzy wyborczym oraz przy niektórych okręgowych komisjach wyborczych tzw. instruktorów czy inspektorów, których pozornie zadaniem było przygotowywanie techniczne głosowania ludowego oraz pomoc

dla komisji obwodowych - twierdziła PSL-owska interpelacja. - W rzeczywistości jednak był to aktyw bojowy PPR, prowadzący propagandę na rzecz tezy głosowania trzy razy tak. Stwierdzało się niesłychaną ruchliwość powyższych «instruktorów», którzy w lokalach komisji obwodowych nakłaniali groźbami do wrzucania nie wypełnionych kart do głosowania, a następnie odgrywali główną rolę przy fałszowaniu obliczania wyników głosowania".

W Busku przewodniczący komisji, burmistrz, nakłaniał Władysława Pawlinę, prezesa powiatowego PSL, i jego żonę, aby wrzucili niewypełnione kartki. Mówił, że kto ma czyste sumienie, nie idzie za parawan. Kiedy Pawlina poszedł za zasłonę, zobaczył nad stolikiem napis: „Tylko zdrajcy głosują NIE". Kiedy zapytał przewodniczącego komisji, co to znaczy, przewodniczący uderzył go pięścią w kark, chwycił za kołnierz i wyrzucił za drzwi. Pobił i wyrzucił również żonę Pawliny. Kilka godzin później Pawlinę aresztowało UB.

W obwodzie pińczowskim Henryk Sroka zwrócił uwagę, że milicjanci bezprawnie zagląдают za parawany i podpatrują, jak głosują ludzie. Został aresztowany.

Interpelacja mówiła też o fałszowaniu dokumentów, i to tak nieudolnie, że protokoły z różnych komisji bywały wypełnione tą samą ręką.

Według przepisów o referendum wrzucenie do urny czystej kartki oznaczało głosowanie trzy razy „tak”. Przed referendum pełnomocnicy obwodowi otrzymali pouczenie (dokument odnalazł Sebastian Piątkowski z Archiwum Państwowego w Radomiu): „Podczas urzędowania można nawoływać w formie żartobliwej i dowcipnej w zależności od elementu ludzi i wieku, do wrzucania czystych kartek, na przykład: «kto ma czyste sumienie, rzuca czystą kartkę», «Demokraci idą prostą drogą do urny», «Po co się chować za zasłonę», «Rzucaj kumie, babciu białą kartkę», «Chcesz prędzej spełnić swój

obowiązek, to prosto do urny»".

Dwa dni przed wyborami cenzura usunęła z „Gazety Ludowej” fragment poradnika przedwyborczego: „Pożądane jest udawanie się do lokalu komisji w towarzystwie sąsiadów po kilka [osób]. Dobrze też jest znać nazwiska przewodniczącego i członków swojej komisji obwodowej, aby można było pociągnąć ich do odpowiedzialności w razie nadużyć”.

Po referendum cenzura narzuciła „Gazecie Ludowej” komunikat Polskiej Agencji Prasowej w sprawie wyników referendum. Redakcja zatytułowała narzuconą wiadomość:

„Ogłoszone cyfry Głosowania Ludowego”.

Cenzor skreślił: „ogłoszone cyfry”, a w to miejsce wstawił wyraz: „wyniki”. We wstępie do wiadomości redakcja napisała: „Po trzech dniach obliczeń urzędowa PAP ogłasza tymczasowe dane dotyczące głosowania ludowego w niektórych miastach. Mają być one następujące:”. Cenzor skreślił: „Po trzech dniach obliczeń” i „Mają być one następujące:”.

Jan Kazimierz Prus-Szczepanowski, obecnie mieszkaniec Szczecina, głosował za ziemiami odzyskanymi, ale przeciw zniesieniu Senatu oraz przeciw nacjonalizacji przemysłu.

- Służyłem w pułku saperów, który stacjonował w Płocku - opowiada. - Na czas referendum przydzielili mnie do ochrony centrali telefonicznej na poczcie. Telefonistką była dwudziestoletnia dziewczyna, która zachęcała mnie, abyśmy razem podsłuchiwali rozmowy. Do obiadu było spokojnie, nic szczególnego się nie działo. Dopiero później, kiedy zaczęły spływać wyniki o głosowaniu, rozpętało się piekło. Nie pamiętam już, czy łączyliśmy z główną komisją w Warszawie czy z jakąś inną, wojewódzką. Ale kiedy do tej ważnej komisji dotarły wyniki z obwodów, a tam było pełno głosów na „nie”, to zaczęły w telefonie latać ch... i k... Z województwa wydzielali się do telefonu: „Co jest, k.J Wyp... te kartki!”.

W czerwcu 1961 r. w Zakładzie Historii Partii nagrywano relacje komunistów, którzy tworzyli

po wojnie nowy system.

„Mówiąc o referendum, trzeba pamiętać, że partia wyciągnęła z niego jeden generalny wniosek opowiadał Józef Czaplicki, w czasie referendum dyrektor VII Departamentu (walka z podziemiem) Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. - Nie będę już mówił o tym, że dużo zmieniło się politycznie, ale samo społeczeństwo po referendum zrozumiało, że nikt dobrowolnie nie odda władzy, że większość głosów nie oznacza oddania władzy”.

I dodawał: „Partia wyciągnęła wniosek, że PSL należy terroryzować i praktycznie po referendum PSL zostało przez nas sterroryzowane”.

Oficjalne dane z lat 40. mówiły o co najmniej 250 napadach podziemia związanych z referendum. Józef Czaplicki w 1961 r. powiedział partyjnym historykom: „Poza kilkoma wypadkami nie było żadnych napadów na lokale wyborcze. Reakcji wcale

nie zależało na tym, aby nie dopuścić do referendum. Zależało im na tym, żeby wyniki referendum zostały ogłoszone".

W dniu głosowania władze bały się przede wszystkim, że referendum zostanie na polecenie podziemia zbojkotowane. Józef Jurkowski, szef WUBP w Bydgoszczy, relacjonował: „Pamiętam swoje własne nastroje z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Kiedy rano zaczęło się referendum, myślałem w ten sposób: kler zdecyduje o frekwencji w głosowaniu, gdyż zaczynają się nabożeństwa w kościołach. Nie wyobrażałem sobie nawet, żeby ktoś w stosunku do tych haseł mógł podnieść głos protestu. Wysuwane w referendum hasła były przecież chwytliwe, popularne i bardzo pronarodowe (...). Tymczasem ku naszemu zdumieniu okazało się, że po skończeniu nabożeństwa frekwencja nie opadła, ale wzrosła. Ludzie wprost z kościoła razem z księżmi szli do punktów głosowania. Zdawać się mogło, że mamy już całkowicie

zapewnione zwycięstwo. Dopiero późniejsze sygnały musiały zmienić nasze zdanie.

W tym czasie pracowałem w Bydgoszczy i pamiętam taki fakt, który miał miejsce w Toruniu. Stał tam pociąg, który wiozł repatriantów z ZSRR: Polaków z Wołynia i trochę Żydów. Oczywiście i do nich udano się z urną, którą później otworzono trochę wcześniej niż inne. Wyniki były złe, zdecydowana większość głosów była dwa razy «nie»".

Ryszard Halaba, partyjny historyk nagrywający relację, wtrącił w tym miejscu: „Według danych reakcyjnych osiemdziesiąt procent biorących udział w referendum wypowiedziało się po ich stronie”.

Jurkowski odpowiedział: „Można zrobić jeszcze małą korektę i dać im jeszcze trzy procent. Przeciętnie na moim terenie za nami było siedemnaście procent”.

Adam Kornecki, szef WUBP w Poznaniu,

uzupełnił: „U nas osiemdziesiąt pięć procent było przeciwko nam”. Dodał jeszcze, że nawet w jego urzędzie bezpieczeństwa było piętnaście procent głosów na „nie”.

Najbardziej szczerze mówił chyba wówczas Teodor Duda, funkcjonariusz MBP. Opowiadał o Rzeszowszczyźnie: „Przy przeglądaniu urn, kiedy się brało karty z terenów Przeworska, Łańcuta, Jarosławia, wszędzie widziało się trzy razy «nie». Było «święto narodowe», jak między takimi głosami spotkało się trzy razy «tak» lub dwa razy «nie». Reszta terenów głosowała natomiast dwa razy «tak», jeden raz «nie». Jeżeli się nie mylę, nawet i w jednostkach KB W [Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego - P.L.] większość głosów była oddana na dwa razy «tak» i jeden raz «nie». W związku z tym trzeba było coś zrobić, aby wyniki głosowania jakoś wyglądały. Ale kiedy przystąpiło się do pracy, okazało się, że trzeba to zrobić przynajmniej ze dwa tygodnie, i to wielkim aparatem. Dlatego też później głosy szły już paczkami i wszystko obliczało się

tylko na papierze. W związku z tym nie można nawet podać konkretnej liczby głosów, które były za nami lub przeciwko nam. Stąd też WiN [Wolność i Niezawisłość - P.L.], PSL podawali dane zgodne ze swymi ocenami, a myśmy tylko zakładali, jak w danej sytuacji powinien zachować się obywatel polski, i na tej podstawie dawaliśmy swoją ocenę wyników referendum".

Byli ubecy zauważyli jednak, że sfałszowane referendum uświadomiło wahającym się, kto ma władzę w kraju.

„Jak wpłynęły wyniki referendum na nastroje? - zastanawiał się Jurkowski. - Po referendum olbrzymia liczba wahających się ludzi zaczęła na nowo garnąć się do PPR".

„Myślę, że w tych sprawach zadecydowała nasza słaba więź ze społeczeństwem - oceniał Jurkowski wyniki referendum. - Wówczas toczyła się walka nie o merytoryczną treść tych haseł, ale o to: my czy oni. Nie wiem, czy oni łudzili się, że w ten

sposób odbiorą nam władzę. Ale na pewno chcieli oni w ten sposób dać wyraz swemu stanowisku, że my jesteśmy tutaj obcy, narzuceni narodowi, a oni są gospodarzami kraju".

Edward Kaleta, były współpracownik Wincentego Witosa, w czasie referendum był prezesem PSL na Śląsk.

Przyszedł do mnie Jan Kłapa z PPS, był wtedy bodajże burmistrzem Katowic - wspomina - i opowiadał, jakie były tam prawdziwe wyniki. Zapisałem sobie na karteczce. Potem w czasie rewizji znaleźli u mnie tę notatkę i dostałem cztery lata za posiadanie dokumentów, które mogą szkodzić państwu.

Jedynym miastem, w którym według oficjalnych danych przegrali komuniści, był Kraków. Według podanych 4 lipca statystyk 84 proc. odpowiedzi na pierwsze pytanie brzmiało „nie".

Kraków był jednym z najsilniejszych w kraju okręgów PSL.

Był też jednym z trzech miast (obok Poznania i Łodzi), gdzie do okręgowych komisji wyborczych dopuszczono przedstawiciela PSL. W Krakowie był nim Tadeusz Spiss. Edward Kaleta mówi dziś:

- W Krakowie nie sfałszowano referendum, bo Spiss ani na chwilę nie odszedł z komisji, nie pozwolił na żadne przeróbki.

Zasługę podania prawdziwych danych przypisuje się m.in. Adamowi Krzyżanowskiemu, wybitnemu politologowi, członkowi Polskiej Akademii Umiejętności, cieszącemu się w Krakowie dużym autorytetem. Zasiadał on w okręgowej komisji wyborczej. Tuż przed referendum Krzyżanowski jednak przekonywał na łamach „Głosu Ludu”: „Każdy kto chce, by ojczyzna nasza była niepodległa, suwerenna i wielka, kto chce dobrobytu i sprawiedliwości - powinien głosować 3 razy «tak»”.

Być może prawdziwe dane o referendum w Krakowie dopuszczono do publikacji przez przeoczenie. Ogłoszono je 4 lipca; były pierwszymi, jakie opublikowano w kraju. Później komisarz wyborczy zakazał publikowania częściowych statystyk.

Były premier Edward Osóbka-Morawski dziś mówi:

- Kraków to sprawa Bermiana, który sądził, że jak sami przyznamy się gdzieś do porażki, to nam więcej uwierzą w całym kraju.

Chociaż utarło się, że Krakowskie było jedynym terenem, gdzie wyborów nie sfałszowano, krakowski PSL - jako jeden z trzech w Polsce, obok łódzkiego i poznańskiego - wystąpił z protestem. Z interpelacji złożonej do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie wynika, że w województwie stosowano takie same metody fałszowania, jak w całym kraju.

Jeszcze kilka lat temu historycy sądzili, że komunistyczne władze zniszczyły wszystkie dokumenty o rzeczywistych wynikach referendum. Krystyna Kersten, pisząc w połowie lat 80. książkę „Narodziny systemu władzy”, stwierdziła: „Wierzytelnych wyników referendum nie znamy i nie będziemy już nigdy znać”.

Jednak na początku lat 90. profesor Andrzej Paczkowski dotarł w Archiwum Akt Nowych do danych PPR dotyczących wyników referendum. Znajdowały się wśród zapisków, jakie pozostawił po sobie Bolesław Bierut. Spod tej samej ręki wyszły dwa inne dokumenty znajdujące się w tej teczce: zestawienie ogólne wyników i brudnopis wyników oficjalnych, które później opublikowała prasa.

Z analizy teczki wynikało: średnio dla całej Polski odpowiedzi „tak” na pierwsze pytanie zawyżono o 41 proc., na drugie o 33, na trzecie o 24.

W przypadku pierwszego pytania rozbieżność między danymi PPR a podanymi oficjalnie wynosiła od 24 proc. w województwie szczecińskim do 50 proc. w gdańskim i wrocławskim.

Prawdopodobnie jednak dane z teczki Bolesława Bieruta też nie są w pełni prawdziwe. Fałszowano przecież - bez porozumienia z centralą - w województwach i powiatach.

Na podstawie analizy dokumentów profesor Paczkowski wyliczył: w referendum „za” władzą komunistyczną głosowało nie więcej niż 26,9 proc., „przeciw” nie mniej niż 73,1 proc. społeczeństwa.

W sierpniu 1946 r. Zbigniew B., obecnie mieszkaniec Kanady, siedział w knajpie w Bytowie. Negocjował z funkcjonariuszem UB odzyskanie krów, które skonfiskowała milicja.

- Dobrze uraczony funkcjonariusz powiedział - wspomina Zbigniew B. - że nigdy w życiu nie

zarobił tyle pieniędzy, i chyba już nigdy nie zarobi, co w UB w czasie referendum.

Wypisywał karty do głosowania umieszczane w fałszywych urnach, na które następnie podmieniano urny z lokali wyborczych.

Niezwykłe opracowanie publikuje 18 numer „Karty”. Autorem pracy jest Nikita Pietrow, współpracownik Memoriału, towarzystwa upamiętnienia komunistycznych zbrodni. Był członkiem Komisji Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej do spraw Przejęcia Archiwów KPZR i KGB przez archiwa państwowe. Latem 1992 r. dotarł do dokumentów związanych z referendum i wyborami w Polsce. Niestety, nie mógł kopiować akt, jedynie odpisał fragmenty.

Do tej pory historycy sądzili, że decyzję o fałszowaniu referendum podjęto w dniu głosowania, kiedy władze zorientowały się, że zdecydowanie przegrywają. Nikita Pietrow twierdzi jednak, że była to operacja przygotowana wcześniej.

Pietrow opisuje w „Karcie” raport MGB

(Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego) ZSRR nr 1443/A z 30 sierpnia 1946 r., przekazany Stalinowi. Według tego raportu 20 czerwca 1946 r. do Warszawy wysłano pułkownika Arona Pałkina, kierownika samodzielnego wydziału D w MGB, który zajmował się ekspertyzą dokumentów, a także ich fałszowaniem. Pałkin - jak pisze Nikita Pietrow w „Karcie” - „wraz z doradcą MGB w Polsce Siemionem Dawydowem spotkał się z Bierutem w celu omówienia planu operacji fałszowania protokołów referendum. Ostateczny wariant tej operacji przedyskutowano i przyjęto 22 czerwca 1946 r. na spotkaniu Pałkina i Dawydowa z Bierutem i Gomułką”.

Według Piętrowa grupa funkcjonariuszy radzieckiego bezpieczeństwa, która przyjechała do Polski, napisała na nowo 5994 protokoły (czyli połowę wszystkich) i podrobiła ok. 40 tys. podpisów członków komisji obwodowych. Prawdziwe protokoły trafiały do Dawydowa, który przekazywał je Pałkinowi, z

polskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nikita Pietrow pisze: „Jak stwierdzono w raporcie dla Stalina, w wyniku pracy specjalistów z Moskwy odsetek Polaków, którzy udzielili twierdzącej odpowiedzi na pierwsze pytanie, wzrósł do 50-80 procent (zależnie od województwa), podczas gdy w oryginalnych protokołach wynosił on w rzeczywistości 1-15 procent”.

Grupa fałszerzy miała pracować aż do 27 sierpnia.

Dawydowa i Pałkina za udział w specjalnym zadaniu odznaczono Orderem Czerwonego Sztandaru. Pozostali członkowie grupy otrzymali Ordery Wojny Ojczyźnianej i Ordery Czerwonej Gwiazdy.

Nikita Pietrow pisze też, że Pałkin dołączył do raportu tablicę zawierającą prawdziwe wyniki referendum we wszystkich województwach i tablica ta powinna być teraz w rosyjskim Archiwum Prezydenckim.

Dopiero dwa tygodnie po referendum, 12 lipca, władze opublikowały oficjalne wyniki.

Tego dnia nie była to jednak główna informacja prasowa. Na czołówkach gazet znalazło się doniesienie, że w Kielcach skazano na śmierć dziewięciu sprawców pogromu na Żydach.

Do pogromu doszło w Kielcach cztery dni po referendum. Od razu stał się głównym tematem prasowym, odsuwając referendum w cień.

Śledztwo w sprawie pogromu prowadzili ci sami funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, których wcześniej skierowano do Kielc, aby zajmowali się organizacją referendum.

Pytania referendum 1946

1. Czy jesteś za zniesieniem Senatu?
2. Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego

wprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki narodowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?

3. Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Nie bez znaczenia dla tych pytań był fakt, że Senat już nie istniał, reforma rolna trwała, a na ziemiach zachodnich mieszkali polscy osadnicy.

Polska Partia Robotnicza i Polska Partia Socjalistyczna zażądały, aby Polacy głosowali trzy razy „tak”.

Polskie Stronnictwo Ludowe apelowało o głosowanie „nie” na pierwsze pytanie i „tak” na pozostałe.

Podziemie nawoływało do głosowania dwa razy „nie”, trzy razy „nie” albo bojkotowania referendum. Referendum 1946 - odpowiedzi

„tak”: wyniki oficjalne wyniki z teczki Bieruta

pyt. 1. 68,2 proc. 26,9 proc.

pyt. 2. 77,3 proc. 42,0 proc.

pyt. 3. 91,4 proc. 66,9 proc.

czerwiec 1996

LEĆ PAN NA SKARGĘ DO CHURCHILLA

Gdyby w 1945 roku Mikołajczyk nie wrócił do kraju, wszyscy na Zachodzie by mówili, że Polacy zawsze byli głupi, nie potrafią się z nikim porozumieć.

„Moje spłoszone zażenowanie zostało stuszowane niespodzianym przyjemnym wrażeniem nadzwyczajnie ujmującej postaci i twarzy Mikołajczyka. Twarz skupiona, samotna, mądra, o niezwykłym uśmiechu Mony Lisy. Nigdy się czegoś takiego nie spodziewałam. Mówił blado, tak jak jedynie mógł mówić. Zdarzył mu się ciekawy lapsus w przemówieniu. Mówiąc o okupacji niemieckiej, zamiast terroru niemieckiego lapnął «terror sowiecki» i poprawił się”.

Ten obraz pochodzi z dziennika Marii Dąbrowskiej, która we wrześniu 1945 roku pojechała do Łowicza na spotkanie z

młodzieżą i trafiła przypadkiem na chłopski wiec z udziałem Stanisława Mikołajczyka. Rozpoznano ją tam i przyjęto owacją, stąd owo „zażenowanie”.

Całkiem inaczej zapamiętał Mikołajczyka wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Adam Humer, który przesłuchiwał go w 1947 r.: „Zlany potem był! Tak się pocił, że ja nigdy nie widziałem człowieka, żeby w normalnej temperaturze tak się pot ciurkiem... To była dopiero jesień, nie było żadnych mrozów, nie paliło się w kaloryferze. O, tak mu ciekło!”.

Humer, który odbywa dziś spóźnioną karę więzienia za okrucieństwa, jakich dopuszczał się wobec przesłuchiwanym, był wówczas wicedyrektorem Departamentu Śledczego MBP. O Mikołajczyku opowiadał w latach 80. Henrykowi Piecuchowi. Nie bez satysfakcji. Powiedział wówczas do magnetofonu: „Chodziło o to, żeby on poczuł się... nastraszyć go mocno (...). Ja go

nastraszyłem".

W dwa tygodnie po tym przesłuchaniu Stanisław Mikołajczyk uciekł z Polski.

Po ucieczce z kraju Mikołajczyk napisał w swoich wspomnieniach: „Tam trzeba kłamać, aby żyć; nienawidzić, zamiast kochać”.

Wspomnienia, wydane na Zachodzie, zatytułował „The Rape of Poland”. W polskich podziemnych przekładach tytuł tłumaczono: „Zniewolenie Polski”, „Gwałt na Polsce”, „Polska zgwałcona”.

O ucieczce pisał: „Wziąłem kapelusz i płaszcz, a następnie nałożyłem na to obszerną pelisę. Wsadziłem do kieszeni maszynkę do golenia, kilka żyletek, mały ręcznik, krem do golenia, szczotkę, grzebień, pieniądze i rewolwer. Zamierzałem, w wypadku zatrzymania, strzelać tak długo, jak tylko byłoby to możliwe. Kapelusz i płaszcz stanowiły rodzaj przebrania: komunistyczna prasa publikowała moje karykatury jako człowieka łysego,

korpułentnego i nie noszącego płaszcza".

Opis ucieczki przypomina powieść sensacyjną. Mikołajczyk, gubiąc służbowym samochodem śledzących go ubeków, dotarł na stację kolejową. Ukrył się w przedziale trzeciej klasy wśród chłopów i drobnych urzędników, zakrył twarz gazetą. Potem dotarł do przypadkowej leśniczówki. Jak zaufać nieznanemu? Zapytał leśniczego, czy ten był zesłany do Rosji w 1939 r. Kiedy uzyskał potwierdzenie, nabrał pewności, że to swój człowiek. Przedstawił się i powiedział, że musi uciekać z Polski.

Leśniczy wyjechał natychmiast na rowerze, by nawiązać kontakt z działającą w okolicy grupą przemytników. Ci dowieźli Mikołajczyka (w przebraniu pomocnika szofera) do człowieka znanego w okolicy jako komunista, również przemytnika. Ten kazał Mikołajczykowi czekać w ciemnym pokoju. A z dołu dobiegały odgłosy zabawy i rosyjskie piosenki. Kiedy przyszedł czas, we dwóch wymknęli się na

pola i dotarli do dżipa, prowadzonego przez sierżanta Armii Czerwonej. Przekroczyli niemiecką granicę.

Dalej Mikołajczyk (w stroju chłopca) podróżował furmanką do stacji kolejowej. A z niej pociągami następnych 90 kilometrów. „Przez resztę nocy szliśmy, przedzierając się przez zasieki z drutu kolczastego i gdy na wschodzie pojawiły się pierwsze przebłyski światła, przybyliśmy do małego niemieckiego miasteczka”. To już była brytyjska strefa okupacyjna.

Mikołajczyk zapukał do mieszkania brytyjskiego oficera. „- Jestem Mikołajczyk - powiedziałem. - Ja... - Uśmiechnął się i podał mi rękę. - Dowiedzieliśmy się przez radio o pana ucieczce - powiedział, śmiejąc się. - Sądziłem, że Rosjanie pana zabili i wymyślili tę historię z ucieczką po to, by wyjaśnić Amerykanom fakt pańskiego zniknięcia”.

Tak Mikołajczyk miał trafić do wolnego świata.

Ten opis ucieczki wkrótce spowodował jednak, że Mikołajczyka na emigracji zaczęto przezywać „Prezes Szczoteczka”.

Amerykańska prasa ujawniła, że historia została zmyślona. Mikołajczyk nie przedzierał się na własną rękę: wywieziono go statkiem przy pomocy amerykańskiej ambasady.

Później jeszcze koledzy z PSL ocenili wspomnienia Mikołajczyka. W wydaniu z 1981 r. (wyd. Wici, Chicago) usunięto rozdział

o rzekomej ucieczce.

Stanisław Mikołajczyk, syn Stanisława Kostki i Zofii, urodził się w Niemczech, w Holsterhausen, w 1901 r. Zmarł w 1966 r. pod Waszyngtonem. Premierem polskiego rządu został w Londynie.

Był drugim, po Wincentym Witosie, chłopskim premierem Polski. Wykształcenie: cztery klasy szkoły podstawowej i półroczny kurs na uniwersytecie ludowym w Dalkach.

Jego ojciec był jednym z ośmiorga rodzeństwa, które razem z rodzicami gospodarowało na 15 hektarach w okolicach Krotoszyna. Matka była wnuczką chłopa, który zginął jako powstaniec wielkopolski w czasie Wiosny Ludów. Wuj matki walczył w wojnie francusko-pruskiej roku 1870. Brat matki Andrzej uchodził za niepoprawnego socjalistę, bo do kościoła chodził w czerwonym krawacie.

Zanim jeszcze Stanisław przyszedł na świat, jego rodzice wyemigrowali za chlebem do Niemiec. Ojciec w wypadku w kopalni stracił dwa palce. Przyznano mu rentę. Kiedy Stanisław miał siedem lat, rodzice powrócili w Poznańskie. Kupili półtora hektara ziemi w Borzęcicach, potem przenieśli się do Strzyżewa, gdzie gospodarowali już na sześciu hektarach.

„Stanisław Mikołajczyk był żywym i wesołym chłopcem”, pisze mieszkający na Zachodzie historyk Roman Buczek w dwutomowej (1,5 tys. stron) biografii „Stanisław Mikołajczyk”,

wydanej w Toronto w 1996 r. (powstała głównie na podstawie badań w zachodnich archiwach, m.in. w Instytucie Hoovera, który posiada archiwum Mikołajczyka). „Brał udział nie tylko w teatrze szkolnym i jasełkach, ale także uczęszczał na zabawy wiejskie i potańcówki młodzieżowe. Lubił tańczyć

i śpiewać. Ponieważ wyróżniał się inteligencją, rozległym czytaniem i obyciem, to chociaż był biednym, to jednak dziewczęta zwracały na niego uwagę. Był bardzo bezpośredni i - jak to mówią - do każdego zagadał”.

- Jego matka opowiadała, że jak tylko przyjechali do Polski, to każdą drukowaną szmatkę papieru czytał - wspomina żona Tadeusza Nowaka, jednego z najbliższych powojennych współpracowników Mikołajczyka.

Rozmawiamy w Poznaniu, w domu, który kiedyś był własnością przywódcy PSL. Uciekając, pozostawił go Nowakom, którzy opiekowali się jego matką do jej śmierci. W 1948 r. amerykański Federalny Sąd

Podatkowy pozwolił Mikołajczykowi odliczyć od podatku 46 tys. dol. jako stratę poniesioną w wyniku skonfiskowania przez polskich komunistów domu w Poznaniu i gospodarstwa w Międzylesiu. Pożyczał książki z bibliotek, z kościoła, uczył się o historii Polski, o królach. Wieczorami zbierał kolegów i urządzał im pogawędki. Ojciec wnet zmarł i odtąd Stanisław razem z matką prowadzili gospodarstwo w Strzyże-wie. Zrobił sobie taki mechanizm przy pługu, że przyczepiał książkę i czytał w czasie orki.

Jesienią dorabiał jako robotnik w cukrowni. Przeciwnicy polityczni wytykali mu do końca życia braki w szkolnym wykształceniu.

Mikołajczyk ochotniczo walczył w powstaniu wielkopolskim, potem w polsko-bolszewickiej wojnie 1920 r.

W 1922 r. wstąpił do PSL Piast. „Należąc wówczas w Wielkopolsce do PSL Piast oznaczało być nieomal «lewicowym

radykałem» w regionie zdominowanym przez obóz narodowy" - napisał profesor Andrzej Paczkowski w biografii „Stanisław Mikołajczyk, czyli klęska realisty". Paczkowski, w odróżnieniu od Buczka, zbierał materiały głównie w polskich archiwach, m.in. w dawnych zasobach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

W tym samym roku, w którym zabito prezydenta Narutowicza, Mikołajczyk po raz pierwszy zetknął się z Wincentym Witosem, który dla młodego ludowca był legendarną postacią. Mikołajczyk był kierowcą samochodu, którym Witos zwiedzał Wielkopolskę.

- Pierwszy raz zobaczyłam Mikołajczyka na wiecu w Śremie - opowiada żona Tadeusza Nowaka. Miała wówczas 17 lat. - Mówił dwie godziny bez kartki, cytował „Chłopów". Czytał bardzo szybko - kiedy z mężem jeździli pociągiem, kończył gazetę, jak mąż był w połowie.

Rok 1930. W Brześciu uwięziono przywódców opozycji, wśród nich Witos. A Stanisław Mikołajczyk trafia na listę w przedterminowych wyborach do Sejmu i kupuje większe gospodarstwo.

Z kandydowaniem na posła było tak: w 1930 r. wielkopolscy ludowcy sprzeciwili się zawiązywaniu koalicji z socjalistami. Do Poznania przybył Maciej Rataj, wielki ludowy autorytet (Witos i Władysław Kiernik byli aresztowani), aby przekonać tutejszych działaczy do socjalistów. W burzliwej atmosferze zrezygnował z kandydowania do Sejmu jeden z przywódców poznańskiego Piasta - za niego trafił na listę wyborczą Mikołajczyk, choć sam również był przeciwnikiem sojuszu z socjalistami. W jednej z pierwszych mów sejmowych Mikołajczyk powiedział: „O silnym stanowisku mocarstwowym każdego państwa decydują przede wszystkim trzy czynniki: silne stanowisko polityczne, wysoka kultura i wielkie uświadomienie obywatelskie danego narodu

oraz silne stanowisko ekonomiczne. Polska jako kraj rolniczy zawsze będzie silnym ekonomicznie wtedy, jeżeli rolnictwo będzie odpowiednio sytuowane".

Z większym gospodarstwem było tak: za 14 tys. 305 zł kupił pod Damasławkiem dwudziestohektarową poniemiecką posiadłość, w której sam tylko inwentarz i zapasy warte były 4956 zł. Roman Buczek oszacował, że cenę gospodarstwa znacznie zaniżono. Należało do skarbu państwa. W podaniu do komisariatu ds. likwidacji własności poniemieckiej Mikołajczyk zaznaczył, że brał udział ochotniczo w powstaniu wielkopolskim i wojnie polsko-bolszewickiej. Z gospodarstwa pod Damasławkiem żył do wybuchu II wojny światowej. Najpierw prowadził je sam, a kiedy zajął się poważnie polityką, oddał je w dzierżawę.

Buczek zauważył, iż „nabytkiem tym Mikołajczyk udowodnił, że ma wyjątkowe

szczęście do pieniędzy, które będzie mu towarzyszyło przez całe życie".

W 1937 r. (był już wówczas wiceprezesem Stronnictwa Ludowego) przewodził dziesięciodniowemu strajkowi chłopskiemu - chłopi zaniechali dowozu żywności do miast. W antyrządowym strajku według danych SL-owskich uczestniczyło 10 mln chłopów. Ludowcy żądali zwolnienia więźniów politycznych, zmiany konstytucji kwietniowej, wyborów parlamentarnych.

„Władze lokalne (...) strajk ten tłumili przy użyciu policji w sposób wręcz sadystyczny - pisze Buczek. - Pacyfikacja polegała na niszczeniu mienia i strzelaniu do ludności. Zaś niszczenie mienia polegało na jego paleniu, polewaniu naftą, wrzucaniu do gnojówki; domy niszczone przez ich rozwalanie, wybijanie okien, rozbijanie drzwi, prucie pościeli, rozbijanie pieców, niszczenie sprzętów kuchennych, mebli, łóżek (...), zrywano dachy, raniono lub zabijano zwierzęta domowe. (...)

Policja dopuszczała się kradzieży pieniędzy i przedmiotów wartościowych, jak zegarki, pierścionki itp. (...) Wskutek strzelania do tłumów padło 44 zabitych (...), kilkaset ludzi odniosło rany od kul i potłuczenia, wielu doznało trwałego kalectwa, a wiele kobiet przedwcześnie poroniło wskutek pobicia przez policję".

Mikołajczyk odczuwał zoologiczną nienawiść do sanacji - opowiada historyk Janusz Gmitruk, dyrektor Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego - wywołaną między innymi tym, że „za sanacji” podczas strajku chłopskiego aresztowano go „ciupasem”. To była średniowieczna metoda, upokarzająca dla polityka. Wiązano wtedy aresztowanemu ręce, sznur przekładano między nogami. Kiedy Mikołajczyka złapano w Rzeszowskiem w trzydziestym siódmym, to go „ciupasem”, piechotą, zawleczono na gospodarstwo w Poznańskim. A policjant siedział na wozie i się naśmiewał.

Prowadzili go z Rzeszowskiego aż w Poznańskie?! - dziwię się. - Skąd o tym wiadomo?

Znam to tylko z relacji Stanisława Gilzy, pracownika Zakładu Historii Ruchu Ludowego - mówi Gmitruk. - Ale z pewnością przed wojną stosowano „ciupas”; traktowano nim i kryminalistów, i działaczy politycznych, lewicowych i prawicowych.

Wspomnienie o aresztowaniu Mikołajczyka, również z drugiej ręki, znajduje się także w książce Jana Nowaka-Jeziorańskiego „Kurier z Warszawy”: „Już po wojnie opowiadał mi płk Janusz Bokszczanin, jak to kiedyś w czasie manewrów w Wielkopolsce zatrzymał furmankę, na której dwaj policjanci siedzieli okrakiem na leżącym na wozie mężczyźnie. Jeden z policjantów usadowił się na głowie leżącego, a drugi na nogach. - Kogo wy tak wieziecie? - zapytał pułkownik, przekonany, że obezwładniono (...) jakiegoś niebezpiecznego przestępcę. - A, to taki

chłopski warchoł - odpowiedział policjant. - Mikołajczyk się nazywa. Chciał zorganizować wiec bez pozwolenia starosty i stawiał nam opór".

Wincenty Witos i inni skazani w procesie brzeskim (styczeń 1932) działacze SL wyemigrowali do Czech. Mikołajczyk wiele razy wyjeżdżał do Witosa, raportował mu o sytuacji w Polsce i ruchu ludowym. Witos pisał w pamiętniku „Moja tułaczka 1933-1936”:

„W dniu 16 [sierpnia 1936 - P.L.] przybył p. Mikołajczyk. Jest zdania, że represje nie tylko chłopów nie złamały, ale ich nawet zahartowały. Opowiadał mu niejaki Zieliński we Lwowie, że w powiecie sądeckim chłopci spalili i zdemolowali kilka posterunków policji”.

„W dniu 26 [listopada - P.L.] przybył Mikołajczyk. Twierdzi, że ich obecnie specjalnie ścigają i prześladują tak sądy, jak i władze polityczne. Wytoczono ludowcom poznańskim szereg procesów (...). Starostwa nakładają grube kary pieniężne”.

Witos był nieprzejednanym przeciwnikiem sanacji. W pamiętniku opisywał podobnie musiało myśleć wielu ludowców, zapewne i Mikołajczyk - ówczesne polskie rządy:

„System rządzący w Polsce wcale mocny nie jest, trzymając się terrorem i siłą fizyczną, wobec biernego społeczeństwa stosowaną. Toczy go robak wewnętrznej niezgody, podrywając elementy żerujące na nim”. Kiedy indziej notował: „Beck jest zdrajcą przez Niemcy hitlerowskie opłacanym”, „Mościcki jest zwyczajnym indywiduum nadużywającym swojego urzędu dla osobistych celów”, „rządząca klika obdziera społeczeństwo i naród ze wszystkiego, prowadząc go w otchłań nędzy i upodlenia, gdy sama tonie w rozkoszach i rozpustach”.

Wielka kariera polityczna Mikołajczyka zaczęła się po wybuchu II wojny.

Początek tej kariery jest niezbyt znany - nie do końca wiadomo, jak skontaktował się z

rzędem Sikorskiego. Wiadomo, że w 1939 r. powołano go do wojska. Trafił do oddziału Wojskowego Instytutu Geograficznego, z którym najpierw wycofywał się do Lwowa, a potem ewakuował na Węgry, gdzie został internowany w obozie w Hangony. Według wspomnień Adama Majewskiego, lubelskiego lekarza („Wojna, ludzie i medycyna”), pewnego dnia obóz odwiedziła węgierska hrabina. Zostawiła m.in. odbiornik radiowy. „Bezpośrednio aparatem opiekował się kanonier Mikołajczyk (...), niemłody, krępy mężczyzna, który wyglądał na chłopca”; do jego zadań należało „łapanie polskich komunikatów z zagranicy i podawanie ich żołnierzom do wiadomości w formie gazetki czytanej z ganczka, który był przy wejściu do świetlicy. Gazetka była czytana po kolacji, codziennie o tej samej porze, wobec dość licznych audytorium”.

Mikołajczyk starał się z obozu nawiązać kontakt z Sikorskim. Wysłał do niego dwa listy, ale żaden nie dotarł do adresata. Dotarła

dopiero depesza wysłana podczas przepustki z Budapesztu. Mikołajczyk z żalem pisał, że na listach wyjazdów do Francji „pierwszeństwo mają ci, co byli u władzy, niejedni może pod sąd za niewypełnione obowiązki pójść powinni - a nam zawsze, jak wiatr wiał w oczy w Polsce, tak wieje i tutaj". Historycy nie znają szczegółów przyjazdu Mikołajczyka do Paryża

- wiadomo tylko, że prawdopodobnie na polecenie Sikorskiego umożliwiły mu to polskie służby dyplomatyczne.

We Francji Władysław Raczkiewicz, prezydent RP na uchodźstwie, powołał Radę Narodową, namiastkę parlamentu. Weszli do niej przedstawiciele najważniejszych przedwojennych ugrupowań opozycyjnych: Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego, Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Pracy. Wkrótce kanonier odczytujący gazetkę na obozowym ganku stał się jednym z wiceprzewodniczących Rady, a

potem wicepremierem emigracyjnego rządu.

- Awans Mikołajczyka był naturalny, stał się wówczas jednym z najpoważniejszych reprezentantów SL, chociaż przed wojną nie był powszechnie znanym politykiem - mówi profesor Andrzej Paczkowski.

- W Stronnictwie było wielu niepiśmiennych członków, gazet nie czytali, potrafiliby wymienić Witosą, Macieja Rataja i szefa lokalnego SL. W czasie wojny jednak najważniejsi przywódcy ruchu ludowego stracili możliwość działania. Witos w Polsce był aresztowany, chorował, nie mógł się zdecydować na wyjazd z kraju. Rataja Niemcy rozstrzelali. Zaczynali więc kariery ludzie mniej znani.

Radzie Narodowej przewodniczył Ignacy Paderewski, był już jednak poważnie chory i w jego zastępstwie Radą praktycznie kierował Mikołajczyk.

Po ewakuacji do Anglii został wicepremierem

w rządzie Sikorskiego premierowi brakowało zaplecza politycznego, a Mikołajczyka wspierała znacząca partia. Obu łączyła niechęć do sanacji.

Franciszek Moskał, przygotowywany jesienią 1940 w Londynie jako kurier do zrzutu w Polsce, wspomina:

- Pierwszy raz spotkałem Mikołajczyka na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Byłem przejęty. Robił wrażenie statecznego prezesa Stronnictwa Ludowego. Ostrożny, rozumny, jak chłop zamknięty. We wrześniu miałem odlecieć do Polski. Prosił, żebym odwiedził jego żonę w Sandomierzu. Wyszedł zza biurka i mówi: „Słuchajcie, kolego (tak

w Stronnictwie zwracano się do młodszych), ten różaniec dostałem od matki, idąc na wojnę w trzydziestym dziewiątym. Weźcie go, może być wam pomocny. Dziś jestem wzruszony, kiedy o tym opowiadam, wówczas nie zrobiło to na mnie wrażenia. Miałem trochę ponad

dwadzieścia lat, nie czułem się zagrożony. Po prostu wziąłem ten różaniec".

Jeszcze przed wojną Mikołajczyk ożenił się z Cecylią Ignasiak, córką zamożnych gospodarzy z Dobrzycy; wesele trwało trzy dni. Po dwóch latach, w 1926 r., przyszło na świat jedyne dziecko Mikołajczyka, syn Marian.

W czasie wojny żonę Mikołajczyka i jego syna Niemcy uwięzili na Zamku Lubelskim.

Za łapówkę udało się wykupić tylko szesnastoletniego syna. Zona trafiła do obozu koncentracyjnego. Przerzucenie dziecka do Londynu - przez Sztambuł, Jerozolimę powierzono Marii Hulewiczowej. Jej mąż, Jan Hulewicz, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, był wychowankiem profesora Stanisława Kota, znanego działacza SL, bliskiego współpracownika Mikołajczyka w czasie wojny. Hulewiczowa, ukrywając żydowskie pochodzenie, studiowała na niemieckim uniwersytecie, a jednocześnie

była kurierką podziemia. Pod pseudonimem Maria Brzeska wydała w Londynie książkę o okupowanej Polsce „Prawda oczyma kobiety”. Pracowała w emigracyjnym MSZ w dziale prasy krajowej, przygotowywała po angielsku biuletyny dla premiera Churchilla i prezydenta Roosevelta.

Po wojnie, w Polsce, stała się najbliższą współpracowniczką Mikołajczyka, prowadziła jego opublikowany później „Diariusz”. Była jego sekretarką. Czy też kimś więcej? W żadnych wspomnieniach nie ma po tym śladu. Kobiety bliskie przywódcom są często nielubiane przez członków partii - zarzuca się im nadmierne wpływy. O Hulewiczowej żaden z PSL-owców nigdy nie powiedział nic złego.

Kiedy po wojnie Mikołajczyk uciekał z Polski, prosił Amerykanów, aby Hulewiczowa mogła mu towarzyszyć. Amerykanie się nie zgodzili. Zapewnili tylko, że jeśli dotrze do amerykańskiej ambasady w Pradze, zapewnią jej dalszą opiekę. Wojennymi szlakami

kurierskimi wyruszyła razem z dwoma innymi PSL-owcami. Wpadli w Czechosłowacji. W Polsce skazano ją na siedem lat więzienia.

Po aresztowaniu Hulewiczowa pozostała lojalna wobec Mikołajczyka. W „notatce służbowej” sporządzonej przed jej procesem w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego zapisano, że „aczkolwiek potwierdza zeznania złożone w śledztwie, jednak mówi, że jeśli na rozprawie sądowej chociaż tylko w małym stopniu zostanie poruszony jej osobisty stosunek do Mikołajczyka jako jego przyjaciółki, to wówczas, jak mówi, potrafi to sobie wynagrodzić”. Hulewiczowa prawdopodobnie groziła, że w czasie procesu może oskarżać komunistów.

Kiedy wyszła z więzienia, śledziły ją stale służby specjalne. W 1958 r. sporządzono o niej kolejną tajną notatkę. Odnotowano w ubeckim stylu, że chciała wyjechać z Polski do Mikołajczyka: „Chęć spotkania się z Mi-koł. i uregulowania, zalegalizowania tego, co trwało

przez lata, a czemu stała na przeszkodzie obecność żony Mik. Wobec jej śmierci, Hulewiczowa uważa, że jej miejsce jest obecnie być żoną Mikołajczyka. (...) Według Masiowej, Hulewiczowa jest ciągle PSL-owi i Mik. mimo rozczarowań oddaną i wy, a raczej PZPR na nią wpływu nie ma. Jeśli jest to kobieta taka jak mi ją maluje np. Kuźniarz, to przełamie ona opór Mikołajczyka dość szybko, łóżkiem. Podobno zna ona ten sport dobrze, a Mik. ile razy jest w Paryżu, to ciągoty go biorą i za babami się ogląda".

Raport przewidywał też dwie korzyści, jakie można by uzyskać, pozwalając Hulewiczowej połączyć się z Mikołajczykiem: „a/ kończyć Mik. w opinii chłopów i kołtunerii, że ożenił się z Żydówką (...). b/ puścić tu przez sanację wersję, że reżym podpuścił Mikoł. swego agenta; to częściowo może skończyć go w oczach USA. Ale on wykręci się tym, że mimo obrabiania Hulewiczowa nikogo nie wydała i procesy nie można jej było wytoczyć".

Z ewentualnych korzyści jednak zrezygnowano, Hulewiczowej odmówiono paszportu.

W 1959 r. poznała Janusza Przymanowskiego. Ona była działaczką opozycyjną, po więzieniu. On - oficerem Wojska Polskiego, pisarzem sławiącym ludowe wojsko. Po kilku latach wspólnego mieszkania wzięli ślub. Pomagała mu pisać scenariusz „Czterech pancernych i psa”. Podobno byli bardzo szczęśliwym małżeństwem.

Do końca życia nie spotkała już Mikołajczyka.

Mikołajczyk nie stronił od przyjemności życia. „Lubił dobrze zjeść (...), namiętnie palił papierosy i troszczył się, aby w czasie konwersacji mieć w zasięgu szklaneczkę whisky - pisze profesor Paczkowski. - Było mu o to o tyle łatwiej, że korzystał z dyplomatycznego przywileju zwolnień od cła na tytoń i alkohol. Jeszcze jako wicepremier stał się też posiadaczem prywatnego

samochodu (nie dużego austina), którego nabycie uzasadniał potrzebą oszczędzania benzyny, gdyż zrezygnował równocześnie z przydzielonego mu dużego samochodu służbowego - chyba też lubił po prostu prowadzić auto".

Po śmierci Sikorskiego (1943) było oczywiste, że szefem nowego gabinetu zostanie Mikołajczyk wicepremier i prezes największego stronnictwa. „Mikołajczyk najmniej nadawał się na szefa rządu jedności i pojednania, koniecznego w chwili narodowego zagrożenia” - pisze jednak Jan Nowak-Jeziorański w „Kurierze z Warszawy”. W jego ocenie Mikołajczyk umiał zachowywać się z pewnym wdziękiem osobistym, jeśli mu na kimś zależało. Był jednak nieufny, szczególnie wobec ludzi spoza SL.

Błyskawiczna kariera Mikołajczyka raziła bardziej doświadczonych polityków. „Zapewne irytowała i samego Sikorskiego - pisze Paczkowski. A cóż dopiero mówić o

dyplomatach o nieskazitelnych manierach i z błyskotliwą znajomością obcych języków? O członkach dawnej elity rządzącej, którzy po swoim dojściu do władzy (...) przenieśli się do apartamentów w luksusowych dzielnicach, żyli ze snobistycznym światkiem raczej zamożnej bohemy spod znaku «Wiadomości Literac-kich», urlopy spędzali w najbardziej modnych kurortach, a polowali w towarzystwie zagranicznych gości".

Mikołajczyk kierował rządem kraju, który był zbyt mały, aby samodzielnie wywalczyć coś na arenie międzynarodowej. Już po wojnie socjalista Adam Pragier pisał („Czas przeszły dokonany"), że Mikołajczyk wobec „Churchilla, Roosevelta i Stalina był usłużny". A jednocześnie „Churchill traktował go, jakby nie śmiał traktować swojego butlera (lokaja), bo bałby się, że sobie pójdzie".

7 czerwca 1944 r. Mikołajczyk po raz pierwszy rozmawiał z Rooseveltem, który głównie monologował. Opowiadał o konferencji w

Teheranie, o Stalinie, którego uznał bardziej za realistę niż imperialistę czy komunistę.

„Mówiąc o rozmowie ze Stalinem na temat przyszłości Polski, Roosevelt zataił przed Mikołajczykiem, że wyraził zgodę na linię Curzona jako granicę wschodnią Polski" - pisze Roman Buczek.

- Stalin to był *good uncle Joe* - mówi Józef Garliński, historyk mieszkający w Londynie. - Uderzenie Hitlera na Rosję to był prezent dla Zachodu. Rosjanie przejęli na siebie główny ciężar wojny. Stracili piętnaście milionów żołnierzy. Każdy woli, żeby ktoś inny za niego wojował.

Mikołajczyk dotąd żył w cieniu Sikorskiego, po jego śmierci - w cieniu jego legendy.

Jan Karski, w czasie wojny kurier z Zachodu do Polski (rozmawialiśmy w czasie jego ostatniej podróży do Polski, miesiąc przed jego śmiercią), wspominał:

- Pierwszy raz zetknąłem się z Mikołajczykiem

w czasie wojny w Londynie. To był ciężki, tłusty, prosty, brzydki, niewykształcony człowiek. Ale o niezwykłej pilności, wytrwałości, sympatyczny. Kiedy trafił do Francji, zaraz zaczął się uczyć francuskiego. A Sikorski siedział we Francji trzydzieści lat i nigdy się francuskiego nie nauczył.

Mikołajczyk był realistą. Nie miał złudzeń. Tacy ludzie jak Anders, Sikorski, mieli własne ambicje. Wiedzieli lepiej. Anders wiedział: będzie wojna między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Była różnica między Mikołajczykiem, prostym chłopem, a Sikorskim, generałem.

Józef Garliński potwierdza:

- Mikołajczyk był skromny, oszczędny. Sikorski miał gest, był bufonem; zginął w najlepszym dla siebie momencie gdyby musiał wypić to wszystko co Mikołajczyk, nigdy by go nie pochowano na Wawelu. Ludzie mówią, że Sikorski więcej by uzyskał dla Polski, bo był poważniejszym partnerem dla zachodnich aliantów. Czym by uzyskał? Swoim czarem? A

kto się w polityce kieruje osobistymi sympatiami?

Po ataku Niemiec na ZSRR polski rząd emigracyjny usiłował porozumieć się ze Stalinem. W „Polsce zgwałconej” Mikołajczyk wspominał, że polski rząd chciał za przyrzeczenie wsparcia uzyskać pewne korzyści. Wykluczył reparacje i odszkodowania związane z radzieckim atakiem na Polskę we wrześniu 1939 r., ale domagał się uznania nienaruszalności przedwojennych wschodnich granic. Radziecki ambasador Majski odrzucił te żądania.

„Oszołomieni, zwróciliśmy się do Brytyjczyków o pomoc (...) -wspominał Mikołajczyk. Gdy protestowaliśmy, twierdząc, że chcemy wrócić tylko do przedwojennego status quo, powiedziano nam, że powinniśmy zamilknąć w interesie «jedności aliantów» - frazes, używany odtąd w dobrej wierze przez państwa zachodnie, natomiast nadużywany przez Rosję”.

W polskiej armii na Zachodzie polityka rozmów ze Stalinem budziła sprzeciw. Profesor Paczkowski mówi:

- Żołnierze armii Andersa zetknęli się osobiście ze Związkiem Radzieckim. Sikorskiego, który negocjował ze Stalinem, jeszcze ratował osobisty autorytet: był jednym z ważnych dowódców wojny dwudziestego roku, trzygwiazdkowym generałem. A Mikołajczyk był chłopem bez matury, więc według kodeksu Bożewicza nie miał nawet honoru.

W emigracyjnym rządzie wybuchały kolejne spory Mikołajczyka z PPS, z SN. Wdał się w poważny konflikt z prezydentem Raczkiewiczem o nominację generała Kazimierza Sosnkowskiego na naczelnego wodza. Mikołajczyk był jej przeciwny, uważał Sosnkowskiego za przedstawiciela sanacji. Premier Mikołajczyk i naczelnny wódz Sosnkowski widywali się bardzo niechętnie. W wojskowych obozach kolportowano ulotki

określające politykę Mikołajczyka jako „chłopską Targowicę”.

Wzajemna niechęć Mikołajczyka i Sosnkowskiego symbolizowała emigracyjne spory Polaków. Jan Nowak-Jeziorański, który wówczas przybył jako kurier z Polski, pisze, że polski Londyn jeszcze za życia Sikorskiego podzielony był na dwa zwalczające się obozy. „Sikorski łączył w swoich rękach władzę cywilną szefa rządu i wojskową - Naczelnego Wodza. Po jego śmierci kandydat na premiera - Stanisław Mikołajczyk postawił prezydentowi Raczkiewiczowi ultimatum: albo on, albo Sosnkowski. Dokładnie takie samo ultimatum wysunął Sosnkowski: albo on, albo Mikołajczyk. Tymczasem obaj w tym czasie stanowili najbardziej logiczny wybór. Sosnkowski miał za sobą zaufanie i poparcie wojska, zwłaszcza piłsudczyków (...). Odrzucenie Sosnkowskiego mogło doprowadzić do konfliktów z wojskiem, tym więcej, że Anders był dla Mikołajczyka jeszcze bardziej niestrawny. Z drugiej strony

Mikołajczyk odziedziczył po Sikorskim zaufanie i dobre stosunki z rządem angielskim. Jego osoba jako przywódcy stronnictwa chłopskiego, jak i to, że sam był autentycznym chłopem, stanowiła najlepszą odpowiedź na kampanię inspirowaną przez Sowiety, a podchwyconą przez prasę angielską, przedstawiającą polską ekipę rządową jako obszarników, feudałów, przedwojennych faszystów itd."

Sosnkowski, według Nowaka, był inteligentniejszy niż Mikołajczyk, ale nie potrafił wymyślić skutecznego sposobu działania na przyszłość. Wobec Stalina chciał grać na zwłokę. Liczył na konflikt między zachodnimi aliantami a ZSRR. Mikołajczyk uważał, że czas gra przeciwko

Polsce - Zachód nie zdecyduje się na konflikt z Rosją, a tymczasem Armia Czerwona zajmie Polskę i postawi Zachód wobec faktów dokonanych.

Jan Nowak-Jeziorański zauważył, że nawet

wygląd i ruchy różniły Sosnkowskiego i Mikołajczyka. „Sosnkowski, gdyby ubrać go w delię i w kontusz, wyglądałby jak hetman żywcem zdjęty ze starego portretu.

Mikołajczyk (...) był typowym okazem polskiego chłopca, którego zewnętrznej ogłady nauczyło życie i obcowanie z ludźmi.

Sosnkowski miał duży dar wystawiania się, mówił z namysłem i powoli, mimo to płynnie i precyzyjnie. Mikołajczyk myślał i wystawiał się logicznie, ale jakby z trudnością (...). Zacięte, małe usta, skupiony, zamknięty w sobie wyraz twarzy zdradzały człowieka o wielkim uporze, zaciętości i woli".

Gdy Armia Czerwona zbliżała się do przedwojennych polskich granic, Mikołajczyk chciał za wszelką cenę nawiązać dialog ze Stalinem inaczey emigracyjny rząd straciłby jakikolwiek wpływ na polskie terytoria zajmowane przez Rosjan. W lipcu 1944 stwierdził, że jest gotów na rozmowy ze Stalinem „bez stawiania jakichkolwiek warunków". Było już zbyt późno, aby rozmowy

uzależnić od deklaracji Stalina o nienaruszalności przedwojennych polskich granic wschodnich. W Polsce przygotowywano akcję „Burza”.

Mikołajczyk wylądował w Moskwie 30 lipca 1944 r.

Dwa tygodnie wcześniej Rosjanie aresztowali wileńskich dowódców AK. Tydzień wcześniej w Moskwie wydrukowano ogłoszony potem w Chełmie Manifest PKWN. Dwa dni później wybuchło Powstanie Warszawskie. Emigracja zaś wciąż oczekiwała od Mikołajczyka zachowania wschodnich granic sprzed września 1939 r.

Bolesława Bieruta (przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej), który w tym samym czasie przyleciał do Moskwy, witała kompania reprezentacyjna. Mikołajczyka Wiaczesław Mołotow, minister spraw zagranicznych ZSRR i członek Politbiura, zapytał: „Po co pan tu przyjechał?”.

Stalin przyjął Mikołajczyka dopiero 3 sierpnia w nocy. Mikołajczyk zapamiętał, że powitał go, stojąc blisko stołu konferencyjnego, ubrany w marszałkowski mundur z jednym tylko odznaczeniem. Na ścianie wisiały dwa olejne obrazy carskich generałów: Kutuzowa i Suworowa. Dopiero w mało widocznym miejscu koło drzwi Mikołajczyk dostrzegł niewielką fotografię Lenina.

Kiedy zajęto miejsca za stołem konferencyjnym, pierwszy - według stenogramu - zabrał głos Mikołajczyk:

- Czuję się zaszczycony i bardzo rad, że przybyć mogłem do Moskwy w okresie wielkich zwycięstw sowieckich nad Niemcami i uwalniania ziemi polskiej spod ich okupacji.

Stalin:

W obecnym położeniu międzynarodowym uważamy za nasz obowiązek oswobodzić Polskę.

W każdym razie, gdyby nie akcja wojsk sowieckich, to wypadłoby nam długo czekać na wypędzenie Niemców z Polski. Panie marszałku! Nie jestem dyplomata i mówię prosto i szczerze, co myślę.

Mówi pan prawdę. Wojska sowieckie niosą wam swobodę.

Po tej wymianie grzeczności Mikołajczyk przeszedł do rzeczy chciał rozmawiać o polskich granicach, o polskim rządzie (ewentualnie rozszerzonym o komunistów), o Powstaniu Warszawskim.

Stalin odrzucił wszystkie żądania: przywrócenia polskiej granicy wschodniej sprzed września 1939, tworzenia rządu opartego na czterech przedwojennych partiach i rozszerzonego o PPR. O AK Stalin powiedział: „Co to za armia bez artylerii, bez czołgów, bez lotnictwa? Nawet broni ręcznej nie ma ona dosyć”.

Historycy oceniają, że Mikołajczykowi w

czasie rozmów przeszkadzało jego przywiązanie do działania metodami demokratycznymi. Sam wspominał, jak zapytał Stalina, czy zamierza wprowadzić w Polsce komunizm. Ten odpowiedział, że komunizm nie pasuje do Polaków są zbytymi indywidualistami, nacjonalistami. Mikołajczyk zapisał swoją rozmowę ze Stalinem:

„Czy rozkaże pan polskim komunistom, aby nie usiłowali zdobyć władzy w powojennej Polsce drogą rewolucji? - zapytałem. - Czy partie niekomunistyczne będą mogły działać, nie będąc piętnowane mianem faszystów i reakcjonistów?

- Wydam taki rozkaz - powiedział Stalin. - Polska nie będzie szarpana bratobójczymi wałkami. Ale są pewni ludzie - zarówno na lewicy, jak i na prawicy - którym nie możemy pozwolić na branie udziału w życiu politycznym.

- Ależ panie marszałku, nie wolno dyktować, kto ma prawo brać udział w życiu politycznym,

jeżeli za jednostką stoi partia.

Stalin popatrzył na mnie, jak gdybym naprawdę był wariatem, i zakończył konferencję".

Na żądanie Stalina Mikołajczyk zgodził się na rozmowy z przedstawicielami komunistycznego rządu lubelskiego.

Andrzej Paczkowski w swojej książce ocenia, że były one politycznym błędem - Mikołajczyk pokazał się wówczas jako polityk o małej sile przekonywania, który daje sobie narzucić tok debaty i gorączkowo poszukuje porozumienia. „Co najmniej kilka razy miał okazję demonstracyjnie spotkania te przerwać - pisze Paczkowski. - Na przykład wówczas, gdy rozmówcy - celowali w tym Wanda Wasilewska i Edward Osóbka-Morawski - szkalowali AK" lub gdy Wasilewska „upierała się, że w Warszawie do 4 sierpnia «poza jednym zamachem na samochód na rogu Koszykowej nic (...) nie zaszło»".

Kolejna wizyta Mikołajczyka w Moskwie, w październiku 1944, również nic nie dała. Mikołajczyk zdał sobie sprawę, że musi zaakceptować PKWN, linię Curzona, że w sprawie wschodniej granicy ma przeciw sobie Rosjan i Anglików, a Amerykanie pozostają bierni.

Wysłał depezę do Roosevelta:

„Czy rząd amerykański byłby skłonny do udzielenia określonego i mianowicie jakiego poparcia w celu zabezpieczenia istotnej niepodległości państwa polskiego w jego nowych granicach, zagwarantowanych przez Wielką Brytanię i Związek Sowiecki?”.

Otrzymał odpowiedź: „Jeżeli zaś chodzi o danie przez Stany Zjednoczone gwarancji jakimś specyficznym granicom, to zgodnie z naszą tradycyjną polityką rząd nasz nie może udzielić takich gwarancji”.

W listopadzie 1944 Mikołajczyk złożył dymisję nie udało mu się przekonać przedstawicieli partii wchodzących w skład rządu do ustępstw

wobec Stalina w sprawie wschodniej granicy. Już niejako premier, ale jako przewodniczący Stronnictwa Ludowego wyjechał do Moskwy dyskutować o tworzeniu rządu, który miałyby składać się z komunistów i przedstawicielei emigracji. Kiedy wahał się, czy powinien jechać, usłyszał od Churchilla ostrzeżenie: „Jeżeli cofnie się pan teraz, to ja umyję ręce od całej polskiej sprawy”.

Odleciał 16 czerwca 1945.

„Leciałem w zamyśleniu do Moskwy, mając umysł wypełniony wspomnieniami - pisał w „Polsce zgwałconej”. - Patrzyłem na znajomą mi [polską] ziemię i to, co pozostało z miast, które kiedyś znałem, i ten cały lot wydał mi się wyzwaniem rzuconym wszelkiemu rozsądkowi. Ja,

który byłem premierem mojego kraju, nie miałem prawa w nim lądować. Musiałem lecieć ponad nim i ponad moimi współziomkami, których kochałem. Musiałem

lecieć do Rosji i uzyskać jej pozwolenie na powrót".

Kiedy Mikołajczyk rozpoczął negocjacje w sprawie powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, w Moskwie rozpoczął się proces 16 przywódców Polski Podziemnej. Lord Nicholas Bethell w książce „Gomułka: His Poland and His Communism” napisał, że była to rozmyślna próba zastraszenia Mikołajczyka.

W czasie siedmiodniowych rozmów rząd lubelski reprezentowali m.in. Bierut, Osóbka-Morawski, Gomułka. Grupę Mikołajczyka tworzyli m.in. Władysław Kiernik (w zastępstwie Witosa, na przybycie którego bardzo liczył Mikołajczyk), Stanisław Kutrzeba (reprezentujący kardynała Sapięę), Zygmunt Żuławski z PPS. „Najmłodszy z «towarzyszy» Mikołajczyka (Stańczyk) był starszy od niego o 15 lat - zauważył profesor Paczkowski. W porównaniu z «bierutowcami» była to niemal rada starców. Zespół ten (...) nie miał ani

wspólnej koncepcji, ani, co ważniejsze, wspólnych interesów politycznych, a Mikołajczyk bodaj nawet nie próbował go scementować".

Mikołajczyk żądał mianowania prezydentem Witosa i premierostwa dla przedstawiciela Stronnictwa Ludowego. Zgodnie z ustaleniami jałtańskimi domagał się ustalenia terminu wyborów do Sejmu. Postulował wycofanie z Polski Armii Czerwonej.

Kolejne propozycje Mikołajczyka upadały. Gomułka stwierdził: „Myśmy Polskę budowali i pracujemy po 18 godzin na dobę i nie można traktować Rządu Tymczasowego [w który przekształcił się PKWN P.L.] i p. Mikołajczyka jako jakieś dwie równorzędne strony".

Zgodnie z podpisaną na zakończenie obrad umową komuniści oddawali Stronnictwu Ludowemu jedną trzecią tek w rządzie. Zygmunt Zaremba (PPS) ocenił w książce „Wojna i konspiracja”: „Cały charakter zawartej umowy dowodził, że Mikołajczyk

zrezygnował z roli przedstawiciela polityki polskiej i zszedł do skali zainteresowań skoncentrowanych na zdobyciu wpływów dla własnej grupy". Odnotował, że umowa mówiła nawet o stanowiskach dyrektorskich dla SL w Banku Rolnym, Związku Samopomocy Chłopskiej i spółdzielni Społem.

Członkowie SL otrzymali obiecaną jedną trzecią w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej. Były to jednak stanowiska drugorzędne: ministerstwa oświaty, kultury, zdrowia. W czasie rozmów Gomułka wygłosił słynne zdanie: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”.

Po powołaniu TRJN Zachód przestał uznawać emigracyjny rząd Tadeusza Arciszewskiego.

25 czerwca 1945 ogłoszono wyrok na uwięzionych 16 przywódców Polski Podziemnej - trzech działaczy PSL: Stanisława Mierzwę, Adama Bienia i Kazimierza Bagińskiego skazano na więzienie

od czterech miesięcy do pięciu lat. Dwa dni później Mikołajczyk, już jako wicepremier w rządzie Edwarda Osóbki-Morawskiego, wyleciał z Moskwy do Warszawy. Przed odlotem prosił Bieruta i Mołotowa, bez skutku, o interwencję u Stalina w sprawie zwolnienia skazanych.

Traktuję Mikołajczyka jak męczennika sprawy polskiej - opowiadał mi Jan Karski. - On się poświęcił. Gdyby Mikołajczyk nie wrócił do kraju, wszyscy na Zachodzie by [go] krytykowali, [mówili,] że Polacy zawsze byli głupi, nie potrafili się z nikim porozumieć. Jadąc do kraju, udowodnił: zrobiliśmy wszystko, poświęciliśmy nawet swój honor i bezpieczeństwo. Mikołajczyk mógł powiedzieć: wróciłem do kraju, obiecali mi premierostwo, przyjąłem wicepremierostwo. Zaryzykowałem więzienie, wszystko, żeby zachować niepodległość. Na tym polegała jego wielkość. On był wtedy rzeczywiście przywódcą polskiego społeczeństwa - i musiał przegrać razem z polskim społeczeństwem.

Józef Garliński:

Politycy - i Brytyjczycy, i Amerykanie - rozumują pragmatycznie. Liczą się tam fakty, nie obietnice czy rozważania. Żeby wiedzieć, co naprawdę dzieje się w Polsce, potrzebna była misja Mikołajczyka. Podobnie było z Powstaniem Warszawskim. Wówczas Stalin głosił propagandę, że Polacy nie chcą się bić z Niemcami, że AK to polski wymysł, a jeżeli już istnieje, to tylko czeka, żeby bić się z Armią Czerwoną.

Andrzej Paczkowski:

- Część emigracji uznała Mikołajczyka za zdrajcę. Złośliwie tytułowano go kawalerem jałtańskim. Ale dla Mikołajczyka powrót był czymś naturalnym. Nie wierzył w trzecią wojnę światową. Myślał, że uda się wygrać wybory i przejąć władzę. Uważał, że emigracja straciła sens. Do Polski wrócił nie tylko Mikołajczyk - także ponad sto tysięcy żołnierzy z armii na Zachodzie, czyli połowa. Mikołajczyk czuł się

bezpieczniejszy, bo miał poparcie Anglików, Amerykanów. Ale też dramatyzował, mówiąc Churchillowi, że w Polsce będą go wieszać w obecności angielskich obserwatorów.

Pierwsze tygodnie w Polsce po wojnie. Do kraju przybywa były premier rządu emigracyjnego, który dotąd kierował podziemiem w kraju z dala od Polaków. Który przed wojną nigdy nie pełnił żadnej rządowej funkcji. Czego mógł się spodziewać?

Pamiętam powitanie Mikołajczyka w Poznaniu. Lał deszcz, ale wyszły tłumy - opowiada żona Tadeusza Nowaka, współpracownika Mikołajczyka. - Wszędzie witały go dziesiątki tysięcy ludzi. Jego samochód kilka razy podnoszono rękami.

Polacy pewnie zobaczyli w nim kogoś, kto wsparty autorytetem zachodnich mocarstw zdoła powstrzymać komunistów. Chcieli widzieć w nim supermana. Sam Mikołajczyk musiał już zdawać sobie sprawę, że Zachód niewiele mu pomoże. Ale być może witany

przez tłumy poczuł się przywódcą.

Stał się nagle politykiem o największym społecznym poparciu. Ale w kraju, w którym wola ludu nie miała znaczenia, w którym rzekomą wolę ludu ogłaszali komuniści.

Tadeusz Nowak we wspomnieniach odnotował, że Mikołajczyk po przyjeździe do Polski przestrzegł współpracowników: nie liczcie na następną wojnę, Anglicy i Amerykanie nie będą się bić o Polskę z ZSRR. To, co teraz możemy osiągnąć, to rozładowanie lasów, amnestia, która pozwoli ludziom wrócić do domów.

Franciszek Moskał opowiada:

- Pracował po szesnaście godzin na dobę. Kiedyś po północy zaproponował: „Słuchajcie, kolego, może napijemy się herbaty”. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziałem: „Słuchajcie, prezesie, rozumiem, że krótkoterminowo spodziewacie się rozładowania podziemia, udowodnienia

Anglosasom, że współpraca z komunizmem jest niemożliwa. Ale długoterminowo?".

Odpowiedział: „W sprawach zagranicznych, wojskowych nie będziemy mieli nic do powiedzenia. W wewnętrznych - dyktatura ostrzejsza niż za Piłsudskiego. Jeśli jednak uda się wywalczyć autonomię gospodarczą, to moja misja będzie spełniona”.

Komuniści tymczasem zawłaszczyli tradycje ludowe - w nowej Polsce pod przedwojenną nazwą działało Stronnictwo Ludowe zwane lubelskim. Ludowcy skupieni wokół Mikołajczyka postanowili odróżnić się od lubelskiego SL - zmienili nazwę na Polskie Stronnictwo Ludowe.

Na początku 1946 r. odbył się Kongres PSL. Jako gościa honorowego zaproszono Bieruta.

„Nikt się nie podniósł i nie rozległ się żaden okrzyk lub brawo. Delegaci udawali, że go nie widzą - opisywał wejście Bieruta Stefan Korboński w książce „W imieniu Kremla”. - Mikołajczyka jeszcze nie było. Czyżby się

spóźniał umyślnie? W powietrzu czuło się jednak zakłopotanie".

Wreszcie na salę wszedł Mikołajczyk.

„Sala zerwała się na równe nogi i ogłuszający krzyk uderzył w sklepienie. Mikołajczyk kroczył drogą Bieruta, a sala wołała: «Niech żyje!». Gdy krzyk nieco opadł, usłyszałem dźwięki (deszcze Polska nie zginęła», grane przez ukrytą z boku orkiestrę". Bierut „siedział blady, z zaciśniętymi ustami, a obok niego cały rząd milczących i gniewnych twarzy".

Podobnie było na zlocie młodzieży w Szczecinie, kiedy harcerze nie pozwolili Bierutowi dokończyć pierwszego zdania. Przerwali mu skandowaniem: „Mikołajczyk! Mikołajczyk!". „Bierut, nie kryjąc złości, zszedł z trybuny, a następnego dnia odmówiono harcerzom prawa udziału w defiladzie zlotu" wspominał działacz ludowy Stanisław Wykręto-wicz. Ale „w umysłach i sercach najmłodszego pokolenia Polaków (...) Mikołajczyk, a nie

Bierut, był prawdziwym, nienarzuconym przez obcą superpotęgę przywódcą narodu".

Komuniści go znienawidzili.

W oficjalnej prasie nazywano go „antysejmitą”, „zamaskowanym agentem reakcji”, „fałszywym rycerzem demokracji”. Wodzem „wszystkich elementów obszarniczych, volksdeutschy, spekulantów, sanato-rów”. Jego politykę określano jako „awanturnictwo i bankructwo”.

Gomułka mówił o nim: „Przysyła nam pan Churchill pana Mikołajczyka widocznie w zastaw za złoto narodu polskiego, które wywiezione zostało do Anglii w czasie wojny. Zrobił go swoim pełnomocnikiem i ten Churchillowski pełnomocnik zwraca się ze skargami do swego szefa, że w Polsce źle go traktują. Chciałby on zostać polskim Fiihrerem”.

Z drugiej strony wśród znacznej części emigracji Mikołajczyk uchodził za zdrajcę.

Stanisław Mackiewicz w broszurze „Mikołaj, Mikołaj Mikołajewicz, Mikołajczyk” napisał: „Mikołaj zdobył w r. 1831 Warszawę i ostatecznie rozwalił nam państwo, Mikołaj Mikołajewicz wydał w sierpniu 1914 r. odezwę, która rozdzieliła Polaków, w którą może sam wierzył, ale której dotrzymać nie chciała biurokracja rosyjska. Mikołajczyk zupełnie inaczej zapisał się w historii Polski, a mianowicie jako człowiek, który pod wpływem osobistych i partyjnych ambicji ułatwiał czynnikom międzynarodowym likwidację państwa polskiego, nie zdrażając może samemu sobie z tego sprawy. Język polski zna kilka dobitnych określeń na człowieka tego rodzaju. Ale ich nie przytaczam. Stwierdzenie faktu wystarcza”.

PSL było jedną z pierwszych partii, z którymi rozprawili się komuniści. Później zaczęli wyszukiwać wrogów w bliższej ideowo PPS, by skończyć na urojonych wrogach we własnych szeregach.

Wspierali akcje rozłamowe wewnątrz PSL - przy ich poparciu do przejęcia władzy w Stronnictwie przygotowywali się m.in. Józef Niecko i Czesław Wycech, którzy zaczęli głosić poglądy antymikołajczykowskie. Udało im się zgromadzić wokół siebie działaczy, którzy sprawowali jakieś urzędy - im bowiem najbardziej groziły wszelkie związki z Mikołajczykiem, ich najczęściej dotykały represje Urzędu Bezpieczeństwa.

Profesor Paczkowski w biografii Mikołajczyka opisał kolejne etapy walki z PSL: aresztowano delegatów na PSL-owskie konferencje, rewidowano partyjne lokale, prywatne mieszkania, nawet pomieszczenia Naczelnego Komitetu Wykonawczego. Setki działaczy wzywano na przesłuchania, proponując: wystąp z PSL, damy ci spokój. Pracownicy bezpieczeństwa śledzili działaczy PSL. Niektórym odebrano gospodarstwa na ziemiach odzyskanych. Usuwano ich z rad narodowych, z pracy w sądownictwie i administracji. Sam Mikołajczyk zanotował, że

za przynależność do PSL usunięto nawet z pracy kilkudziesięciu robotników chorzowskiej huty.

„Gazetę Ludową”, organ PSL, w ciągu dwóch lat dotknęło 4 tysiące interwencji cenzury. Zwykle zdejmowano od jednej czwartej do trzech czwartych zawartości pisma.

Toczyły się kolejne procesy. W 1946 r. Kazimierza Bagińskiego skazano na osiem lat więzienia. Karol Buczek, sądzony razem z żołnierzami NSZ, dostał 15 lat. Skazano też na więzienie Stanisława Mierzwę. „Problemem dla peeselowców przestawało być ratowanie partii - napisał Paczkowski - a stawało się ratowanie życia”.

Zamordowani: Władysław Kojder, Bolesław Ścibiorek, Narcyz „Zawojna” Wiatr, i mniej znani: Roman Markiewicz, Franciszek Łazowski, Ryszard Gujski. I dwustu innych PSL-owców zabitych - według szacunków historyków - w ciągu dwóch powojennych lat. W czasie ekshumacji jednej z ofiar

stwierdzono: oczy wyklute, wybite zęby, przestrzelona czaszka.

Czterej działacze PSL z Grójca, wywleczeni nocą z domów, zastrzeleni i zakopani. Jeden udał, że nie żyje, dał się pogrzebać i kiedy oprawcy odjechali, wygrzebał się z grobu.

Co mógł czuć Mikołajczyk, zasiadając na posiedzeniach rządu naprzeciw ludzi odpowiedzialnych za śmierć jego współpracowników? Jak dalece można rezygnować z honoru, aby próbować demokratycznymi metodami walczyć z komunistycznym terrorem? Memoriałami, przemówieniami?

Myśmy wciąż wierzyli, że to, co postanowili w Jałcie, będzie realizowane - opowiada Tadeusz Nalepka, działacz PSL. Nie sądziliśmy, że to wszystko jest kłamstwem.

Jednym z najważniejszych dla Mikołajczyka postanowień Jałty były wolne wybory. Ale zanim w styczniu 1947 doszło do wyborów

zmanipulowanych przez władzę, komuniści starli się z PSL-owcami w czasie referendum.

Profesor Paczkowski: Referendum wymyślił Mikołajczyk. To miało być referendum konstytucyjne połączone z wyborami.

Tymczasem PPR przechwyciła pomysł i obróciła go przeciw Mikołajczykowi.

Zdecydowano o przeprowadzeniu referendum i odwleczeniu wyborów.

W referendum Polacy mieli odpowiedzieć na trzy pytania (patrz str. 87). Komuniści nawoływali: „Trzy razy TAK”.

PSL-owcy odpowiadali: „Tylko kaczka, głupi ptak,/ mówi ciągle tak, tak, tak./ Mądry człowiek wie, co chce/l na pierwsze mówi nie”.

Według oficjalnych danych na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 68,2 proc. wyborców. Według danych odnalezionych w tzw. teczках Bieruta - tylko 26,9.

Komuniści już wiedzieli, że PSL ma znacznie

silniejsze poparcie społeczeństwa niż oni. Być może ujawnienie tego poparcia zaszkodziło PSL. Komuniści mogli lepiej przygotować wybory do Sejmu.

W czasie kampanii wyborczej w więzieniach przetrzymywano 162 kandydatów PSL, 2 tysiące działaczy i 5 tysięcy kandydatów na mężów zaufania. Mikołajczyk, wciąż w zgodzie ze swymi demokratycznymi przekonaniami, złożył w ambasadach amerykańskiej, angielskiej i radzieckiej memoriał o narastającym terrorze.

Komuniści unieważnili PSL-owską listę wyborczą w dziesięciu okręgach (na 52) - tam, gdzie w referendum padło najwięcej odpowiedzi „nie” na pierwsze pytanie. Według oficjalnych danych w całej Polsce na PSL oddano tylko 10,8 proc. głosów.

W czasie konferencji prasowej, gdy Mikołajczyk mówił o fałszerstwach, Gomułka doradził: „Leć pan na skargę do Churchilla”.

W lipcu i sierpniu uwięziono liderów rumuńskiej i bułgarskiej partii chłopskiej.

Mikołajczyk spodziewał się, że również zostanie aresztowany. W Warszawie mieszkał w rządowym domu przy alei Róż, w tym samym co Stanisław Radkiewicz, minister bezpieczeństwa publicznego. Podobno pewnego dnia Radkiewicz pomylił piętra i wszedł do mieszkania Mikołajczyka - ten zbladł, sądząc, że właśnie zostanie zatrzymany. Relację

o zdarzeniu spisał Antoni Zambrowski, syn znanego komunisty Romana Zambrowskiego, w książce „Byłem synem czerwonego dygnitarza”. Słyszał, jak opowiadali sobie o tym komuniści podczas wakacji na plaży.

W swoim ostatnim sejmowym przemówieniu w czerwcu 1947 Mikołajczyk mówił o Polsce rządzonej przez komunistów: „Tymczasem obywatel ma płacić szykanami stosowanymi wobec niego, groźbami, wyrzuceniem z pracy, z warsztatu, z gospodarstwa rolnego za swoje

przekonania polityczne i przynależność partyjną (...). Musicie zmienić metody, musicie znormalizować stosunki, inaczej zostaniemy wszyscy - i my, i wy - z Polską słabą, zahamowaną w swoim rozwoju, zanarchizowaną, nieszczęśliwą. Z narodem, który jakkolwiek pozornie będzie was słuchał, będzie równocześnie nienawidził i w cichości Boga prosił o koniec waszych rządów".

Na początku października do Mikołajczyka dotarły poufne informacje, że wkrótce ma zostać pozbawiony immunitetu poselskiego i aresztowany. Prawdopodobnie ostrzegł go Stanisław Drobner z PPS. Oficjalnym powodem zatrzymania miała być brytyjska nota, skierowana do Mikołajczyka w czasie konferencji w Poczdamie. Dokument popierał domaganie się przez Polskę Szczecina. Mikołajczykowi zamierzano zarzucić, że zataił ten dokument podczas konferencji. Sam dokument nadesłano prawdopodobnie z Moskwy. Aresztowani mieli zostać również trzech inni PSL-owcy: Stefan Korboński,

Wincenty Bryja i Kazimierz Bagiński. Całej czwórce zamierzano urządzić proces pokazowy, zakończony wyrokami śmierci.

„W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin powziąłem najtrudniejszą decyzję mego życia - napisał Mikołajczyk w „Polsce zgwałconej”. - Była to decyzja ucieczki. A powodem jej nie była obawa śmierci.

Widziałem za dużo w życiu, aby dać jej pierwszeństwo w moich rozważaniach. Największym ciężarem był dla mnie los ludności polskiej i sposób, w jaki zareaguje na moją ucieczkę”.

Mikołajczyk uznał, że jego śmierć w wyniku procesu nie przyniesie korzyści ani Polsce, ani ruchowi ludowemu. Doprowadzi do wzrostu napięcia w kraju, demonstracji i dalszego rozlewu krwi; według niego władze bezpieczeństwa czekały na prowokację.

Uznał, że najlepszym wyjściem jest wyjazd na Zachód, gdzie będzie mógł mówić prawdę o sytuacji w Polsce, drażnić sumienia aliantów.

Złożył relację o zagrożeniu aresztowaniem w amerykańskiej ambasadzie w Warszawie. Prawdopodobnie poprosił o pomoc w ucieczce. Ambasador Stanton Griffis w swoim pamiętniku odnotował: „Był on naszym człowiekiem, nasz obowiązek był jasny, musieliśmy uratować tego człowieka od śmierci”.

Ambasada zaproponowała kilka wariantów ucieczki. Przewidywano, że Mikołajczyk zostanie wywieziony w bagażniku dyplomatycznego chryslera do Gdyni, a stamtąd odpłynie z trumnami Amerykanów poległych w czasie wojny w Polsce.

Mikołajczyk ten wariant odrzucił, obawiając się kompromitacji w razie wpadki. Proponowano ucieczkę przez Czechosłowację, ale to wymagałoby przekroczenia dwóch granic.

Zdecydowano się na ucieczkę statkiem z Gdyni.

20 października 1947 wieczorem Mikołajczyk

wyjechał ciężarówką spod amerykańskiej ambasady. Ukryto go za specjalnie ułożonymi skrzyniami i paczkami.

„Wnętrze ciężarówki było tak wypełnione, że do swojego miejsca, zamaskowanego, przeciskał się specjalnym tunelem - pisał Roman Buczek. - Po czym ciężarówka, prowadzona przez dwóch Amerykanów, ruszyła w drogę. Przez kilka godzin stale wyprzedzał ją jakiś samochód osobowy, prawdopodobnie zaaranżowany przez Mikołajczyka, który w ten sposób pragnął ratować się ucieczką, gdyby został odkryty na ciężarówce. Mikołajczyk miał przy sobie pistolet (legalnie) i nie ma kwestii, że w razie zagrożenia by z niego skorzystał (...). Powody do niepokoju istotnie były, gdyż ciężarówka była w czasie drogi dziewięć razy zatrzymywana przez posterunki drogowe”.

W Gdyni zatrzymali się na śniadanie w domu George'a D. Andrewsa, sekretarza ambasady amerykańskiej. Potem jego samochodem

wyjechali do portu. Korzystając z chwili nieuwagi polskiego strażnika, Mikołajczyk dostał się na pokład angielskiego statku „Baltavia”. Kapitan umieścił go w kajucie dla chorych.

Mieczysław Dąbrowski, ówczesny sekretarz Mikołajczyka, twierdzi jednak („Arcana” nr 2/96), że Mikołajczyk nie prosił o pomoc Amerykanów, lecz jedynie przedstawił im informację, że wkrótce zostanie aresztowany. Miał mu odpowiedzieć depeszą prezydent Truman (historycy jej nie odnaleźli), w której było podobno sformułowanie, że aresztowanie Mikołajczyka utrudni sytuację Narodom Zjednoczonym, dlatego Mikołajczyk powinien uciec, a organizacją wyjazdu zajmie się ambasada amerykańska.

W 1992 r., kiedy Adam Humer oczekiwał w mokotowskim więzieniu na swój proces, zapytałem go o przesłuchiwanie Mikołajczyka w 1947 r.

- Przesłuchanie to zlecił mi Radkiewicz -

odpowiedział. - Mikołajczyk z treści pytań mógł się zorientować, że zostanie wkrótce aresztowany. Nie sądzę, żeby Radkiewicz chciał wymóc na Mikołajczyku ucieczkę.

W połowie lat 80. Humer rozmawiał z Henrykiem Piecuchem. Powiedział m.in.: „Dostałem polecenie od Radkiewicza (...), żeby go przesłuchać w charakterze świadka do sprawy WiN-owskiej. I wprost zadać mu pytanie: co świadek na to, czy świadek to potwierdza. Chodziło

o to, żeby (...) nastraszyć go mocno (...). Ja go nastraszyłem. Bo ja go pytałem o konkretne fakty, konkretnych ludzi. To było podsłuchiwane

i zresztą osądzone, że bardzo dobrze to zrobiłem" (według zapisu z taśmy magnetofonowej).

Czy więc MBP sprowokowało Mikołajczyka do ucieczki?

Profesor Andrzej Paczkowski przytoczył w swojej książce stwierdzenie, które miał wygłosić były wysoki funkcjonariusz MBP, Anatol Fejgin: „Martwy Mikołajczyk byłby bohaterem. Uciekającemu można było przypisać łatkę tchórza”. Paczkowski odnalazł jednak notatkę majora Karola Więckowskiego, naczelnika Wydziału II Departamentu V MBP.

Raportował on o kolejnych aresztowaniach wśród PSL-owców, rozsyłaniu fotografii poszukiwanych - przesłuchano mnóstwo osób, ale niczego konkretnego w sprawie ucieczki nie znaleziono. Gdyby MBP znało plany ucieczki, prawdopodobnie nie przeprowadzałoby po niej tak szczegółowego śledztwa. Możliwe jednak, że plan sprowokowania ucieczki znało tylko kilka osób. Wówczas funkcjonariusze MBP z całym przekonaniem poszukiwaliby współników i organizatorów ucieczki.

Po ucieczce Mikołajczyka „Times” w artykule zatytułowanym „Radość w Rzymie” doniósł:

„Ludzie witali się na ulicy słowami: Mikołajczyk przybył do Londynu”.

„New York Herald Tribune” z 17 listopada 1947 r. w artykule „Zdrajca”: „W czerwonym leksykonie słowo «zdrajca» oznacza patriotę. Żaden wyrok skazujący Mikołajczyka na wygnanie nie może wymazać jego całościowego dorobku działalności patriotycznej. Tacy zdrajcy mogą nosić czerwony nalepkę z napisem «zdrajca» jako odznaczenie honorowe”.

W grudniu Mikołajczyk wystąpił w Nowym Jorku na Kongresie Przemysłowców.

Powiedział: „Czy wiecie, co znaczy dla patrioty (...), dla człowieka, który walczył na froncie, dla bojownika z podziemia, który lata całe pod okupacją narażał swe życie, gdy przychodzi do niego obcy obywatel, ubrany w jego narodowy mundur (...), a mówiący obcym językiem lub złym akcentem - i tylko dlatego, że patriota ten ma swoje przekonania i nie chce zostać komunistą, rzuca mu w twarz

wyzwisko «zdrajca»?".

- Kiedy już wrócił, poszedłem do niego i mówię: „Całe życie służyłem panu prezesowi wiernie, a pan prezes, będąc w Polsce, zapomniał

o mnie wspominał Jan Karski. - Jedno słowo, a zostawiłbym rodzinę

i byłbym w Polsce". Zaczął krzyczeć:

„Głupstwa pan gada, pan się nie nadawał do takiej roboty. Jakby pan zaczął gadać w Polsce, to po dwóch tygodniach by pana aresztowali. Gnębili pana Rosjanie, łamali panu żebra Niemcy, to nie chciałem, żeby łamali też Polacy". Zwymyślał mnie. On taki był. Miał jedną cechę - w ciągu całego życia nie nauczył się mówić: dziękuję. Nikomu nie powiedział. Jemu się wszystko należało.

W jednym z listów generał Bór-Komorowski napisał po przybyciu Mikołajczyka do Anglii: „Na wiadomość o jego ucieczce z kraju zajęliśmy tu stanowisko wyczekujące,

wychodząc z założenia, że dla sprawy polskiej należy zrobić maksimum dla zjednoczenia naszego uchodźstwa (...). Gdyby stanął on był na stanowisku, że polityka jałtańska, z którą wiążą się wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na nasz kraj, nie wytrzymała próby, a wobec tego z nią zrywa ostatecznie, to byłaby dostateczna platforma do szukania możliwości uzgodnienia z nim działań na przyszłość i jakiegoś ułożenia stosunków". Jednak Mikołajczyk „nie przejawiał zamiaru uzgodnienia swej działalności politycznej z nami, wprost przeciwnie, dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że pod względem tym zachowuje sobie wolną rękę i będzie działał, jak uzna za stosowne. Nic więc dziwnego, że go zaczęto atakować, opinia publiczna rozgoryczona dała temu wyraz".

Kajetan Morawski w książce „Na przełaj” ostrzej oceniał Mikołajczyka po jego ucieczce:

„Kiedy znalazł się powtórnie jako uchodźca w Londynie, zalewała go gorycz. Oślepiła go

nawet. (...) Odrzucił wszelkie propozycje ugody, jako odwet za doznane zawód i klęskę - żądał dla siebie przywództwa. Gdy mu go nie przyznano, wyjechał za ocean i starał się w Nowym Jorku stworzyć konkurencyjny dla Londynu ośrodek uchodźczy".

Po ucieczce z Polski Mikołajczyk zamieszkał z żoną Cecylią i synem Marianem. Nie zabrał ich ze sobą do Polski. Cecylia po oświęcimskim obozie wymagała leczenia. Mikołajczyk uznał, że lepiej, aby dochodziła do zdrowia w Wielkiej Brytanii. Syn uczył się w angielskiej szkole. Mikołajczyk w czasie pobytu w Polsce tworzył też swoje archiwum na Zachodzie - wysyłał do żony kopie wszystkich ważnych pism, jakie podpisywał w Polsce. W 1948 r. wyjechał z rodziną do USA, zamieszkał pod Waszyngtonem. Cecylia zmarła w 1951 r.

- Przez pięć lat Stanisław Mikołajczyk i jego syn żyli bez kobiety w domu - opowiada Danuta Mikołajczyk, synowa Stanisława. - Ja

wyszłam za Mariana w pięćdziesiątym szóstym. Teść przyjmował mnóstwo gości, ja jeszcze nie za bardzo umiałam gotować, ale bardzo się starałam. A on nigdy nie krytykował, tylko zachęcał. Przynosił kwiatki z miasta, żeby pokazać swoją wdzięczność. I pomagał mi w kuchni. Lubił czasami sam przyrządzić jakąś pieczeń. Ale był raczej skryty. Niewiele o sobie opowiadał.

Zawsze się starał na święta być w domu. My, niestety, nie mieliśmy dzieci, więc teść bardzo się cieszył, kiedy moja siostra przyjeżdżała z piątką swoich. Nawet kiedy psociły.

Żył polityką. Czytał mnóstwo gazet, porównywał. A kiedy był zmęczony, odpoczywał na długich spacerach. I interesował się przeróżnymi urządzeniami domowymi. Często zachodził do dużych sklepów, żeby obejrzeć jakieś nowe śrubki, młynki do kawy. Dopytywał sprzedawców, do czego służy ta nowość, i jeśli uznał, że by mi się przydała jakaś skrobaczka do kuchni,

kupował kontynuuje Danuta Mikołajczyk. - Kiedyś zbudował w piwnicy olbrzymią szafę na zimowe ubrania, wielką jak pokój. Nakupował desek, gwoździ i wszystko sam zrobił; widać było, że to go odpręża. Był miły, swojski, łatwy do zżycia się. Przyjemnie nam się mieszkało razem dziesięć lat, aż do jego śmierci.

Dom Mikołajczyka cały czas obserwowali tajne służby PRL.

Marian jest dziś chory i słaby. Kiedy przyjechał w ubiegłym roku do Polski z prochami rodziców, poruszał się cały czas na wózku inwalidzkim. Jego żona Danuta uznała, że nie podoła kontaktom z dziennikarzami.

Mikołajczyk występował w Radiu Wolna Europa podczas inauguracji jego działalności wygłosił przemówienie obok Andersa, Arciszewskiego i Raczyńskiego. Przewodził Międzynarodowej Unii Chłopskiej.

Nawiązał kontakt z Polonią amerykańską, ale

nie osiągnął sukcesu. Profesor Paczkowski pisze, że miał w Stanach wielu przeciwników. „Prym wiedli przybyli do Ameryki jeszcze w czasie wojny niektórzy działacze «sanacyjni» (...). Jak się wydaje, także napływający zza oceanu nowi emigranci zdemobilizowani żołnierze i oficerowie oraz osoby wywiezione na roboty przymusowe do Niemiec, które po wojnie nie zdecydowały się na powrót do kraju - byli w większości nastawieni anty-mikołajczykowsko, co wiązało się jeszcze z wydarzeniami lat 1944-45”.

W 1954 r. PSL przeżył pierwszy poważny rozłam, kiedy Stefan Korboński i Kazimierz Bagiński utworzyli PSL-Odłam Jedności Narodowej. W 1954 r. dokonał się kolejny rozłam - Mikołajczykowi zarzucono, że zaniedbuje pracę w PSL. Posunięto się nawet do stwierdzeń, że po śmierci żony zbyt wiele czasu poświęca kobietom, a za mało polityce. Na posiedzeniu NKW PSL w Nowym Jorku działacz ludowy Władysław Zaremba zaatakował Mikołajczyka: „Pan składa zbyt

często pewnej osobie niepotrzebnie nocne wizyty i na robotę polityczną i kontakty nie ma pan czasu".

Mikołajczyk zrezygnował z prezesowania PSL. Wkrótce jednak, kiedy zaczęto kontrolować jego rozliczenia finansowe, wycofał swoją decyzję. Zarzucono mu, że nie rozliczył się z kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Na początku 1955 r. zwołał w Paryżu zjazd, podczas którego powołał nowe PSL.

Stanisław Mikołajczyk zmarł w grudniu 1966 r. „Washington Post” napisał: „Stanisław Mikołajczyk zmarł w Chevy Chase [pod Waszyngtonem - P.L.], ale mógł umrzeć również w Warszawie jako premier rządu polskiego, gdyby to naród polski decydował o swoim losie, a nie Armia Czerwona”.

Czy na pewno?

Kim byłby w powojennej Polsce, gdyby władzy nie przechwycili komuniści? Kiedy wybuchłyby pierwsze zatargi między powracającymi do

kraju politykami emigracyjnymi? Kiedy rozgorzałyby spór między walczącymi w kraju AK-owcami i ich krajowymi przywódcami politycznymi a politykami emigracyjnymi i armią polską z Zachodu? Po wojnie na wychodźstwie te dwie grupy wiele lat żyły własnym życiem, izolując się od siebie, a emigracyjne partie rozpadały się na coraz mniejsze, tworzyły zwalczające się nawzajem koalicje, tracąc jakiegokolwiek znaczenie na Zachodzie.

Po ucieczce Mikołajczyka PSL przekształciło się w kontrolowane przez komunistów ZSL. Członkowie ZSL potępili „zdrajcę Mikołajczyka”.

Prochy Stanisława Mikołajczyka i jego żony Cecylii w czerwcu ubiegłego roku przeniesiono z grobu w Waszyngtonie do Poznania. Żegnali ich starsi ludzie i ich wnuki, które narzekały na upał.

Doszło do pewnego incydentu. Znaczna część uczestników pogrzebu wrogo przyjęła

przemówienie Jana Marii Rokity (SKL), który wspominał, że nad trumną Mikołajczyka nie wolno zapominać o kolaborantach z ZSL.

lipiec 2001

MIĘDZY ZEMSTĄ A MIŁOŚCIĄ

Prawda leżała daleko. 5 grudnia 1945 r. w Łodzi zastrzelono Bolesława Ścibiorka, działacza opozycyjnego PSL i posła Krajowej Rady Narodowej. Ludowcy podejrzewali, że mord zlecieli komuniści. Komuniści zrzucali odpowiedzialność na NSZ. Po pół wieku okazało się, że wszyscy mijali się z prawdą.

Zamieszczane w prasie nekrologi wskazywały na „skrytobójstwo”, choć każdy zapewne inaczej rozumiał, kto się może kryć pod tym określeniem.

Pierwszy nekrolog opublikowany w „Gazecie Ludowej” stwierdzał: „Zamordowany został przez nieznaną sprawców poseł do Krajowej Rady Narodowej Bolesław Scibiorek”.

Nekrolog Prezydium KRN w „Gazecie Ludowej” informował: „Wybitny działacz ruchu ludowego padł ofiarą mordu skrytobójczego w Łodzi w dniu 5 grudnia 1945 r.”.

Nekrolog NKW PSL w przeddzień pogrzebu mówił: „Zginął w Łodzi od kuli skrytobójczej dnia 5 grudnia 1945 roku”.

Świadkiem mordy był Henryk Kopytko, dwudziestoletni siostrzeniec Bolesława Ścibiorka. Mieszkał razem z nim (zmarł w lutym 1991 r.). Zeznawał:

„Gdy ja otworzyłem drzwi, weszło trzech osobników (...). Zapytali, czy jest Ścibiorek. Odpowiedziałem, że jest. Jeden z nich wyciągnął rewolwer, skierował do mnie, nakazując podnieść ręce. Podniosłem ręce, w tym czasie wszedł wujek i zatrzymał się przy mnie. Dwaj osobnicy skoczyli do niego i razem weszli do pokoju stołowego. Ten co był przy mnie, zażądał dokumentów. Odpowiedziałem, że są w płaszczu na wieszaku w przedpokoju. Wziął te dokumenty i przeglądał je. Po tym przyszedł jeden z tych, którzy weszli do pokoju, i kazał iść z sobą. Przeszliśmy do pokoju sypialnego. Kiedy przechodziliśmy przez stołowy, zauważyłem, że wujek stał w

korytarzu prowadzącym do kuchni, naprzeciwko tego trzeciego osobnika, i słyszałem, jak wujek jakby się tłumaczył, że jest sekretarzem Wici. Po przyjściu do pokoju sypialnego ten co mnie prowadził przeglądał moje dokumenty i zapytał, skąd jestem i co robię. Odpowiedziałem, że jestem w szkole i skąd pochodzę. Następnie zapytał, jaki stosunek łączy mnie ze Ścibiorkiem. Powiedziałem, że jestem jego siostrzeńcem i na to odpowiedział, żebym w jego ślady nie szedł. Po tym oddał mi dokumenty, związał ręce krawatem, który leżał na łóżku, i wyszedł. Usłyszałem strzał, wbiegli tamci obydwaj, zabrali teczkę, zapowiedzieli, żebym żadnego hałasu nie robił, i wyszli. Kiedy wyszli, usłyszałem jeszcze z drugiego pokoju słowa, «że wyrok wykonany» (...). Po wyjściu wszystkich sprawców poszedłem do korytarza, gdzie przed tym widziałem wujka. Zobaczyłem go zabitego. Leżał na wznak w łazience. Rana była na twarzy (...). Cała akcja od chwili wejścia napastników do czasu ich

wyjścia trwała mniej więcej 5 minut (...). Przy odejściu wzięli teczkę. Jaka była jej zawartość nie wiem. Teczka leżała na kozetce".

Kopytko zawiadomił o śmierci wojewodę i milicję.

Wersja oficjalna

Zamordowany Bolesław Scibiorek był znanym działaczem ludowym.

Przed wojną ukończył seminarium nauczycielskie. Uczył w Konstantynowie pod Łodzią, a później w Jeżowie, dokąd został dyscyplinarnie przeniesiony za działalność w Wiciach przez kilka lat był prezesem Zarządu Wojewódzkiego tej organizacji.

W czasie wojny był w Batalionach Chłopskich i w delegaturze rządu na województwo łódzkie. Walczył w Powstaniu Warszawskim.

Po wojnie przystąpił do lubelskiego Stronnictwa Ludowego, organizacji, która w zamyśle komunistów miała przechwycić

wpływy wśród ludowców. Po powrocie do Polski Stanisława Mikołajczyka odrodziły się jednak przedwojenne tradycje ludowe i powstało Polskie Stronnictwo Ludowe, legalna opozycja wobec władz komunistycznych. Kilka tygodni przed swoją śmiercią Bolesław Scibiorek wraz z wieloma innymi ludowcami przeniósł się z lubelskiego SL do mikołajczykow-skiego PSL.

Mord wydarzył się w przeddzień pierwszego ogólnopolskiego zjazdu PPR i kilka dni przed zjazdem wojewódzkim łódzkiego PSL.

Bolesław Ścibiorek znalazł się w centrum walki, jaką komuniści toczyli o przejęcie wpływów wśród chłopów. PSL było w oczach władzy znienawidzoną, reakcyjną partią. Domagało się wolnych wyborów do Sejmu, których obawiali się komuniści. Druga połowa 1945 r. to czas narastającej propagandy wymierzonej w PSL.

W stosunku do Bolesława Scibiorka komunistyczna prasa po jego śmierci

zastosowała jednak zaskakującą taktykę. W odróżnieniu od reszty PSL-owców stał się on dla niej bohaterem pozytywnym. Oficjalna propaganda chciała w nim widzieć ludowca, który po to poszedł do PSL, aby tworzyć w nim lewe skrzydło, dążące do porozumienia z komunistami. Taka wersja odpowiadała tezie o prowokacji politycznej: Ścibiorek miał zginąć z rąk podziemia, ponieważ był zwolennikiem koalicji z komunistami.

Morderców oficjalnie wskazano już dzień po zabójstwie.

Nazajutrz po mordzie minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz wydał wyrok: za zabójstwo odpowiedzialne są Narodowe Siły Zbrojne. Komunikat opublikowany w prasie informował: „NSZ-owskie zbiry stosują ostatnio również jawnie prowokacyjne mordy mające na celu sianie zamętu i wywoływanie konfliktów w obozie demokratycznym. Mord, który miał miejsce w Łodzi w dniu 5 grudnia 1945 r., a mianowicie

zamordowanie znanego działacza, posła do KRN ś.p. Scibiorka Bolesława należy właśnie do rzędu takich prowokacyj".

Po takim zdecydowanym oświadczeniu było oczywiste, że sprawcy, jeśli już staną przed sądem, z pewnością okażą się ludźmi podziemia. Albo nie zostaną nigdy wykryci. Nie mogło się przecież zdarzyć, aby minister bezpieczeństwa się mylił.

Minister zawiadamiał również, że do Łodzi skierowano grupę oficerów śledczych i wyznaczono nagrodę 50 tys. zł dla osoby, która przyczyni się do wykrycia sprawców zabójstwa.

Ten sam komunikat wymieniał kilka innych ostatnio zamordowanych osób - wśród nich PSL-owca Kojdera, dyrektora fabryki i działacza Stronnictwa Demokratycznego Matuszewskiego, komendanta posterunku MO w Wysokiem Mazowieckiem Józefa Marka, instruktora

PPR w Chełmie Stanisława Skorzewskiego. Wszyscy mieli paść z rąk NSZ. Tak zadekretował minister bezpieczeństwa publicznego.

Wersję ministra Radkiewicza wkrótce potwierdził jeszcze wyższy rangą funkcjonariusz komunistycznych władz. Drugiego dnia zjazdu PPR Władysław Gomułka, wówczas wicepremier i generalny sekretarz KC PPR, oświadczył (pod portretem Karola Marksa i swoim):

„Nadeszła do Warszawy wiadomość z Łodzi, że w tajemniczych okolicznościach został zamordowany we własnym mieszkaniu Bolesław Scibiorek, działacz «wiciowy» i poseł do KRN, który niedawno wstąpił do PSL. Ta zbrodnia, podobnie jak szereg innych, świadczy o tym, że ciemne siły reakcyjne, których nici sięgają również za granicę, nie tylko mordują w sposób skrytobójczy dziesiątki działaczy demokratycznych i funkcjonariuszy bezpieczeństwa, lecz chwytają się również

zatrutej broni prowokacji, aby przez zbrodnicze mistyfikacje odwrócić uwagę od prawdziwych sprawców i wywołać zamęt i nieufność w obozie demokratycznym.

Z tej trybuny piętnujemy jak najostrzej te ohydne prowokacyjne metody i wzywamy wszystkich PPR-owców, wszystkie partie polityczne, wszystkich uczciwych obywateli, aby przeciwstawili się próbom zabagnienia i zatrucia naszego życia publicznego sanacyjno-dwójkarskim systemem mordów i prowokacji. W obliczu swego bankructwa reakcja chwyciła się najpodlejszych metod w walce z demokracją. Ścigać będziemy przestępców z całą bezwzględnością, aby wypalić rozżarzoną żelazną ogniską zbrodni. Pokrzyżujemy plany reakcji".

Zgodnie z zapowiedziami aresztowano domniemanych sprawców. Według oficjalnej wersji rozkazodawcą mordu był Wacław Kucikiewicz „Orsza”, żołnierz AK nadal pozostający w podziemiu. Rozkaz wydał

swojemu podkomendnemu, Władysławowi Baranowi. Dwaj pozostali mężczyźni, którzy uczestniczyli w napadzie, to Wiesław Płoński i Bolesław Panek - miał rozpoznać Scibiorka, który był jego wychowawcą w szkole powszechnej.

Ale choć wskazano cztery osoby odpowiedzialne za zabójstwo, dwie główne postacie nigdy nie trafiły jednak w ręce UB. Władysława Barana, który strzelał do Bolesława Scibiorka, zabiła milicja na zabawie wiejskiej. Świadkowie plątali się w zeznaniach, po której stronie walczył wówczas Baran. Wcześniej sam był milicjantem; do MO wstąpił prawdopodobnie na polecenie przełożonych z podziemia. Zwalniając się z milicji, zatrzymał służbowy pistolet i odtąd był poszukiwany.

„Orsza” przepadł bez wieści. Mówiono, że uciekł za granicę, może do Szwecji.

Niecały rok po mordzie, podczas jedenastej, wrześniowej sesji KRN w 1946 r., minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław

Radkiewicz pochwalił się dokonanymi aresztowaniami:

„Dzisiaj mogę zakomunikować Wysokiej Izbie, że sprawcy haniebnego mordu, popełnionego na osobie pośła Bolesława Ścibiorka, zostali przez władze Bezpieczeństwa wykryci i ujęci. (Oklaski.) Wśród aresztowanych znajdują się również bezpośredni wykonawcy, a mianowicie Płoński Wiesław i Panek Bolesław. Wszyscy znajdują się w więzieniu i w najbliższych dniach staną przed sądem Rzeczypospolitej. (Oklaski) Przed sądem stanie też urzędniczka jednej z placówek dyplomatycznych w Warszawie, również obciążona w tej sprawie.

Nie przesądzając przebiegu rozprawy sądowej, mogę już teraz stwierdzić, że mordercy wywodzą się z podziemia reakcyjnego, a mianowicie z jednej z grup dywersyjnych WIN-u i dokonali zbrodni na rozkaz tej organizacji.

Oto co zeznaje Wiesław Płoński, jeden z morderców (czyta): «Dzień czy dwa przed dokonaniem zabójstwa Ścibiorka przyszedł Grom do mnie do mieszkania mojej żony i powiedział, żebym zgłosił się na przedmieście Jeżowa, gdyż mam odbyć spotkanie z komendantem. Udałem się na spotkanie z komendantem, gdzie również byli Lord i Panek Bolesław. Na spotkaniu tym komendant podkreślił fakt, że Ścibiorek wstąpił do PSL i rozpoczął z Mikołajczykiem współpracę tylko w tym celu, żeby im szkodzić i prowadzić rozłam w PSL. Komendant powiedział, że nadszedł czas najwyższy skończyć ze Ścibiorkiem, zastrzelić go, a samemu udać się za granicę».

Drugi wykonawca mordy, Bolesław Panek, zeznaje (czyta): «Gdy weszliśmy do mieszkania pośła Ścibiorka zapytał on nas: Panowie, co ode mnie chcecie. Ja jestem teraz w PSL, jestem posłem do KRN. Ja odpowiedziałem mu: Wiemy, że jesteś w PSL, ale jesteś tam zdrajcą».

Oto tło, okoliczności i sprawcy mordu na pośle Ścibiorku. Wiemy już teraz niezbicie, komu miała przysłużyć się ta zbrodnia i kogo miała osłaniać".

Proces rozpoczął się w listopadzie 1946 r.

5 listopada 1946 r. „Głos Ludu” poświęcił całą pierwszą stronę relacji z procesu morderców Ścibiorka. Tytuł relacji głosił: „Mikołajczyk miał utorować drogę Andersowi. Ścibiorek został zamordowany, bo przeszkadzał w PSL.

Proces morderców przed Sądem Wojskowym w Warszawie”. Jeden ze śródtytułów dodawał: „Ścibiorek musiał zginąć, bo WiN bał się rozłamu w PSL”.

Odredakcyjny komentarz przekonywał: „Zamordowany został wybitny działacz, jeden z założycieli PSL, sekretarz KW tego stronnictwa. Zamordowany został przedstawiciel demokratycznego odłamu stronnictwa, przedstawiciel kierunku, który chciał widzieć PSL jako prawe skrzydło obozu

demokracji polskiej, a nie jako niby «demokratyczny» sztyld reakcyjnego podziemia. Zamordowany został w chwili, kiedy gotował się do wystąpienia przeciwko mikołajczykowskiej polityce, prowadzącej na londyńskie manowce bloku z reakcją i wysługiwania się obcym potęgom".

Oficjalna wersja była więc taka: „Orsza” nakazał zlikwidowanie Bolesława Ścibiorka, bo ten miał dążyć do porozumienia PSL z PPR. Tę wersję potwierdzać miały zeznania napastników.

Wiesław Płoński zeznawał:

„«Orsza» wyjaśnił nam wszystkim, że Ścibiorek to jest stary komunista, że jeszcze przed wojną prowadził organizację młodzieżową «Wici», która była komunistyczna, że to jest człowiek dwulicowy i może przynieść dużo szkody (...). «Orsza» nadmienił mi, że Ścibiorek w czasie wyzwalań terenów Polski spod okupacji niemieckiej, gdy wkraczała Armia Czerwona,

to ubrał czerwoną opaskę - komunistyczną - na pół rękawa, którą prezentował się przed Armią i władzami sowieckimi (...). Na spotkaniu tym «Orsza» podkreślił fakt, że Ścibiorek wstąpił do PSL i rozpoczął z Mikołajczykiem współpracę tylko w tym celu, żeby im zaszkodzić i prowadzić rozłam w PSL. «Orsza» wyjaśnił nam, że Ścibiorek w PSL rozpoczął działalność wywiadowczą na korzyść organizacji lewicowych (...). Dlatego postanowiliśmy dokonać zabójstwa pośła Ścibiorka (zeczaję tak, jak przedstawił nam «Orsza»), że Ścibiorek jest niewygodnym człowiekiem, do PSL wstąpił dlatego, ażeby tam bruździć na niekorzyść PSL, by doprowadzić do zjednoczenia z partiami zjednoczonymi i zrobić rozłam w PSL, że Ścibiorek siedząc na dwóch stołkach szkodził Mikołajczykowi i dlatego dokonaliśmy zabójstwa Ścibiorka".

Podobnym językiem zeznawał Bolesław Panek:

„[«Orsza»] o Ścibiorku mówił nam, że Ścibiorek jest komunistą, że celowo wstąpił do PSL, żeby tam bruździć, donosić bezpieczeństwu, co się w PSL robi, że Ścibiorek w swoich przemówieniach nazywa «NSZ-owców» i «AK-owców» bandytami, Ścibiorek jest mocno człowiekiem niebezpiecznym dla PSL i podziemnych organizacji, że gdyby doszedł do władzy w PSL to działałby na szkodę naszą - t.j. organizacji nielegalnych na terenie kraju. Mówiono nam, że Ścibiorek jako komunista kontaktował się z Moskwą, że starał się spowodować rozłam w PSL, że jest posłem z ramienia PSL, ale nie popiera polityki PSL tylko politykę PPR i PPS, ściśle współpracuje z Rządem Jedności Narodowej i donosi wszystko władzom Bezpieczeństwa (...). Po zabójstwie Ścibiorka Kuci-kiewicz mówił do Barana, Płońskiego i mnie, że sprawa rozwija się pomyślnie, że winę morderstwa PSL zważyło na Bezpieczeństwo".

Na procesie jako świadek zeznawał

wiceminister sprawiedliwości, członek PSL, Tadeusz Rek. Uzasadniał tezę, że Ścibiorka zlikwidowało podziemie na polecenie reakcyjnej części PSL. Rek zeznawał o zbliżającym się zjeździe wojewódzkim PSL, na którym jak twierdził - Ścibiorek miał sprzeciwić się dotychczasowej polityce PSL: „po oswobodzeniu Polski, Ścibiorek stanął do jawnej i legalnej pracy. Był to wielki «grzech» Ścibiorka, tym więcej, że podczas okupacji zajmował on wybitne stanowisko w delegaturze, mianowicie był kierownikiem walki cywilnej na woj. łódzkie i to kierownikiem wyróżniającym się.

W rozmowach było ustalone, że w przemówieniu swoim wyraźnie postawi sprawy, o które nam chodzi, wyraźnie podkreśli niebezpieczeństwo drogi, na którą PSL zaczęło schodzić, mianowicie z jednej strony drogi negacji, z drugiej strony drogi zachwaszczania PSL przez elementy obce, albo wręcz wrogie ruchowi ludowemu.

Że tak było mieliśmy możliwość sprawdzić na «Gazecie Ludowej», która od pierwszych dni i tygodni stanowiła widomy znak tego, że nie jest wszystko w porządku, że PSL wchodzi na drogę dawnej narodowej demokracji, dawnej endecji.

I tę rzecz Ścibiorek miał w Łodzi na zjeździe wojewódzkim poruszyć. Więcej, Ścibiorek miał się uaktywnić, jako na razie zastępca Sekretarza Naczelnego na terenie organizacyjnym w całym kraju, miał wyjeżdżać na większe zjazdy, na wszystkie większe konferencje. I wtedy wyjechał do Łodzi. Zjazd miał się odbyć w krótkim czasie - 2 czy 3 dni potem. Ścibiorek więcej nie wrócił, wtedy nastąpiła śmierć".

Rek był członkiem lubelskiego SL, potem zastępcą sekretarza generalnego i członkiem NKW PSL. „Przed referendum z 30 VI 1946 r. z niewątpliwej już inspiracji PPR i pod naciskiem UB dokonał rozłamu w PSL, tworząc 4 VI 1946 r. nowe stronnictwo pod

nazwą PSL «Nowe Wyzwolenie», które rozpoczęło ścisłą współpracę z PPR i rozbijanie PSL Stanisława Mikołajczyka" - napisano w książce „NKWD i polskie podziemie 1944 1945. Z «teczek specjalnych)) Józefa W. Stalina".

13 listopada 1946 r. na pierwszej stronie „Głosu Ludu" znalazły się dwie główne informacje. Pierwsza to komunikat o wyborach dzień wcześniej Krajowa Rada Narodowa postanowiła, że pierwsze powojenne wybory do Sejmu odbędą się w styczniu następnego roku. Druga to informacja o wyroku, jaki wydał sąd w procesie o zabójstwo na Ścibiorku.

Podczas procesu „Głos Ludu", organ PPR w 1948, połączony z PPS-owskim „Robotnikiem", dał „Trybunę Ludu" informował na pierwszej stronie: „Sąd stwierdził: Ścibiorka zamordowało podziemie w interesie i na zamówienie reakcji działającej legalnie. Bezpośredni wykonawcy skazani na śmierć".

Gazeta relacjonowała uzasadnienie wyroku:

„Po przyjeździe wicepremiera Mikołajczyka do kraju i stworzeniu Rządu Jedności Narodowej prowadzone były prace nad doprowadzeniem do jedności ruchu ludowego. Do zjednoczenia jednak nie doszło. Powstało Polskie Stronnictwo Ludowe, po utworzeniu którego w łonie SL zarysowała się różnica poglądów w sprawach taktycznych i organizacyjnych. Znalazło to wyraz w wystąpieniu z SL tzw. grupy Bańczyka, w skład której wchodził: Ścibiorek, Drzewiecki i inni.

Grupa ta, przechodząc do PSL, żywiła przekonanie, że wzmocni tam elementy demokratyczne, chłopskie i łącznie z nimi spowoduje wejście całego PSL na drogę pozytywnej pracy państwowej oraz lojalnej współpracy ze stronnictwami demokratycznymi. W tej pracy Ścibiorek odgrywał rolę istotną, a nawet kierowniczą.

W kierownictwie PSL przeważało jednak ugrupowanie reakcyjne, nastawione negatywnie do współpracy z Rządem

Jedności Narodowej -powinno być [ono] zmienione.

W związku z zapowiedzianym zjazdem PSL w Łodzi Ścibiorek przygotowywał się do wystąpienia na tym zjeździe, celem ostrzeżenia chłopów o niebezpiecznej drodze, jaką wybrało kierownictwo PSL, które spycha ruch ludowy na drogę negacji. Sprawy te miał Ścibiorek poruszyć również na zjazdach organizacyjnych w całym kraju. W tym celu wyjechał do Łodzi, skąd już nie powrócił.

Ta świetlana w ruchu ludowym postać śp. Ścibiorka była znienawidzona przez reakcję, zarówno zgrupowaną w bandach dywersyjno-sabotażowych, jak też działającą pod legalnym płaszczykiem PSL".

Prokurator Holder mówił według relacji „Głosu Ludu” - że „oskarżenie z zadowoleniem stwierdza całkowitą jednomyślność i zgodność opinii tak urzędu prokuratorskiego, jak i obrony, w części dotyczącej przygwożdżenia insynuacji i oszczerstw systematycznych pod

adresem władz państwowych w okresie po zabójstwie śp. Ścibiorka".

Wersja opozycyjna

Poza komunistami nikt przy zdrowych zmysłach zapewne nie uwierzył w wersję oficjalną, według której Bolesława Ścibiorka zlikwidowało podziemie. To przecież wydawało się bezsensowne: Ścibiorek był od dawna znanym działaczem ludowym.

To był mord polityczny, uznała wówczas opozycyjna prasa.

Śmierć Bolesława Ścibiorka znalazła się na pierwszych stronach gazet. Najostrzejsze teksty w Polsce publikowała „Gazeta Ludowa”, organ PSL.

Ton tych publikacji może dziś nawet zaskakiwać. Ten okres kojarzy się czytelnikowi z ostrą komunistyczną propagandą i wszechwładną cenzurą. Ale pod koniec 1945 r. prasa sprawiała jeszcze wrażenie stosunkowo wolnej. Publikacje

„Gazety Ludowej” były znacznie ostrzejsze niż to, co można było przeczytać ledwie dwa, trzy lata później. Były nawet odważniejsze niż publikacje w latach 60. czy 70.

Kolejne teksty „Gazety Ludowej” nie mówiły tego wprost, ale między wierszami bez trudu dawała się wyczytać sugestia, że sprawcami mordu na Bolesławie Ścibiorku nie byli ludzie podziemia.

„Gazeta Ludowa” zamieściła tekst przemówienia Stanisława Mikołajczyka, który tuż po śmierci Bolesława Ścibiorka przyjechał na zjazd

PSL w Łodzi: „Przyjeżdżam do Was zaledwie w kilka dni po okropnej wiadomości, jaka nas doszła o zamordowaniu kolegi Bolesława Scibiorka (...). Natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości udaliśmy się na Radę Ministrów i oświadczyliśmy, że nie możemy wziąć udziału w tym posiedzeniu i prosimy o zwolnienie nas z obowiązku dyskusowania spraw może ważnych, ale drobnych w porównaniu z tym,

co się stało (...).

Po zjeździe krakowskim zniknął bez śladu kolega Kojder. Uplłynęło już kilka tygodni bez żadnej wiadomości. Nieznane nam są wyniki śledztwa.

Jestem szczery, chciałbym stwierdzić, że krwi polskiej i istnień ludzkich w tej wojnie zginęło tyle, że jest zbrodnią potworną wobec narodu i państwa odbieranie życia tam, gdzie nie stoi za tym wyrok niezależnego sądu Rzeczypospolitej".

Uroczystości pogrzebowe zaczęły się w Łodzi, skąd trumnę przewieziono do Łaznowa, rodzinnej wsi Bolesława Scibiorka. „Gazeta Ludowa” zapowiadała: „Przewiduje się, że kondukt pogrzebowy, który przejdzie z katedry łódzkiej ul. Piotrkowską do Placu Wolności, przyjmie charakter wielkiej manifestacji żałobnej. Jedynie wielki mróz mógłby wpłynąć hamująco na udział tłumów w nabożeństwie i pochodzie żałobnym”.

Zmarłego symbolicznie żegnały wszystkie ugrupowania polityczne trumnę poprzedzały wieńce od prezydenta Bolesława Bieruta, Wojewódzkiej Rady Narodowej, Miejskiej Rady Narodowej, prezydenta Łodzi, NKW PSL, Zarządu Głównego Wici, CK PPR, wojewódzkiego Komitetu PPS, Wojewódzkiego Zarządu Stronnictwa Demokratycznego.

Na pogrzebie minister Ludowicz Wycech mówił jednak ostro: „Wszystkie te i t.p. mordy polityczne, uderzające w nas czy cały obóz demokratyczny, mają na celu sterroryzowanie demokracji polskiej. Pragnę oświadczyć, że celu swego zbrodniarze nie osiągnęli”.

Dla PSL-owców było bowiem oczywiste, że sprawcami mordu są komuniści.

Po latach doliczono się ponad stu działaczy PSL, którzy mieli paść z ręki władz bezpieczeństwa. Wśród nich zawsze wymieniano trzech najśłynniejszych: Bolesława Ścibiorka, Narcyza Wiatra

„Zawojnę” i Władysława Kojdera. Ci trzej zginęli w 1945 r.

Narczyz Wiatr „Zawojna” przed wojną organizował strajk chłopski na Podbeskidziu, za co trafił do Berezy Kartuskiej. W czasie wojny był komendantem Batalionów Chłopskich. Po wojnie nie ujawnił się. W kwietniu 1945 r. zastrzeliło go UB na krakowskich Plantach. W 1996 r. rozpoczął się proces Stanisława P., który wówczas miał podczas obławy strzelać do „Zawojny”. Proces zawieszono ze względu na stan zdrowia oskarżonego

Władysław Kojder od końca lat 20. działał w Związku Młodzieży Wiejskiej Wici - od 1938 r. był prezesem Wici we Lwowie. Podczas wojny był pełnomocnikiem kierownika krakowskiego obwodu Stronnictwa Ludowego „Roch” w środkowej Małopolsce. Po wojnie nie udzielił poparcia Rządowi Tymczasowemu. Został wybrany na członka NKW PSL. We wrześniu 1945 r. nieznani mężczyźni uprowadzili go z

jego domu w rodzinnej wsi, zginął zastrzelony w lasach głogowskich. Sprawców nie wykryto do dziś.

Dwa miesiące później zastrzelono Bolesława Ścibiorka.

Nastroje wśród PSL-owców najlepiej oddaje książka Stefana Korbońskiego „Kardynał z Kremla”. Wydawana na Zachodzie i w podziemiu uniknęła komunistycznej cenzury. Pod datą 7 XII 1945 r., dwa dni po śmierci Bolesława Ścibiorka, Stefan Korboński zanotował:

„Jatki są w pełnym toku. Kraj coraz bardziej przypomina rzeźnię. Przedwczoraj zamordowano w Łodzi Bolesława Ścibiorka, który w Krakowie podpisał 7.11 akt połączenia lubelskiego Stronnictwa Ludowego z naszym. Został zastrzelony o godzinie 10.00 wieczorem we własnym domu. Ten już zapłacił rachunek za przejście do opozycji. Ale to nie wszystko, bo i w ten sam sposób został zabity 23.11 w Krasnym-stawie kawaler Virtuti

Militari, major B.Ch. Stanisław Sokołowski, wsławiony uwolnieniem w dniu 20.09.1943 roku z więzienia w gestapo w Krasnymstawie trzystu więźniów.

Powiększyli oni listę naszych zamordowanych działaczy, na której na pierwszym miejscu figuruje: Narcyz Wiatr Zawojna, komendant B. Ch. na Małopolskę, także kawaler Virtuti Militari, zastrzelony przez bezpiekę w biały dzień na Plantach krakowskich, a na drugim miejscu Władysław Kojder, zabity przez majora Sobczyńskiego w lesie obok rodzinnej wsi. Za nimi idą zamordowani w Bochni: Stanisław Mariasz, Wojciech Kaczmarczyk, działacz wiciowy Józef Kołodziej i Władysław Kukieł.

Dalej zastrzeleni: Józef Łempicki z powiatu bielskiego, Jan Jarotek i Józef Szydłowakis z Łopanowa i inni.

Rzuca się w oczy jawność tych morderstw. Przyjeżdżają miejscowi ubecy, dobrze znani

całej ludności, i bądź to zabijają ofiarę na oczach rodziny, bądź prowadzą ostentacyjnie przez wieś czy miasteczko, a później strzelają w pobliżu. Niektóre wypadki wskazują, że ubekom wyraźnie zależało na tym, by ludność wiedziała, że oni są zabójcami. Celu tego nie trudno odgadnąć: chęć wzbudzenia postrachu przez bezpieczeńkę, no i terror jako podstawa systemu rządzenia. Nie przeszkodziło to jednak Radkiewiczowi w wydaniu wczoraj komunikatu, w którym stwierdził, że Scibiorka i Kojdera zamordowały «zbiry z podziemia». Ba, nawet wyznaczył nagrodę za wykrycie sprawców, w kwocie 50 tysięcy złotych. Ma prawo ją sam zainkasować.

W rezultacie ludność boi się bezpieki jak ognia, ale nienawidzi jej jeszcze bardziej. Nazywają «czerwone gestapo» i gdzie się da, tam resztki podziemia stosują odwet".

Na swojej liście 118 PSL-owców zabitych przez bezpieczeńkę Stefan Korboński umieścił Bolesława Scibiorka pod numerem 30.

Podczas wrześniowej sesji KRN minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz atakował kampanię propagandową PSL. PSL--owcy składali interpelacje dotyczące śmierci Bolesława Scibiorka, żądali stworzenia specjalnej komisji, która miała zająć się sprawą zabójstwa. Na Zachodzie pojawiły się informacje, że ludowca zabili ubecy. Stanisław Mikołajczyk domagał się rozbrojenia członków PPR, powołania komisji rządowej, która zajęłaby się stanem bezpieczeństwa kraju. Stanisław Radkiewicz, relacjonując tę kampanię, jednocześnie atakował:

„Doceniając polityczny charakter mordu, oświadczyłem wówczas (6 XII 1945 r.), że sprawców morderstwa należy szukać w reakcyjnym podziemiu, ponieważ tego rodzaju prowokacje są dokonywane celem siania zamętu w obozie demokratycznym.

Polskie Stronnictwo Ludowe zajęło wówczas odmienne stanowisko i poprowadziło w całym

kraju intensywną kampanię insynuowania władzom Bezpieczeństwa udziału w morderstwach działaczy PSL albo wręcz dokonywanie takich morderstw. Uruchomiony został szeroki aparat propagandy szeptanej, preparowano w tym duchu interpelacje, w partyjnych komunikatach wciąż wracano do oskarżania władz Bezpieczeństwa o dokonanie mordu na osobie Ścibiorka. Należy podkreślić, że WIN-owicze podziemie reakcyjne rozwinęło identyczną kampanię. Echa tej akcji rozległy się nawet w parlamencie angielskim, w którym minister Bevin złożył oświadczenie niedwuznacznie obciążające władze Bezpieczeństwa odpowiedzialnością za mord na osobie Ścibiorka. W sukurs kampanii PSL-owskiej przyszedł minister amerykański, p. Byrnes, który w lutym b.r. oświadczył, że: «ostatnie raporty wskazują na to, że w Polsce dokonano szeregu morderstw, których ofiarą padli również wybitni członkowie partyj politycznych... Jest pożałowania godne, że

polskie władze Bezpieczeństwa wydają się być w to za-mieszane».

W sierpniu b.r. Polskie Stronnictwo Ludowe zgłosiło specjalną interpelację w sprawie morderstwa Bolesława Ścibiorka, w której autorzy całkiem niedwuznacznie podają w wątpliwość dobrą wolę władz Bezpieczeństwa i starają się wytworzyć opinię, jakoby władzom Bezpieczeństwa nie zależało na wykryciu zbrodniarzy.

W całej akcji PSL wokół zbrodni zamordowania pośła Ścibiorka uderza wyraźna tendencja odwrócenia uwagi od środowiska reakcyjnego i próba skierowania podejrzeń w kierunku obozu demokratycznego albo wręcz w kierunku władz Bezpieczeństwa".

Kiedy Stanisław Radkiewicz zakończył swoje przemówienie słowami: „Oszczercza kampania wymierzona przeciwko obozowi demokratycznemu została przygwożdżona. Sąd publiczny nad mordercami śp. Ścibiorka będzie również sądem nad tymi oszczercami",

poseł Bańczyk z PSL oświadczył: „Wysoka Rado! W tej sprawie chciałbym złożyć oświadczenie, lecz niestety na plenum, wobec gości i wobec prasy nie mogę go złożyć. Dlatego proszę tylko o wyłonienie specjalnej komisji do zbadania tej sprawy, a tam złożę oświadczenie i zakomunikuję rzeczy, które w tej sprawie są mi wiadome. (Przerywania. Głosy: Nie ukrywać bandytów, otwarcie mówić!)

Ob. Prezydent: Proszę się nie denerwować. Zgodnie z oświadczeniem Ministra Bezpieczeństwa Publicznego sprawa będzie rozpatrywana przez sąd Rzeczypospolitej”.

Specjalnej komisji nie powołano, w PSL-owskich kręgach wiadomo jednak było, że Bańczyk żąda tajnej komisji, aby rozstrzygnąć, czy w zbrodni uczestniczył Urząd Bezpieczeństwa.

Do oświadczenia posła nawiązał 14 listopada 1946 r. emigracyjny „Dziennik Polski i

"Dziennik Żołnierza". Tu już można było pisać wprost, a nie między wierszami. „Dziennik...” pytał: „Kto zabił Scibiorka? Bezpieka i rosyjskie NKWD mogłyby tę zagadkę wyjaśnić”. Jeden ze śródtytułów brzmiał: „Mord wyłącznie w interesie PPR”.

„Dziennik...” opisywał: „Na kilka godzin przed morderstwem do mieszkania Scibiorka przyszła milicja i funkcjonariusze Bezpieki i zbadali dokładnie rozkład mieszkania. W czasie samego mordu władze policyjne wyłączyły telefon Scibiorka, aby nie można było wzywać pomocy.

Te fakty wyraźnie świadczą o udziale władz bezpieczeństwa w zabójstwie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Szukając motywu dla tej zbrodni, stwierdzamy, że wyłącznie w interesie komunistów leżało usunięcie Scibiorka.

Scibiorek wystąpił w 1945 r. ze stworzonego przez komunistów Stronnictwa Ludowego,

pociągając za sobą najczynniejszych działaczy ludowych. Jego wystąpienie wywołało głęboki kryzys w wiejskim sektorze PPR i z tego kryzysu Stronnictwo Ludowe już się nie podniosło. Z wielkiej organizacji ludowej SL stało się nic nieznaczącą grupką reżymowych «kadzichłopów», bez najmniejszego wpływu w terenie. Gorzej - Scibiorek po objęciu sekretariatu PSL zaczął prowadzić niesłychanie energiczną kampanię, zmierzającą do likwidacji żałosnych resztek SL, a także dążył do rozbicia okręgów wiejskich PPR, korzystając ze swoich wielkich wpływów wśród młodzieży wiejskiej.

Występując z SL, Scibiorek pociągnął za sobą całą organizację młodzieży wiejskiej «Wici», połączył ją z t.zw. grupą o orientacji londyńskiej i całe połączone «Wici» znalazły się od tej chwili pod wyłącznym wpływem PSL.

Scibiorek, który należał poprzednio do twórców SL, brał udział we wszystkich najpoufniejszych konferencjach PPR i znał

wszystkie ciemne sekrety i plany komunistów. Po jego przejściu do PSL PPR mogło dojść do wniosku, że Ścibiorkowi należy zamknąć usta, aby nie mógł tych tajemnic ujawnić.

Jedynie w interesie PPR leżało usunięcie Scibiorka. PSL z jego przystąpienia wyciągnęło olbrzymie korzyści polityczne i nonsensem jest przypuszczenie, aby właśnie ono miało dążyć do usunięcia go. Gdyby PSL nie miało do niego zaufania, nie powierzyłoby mu najważniejszej funkcji sekretarza generalnego, a przede wszystkim nie tolerowałoby go w Stronnictwie. Tylko PPR miał interes, aby zlikwidować Scibiorka i tylko w łonie tej partii oraz zbrodniczej Bezpieki mogły powstać plany mordu.

W całej tej ciemnej i tajemniczej sprawie uderza jedna rzecz. Otóż przywódcy PSL parokrotnie chcieli wyjaśnić kulisy mordu przy drzwiach zamkniętych, podczas gdy komuniści domagali się zawsze publicznego wystąpienia z posiadanymi przez PSL

dowodami. PSL odmawiało jednak zawsze publicznego wystąpienia. To dziwne zachowanie się przywódców PSL powtórzyło się także na rozprawie. Prokurator usiłował skłonić wiceprezesa PSL Bańczyka do publicznego wyjaśnienia sprawy, ale Bańczyk odmówił.

To zagadkowe zachowanie się przywódców PSL da się wyjaśnić tylko w jeden sposób. W sprawę zabójstwa Scibiorka musi być zamieszane także rosyjskie NKWD. Jest rzeczą jasną, że wystąpienie któregokolwiek z przywódców PSL z zarzutami przeciw Rosjanom, że mordują oni działaczy ludowych w Polsce, byłoby równoznaczne z podpisaniem wyroku śmierci na całe Stronnictwo, musiałoby spowodować likwidację i wytępienie Stronnictwa. Tylko tym można wytłómaczyć [tak w oryginale P.L.], dlaczego przywódcy PSL nie mogą wystąpić z publicznym oświadczeniem i dlaczego właśnie komuniści chcą ich do takiego wystąpienia sprowokować.

Udział rosyjskiego NKWD w morderstwie Scibiorka można wytłómaczyć tym, że Scibiorek, z natury bardzo nieopanowany, wystąpił kilkakrotnie ostro przeciw sowieckiej okupacji Polski, a nawet w czasie pobytu delegacji młodzieżowych organizacji polskich w Moskwie w charakterze gości sowieckiego Komsomołu wywołał niebywały skandal, występując w samej Moskwie z żądaniem, aby wojska sowieckie wyniosły się z Polski. Ten incydent moskiewski prawdopodobnie przypieczętował jego los i zdecydował o jego tragicznym końcu".

Przez cały czas istnienia PRL utrzymywały się dwie wersje śmierci Bolesława Scibiorka: oficjalna i opozycyjna.

W połowie lat 80. w wydanej w podziemiu książce „Te pokolenia żałobami czarne...” Maria Turlejska (występująca wówczas pod pseudonimem Łukasz Socha) powtórzyła wersję opozycyjną. A nawet ją rozwinęła o nowe, istotne szczegóły. Napisała:

„Dziś nie ulega chyba wątpliwości, że grupę «Orsza» zorganizowały władze bezpieczeństwa w Skierniewicach w celu zabójstwa Scibiorka, który wtedy był nauczycielem w miejscowości koło Skierniewic. Wiadomo nam o przyznaniu się do udziału w morderstwie jednego z członków grupy (pracującego w łódzkim UB), który 20 lat później opowiedział o tym po pijanemu; był wówczas kurierem dyplomatycznym w MSZ”.

Wersja ostateczna

W latach 90. Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wszczęła śledztwo w sprawie mordu na Bolesławie Ści-biorku. Było to jedno ze śledztw związanych z niewyjaśnionymi dotąd w pełni zabójstwami działaczy PSL. Komisja zapytała panią profesor, dlaczego tak napisała, ale Maria Turlejska nie знаła żadnych szczegółów - coś tam kiedyś usłyszała od Ignacego Logi-Sowińskiego, który po wojnie był w Łodzi pierwszym

sekretarzem PPR.

Komisja przesłuchała więc Logę-Sowińskiego, który powiedział:

„Znałem Bolesława Scibiorka osobiście z kontaktów międzypartyjnych i nawet towarzyskich. Był to bardzo uroczy pan. Poglądy miał lewicowe. Ja będąc w Warszawie w czasie wojny wiedziałem, że w ruchu ludowym, jak mi się wydaje «Roch», działał Scibiorek. Wiedziałem

o tym od osoby prowadzącej kolportaż prasy ludowej i od niej otrzymywałem egzemplarze. Ze Scibiorkiem zetknąłem się dopiero po wojnie w Łodzi (...). Scibiorek był poglądów lewicowych, ale gdy wrócił Mikołajczyk, wstąpili do PSL, bo nie byli nigdy związani z SL «Wola Ludu». O śmierci Scibiorka dowiedziałem się będąc w Warszawie na Zjeździe PPR. Był to Zjazd 4 grudnia 1945 r. Zawiadomił mnie Zambrowski, że został zamordowany Scibiorek, sondował mnie, czy mogła to być wewnętrzna rozrachunkowa

sprawa w ruchu ludowym. Odpowiedziałem, że absolutnie nie, bo znałem tych ludzi. Wykluczam całkowicie, aby zrobili to ludowcy jako rozgrywka czy odwet, ale nie wiem za co. Wykluczam również, aby zrobił to ktoś z UB. Moczar nie poszedłby na to, Scibiorek miał dobre kontakty z Moczarem, szefem WUBP w Łodzi. Ścibiorek był bardzo układnym człowiekiem i dobrze

i kulturalnie się z nim pracowało. Jako sekretarz PPR spotykałem się w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, były w tym czasie zupełnie inne stosunki, niepodobne do późniejszych, przychodziliśmy do siebie, rozmawiali. Był to dla mnie osobisty szok, zabójstwo Scibiorka. Moczar o zabójstwie również dowiedział się będąc w Warszawie. Był bardzo przybity".

Już podczas procesu wiadomo było, że nie żyje - zastrzelony na zabawie wiejskiej w Białyninie - Władysław Baran, który strzelał do Bolesława Scibiorka. Wciąż jednak nie

wiadomo było, co dzieje się z „Orszą”.
Niektórzy podejrzewali, że uciekł za granicę.
Plotkowano, że wyjechał do Szwecji.

W grudniu 1950 r. jego zwłoki wygrzebały z
ziemi psy.

Karol Maciaszek od listopada 1948 roku
pracował w WUBP w Łodzi w Wydziale
Śledczym. „Nie pamiętam dokładnie, ale w
lutym lub w marcu 1950 r. byłem
oddelegowany do pracy w PUBP w
Skierniewicach - zeznawał w czasie śledztwa
w latach 90. - Tam prowadziłem postępowanie
przeciwko Janowi Chlebowskiemu, który
został w kwietniu lub maju 1950 r. zatrzymany
za posiadanie broni. W trakcie (...) śledztwa
opowiedział, że należał do bandy «Orszy»
Kucikiewicza. Mówił, że dokonali napadu na
konwojentów i zabrali pieniądze, które
«Orsza» podzielił niesprawiedliwie. Wtedy
Chlebowski miał się zdenerwować i zastrzelić
«Orszę»; podobno było to w październiku
1949 roku. W czasie śledztwa przeciwko

Chlebowskiemu, ten mówił mi, że «Orsza» w czasie okupacji był związany z posłem Bolesławem Scibiorkiem, że Scibiorek był przełożonym «Orszy». Chlebowski też mówił, że słyszał, iż «Orsza» brał udział w zabójstwie Scibiorka, że w tym zabójstwie brały też udział trzy osoby. Ale ja już nie pamiętam szczegółów z tego co mówił mi Chlebowski na temat zabójstwa Scibiorka, on sam tylko o tym słyszał".

Od innej osoby, emerytowanego nauczyciela, Maciaszek kiedyś usłyszał, że Kucikiewicz był po wojnie namawiany przez Scibiorka, aby zerwał z bandytyzmem. Za to „Orsza", aby pozbyć się świadka swoich bandyckich wyczynów, zabił Scibiorka.

Jana Chlebowskiego „Kunę" skazano na 12 lat więzienia.

Jakie były stosunki między Scibiorkiem a „Orszą" w czasie wojny? To pytanie pomijano podczas toczącej się w 1946 r. sprawy. Odpowiedź nie pasowałaby do tezy, że

„Orsza” postanowił zlikwidować Ścibiorka, kiedy ten wstąpił po wojnie do PSL.

Odpowiedź jednak można było znaleźć w ówczesnych aktach sprawy. Główna Komisja... zwróciła uwagę na zeznania Heleny Kucikiewicz, żony Wacława Kucikiewicza „Orszy”. W czasie procesu przebywała ona w więzieniu. Prokurator zrezygnował z przesłuchiwania jej w sądzie. Zeznania złożone w śledztwie uznano za odczytane, czyli w praktyce pozostały w aktach sprawy, mogły je poznać strony procesu, ale już nie publiczność.

Helena Kucikiewicz zeznała w 1946 r.:

„W 1942 r. między moim mężem a Scibiorkiem powstała nienawiść, następnie mąż wystąpił z organizacji, w której był Ścibiorek, wstąpił do oddziału dywersyjnego organizacji AK, gdzie objął stanowisko dowódcy oddziału dywersyjnego pod pseudonimem «Orsza» (...). Kiedy pytałam się

swego męża, podówczas narzeczonego, dlatego zerwał stosunki ze Scibiorkiem, odpowiadał mi, że Ścibiorek jest zarozumiały i chce za bardzo mądrym być (...). Wiem, że «Orsza» i Ścibiorek w początkach okupacji pracowali w organizacji konspiracyjnej; na tle ich pracy «Orsza» poróżnił się ze Scibiorkiem, to było przyczyną nieprzyjaźni i naprężonych stosunków między nimi".

Fragmenty tych zeznań powtórzył w mowie obrończej mecenas Szulborski. „Gazeta Ludowa" relacjonowała:

„Nie możemy ustalić motywów przestępstwa ze strony «Orszy» Kucikiewicza, podkreśla z naciskiem adw. Szulborski. Nie ujawniono bowiem w toku przewodu takiego motywu i celu, w którym on chciałby usunąć Scibiorka i który by kierował oskarżonymi. Pierwsza rozmowa Orszy-Kucikiewicza przeciwko Ścibiorkowi miała miejsce w maju 1945 r. Wtedy się nikomu nie śniło o PSL ani o przyjazdach z Londynu. I wtedy już

Kucikiewicz zaczyna siać nienawiść, przekonywuje Płońskiego o szkodliwości Ścibiorka i Płoński zaczyna w to wierzyć i znajduje się odtąd w trwałym stanie uniesienia".

Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu odnalazła Henryka Babczenkę, w 1946 r. funkcjonariusza łódzkiego UB. Zdradził on wiele nieznanych dotąd szczegółów związanych z mordem na Bolesławie Ścibiorku, uczestniczył bowiem w niektórych czynnościach związanych ze śledztwem. Mówił:

„Ja z nazwiskiem Ścibiorek zetknąłem się dopiero po jego śmierci, bo był wielki pogrzeb w Łodzi. Wcześniej nie wiedziałem, że taki istnieje. Nie znałem i nie miałem pojęcia, że istnieje oddział «Orszy», nie znałem Kucikiewicza, Panka, Płońskiego, Barana, ani innych z jego oddziału. Z Pankiem zetknąłem się dopiero w sierpniu 1946 r. Dostałem polecenie ustalenia jego i ewentualne

aresztowanie, ale o tym będę mówił później. Wracając do Ścibiorka. Po jego śmierci w Łodzi krążyły różne pogłoski odnośnie zabójców. Mówiono, że zabiło go UB, SL, być może że wspomniano również PSL, ale dokładnie nie pamiętam. W Urzędzie natomiast było całkowite zaskoczenie jego śmiercią. Mówię o szeregowych pracownikach. Wiem, że koledzy dostali polecenie obserwowania ludzi na pogrzebie, działała stara zasada, że przestępca przychodzi na pogrzeb ofiary. Była diabelna konsternacja, dlaczego i jak to się stało. Nikt nie dopuszczał myśli, że mogli tego dokonać funkcjonariusze UB. Nie wiem, czy było prowadzone jakieś śledztwo, mówię o swoich wiadomościach z tamtego okresu. Potem jak powiedziałem w sierpniu 1946 r. dostałem adres przy ul. Nawrot chyba, nazwisko osoby, u której miał mieć melinę Panek Bolesław, podejrzany o współuczestnictwo w zabójstwie Ścibiorka. Wtedy dowiedziałem się, że był on uczniem Ścibiorka. Dostałem rysopis, za

uchem miał ślad po operacji. Gdy prowadziłem obserwację, wyszedł człowiek odpowiadający rysopisowi, koło Kilińskiego aresztowałem go i przywiozłem do Urzędu (...). Przypominam sobie, że było to wczesną wiosną 1946 r. dostałem polecenie aresztowania «Orszy» Kucikiewicza, powiedziano nam, że jest to związane ze śmiercią Scibiorka. Pojechało nas do Jeżowa kilku funkcjonariuszy. Nie udało się zatrzymać, albo uciekł, albo go w ogóle tam nie było".

Henryk Babczenko później interesował się sprawą śmierci Scibiorka. Uznał, że sprawie nadano zbyt polityczny charakter. „Dlatego że w uzasadnieniu wyroku w sprawie Panka i innych mówi się, że mord na B. Scibiorku był mordem politycznym dokonany z inspiracji, na polecenie sił tkwiących w PSL. W materiale sprawy natomiast nie znalazłem najmniejszego nawet śladu. Natomiast wynikało, że mord był dokonany z zemsty osobistej «Orszy» na tle jakichś nieporozumień w czasie wojny i po niej (...).

Doszedł awans społeczny Scibiorka. Jeden ze świadków zeznał, że «Orsza» był zdolny zniszczyć człowieka. Z akt wiem też, że pierwszy raz «Orsza» zasadził się na Scibiorka w Jeżowie we wrześniu, nie pamiętam z jakich powodów (...). Według mnie Scibiorek z «Orszą» nie spotkali się po wyzwoleniu. «Orsza» był zwykłym sklepikarzem, a Ścibiorek był na świeczniku Sekretarza Generalnego PSL. Ścibiorek był w AK. Ale nie jest to pewne. Nie wiem na pewno, jaka to była organizacja. W aktach znalazłem zeznania świadka /nazwiska nie pamiętam/, chyba to był zastępca Ścibiorka i zwrócił się on do dowódcy Rejonu, terenu AK w Województwie Łódzkim o zakaz pojawiania się «Orszy» na tym terenie, bo inaczej zostanie na nim wykonany wyrok śmierci za napady na rolników".

Dziś żyje tylko jedna osoba, która pojawiła się wówczas na sali sądowej. To Hieronim Królikowski. W 1946 r. miał 34 lata, był nauczycielem gimnazjalnym. W czasie wojny

Bolesław Ścibiorek wciągnął go do Batalionów Chłopskich. Hieronim Królikowski nadal mieszka w Łodzi. Kiedy rozmawiamy, siedzi na tle ściany oklejonej historią: odznaczenia, zdjęcia sprzed półwiecza, fotokopia książeczki wojskowej.

Kiedy usłyszał o śmierci Bolesława Ścibiorka, sam zgłosił się do UB. Przewieziono go na przesłuchania do Warszawy.

Hieronim Królikowski opowiada:

- Znałem Ścibiorka, kiedy był jeszcze dyrektorem szkoły podstawowej w Jeżowie. Podczas wojny był przedstawicielem Delegatury Rządu Londyńskiego na Okręg Łódzki. Znałem też Wacława Kucikiewicza „Orszę”. Działał w AK obwodu skierniewickiego. Ale był bardzo niezdyscyplinowany. Prowadził podwójną działalność: walczył z Niemcami, ale też napadał na chłopów i ich grabił. Postanowiono go zlikwidować. Nie udało się. Bolesław Ścibiorek wiedział o jego działalności.

Zapowiedział mu, że jeśli pojawi się na naszym terenie, zostanie zlikwidowany. Od tej pory „Orsza” go znienawidził.

Po wojnie „Orsza” likwidował świadków swojej bandyckiej działalności. Zabił małżeństwo Chrząszczów, u których na wsi ukrywał się podczas wojny - wiedzieli wiele o jego działalności. Powiesił w lesie Żydówkę, która podczas okupacji ukrywała się u Chrząszczów. Ożenił się z Heleną Makowską i otworzył sklep w Jeżowie. Podobno to, co w dzień sprzedał, w nocy rabował.

Pewnie więc „Orsza” zlikwidował Bolesława Ścibiorka z zemsty i obawy, że ten wyjawia jego przestępczą działalność. Z polityką nie miało to nic wspólnego. Swoich podkomendnych oszukiwał, mówiąc, że Ścibiorek jest komunistą i zagraża PSL. A to były młode chłopaki, łatwo uwierzyły.

Podczas procesu nikt nie zwrócił uwagi na jedno zdanie, które w śledztwie wypowiedziała

Helena Kucikiewicz, żona „Orszy”:

„Złe stosunki wzajemne między «Orszą» a Ścibiorkiem powstały na tle wspólnej pracy w konspiracji i to przed okresem (około półtora roku wstecz) mojej bliższej znajomości ze Ścibiorkiem”.

Jakie to były bliższe stosunki? I jak mogły zaważyć na stosunku Ku-cikiewicza do Scibiorka?

Henryk Babczenko, funkcjonariusz UB, zeznawał:

„Późniejsza żona Orszy «chodziła» wcześniej ze Ścibiorkiem”.

A Hieronim Królikowski opowiadał:

„Jeszcze w czasie wojny, kiedy Ścibiorek był kierownikiem szkoły i prowadził tam bibliotekę w szkole, po książki przychodziła też dziewczyna «Orszy». Ludzie mówili, że Ścibiorek z nią romansował. «Orsza» był tym dotknięty”.

Czy zazdrość była jednym z powodów mordu na Bolesławie Ścibior-ku? Nigdy już tego się nie dowiemy. Trzy postaci miłosnego dramatu już nie żyją.

Po kilku latach śledztwa, w sierpniu 1995 r., prokuratura postępowanie umorzyła. Uzasadnienie: wobec powagi rzeczy osądzonej. Oznaczało to, że wyrok wydany w latach 40. skazywał rzeczywistych sprawców mordu. Tym samym odrzucono wersję PSL-owskiej opozycji, że za mordem stał Urząd Bezpieczeństwa. Ale ustalono też, że z prawdą mijali się również komuniści: mordercy działali z innych powodów, niż przyjmowały władze.

kwiecień 2004

KRWIĄ I BŁOTEM

Czterdzieści pięć lat temu, 19 listopada, skazano Kazimierza Pużaka,

aby powstać mogła Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Kazimierz Pużak, przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej, w dniu śmierci w więzieniu słuchał podobno powieści Romain Rollanda „Jan Krzysztof” o Ludwigu van Beethovenie.

Dwa miesiące wcześniej, po przesłuchaniu, które trwało do trzeciej rano, dostał ataku serca. Godzinę przeleżał na noszach.

Naczelnik więzienia czekał na decyzję z Warszawy, czy wolno go hospitalizować. Wcześniej schorowanemu Pużakowi lekarz przysyłał tabletki ukryte w chlebie.

Człowiekiem, który opowiedział o ostatnich godzinach Pużaka, był nieżyjący już Stefan Stamirowski. W 1958 r. opublikował swoje wspomnienie o nim w londyńskim „Robotniku”.

Według tej relacji dzielił celę z Pużakiem. Píše o sobie „pielęgniarsz”. Ostatniego dnia kwietnia 1950 r. czytał Pużakowi rozdział pt. „Krzak gorejący”. Są w nim słowa: „Wiedział, że ogień odrodzi się, jeśli nie w nim, to w kim innym. O zmroku tego dnia czuł, że ogień ogarnie całą przyrodę”.

Po szesnastej Kazimierz Pużak niespodziewanie zaczął wołać: „Ogień! Ogień! Człowiek umiera!”.

Lekarz więzienny stwierdził pęknięcie aorty.

Zgasł „romantyk socjalizmu”, jak zwali go towarzysze.

Profesor Artur Leinwand, historyk PPS, uważa, że opublikowana w Londynie relacja pielęgniarsza jest „fałszywką”. Stefan Stamirowski wszystko zmyślił, aby po wyjeździe na Zachód przypodobać się emigracji. Personel więziennego szpitala nie próbował ratować Pużaka, sądzi profesor. Według nieoficjalnej wersji zepchnięto go ze

schodów albo sam spadł, po czym został dobity. Oczywiście, nikt nie potrafi dziś ustalić, jak było naprawdę.

Jedno pozostaje pewne: 30 kwietnia 1950 r. zmarł człowiek, którego zamknięto w więzieniu, aby nie przeszkodził powstaniu PZPR.

Na plecach pod łopatką ojciec miał dziurę wielkości spodka, w środek wetknięto tampon - opowiada Maria Pużak, jedna z dwu córek Kazimierza. - Wiadomość o śmierci dostaliśmy drugiego maja. Kazali przyjechać w ciągu trzech dni, bo inaczej sami ojca pochowają w Rawiczu. Znajomi pożyczili pieniądze na transport ciała, następnego dnia byliśmy w Rawiczu. A ojca już pochowano; pewnie liczyli, że nie zdążymy przyjechać. Żeby ciało odkopano, matka biegała od więzienia do starostwa. Aż ojca wytargowała.

Kilka dni trwały targi z zarządem cmentarza na Powązkach. Pozwolono pochować Kazimierza Pużaka w kwaterze nr 88, bo była

na uboczu, pod samym murem, niełatwo do niej trafić.

- Na pogrzeb przyszły same baby, mężczyźni raczej się bali wspomina córka. Cały cmentarz obstawili ubecy. Potem co roku PPS-owcy przychodzili w rocznicę śmierci ojca. Grób był obserwowany, jeszcze w latach siedemdziesiątych fotografowano nas na cmentarzu.

Maria Pużak nie wiedziała, kim był ojciec w wojennej konspiracji. Podczas okupacji mieszkał poza domem, czasami tylko wpadał do Liceum Chemicznego, w którym się uczyła. Ledwie po procesie szesnastu wrócił do domu w Warszawie, zaczęły się kolejne zatrzymania, aż trafił do więzienia. Córka tylko raz otrzymała widzenie, które trwało kilka minut.

Pużak w czasie wojny był przewodniczącym Rady Jedności Narodowej, podziemnego parlamentu. Obok komendanta głównego AK i

delegata rządu na kraj to trzecie z najważniejszych stanowisk w polskim państwie podziemnym.

O tym Maria Pużak dowiedziała się z książek.

Co jeszcze mogła przeczytać córka o swoim ojcu?

Kazimierz Pużak w więzieniu siedział trzy razy: raz w carskim, dwa razy w komunistycznym.

Na świat przyszedł w 1883 r. Ojciec Wojciech, murarz, i matka Marcela z domu Hrycyn, Ukrainka. Do PPS wstąpił w 1903 r. podczas studiów prawniczych na Uniwersytecie Lwowskim. W kwietniu 1911 r. aresztowany. Po dwóch latach śledztwa rosyjski sąd wojskowy skazał go na 8 lat katorgi, a później dożywotnie zesłanie na Sybir. Na zesłanie nie dotarł w 1917 r. wybuch rewolucji lutowej otworzył cele Szlissel-burga. Pużak poparł bolszewików, bo obiecywali niepodległość Polski. W 1920 r. radykalnie zmienił o nich

zdanie.

Od 1919 do 1935 r. był posłem na Sejm II Rzeczypospolitej. W 1930 r. znalazł się na liście osób do osadzenia w więzieniu w Brześciu. Piłsudski skreślił go, mówiąc: „Co by o mnie powiedziano, gdybym ja więźnia Szlisselburga zamknął w twierdzy”.

Po wrześniu 1939 r. PPS przeszła do konspiracji, przybierając nazwę Wolność, Równość, Niepodległość (WRN).

W 1945 r. Pużaka porwało NKWD, trafił na Łubiankę. Sądzony był w moskiewskim procesie szesnastu przywódców Polski Podziemnej. Skazany na półtora roku więzienia.

Po powrocie do Polski kilkakrotnie aresztowany. Od czerwca 1947 r. do końca życia ciągle w więzieniu.

5 listopada 1948 r. w sali Wojskowego Sądu Rejonowego zasiadają oskarżeni:

Kazimierz Pużak;

Tadeusz Szturm de Sztrem, legionista, w 1939 r. współorganizator Robotniczych Batalionów Obrony Warszawy;

Józef Dzięgielewski, poseł 1922-30, podczas Powstania dowódca Milicji PPS-WRN na Starówce i w Śródmieściu;

Feliks Misiorowski, przewodniczący Związku Robotników Przemysłu Skórzanego;

Ludwik Cohn, członek PPS od szesnastego roku życia, adwokat;

Wiktor Krawczyk, działacz PPS w Częstochowie i w Zagłębiu Dąbrowskim.

Prokurator Stanisław Zarakowski, gwiazda procesów epoki Stalina, zarzuca im „antypaństwową działalność zmierzającą do obalenia przemocą ludowo-demokratycznego ustroju Państwa Polskiego”.

„Robotnik”, organ oficjalnego PPS, deklaruje

we wstępniaku: „My, socjaliści polscy, oskarżamy Kazimierza Pużaka dodatkowo o to, że przez całą swoją działalność starał się wprząc PPS w rydwan polskiej kontrrewolucji”.

Żyjących PPS-owców, którzy znali bliżej Pużaka, można dziś policzyć na palcach jednej ręki.

Edward Pintara był we WRN łącznikiem. W jego mieszkaniu na Żytniej odbywały się konspiracyjne spotkania Pużaka.

Nie wiem, o czym mówiono, ze względu na konspirację wolałem nie słuchać - mówi.

Na pogrzebie Pużaka nie byłem; jak pamiętam, termin otoczono tajemnicą, przyszła najbliższa rodzina. Szczegółów nie pamiętam, mam już swoje lata.

PPS-owcy, którzy bliżej znali Pużaka, swoją młodość przeżywali 70 lat temu.

Miesiąc przed powstaniem PZPR prokurator Stanisław Zarakowski mówi na sali sądowej:

„Proces Kazimierza Pużaka odbywa się, gdy cała klasa robotnicza po zdemaskowaniu reakcyjnej roli całych ogniw i grup, które wcisnęły się do ruchu robotniczego, stoi u progu zjednoczenia. Więc proces odbywa się w wyjątkowej chwili”.

Do sierpnia 1948 r. partie komunistyczne i socjaldemokratyczne zjednoczyły się w Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii i na Węgrzech. Pozostała Polska.

W sierpniu KC PPR wykryła u siebie „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” (czyli Władysława Gomułkę), które mogło przeszkodzić tworzeniu jednolitego frontu robotniczego.

„Proces zjednoczenia się ruchu robotniczego dokonuje się równoległe do innego procesu - eliminowania z ruchu robotniczego elementów spod znaku prawicy socjalistycznej, która jest agenturą burżuazji” - informował „Głos Ludu”, poprzednik „Trybuny Ludu”, w pierwszym dniu

procesu Pużaka.

1948 - rok walki o jednolity front i duszę nowego Polaka; na kongresie satyryków Jerzy Borejsza pouczał:

„Satyryk to nie jest zdun, któremu wszystko jedno, w czyim mieszkaniu naprawia piec. Walczymy o satyrę współorganizatora przebudowy duszy nowego Polaka”.

Tadeusz Jabłoński: Do PPS wstąpiłem niedługo po zamordowaniu Narutowicza, jeszcze jako sztubak siódmej klasy.

Pamięta, jak po wyborze Narutowicza prawica podniosła krzyk, że prezydent wygrał głosami mniejszości narodowych, głównie Żydów. Posłów PPS, którzy szli do Sejmu na zaprzysiężenie prezydenta, ciężko pobiły prawicowe bojówki. Na odsiecz przybył zwarty oddział robotników ze sztandarem PPS. Do wracających przez plac Trzech Krzyży robotników zaczęto strzelać ze stopni kościoła Świętego Aleksandra chorąży sztandaru,

robotnik z rzeźni, padł od kul.

Tadeusz Jabłoński pamięta także, jak kilka lat później komuniści próbowali rozbić PPS od środka. Jak Komunistyczna Partia Polski założyła PPS-Lewicę, zaczęła wydawać „Robociarza”, naśladując „Robotnika”.

Tuż po wojnie Tadeusz Jabłoński opublikował książkę o historii PPS. W grudniu 1948 r. „Nowe Drogi” z okazji zjednoczenia partii ponowiły atak na odchylenie prawicowe. Uznały, że książka Jabłońskiego „sieje nacjonalizm, co gorsza, próbuje w fałszerski i nieuczciwy sposób wzbudzić szowinistyczną nienawiść do ruchu rewolucyjnego”.

W sierpniu 1948 Tadeusza Jabłońskiego usunięto z Rady Naczelnej PPS, a po zjednoczeniu okazało się, że zaginęła jego legitymacja. Zaginęło więc 25 lat pracy partyjnej.

- Towarzysz Pużak nosił grube szkła, był strasznie pracowity -wspomina Jabłoński. -

Siedział w Szlisselburgu zakuty w kajdany, nawet na noc go nie rozkuwali.

Według Jabłońskiego te ciężkie przeżycia sprawiły, że stał się nieufny. Po latach objawiało się to między innymi tym, że nosił zawsze przy sobie pieczętkę partyjną.

- Nie byłem na procesie WRN - dodaje Tadeusz Jabłoński. Wpuszczali tylko za zaproszeniami. Proces odbył się, żeby zastraszyć PPS-owców, bo nie chcieli zjednoczenia. Przed zjednoczeniem z partii wyrzucono około dwustu tysięcy towarzyszy. Powstały trzy listy osób do aresztowania.

„Głos Ludu”, organ KC PPR, codziennie poświęca stronę procesowi.

„Siewcy nienawiści”;

„Krecia robota antyjednolitofrontowa”;

„Współpraca z Niemcami i banderowcami”;

„Wypełnianie zadań wywiadu dla pewnych

mocarstw";

„Kazimierz Pużak ma kartę życia zapisaną krwią i błotem”.

Akta sprawy liczą czternaście tomów.

Podczas procesu Kazimierz Pużak odmawia składania wyjaśnień. Zgadza się odpowiadać na konkretne pytania.

Prokurator: Kto to jest „Styczeń”?

Pużak: Nie wiem.

- A „Czwartek”?

- Nie wiem.

- „Grzegorz”?

Mój okupacyjny pseudonim.

- Czy po powrocie z Moskwy oskarżony używał tego pseudonimu?

- Nie miałem potrzeby.

Prokurator uznaje powściągliwość oskarżonego za dowód wywiadowczego wykszolenia.

Prasa najbardziej emocjonuje się pytaniami o dolary, które nazywa „witaminami”. Podczas aresztowania Pużakowi odebrano 1220 dolarów. Pużak wyjaśnia, że to oszczędności całego życia. Sąd: to zapłata za współpracę z obcymi mocarstwami.

Jedna odpowiedź Pużaka podobno robi duże wrażenie na sędzie. Na pytanie, od kiedy należy do PPS, Pużak odpowiada:

- Czterdzieści cztery lata służyłem partii.

Ma wtedy lat 66.

Podczas procesu cały kraj - jak twierdzi „Głos Ludu” - żyje przygotowaniami do zjednoczenia partii. Zakłady pracy dla uczczenia połączenia PPR i PPS podejmują zobowiązania. Główna Akumulatornia Warszawa-Grochów zgłasza „odbudowę dwóch ciągników”. Załoga

Płockich Zakładów Przemysłowych postanawia dać rolnictwu 400 wozów drabiniastych ponad plan. Fabryka z Chodakowa zobowiązuje się dać ponad plan 170 ton sztucznego jedwabiu.

Pużak był od nas starszy - mówi Lidia Ciołkoszowa, jedna z najbardziej znanych działaczek PPS; dziś liczy 91 lat. Wspomina: - Ja i mąż, Adam, byliśmy z nim w wielkiej przyjaźni, spotykaliśmy się towarzysko, choć Pużak na ogół unikał prywatnych wizyt, nie był towarzyski. Dla niego PPS był wszystkim. Jak mojego męża zwolnili z więzienia po procesie brzeskim, to Pużak do nas zaraz przyjechał. Dwie godziny siedzieli z mężem i porównywali gwary więźniów kryminalnych: tych dawniejszych, gdy siedział Pużak, i tych nowszych, kiedy siedział mój mąż.

Towarzysze nie kochali go tak, jak Daszyńskiego czy Arciszewskiego, ale miał wielki szacunek w partii.

Nie był dobrym mówcą wiecowym, ale

znakomitym polemistą na radach naczelnych. Ostro atakował zwolenników jednolitego frontu, nie przebierał w słowach, a miał dobre argumenty. Za jednolitofrontowość usunięto z PPS Staszka Dubois, Wandę Wasilewską, ojca Kuronia, który po latach przyznał, że Pużak miał rację.

Bojówki sanacyjne napadały na PPS-owskich posłów, na domy robotnicze, na wiece. Chroniła nas PPS-owska milicja robotnicza, chodzili z czerwonymi opaskami. Pużak przeorganizował tę milicję. Wzmocnił jej rolę. Zaczęli chodzić w mundurach, mieli regularne zbiórki.

Po procesach brzeskich oskarżający prokurator został ministrem sprawiedliwości i zniósł w regulaminie więziennym podział na kryminalnych i politycznych. Pużaka to niezwykle oburzyło, protestował, ale nic mu się nie udało osiągnąć.

- Pużakowska grupa wywiadowcza do walki z

działaczami ruchu robotniczego, ta banda hien, żerująca razem z hitlerowskim żołdactwem, robiła robotę dla i za gestapo. Oskarżeni ponoszą współodpowiedzialność za faszyzację Polski przedwojennej grzmi prokurator Stanisław Zarakowski, po czym zwracając się do sądu, mówi: Niepełny byłby obraz ich działalności, gdyby ferując wyrok w tej sprawie, nie uprzytomnilibyście sobie, że oskarżeni ponoszą współodpowiedzialność za naszych braci poległych pod Kijowem i nad brzegami Wisły, za krew robotniczą w Krakowie, we Lwowie i we wszystkich miastach i miasteczkach Polski, że ponoszą współodpowiedzialność za dziesiątki lat straconych w więzieniach narodu polskiego, że ponoszą odpowiedzialność za mordowanie przez delegackie bojówki działaczy antyfaszystowskich, za wydanie w ręce gestapo szeregu naszych towarzyszy.

Marian Niedzielski, adwokat Pużaka, ripostuje:

- Nie mieliśmy od początku procesu

najmniejszych wątpliwości, że jest historyczny, jednak jak wielki ma zasięg, dowiedzieliśmy się z ostatnich akordów przemówienia pana prokuratora, który szedł w tym kierunku, że za wszystkie katastrofy i nieszczęścia, jakie przeszedł naród polski w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, oskarżony również odpowiada.

18 listopada 1948 r., na dzień przed ogłoszeniem wyroku w sprawie Pużaka, mija właśnie sześć miesięcy - donosi PPS-owski „Robotnik” - od kiedy minister oświaty zaapelował o zbiórkę pieniędzy na walkę z analfabetyzmem. Zebrano 54 miliony złotych. Ruszyło 10 000 kursów. Ministerstwo Oświaty czeka, „która fabryka, która wieś pierwsza zamelduje, że wszyscy obywatele są światli”, aby wszyscy mogli przeczytać o Pużaku, który stał się „macką piłsudczyzny, macką sanacji, macką ideologii burżuazyjnej”.

Kazimierz Pużak w ostatnim słowie przed wydaniem wyroku mówi: „Jeśli chodzi o moją osobę, to w tej chwili, gdy stoję nad grobem,

byłoby naprawdę nie do uwierzenia, gdybym zmienił poglądy, byłoby nie do uwierzenia, że zmiana poglądów dokonała się w sposób naturalny. Byłby to raczej fenomen patologiczny.

W tej sprawie mamy do czynienia, takie jest moje wrażenie, ze zwykłą rozprawą - nie kryminalną, nie karną, nie nawet polityczną specjalnie, ale międzypartyjną; w normalnych czasach, tak ja na starość sądzę, te zarzuty postawione w akcie oskarżenia pod moim adresem byłyby treścią dyskusji międzypartyjnej na równych prawach i tutaj sąd nie miałby nic do czynienia".

Skazano go na dziesięć lat więzienia. Na mocy amnestii karę zmniejszono do lat pięciu. „Łagodny wyrok dowodem siły Ludowego Państwa" - uznał „Robotnik".

Należący do rodziny dom skonfiskowano. Maria Pużak i jej matka, żona Kazimierza, za mieszkanie we własnej willi musiały państwu płacić komorne.

Druga córka Kazimierza Pużaka już nie żyje. Roman Mazik, jej mąż, mówi:

Po procesie przyszedł do nas facet w oficerkach, powiedział, że jak zapłacimy dziesięć tysięcy, to ojca nie wywiozą do Związku Radzieckiego. To były trzy dobre pensje, daliśmy ze swoich oszczędności. Facet podał adres, pod który mamy zgłosić się po szczegóły, okazało się, że takiego adresu w ogóle nie ma. To pewnie byli jacyś naciągacze, może z gazet dowiadywali się o wyrokach i szli do rodzin wyłudzać pieniądze.

W styczniu 1950 r. Roman Mazik z żoną pojechali do Rawicza na widzenie. Oddzielały ich dwie kraty, jedna od strony więźniów, druga od odwiedzających. Po jednej i drugiej stronie kłębił się tłum ludzi. Między kratami chodził strażnik.

- Pamiętam wrzask - wspomina Roman Mazik
- bo żeby coś usłyszeć, wszyscy się przekrzykiwali. Udało się nam tylko zrozumieć,

że ojcu stłukły się okulary, bo spadł ze schodów.

Po śmierci Kazimierza Pużaka aresztowano całą rodzinę. Wypytywali, gdzie jest archiwum PPS. Przekopali cały ogródek przy domku Pużaków.

- Po zwolnieniu aż do nastania Gomułki byliśmy pod ciągłą obserwacją - opowiada Roman Mazik. - Co tydzień dzwonili do mnie z UB, dopytywali się, ile zarabiam. Co jakiś czas wyznaczali mi spotkania w różnych miejscach Warszawy, czasami w kawiarniach, czasami w prywatnych mieszkaniach. Koło naszego domu ciągle kręcili się tajniacy. Na grobie ojca coś zmieniali, na przykład pewnego razu okazało się, że zniknął stary krzyż z drewna, pojawił się z kamienia. W zarządzie cmentarza nic nam na ten temat nie chcieli powiedzieć. Po nastaniu Gomułki już mniej czuliśmy ich obecność. Ale ustała właściwie dopiero za Gierka.

Historyk Artur Leinwand niekiedy podpisywał

swoje prace pseudonimem: Kazimierz Leopold. Leopold od Okulickiego, Kazimierz od Pużaka. Zajmował się historią PPS, do którego sam nie należał.

W jakim stopniu Pużak mógł przeszkodzić zjednoczeniu PPR i PPS?

- Pużak był legendą mówi profesor Leinwand. Zawłaszczając symbole PPS, komuniści musieli usunąć go w cień. Bo kto ze znaczących postaci należał do powojennego, legalnego PPS? Osóbka-Morawski, o którym ktoś powiedział, że był co najwyżej dobrym administratorem robotniczego osiedla? Józef Cyrankiewicz miał rzeczywiście piękną wojenną kartę w krakowskiej WRN, zanim go aresztowano i wywieziono do Oświęcimia - olenia. Nazywali go „złotym Józiem”. A po wojnie dał się kupić.

- Kiedy zaczął się proces WRN, byliśmy oburzeni, że Józek Cyrankiewicz palcem w bucie nie kiwnął, żeby pomóc Pużakowi

wspomina Lidia Ciołkoszowa.

Pużak wiedział, że prędzej czy później zostanie aresztowany - ciągnie profesor Leinwand. Jeszcze przed procesem szesnastu Rosjanie usiłowali przeciągnąć Pużaka na swoją stronę. A kiedy komuniści rozprawili się już z mikołajczykowskim PSL, wiedział, że wezmą się za bliższych ideowo. Ale nie chciał wyjechać z kraju, choć PPS-owcy namawiali go.

W PZPR tradycje PPS raz były odsuwane w cień, raz podkreślane. Po raz pierwszy do PPS-owców strzelano w 1904 r. na placu Grzybowskim w Warszawie - to były pierwsze rozruchy niepodległościowe od powstania styczniowego. W 25. rocznicę tych wydarzeń wmurowano w plac pamiątkowy kamień. Po wojnie komuniści pod pretekstem przebudowy placu kamień usunęli. A po stanie wojennym oficjalne pochody pierwszomajowe zaczęły wyruszać nie z placu Defilad, lecz z placu Grzybowskiego.

Po październiku 1956 Pużaka nie rehabilitowano. W 1957 r. skazani w procesie WRN spotkali się i postanowili, że nie będą się starać o rehabilitację i odszkodowanie.

Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego staraliśmy się, aby minister sprawiedliwości wniósł rewizję nadzwyczajną - mówi Bolesław Trombala, w PPS od 1933 r. Minister przejrzał akta, uznał, że sprawa nadaje się do rewizji, ale musi jeszcze uzyskać zgodę KC PZPR. To trwało półtora roku. Pod koniec osiemdziesiątego ósmego generał [Wojciech] Jaruzelski pozwolił na rehabilitację.

Na początku 1989 r., jeszcze przed wyborami czerwcowymi, minister sprawiedliwości wystąpił z rewizją nadzwyczajną.

Adwokat Pużaka, Kazimierz Łojewski, podczas rozprawy, która tym razem trwała jeden dzień, powiedział:

Czy oskarżony Pużak potrzebuje rehabilitacji?

Rehabilitacja to przywrócenie czci, odzyskanie honoru. Czy Kazimierz Pużak, będąc skazany w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, utracił honor i cześć? Nie! Czci i honoru nikt Kazimierzowi Pużakowi nie był w stanie odebrać. I nie odebrał. Wyszedł z tego procesu jeszcze bardziej zwycięski. To, co się działo w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, nie było postępowaniem karnym, nie było postępowaniem sądowym. Nie zapadł żaden wyrok w tamtej sprawie, bowiem wszystko było pozorem wymiaru sprawiedliwości. Wymiar sprawiedliwości nie miał za zadanie wykrycia prawdy, osądzenia sprawy. Miał za zadanie, postawione mu przez władze, wyeliminować politycznego przeciwnika.

Pużaka uniewinniono. Wkrótce rozwiązała się PZPR.

Skazani w procesie w 1948 r. dziś już nie żyją. Ostatnim z „romantyków socjalizmu” był Ludwik Cohn - mówi profesor Leinwand. -

Cohn był jednym z założycieli KOR, pod koniec życia bardzo go atakowano, był też ciężko chory, miał siedemdziesiąt dziewięć lat. Popełnił samobójstwo w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, dzień po wprowadzeniu stanu wojennego.

Oskarżyciel, prokurator Stanisław Zarakowski, żyje. Czeka na wyrok we własnej sprawie. Nie chce rozmawiać o przeszłości.

Milczy. 45 lat temu na sali sądowej zarzucał Pużakowi, że nie ma odwagi odpowiadać na pytania.

Maria Pużak do dziś nie wie, jak naprawdę zmarł jej ojciec.

Kiedy po śmierci ojca pracowałam w fabryce makaronu, nigdy nie dostawałam nagród kwartalnych.

O rozprawie rehabilitacyjnej ojca nikt jej nie zawiadomił.

Córka „romantyka socjalizmu” mieszka w

stolicy, przy ulicy Szklanych Domów.

listopad 1993

JAK KTOŚ SZEDŁ GÓRĄ, TO ON DOŁEM

Niewiele wiedziałem o ojcu; tyle że był w UB, a potem w partyzantce w Bieszczadach.

Wujostwo, którzy wykradli mnie z ochronki i adoptowali, chronili mnie przed polityką. Nie miałem więc ochoty chwycić kałasznikowa i kontynuować dzieła ojca. Kim był? Czy lubił wypić? Czy jak ja lubił fasolkę po bretońsku? Czy jak o nim piszą był bohaterem czy bandytą?

Te pytania Janusz Niemiec zaczął zadawać sobie dwa lata temu. Mógł wówczas pomyśleć jeszcze o jednym: czy pięćdziesiąty czwarty rok życia to odpowiedni czas, aby rozpocząć poszukiwania śladów ojca?

Mieszkał wówczas w Lagos w Nigerii. Był kontraktowym inżynierem w greckiej firmie. Ciotka z Krakowa przysłała mu broszurę wydaną przez kombatanatów Armii Krajowej, z

której wynikało, że ojca zabił przed laty agent Urzędu Bezpieczeństwa. W broszurze dodano, że „jednym z organizatorów mordu” był późniejszy wiceminister spraw wewnętrznych.

Janusz Niemiec niewiele wiedział o ojcu. Wujostwo, którzy adoptowali go po śmierci rodziców, chronili go przed dociekaniem.

Wiedział jednak, że jego ojcem był Antoni Zubryd, legendarny partyzant z Bieszczad, który najpierw służył w UB, a później zabijał ubeków i PPR-owców. Kiedy ojca i matkę zastrzelono, on trafił do ochronki. Stamtąd wykradła go ciotka i wychowała pod nazwiskiem męża: Niemiec.

Wcześniej Janusz Niemiec jakoś nie chciał wiedzieć więcej. Opowiada:

- Szedłem z duchem czasu. Byłem w partii, chodziłem na pochody pierwszomajowe, budowałem huty i zakłady.

Syn

Janusz Niemiec przeczytał „Łuny w Bieszczadach” Jana Gerharda, sztandarowe dzieło epoki PRL-u o walkach z reakcyjnym podziemiem. W „Łunach...” dobrzy milicjanci i dobre Wojsko Polskie walczy ze złymi Ukraińcami z UPA.

W książce był jednak jeszcze jeden wróg: polski oddział Antoniego Żubryda. Janusz Niemiec czytał o swoim ojcu:

„Przed wojną, kiedy był prostym kapralem zawodowym, nigdy nie mógłby się takiego zaszczytu spodziewać. Nawet w ciągu całej okupacji, mimo bardzo skrupulatnie pełnionej w Narodowych Siłach Zbrojnych służby, doczekał się jedynie awansu na starszego sierżanta. A teraz nagle... major. Myśl o tym nie opuszczała go ani na chwilę (...). Od rozważań tych kręciło się Zubrydowi w głowie odwykłej od intensywniejszego myślenia w ciągu lat służby koszarowej, a następnie na dość podrzędnych stanowiskach wykonawczych”.

Dalej czytał o końcowym okresie oddziału i ojcu, który chodził „nie ogolony i brudny. Dawno już stracił swoją zgrabną węgierską burkę i rogatywkę z odznakami majora. Nosił teraz postrzępiony waciaczek i chłopską futrzaną czapkę, do której przyczepił orzełka. Twarz miał obrzękłą, siną i duże worki pod oczami. Ostatnio wiele pił. Nie zakazywał tego również swoim podwładnym. Oddział rozpręgał się z dnia na dzień”.

W czasach PRL-u „Łuny w Bieszczadach” wznawiano 17 razy.

Najpierw wierzyłem, że w tej książce napisano straszną prawdę o moim ojcu, i to był szok - opowiada Janusz Niemiec. Potem moja przybrana mama powiedziała mi, że to zmyśnione.

W innym opracowaniu, opartym na dokumentach z archiwów MSW, Janusz Niemiec przeczytał, że oddział jego ojca zabił 57 osób, 29 postrzelił. Dokonał też 40

rozbrojeń, 85 napadów rabunkowych i 55 zamachów. Był przez komunistów równie znienawidzony jak „Ogień” i „Łupaszko”.

Aby schwytać ojca, UB aresztowało syna. Janusz Niemiec miał wówczas cztery lata. W jego nakazie aresztowania napisano: „podejrzany o współpracę z bandą NSZ Żubryda”.

- Zaraz po wojnie ojciec został oficerem śledczym Urzędu Bezpieczeństwa - opowiada Janusz Niemiec. - Był nawet zastępcą szefa powiatowego UB w Sanoku. Ale pewnego dnia postanowił uciec. Dlaczego? Zaczęły się masowe aresztowania AK-owców, ojcu pewnie się to nie podobało, tak sobie tłumaczę jego decyzję. Pewnej nocy w czterdziestym piątym uwolnił więźniów, zabrał ich do lasu. Powstał oddział. Wtedy aresztowano mnie pierwszy raz, razem z babcią. Sam z tego nic nie pamiętam. UB wzięło nas jako zakładników w Sanoku. Tata zaatakował posterunek milicji i postawił

ultimatum, że jeśli nas nie uwolnią, zabije wszystkich milicjantów.

Drugi raz Janusza Niemca aresztowano rok później.

Wtedy mgliście zaczynają się moje wspomnienia. Pamiętam, że aresztowano nas w Sanoku, przyjechały trzy studebakery.

Pokazuje wspomnienia swojej ciotki, Krystyny Szajner (siostry ojca), którą również wtedy zatrzymano. „Tuż przed świętami wielkanocnymi 1946 r. do mieszkania mamy w godzinach popołudniowych przyszło dwóch osobników ubranych po cywilnemu i w ciemnych okularach, którzy powiedzieli, że zabierają nas na przesłuchanie (...). Małego Januszka Żubryda zabrał ze sobą do kabiny rosyjski oficer. Posadził go sobie na kolanach i miał powiedzieć, że „jak twój ojciec będzie strzelał, to ciebie pierwszego zabije”.

Nie rozumiałem, dlaczego byłem aresztowany, pewnie nawet nie pojmowałem, co to jest

aresztowanie opowiada Janusz Niemiec. -W pamięci mam okruchy wspomnień: smak wiśni, które przynosił do więzienia ktoś z rodziny. Pamiętam smród, bo na naszym piętrze przelewało się zatkane WC.

Ciotka zapisała:

„W areszcie dowiedziałam się od kucharza, który przynosił nam jedzenie, że kierownik jakiegoś wydziału, chyba śledczego, przyniósł Januszkowi Żubrydowi drewnianą hulajnogę i jeździł on na niej po więziennym podwórku”.

Zwolniono go tydzień po śmierci ojca, który zginął wraz z żoną w październiku 1946 r. Janusz o tym nie wiedział. UB nakazało umieszczenie go w zakonnej ochronie. Pod koniec 1946 r. wykradła go ciotka. Ona i matka Janusza w czasie wojny były w AK. Przysięgły sobie wówczas, że gdyby którejś coś się stało, druga zaopiekuje się dziećmi.

Trafił na Śląsk, ciotka i wuj adoptowali go. Nosił odtąd nazwisko Niemiec.

- Nikt nie wiedział, że jestem synem Żubryda - wspomina. - Ale bolało moje nowe nazwisko, kojarzyło się z okupantem. Dzieci drwiły: Adolf, gestapowiec, esesman. Nowi rodzice niewiele mówili o Żubrydach. W domu wspomniano raczej obozy koncentracyjne: Mauthausen,

Oświęcim, Treblinkę, w których byli oboje. W Oświęcimiu byłem z nimi po wojnie, jeszcze unosiły się dymy.

- Niemcowie chronili mnie przed polityką - ciągnie. - Wiedziałem, kim był mój ojciec, ale słuchałem tych opowieści jak historii sensacyjnej. Rodzice, dla mojego bezpieczeństwa, nie pobudzali takich zainteresowań. Do głowy mi nie przyszło, żeby z kałasznikowem iść na barykady i kontynuować dzieło ojca. Przeciwnie. Dostałem siedem odznaczeń państwowych. Chciałem zostać zawodowym wojskowym, ale uniemożliwiła mi to kontuzja kolana. Do dziś kocham wojskową dyscyplinę, składanie

ubrania w kostkę. Nie opuszczę żadnej defilady na placu Piłsudskiego muszę ocenić, czy równo maszerują. Umiłowanie wojska zostało w genach po ojcu.

Skończyłem studia mechaniczno-technologiczne ze specjalnością odlewnictwo. Szedłem z duchem czasu. Maszerował pochód pierwszomajowy, ja z nim. Szła moja uczelnia, ja ze wszystkimi skandowałem przed sekretarzem Gomułą: „Gospodarzu, idzie zima, a nasz wydział chaty ni ma”. Potem zaczęła się epoka Gierka. W hucie w Ostrowcu Świętokrzyskim uruchamiałem najnowszą w Polsce linię ciągłego odlewania stali, dostałem za to Krzyż Zasługi. Wstąpiłem do partii. Koledzy ściągnęli mnie do odlewni w Ursusie, bo uruchamiano licencję Massey-Fergussona, dochrapałem się stanowiska głównego odlewnika. W osiemdziesiątym pierwszym wybrali mnie w Ursusie na przewodniczącego branżowego związku metalurgów, tego prorządowego. U mnie było cztery i pół tysiąca związkowców, a oni, czyli

Solidarność, mieli dwanaście tysięcy. Rywalizowaliśmy. Jak oni pojechali na Śląsk po węgiel, ja swoich ludzi wysłałem do Hajnówki, przywieźli beczki z miodem. Kiedy był strajk bydgoski, bo pobito Rulewskiego, myśmy powiedzieli zdecydowanie: „Strajk ma podłoże polityczne, metalowcy nie mieszają się”.

Kilka lat później Janusz Niemiec wyjechał na dziesięcioletni kontrakt do Nigerii. Tam właśnie, niedługo przed powrotem do kraju, dostał AK-owską broszurę, która wzbudziła w nim tęsknotę za ojcem.

Dwa lata temu wrócił do Polski i zaczął szukać śladów. Pojechał w Rzeszowskie, w Bieszczady. Odnalazł Mieczysława Kocyłowskiego, który twierdził, że był zastępcą ojca. Kiedy Żubryd ginął, Kocyłowski siedział w więzieniu. Napisał gryps: „Kochani koledzy, piszę do Was tych kilka stów może już ostatnich. Ja wpadłem do więzienia za co? Za kochaną ojczyznę, za kochaną Polskę,

prawdziwą, demokratyczną i walczyłem o Nią, ale nie za żydowską i komunistyczną, tylko za demokratyczną".

Kocyłowski przypuszczał, że Antoniego Żubryda zabił któryś z jego żołnierzy. Miał potem wyjechać na ziemie odzyskane, być kierownikiem fabryki i po kilku latach zginąć w niewyjaśnionych okolicznościach. Niedługo po rozmowie z Niemcem Kocyłowski zmarł.

Jan Gerhard napisał w „Łunach w Bieszczadach”, że Antoni Żubryd zginął przez ukryty skarb. Miało pójść o pieniądze, które zgromadził podczas partyzantki i ukrył. Kiedy już został tylko ze swoją żoną (w książce nazywanej kochanką) i ostatnim żołnierzem z oddziału, miał im wskazać, gdzie ukrył skarb i jakiego hasła użyć, by go wydostać. Ów ostatni członek oddziału postanowił „pozbyć się niewygodnych współników, odebrać pieniądze, ukryć je gdzieś powtórnie, a dopiero potem zameldować się wojsku czy na milicji i oświadczyć, że zmuszony był do

zabicia swego szefa oraz jego kochanki. O pieniądzach w razie śmierci tych dwojga nie musiałby w ogóle wspominać. Zabójstwo doskonale się udało. Pijany jak bela Żubryd nie zdołał sięgnąć po broń".

Janusz Niemiec nie mógł zapytać autora, ile w tym było prawdy. Jan Gerhard zginął w 1971 r. podczas napadu rabunkowego na jego mieszkanie.

Poważniejszą wersję śmierci ojca Janusz Niemiec poznał z książki „Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą”. Ukazała się w 1987 r., kiedy Pożoga był wiceministrem spraw wewnętrznych, zastępcą generała Kiszczaka, a jednocześnie szefem wywiadu i kontrwywiadu. Pożoga, który swoją pracę w UB zaczynał po wojnie na Rzeszowszczyźnie, opowiadał o śmierci Żubryda:

„Jego koniec to sukces pracy operacyjnej. Człowiek, który to załatwił, nie był kadrowym pracownikiem urzędu. Finał można tylko w

przybliżeniu odtworzyć z różnych relacji. Grupa Żubryda postępowała coraz bardziej krwawo. Pewnego wieczoru Żubryd przywołuje swojego zastępcę, wobec którego ma uzasadnione podejrzenia. Mówi mu, żeby wybrał się za granicę, do Austrii, przetań szlak przez Czechosłowację. Ten, do którego są kierowane słowa szefa, dobrze wie, że herszt nie tyle chce go usunąć z kraju, co z tego świata. Nie może więc dłużej czekać. Na powiadomienie ludzi mogących mu pomóc nie ma już czasu. Bywają takie chwile w czasie spotkania dwóch zajadłych wrogów, że jeden z nich tego spotkania nie może przeżyć. To właśnie była ta chwila. Szybszy okazał się człowiek, który od wielu dni ryzykował wszystko, aby przerwać zbrodniczą działalność oddziału".

Pożoga więc wyraźnie stwierdził, że zabójcą był agent UB.

Janusz Niemiec odnalazł autora książki „Siedem rozmów...” Henryka Piecucha. Ten

wskazał mu fragment w swej niedawno opublikowanej książce „Służby specjalne atakują”, gdzie opisuje, jak w połowie lat 80. spotkał się z dawnymi funkcjonariuszami UB na Rzeszowszczyźnie. Powiedzieli mu wówczas: „Stworzono małą, dobrze uzbrojoną grupę. Zadbano, aby było o niej głośno w okolicy. Wiedziano, że Żubryd nie ścierpi sławniejszych od siebie. UB planowało, że oddział prowokatorów połączy się z Żubrydem, aby zniszczyć jego zgrupowanie od środka. Prowokatorzy musieli jednak wcześniej wykazać się własną działalnością. Kogo zabijali? Różnie. Raz wrogów, raz przyjaciół. Milicjantów, którzy nie wiedzieli przecież, z jakim oddziałem mają do czynienia, i atakowali grupę bezpieczeństwa na żarty, strzelając i obrzucając ich granatami, też zabijali. Ale milicjantów zabijali bez przyjemności. Raczej z bólem serca, choć z przekonaniem, że tak właśnie trzeba działać. Inaczej się nie dało. Takie były zasady gry. Decydując się na stworzenie bandy, na

wejście do niej, zdecydowali się działać tak jak tamci. Zresztą, zabicie milicjanta lub oficera wojska przynosiło więcej splendoru niż spalenie paru wiosek i wyrżnięcie tuzina kmiotków".

W żadnej z książek Gerharda i Piecucha nie pojawiło się jednak prawdziwe nazwisko ani pseudonim człowieka, który mógł zastrzelić Antoniego Żubryda i jego żonę, ani miejsce ich pochowania.

- Co roku na pierwszego listopada palę na jakimś cmentarzu symbolicznie dwie świece - mówi Janusz Niemiec. - Ale gdzie naprawdę powinienem je postawić? Gdzie pochowano moich rodziców? Czy zabójca coś wie? Kim jest? Czy żyje?

Ojciec

Zanim pojechałem na południe Polski szukać żołnierzy Żubryda, chciałem skontaktować się w Warszawie z generałem Władysławem Pożogą. Tuż po wojnie był na

Rzeszowszczyźnie chorążym w UB, z „Siedmiu rozmów...” wynikało, że nieźle zna sprawę Żubryda. Powinien nawet wiedzieć, kto go zabił.

W 1989 r. Pożoga odszedł z MSW. Został ambasadorem w Bułgarii. Teraz jest emerytem.

Generał nie chciał ze mną rozmawiać. Na żaden temat. Odpowiedział, że nie życzy sobie kontaktu. Henryk Piecuch, autor „Siedmiu rozmów...”, wyjaśnił, że wiele tekstu w książce napisanej w formie wywiadu z Pożogą w rzeczywistości nie wyszło z ust generała. Piecuch oparł tekst na udostępnionych mu materiałach archiwalnych, przypisując cytowane wspomnienia generałowi. Pożoga tekst autoryzował, a jego doradcy z MSW wielokrotnie przejrzeni maszynopis.

Piecuch nie domyślał się jednak, kto zabił Żubryda. Poradził, by odnaleźć mieszkającego koło Sanoka pułkownika Zbigniewa Rajchla,

jednego z tych, którzy dziesięć lat temu najwięcej opowiadali mu o Żubrydzie.

Blisko centrum Sanoka jest stadion. Pół wieku temu powieszono na nim publicznie dwóch żołnierzy Żubryda: Władysława Kudlika i Władysława Skwarca. Mieli po niewiele ponad 20 lat. Egzekucji przyglądał się tłum, wśród niego specjalnie sprowadzona młodzież szkolna. Trzy dni później powieszono Stanisława Książka. Tym razem publiczna egzekucja odbyła się na sanockim rynku.

Niedaleko rynku mieszka dziś historyk Andrzej Romaniak. Kilka lat temu po skończeniu studiów przygotował w miejscowym muzeum wystawę „Polityczni 44-56”. Wtedy dostał adres jednego z byłych żołnierzy Żubryda.

Na Podkarpaciu Żubryd był jednym z wybitniejszych dowódców, jego legenda żyje do dziś - opowiada Andrzej Romaniak, który próbował odtworzyć życiorys Żubryda.

Żubryd urodził się w 1918 r. w rodzinie

szkolnego woźnego. Od września 1933 r. uczył się w Szkole Podoficerów Piechoty dla Małoletnich nr 2 w Śremie. We wrześniu 1939 r. bronił Warszawy, zdobył Krzyż Walecznych.

Co się działo potem, to już w większości domysły, które historycy tyle razy w ostatnich latach powtórzyli w publikacjach prasowych, że stały się oficjalnym życiorysem.

Po upadku Warszawy Żubryd trafił do niemieckiej niewoli. Uciekł z niej i zaczął działać w AK na Rzeszowszczyźnie.

Maria Baran, którą odnalazłem w Sanoku, opowiada: Antoni był siedem lat ode mnie starszy. To był bardzo dobry człowiek.

Wierzący i praktykujący. Kiedy go Niemcy złapali na początku wojny, w czasie transportu wyjął z kolegami deski z podłogi pociągu i wyskoczyli przez dziurę. Ukrywali się. Nosili im do kryjówek jedzenie, czasami listy. Nie miałam jeszcze piętnastu lat, a byłam taka drobna, że wyglądałam na siedem. Jeździłam do nich na hulajnodze, w tornistrze trzymałam

przesyłki.

Jak przypuszczają historycy, w 1940 r. Żubryda złapali Rosjanie, kiedy przekraczał granicę. Zgodził się na współpracę z NKWD. Prawdopodobnie informował o niemieckich umocnieniach.

O przedwojennych poglądach politycznych Żubryda nic nie wiadomo - mówi Andrzej Romaniak. - Trudno więc z pewnością stwierdzić, dlaczego poszedł na współpracę z rosyjskim wywiadem.

Czy zmuszony, czy zrobił to z przekonania?

Kiedy Niemcy zajęli w 1941 r. Lesko, prawdopodobnie natrafili na dokumenty mówiące o współpracy Żubryda z Rosjanami. Prawdopodobnie skazali go na śmierć, a jemu udało się uciec przed egzekucją. Historycy nie mają jednak dokumentów z tego okresu. Brak również dokumentów potwierdzających udział Żubryda w konspiracji.

Udokumentowane fakty pojawiają się dopiero w 1944 r. Żubryd zostaje oficerem śledczym Urzędu Bezpieczeństwa, a nawet zastępcą szefa powiatowego UB w Sanoku. Pewnego dnia dezertuje. Uwalnia więźniów i rusza do lasu. Tam już czeka na niego żona. (W 1940 r. poślubił Janinę Praczyńską, która pracowała w nadleśnictwie. Jej rodzina uznała związek za mezalians).

Wkrótce Żubryd zabija szefa UB w Sanoku. Dlaczego?

Władysław Pożoga w „Siedmiu rozmowach...” twierdzi:

„Według jednych był zdyscyplinowanym i sumiennym funkcjonariuszem, zasługującym nawet na awans. Inni zaś uważali go za zdemoralizowanego alkoholika, nie przestrzegającego dyscypliny, ignorującego polecenia i rozkazy, podkreślającego swą wyższość, utrzymującego kontakty z elementem podejrzanym. Jeszcze inni uważali, że należy patrzeć mu na ręce i od

czasu do czasu «ściągać» na ziemię. W każdym razie Żubryd nie zagrzebał u nas długo miejsca. W 1945 r. wydział kadr Urzędu Wojewódzkiego podjął decyzję o zwolnieniu Żubryda z pracy w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa, wysyłając odpis rozkazu do tamtejszej jednostki. Opinia ta dostała się w ręce Żubryda. Zareagował natychmiastową dezercją".

Historycy jednak nie trafili na ślad rozkazu o zwolnieniu.

Pułkownik Zbigniew Rajchel, którego Henryk Piecuch wymienił jako szczególnie cennego rozmówcę z rzeszowskiego UB, mieszka w Zagórzcu. Hoduje pszczoły.

Jego dom wskazał mi Jerzy Tarnawski, nauczyciel w Zespole Szkół Mechanicznych w Sanoku, zafascynowany Żubrydem.

Napisałem do regionalnej prasy artykuł, w którym nazwałem Żubryda Kmicicem Ziemi Sanockiej - mówi - bo współpracę z UB

odkupił krwią. Wciąż jest legendą. Mój stryj walczył w jego oddziale. Kiedyś zaprosiłem jego zastępcę, Kocyłowskiego, do szkoły. Bardzo zainteresował uczniów. Wiedzieli, o co pytać, bo niektórzy byli wnukami tych, co walczyli w oddziale.

Pułkownik Rajchel mieszka niedaleko Tarnawskiego, nad górskim strumieniem. Nie zaprasza do środka, wychodzi przed furtkę.

Chciałem pomówić o Żubrydzie zaczynam.

Ooo, to nie ze mną na ten temat. O sprawach ukraińskich mógłbym mówić. Szczerze, w ogóle w tym temacie nie pracowałem.

Henryk Piecuch napisał fragment swojej książki po rozmowie między innymi z panem.

Ja tej książki nie czytałem, bo trzy lata byłem za granicą. Raz z nim się spotkałem, ale o Żubrydzie nic nie wiem. Kto tu mógłby wiedzieć... - Rajchel zamyśla się, dotyka dłonią czoła.

Ktoś w UB przecież musiał wiedzieć - mówię.

- Tak, ale moja praca w urzędzie była po linii kontrwywiadu. Trzydzieści sześć lat pracowałem w klasycznym wywiadzie.

Chętnie bym panu pomógł, ale nic nie wiem. - Rajchel przyjacielsko poklepuje mnie po ramieniu. Obok szemrze strumień.

- Nie pamięta pan, kto się w urzędzie zajmował oddziałem Żubryda?

- Nie wiem, kto jeszcze żyje. Jeden to już alkoholik skończony, drugi chyba umarł. Trafił pan na zły dzień, dzisiaj miałem atak, już dwa zawały przeszedłem. Tylko jedną rzecz widziałem. Kiedy grzebałem w rosyjskiej siatce szpiegowskiej z lat wojny, trafiłem na dokument, że Żubryd wówczas dla nich pracował.

- Wie pan coś o jego śmierci?

- Słyszałem, że zastrzelił go człowiek z oddziału; zdezerterował z wojska, poszedł do

bandy, miał z nami współpracować, ale się nie godził.

- Zastrzelił na polecenie UB?

- Nie, to była śmierć w wyniku wewnętrznych rozgrywek, zabójca nie był naszym człowiekiem. Nawet się potem zastanawiano, czy go nie postawić pod sąd. Ale nie wiem, jak się nazywał.

W Mrzygłodzie mieszka dwóch żołnierzy Żubryda. Przy drodze z Sanoka, na stromym wzniesieniu, zwanym Dębniąską Skałą, stoi pomnik poświęcony trzem milicjantom, którzy zginęli w boju z żubrydowcami w listopadzie 1945 r. (prawdopodobnie byli to ubecy). Po starciach żubrydowcy złapali innego funkcjonariusza UB. Jak później twierdziła propaganda, wydłubali mu oczy, obcięli język i zmasakrowali ciało. Mieczysław Kocyłowski, zastępca Żubryda, w swoich wspomnieniach pisał, że zastrzelono ubeka, ale wydłubywania oczu nie było.

Stanisław Sokołowski z Mrzygłoda niewiele już pamięta. Jest bardzo stary. Powtarza tylko:

Żubryd dobry był, dobry dla żołnierzy. I sprytny. Jak ktoś szedł górą, to on dołem.

O jego zabójcy niczego nie wie.

Tadeusz Janusz pamięta więcej:

- Należałem do AK na Wołyniu, bo w czterdziestym roku moją rodzinę wysiedlili na wschód. Trafiłem do oddziału Żubryda, bo jak ktoś nie chciał się ujawnić, gdy rozwiązano AK, to szedł do NSZ. Wcześniej nie spotkałem Żubryda. Znał go mój brat, razem byli przed wojną w szkole podoficerskiej. Brat się wyrażał o nim bardzo pozytywnie, jako o żołnierzu i pilnym uczniu. Żubryd dowodził czterema grupami, w mojej było prawie sześćdziesiąt osób. Ale stale pod bronią tylko kilkunastu. Dołączyli do nas dezercerzy z wojska i oni zwykle byli pod bronią. My kwaterowaliśmy u siebie w domu, a tylko wychodziliśmy na dwa, trzy dni na akcję.

Żubryd był niewielkiego wzrostu, ale niezwykle silny. Wymagający i nieubłagany, jak się dowiedział o jakimś przestępstwie. Był taki Haduch, pseudonim „Piłsudski”. Stworzył oddział i po prostu rabował. Żubryd go zastrzelił. A Haduch był jednym z tych, których Żubryd uwolnił z więzienia, kiedy zbiegł z UB. Kiedy oddział się rozpadł, trafiłem do ludowego wojska, brałem udział w akcji „Wisła”. Ukraińcy z zemsty powiesili moją narzeczoną, na moim podwórku. A za Żubryda aresztowano mnie dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, dostałem dwanaście lat.

Tadeusz Janusz też niczego nie wie o zabójcy Żubryda.

Czym żołnierzem był Żubryd?

W archiwum rzeszowskiej delegatury Urzędu Ochrony Państwa jestteczka poświęcona historii oddziału Żubryda. Dokumenty nie wyjaśniają jednak, komu on podlegał. Raz UB przypisuje mu przynależność do AK, kiedy

indziej do NSZ. Na NSZ wskazuje również informator wewnętrzny MSW o nielegalnych ugrupowaniach, wydany w 1964 r. Ostatnio historycy, opierając się na informacjach zastępcy Żubryda, Mieczysława Kocyłowskiego, uważają, że oddział nazywał się Samodzielnym Batalionem Operacyjnym „Zuch” NSZ.

Meldunek specjalny, który znajduje się w teczce z UOP, stwierdza: „W dniu 25 X 1946 r. w lesie koło Malinówki pow. Brzozów zostały znalezione zwłoki d-cy bandy NSZ Żubryda Antoniego i jego żony. Oboje byli zastrzeleni. Przy zabitym Żubrydzie znaleziono kilka luźnych zapisków, których odpis przedkładam”.

W teczce znajdują się zapiski nieznanego autora, ale wpięto je jednak kilka kartek przed meldunkiem o śmierci. Ich treść wskazuje, że Żubryd chciał się podporządkować jakiejś organizacji. We wrześniu 1946, czyli miesiąc przed śmiercią Żubryda, nieznana osoba pisała do niego:

„Co do wódki to proszę ją sprzedać, pieniądze zatrzymać na żołąd dla ludzi. Proszę również podać ilość ludzi u pana w partyzantce i wysokość żołądu miesięcznego dla partyzantki. O ile decyduje się pan podporządkować całkowicie pod nasze rozkazy, to w tym wypadku możemy to załatwić, czyli pana przyjmując w nasze szeregi, jeżeli absolutnie nie będzie pan robił żadnych skoków na własną rękę jedynie te tylko, na które ja panu dam rozkaz. W tym wypadku nie będzie pan za nic odpowiedzialny, tylko organizacja”.

Julian Rudak, mieszkaniec Sanoka, twierdzi, że jako major jest dziś najwyższym rangą spośród żyjących AK-owców w jego terenie. Mówi, że był oficerem śledczym wojskowego sądu specjalnego, a po wojnie nadal działał w WiN.

Nie znał blisko Żubryda, ale słyszał o nim. Twierdzi, że podziemie na wszelki wypadek śledziło Żubryda. Tak jak każdy oddział, który nie był nikomu podporządkowany.

Jan Kołacz płacze już kilka miesięcy. Co wypowie kilka zdań, zalewa się łzami. Nie chodzi, dawno temu stracił władzę w nogach.

Mieszka kilkadziesiąt kilometrów od Sanoka, we wsi Łęki Dukielskie. Był żołnierzem Żubryda.

- Pięćdziesiąt lat nie widziałam w jego oku ani jednej łzy - zarzeka się żona. - Teraz go dopadło. Starość. No tatuś, nie płacz, opowiadaj panu.

Jan Kołacz mówi, że był w oddziale tylko kilka miesięcy.

- Ścigali mnie za AK, schroniłem się u Żubryda - mówi i znowu wybucha szlochem. - Żubryd to był Polak z krwi i kości, przedwojenny żołnierz, dobry dla podkomendnych. O każdego dbał.

Kołacz mówi niewyraźnie, nieskładnie, trudno zrozumieć, o co mu chodzi. Bez przekonania pytam:

- Wie pan, kto go zastrzelił?

Kołacz wybuchu:

- Jezu! Wiem, wiem! -I zalewa się łzami.

- No tatuś, nie płacz, opowiadaj panu, z daleka przyjechał posłuchać ciebie - strofuje żona.

- Wiem, wiem, wcześniej już mi mówił: „Skończmy z Żubrydem, skończmy. Idź i go zastrzel”.

- Dlaczego miał go pan zabić?

- Mówił, żeby go zastrzelić, nie pamiętam już dlaczego. Byliśmy na kwaterze i mówił: „Dość już tego, trzeba z nim skończyć”. - Znowu wybuchu płaczem. - W końcu sam to zrobił. To był mój najlepszy kolega, byliśmy rówieśnikami. A potem mnie wydał. To zdrajca, był ich agentem. Powiedział im, że jestem żubrydowcem.

- Pamięta pan, jak się nazywał ten, co strzelał?

- Pamiętam, pamiętam, to Jerzy V.

Płacze.

- Coś w tym musi być - mówi żona. - Niedługo przed tym, jak go dopadł ten szloch, był tu jakiś mężczyzna, tak jak pan, pytał o zabójcę Żubryda. Wtedy już mąż mówił o Jerzym V.

Ten trzeci

Sprawdziłem w ogólnopolskim biurze adresowym, czy istnieje Jerzy V. w wieku Jana Kołacza. Jest tylko jeden. Mieszka w bloku w centralnej Polsce. Ufnie odpowiada przez domofon, pyta tylko o nazwisko, nie docieka, dlaczego przyszedłem.

Jak zapytać obcego człowieka, czy zastrzelił kolegę? Po prostu: czy to pan go zabił? Takie pytanie jest dobre w filmie. Tymczasem siedziałem naprzeciwko Jerzego V., którego widziałem pierwszy raz w życiu. Denerwował się. Słyszałem już, że miał problemy z alkoholem. Nerwowo przebierał palcami, dopytywał, czy nie mam papierosa, bo jemu

się skończyły. Powiedziałem, że chcę z nim porozmawiać o Żubrydzie, bo podobno był w jego oddziale.

Ale Jerzy V. powiedział, że bardzo się spieszy na umówione spotkanie. Ustaliliśmy, że o Żubrydzie porozmawiamy następnego dnia.

Chyba że Jerzemu V. wypadnie nagły wyjazd.

Jerzy V. jest reżyserem filmowym. Zwykle robił filmy o wojsku. Dokumentalne, instruktażowe, propagandowe. Cztery razy otrzymał Nagrodę Ministra Obrony Narodowej. Nakręcił film dokumentalny „Strzały pod Arsenalem”, w których kamera widzi wszystko oczami AK-owców, ich samych nie pokazując. Zrobił „Cenę sekundy”, film o znaczeniu krótkiego czasu w lotnictwie, artylerii. Nakręcił też film „Odra” o manewrach polsko-rosyjsko-niemieckich. Manewry w październiku 1962 r. wieńczyła defilada w Szczecinie. Podczas niej jeden z czołgów wpadł w tłum i zabił przynajmniej ośmioro dzieci. Jerzy V. w swoim filmie nie wspomniał o tym. W jego filmie

słysząc słowa: „Ćwiczyli dowódcy i żołnierze świadomości wielkości sprawy socjalizmu. Ofiarni, zawsze gotowi bronić ojczyzny, gotowi dochować wierności sojuszniczym zobowiązaniom”.

Operator, który zrobił z Jerzym V. kilka filmów, wspomina:

- Bardzo zdolny, błyskotliwy. Wymyślał niesłychanie niebezpieczne sceny. Wybuchy nigdy nie były pozorowane. Kiedy mówiłem, że coś jest ryzykowne, zapewniał: „Będę stał obok”, chociaż jako reżyser wcale nie musiał. Pamiętam, kręciłem ujęcie na skocie, bałem się, że spadnę pod gąsienice. Cały czas mnie trzymał. Nazywano go łowcą nagród, bo rzeczywiście mnóstwo ich zdobył. Czy w czasie wojny albo później był w podziemiu? Nigdy o tym nic nie mówił. Nie. Chyba był za młody.

Choć obawiałem się, że Jerzemu V. wypadnie „nagły wyjazd”, jednak czekał na mnie. Kiedy

gotował wodę na kawę, oglądałem jego bibliotekę: Witkacy, Joyce, Lem. Na ścianie atrapa parabellum, obok myśliwskie trąbki.

- Pan jest myśliwym? - zapytałem.

Broń Boże, za dużo już było w moim życiu przelanej krwi odpowiedział. Dodał, że o Żubrydzie nikomu, nawet najbliższym, nie opowiadał przez pół wieku.

Zaczął się jeszcze we Wrocławiu, już po wojnie. Studiowałem na wydziale inżynierii. Przychodziłem do znajomych milicjantów na kolei, mieli paczki z UNRRA. Stali tam na warcie. Któregoś dnia zaczepiło nas dwóch pijanych rosyjskich żołnierzy. Złapali milicjanta, ja chwyciłem jego broń, chciałem z biodra strzelić w powietrze, na postrach. Trafiłem Rosjanina w głowę, zdmuchnęło mu czerep, mózg się rozprysnął. Groza. Od razu mówię do milicjanta: „Zeznawaj, że ty strzeliłeś, bo inaczej obaj stracimy głowy. Wartownik rzecz święta, jak powiesz, że ja strzeliłem, to dostaniesz czapę, żeś nie

dopilnował". 1 faktycznie na rozprawie milicjant tak zeznaje. Wchodzi ten drugi Rosjanin i mówi: „Musiało tak być, ja byłem kompletnie pijany”. Zwolnili nas. A ja na wszelki wypadek czmychnąłem z Wrocławia. W czasie wojny byłem w AK na Rzeszowszczyźnie, to i tam się ukryłem. Złapałem kontakt z Żubrydem. Był straszny. Kiedyś jakiś wiejski chłopak powiedział: „Panie majorze, idą żniwa, ja bym poszedł matuli pomóc w polu”. Żubryd powiada: „Matuli byś pomógł?”, wyciąga pistolet i strzela mu w głowę, mózg się rozprysnął. Groza. Żona Żubryda zaczęła krzyczeć, prasnął ją w twarz, aż się przewróciła. „Który ją podniesie?” - powiedział, mierząc z pistoletu. Żaden się oczywiście nie ruszył.

Kiedyś kwaterowaliśmy na wsi. Powiedziałem koledze, że jak tak dalej pójdzie, to Żubryd więcej swoich niż wrogów wystrzela. Widocznie mu doniósł, bo przychodzi Żubryd i cynicznie pyta: „Co, amunicji ci szkoda? Pogadamy wieczorem”. Przyszedł w nocy i

mówi: „Chodź, pójdziemy porozmawiać”.
Idziemy, on z mojej prawej strony, czuję, że ciągle dotyka mojego prawego łokcia, żeby czuć, co ręką robię. A ja za paskiem miałem pistolet. On świecił latarką. Weszliśmy do lasu, szliśmy ścieżką. Nagle mówi: „Włóż w krzaki na lewo”. Już czułem, że będzie mnie chciał zastrzelić. Gwałtownie wskoczyłem w krzaki, rozstąpiły się, ja już w locie obróciłem się, wyciągnąłem pistolet i strzeliłem. Żubryd nie zdążył pierwszy wystrzelić.

Jerzy V. powiedział więc najważniejsze, zanim zdążyłem zapytać. Żubryd miał w ręku pistolet?

Nie zauważyłem. Świecił we mnie latarką. Myślałem tylko o tym, żebym pierwszy strzelił, bo inaczej już po mnie.

W archiwum rzeszowskiej delegatury UOP widziałem zdjęcie zastrzelonych Żubrydów. Zwłoki Antoniego i jego żony leżały koło siebie w jakiejś komórce, z tyłu widać było węgiel. Ślady krwi były tylko na głowie, powyżej nosa.

Nie widać było dużych ran na twarzy, co świadczyłoby, że strzały padły z przodu.

Zapytałem Jerzego V.: Kto zastrzelił żonę Żubryda?

V. przez chwilę wahał się, po czym odpowiedział: Nie chcę o tym mówić. Zginęła mniej więcej w tym samym czasie.

Po strzelaninie uciekł. Za namową znajomego z lat okupacji, działacza PPS, zgłosił się na UB.

Zwolnili mnie, bo była amnestia. Ale później przez długie lata ciągle mnie wzywali na przesłuchania. Kazali pisać raporty. Na przykład, czy filmy Forda są dobre. Wtedy pewnie wpisali mnie na listę współpracowników. Czasami coś płacili.

Czuje się pan winny śmierci Żubryda?

- Nie, przecież się broniłem.

Kilka dni później powiedziałem Januszowi

Niemcowi, że wiem, kto zastrzelił jego ojca.

- Co powiedzieć, co ja mam teraz powiedzieć?
- usłyszałem. - To dla mnie zbyt duży szok. Co ja teraz powinienem zrobić? Szukać tego człowieka, iść do niego? Ale po co? Przecież nie żeby się mścić. Może żeby go wysłuchać jako świadka historii. Byłbym synem ofiary, który chce się dowiedzieć. Ale przecież teraz bym go nie oskarżał. Jeszcze w liceum, kiedy pomyślałem o ojcu, przychodziły takie myśli, żeby dorwać zabójcę. Teraz już nie. Teraz muszę oswajać się z myślą, że wiem, kto to zrobił.

Rozmowa o zabójcy się nie kleiła. Zaczęliśmy mówić o samochodach.

Potem Janusz Niemiec wrócił do zabójcy:

- Może jednak powinienem do niego pójść? Ale jak zacząć rozmowę? Jakie powiedzieć pierwsze zdanie? Jakie zadać pierwsze pytanie?

PS

Do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko Jerzemu V. W styczniu 2000 roku Paweł Smoleński opublikował reportaż „Ze mną nie mogli wygrać” o Jerzym V. i sprawie sądowej, która toczy się przeciwko niemu w krośnieńskim sądzie.

wrzesień 1997

NIKT ICH NIE TYKAŁ

Nie podam nazwisk ludzi, których oskarżono o zamordowanie Żydów w Kańczudze. Wciąż nie jestem pewny, do jakiego stopnia dokumenty, które poznałem, oddają rzeczywistość, a w jakim skrojono je według potrzeb Urzędu Bezpieczeństwa.

Syn uważa ojca za bohatera. Czyta mi jego wiersz o ucieczce z ubeckiego więzienia w Przemyślu:

Nie byłem złodziejem ani bandytą
niebezpiecznym

Lecz byłem AK-owcem więźniem politycznym.

I dziś gdy wspomnę ten dzień i to więzienie

To dreszcze przechodzą na samo wspomnienie.

O Matko Najświętsza Niepokalana

przed Tobą padam na swe kolana...

Syn czyta i płacze.

W Wielką Sobotę 31 marca 1945 r. w miasteczku Kańczuga pod Rzeszowem napadnięto na trzy żydowskie domy. Nieznani sprawcy strzałami z pistoletów i broni maszynowej zabili przynajmniej trzynaście osób. Wśród ofiar byli m.in.: Izrael Eizig, 35 lat, jego żona Chana Krieger, 20 lat, Sima Krieger, 16 lat, Berek Zwanziger, 26 lat, Mindla Salzman, 55 lat, Dojra Bergman, 32 lata, Feiwel Jakubes, 33 lata, Debora Risman i Izrael Reitzfeld.

Opisał to w marcu 2002 r. w „Gazecie Wyborczej” Witold Piecuch w reportażu „Wielka noc w Kańczudze”. Ja przeprowadziłem wówczas wywiad „Przedziwna cisza” z rzeszowskimi historykami Zbigniewem Nawrockim i Grzegorzem Ostaszem.

„Leżeli tak do wieczora w Wielką Niedzielę - opowiadała o zamordowanych jedna z

bohaterek reportażu. - Wtedy ich przywieźli furmanką do ogrodu, wykopali wielki dół i wszystkich razem pochowali, po prostu wrzucili. Widziałam to przez okienko na naszym strychu. Kto ich chował, nie wiem".

Żydzi niedługo wcześniej wrócili do Kańczugi w czasie wojny ukrywali się przed Niemcami. Jeden z nich, dentysta Izrael Reitzfeld, przetrwał wojnę w obozie pracy w Stalowej Woli. Mieszkaniec Kańczugi tak wspominał jego powrót:

Jego rodziny już nie było, nie wiem: wymordowali czy wywieźli. I on siedział na takiej gruszce i grał na skrzypcach. Tak żałośnie grał, że kto tamtędy szedł, to płakał.

Skrzypek Reitzfeld zginął razem z innymi w pierwszą Wielką Sobotę po okupacji.

Autor reportażu próbował ustalić, kim byli mordercy i dlaczego zabili.

Może Żydzi donosili do UB albo NKWD i

dlatego zlikwidowało ich podziemie: za współpracownika uważano właśnie owego dentystę, skrzypka Reitzfelda. To była jedna z wersji rozważanych przez rozmówców Witolda Piecucha.

A może Żydzi przechowywali jakieś kosztowności, swoje i krewnych zabitych w czasie wojny? Napadnięto ich więc dla rabunku to była kolejna wersja.

A może powodem była antysemitka atmosfera? Ale podobno przed wojną stosunki polsko-żydowskie w Kańczudze były dobre. Mimo kultywowania przez młodzież zwyczaju wieszania kukły Judasza w Wielką Sobotę kwitły przyjaźnie, a w Boże Ciało, kiedy ksiądz z monstrancją wychodził z kościoła na procesję, z synagogi wychodził rabin i kłaniali się sobie.

Dla rzeszowskich historyków zagadką był i sam mord w Kańczudze, i cisza, jaka wokół niego panowała. Nie znali żadnych dokumentów świadczących o poszukiwaniu

sprawców.

Dr Grzegorz Ostasz wiedział, że dwa miesiące po wydarzeniach w Kańczudze o mało nie doszło do pogromu w Rzeszowie. Zaginęła tam dziewczynka, jej ciało odnaleziono z odrąbanymi rękami i nogami. Rozeszła się pogłoska, że to mord rytualny, i doszło do rozruchów -wszystko przypominało scenariusz późniejszych pogromów w Krakowie i Kielcach. W tej sprawie odbyło się w Rzeszowie śledztwo, pisała o nim szeroko prasa.

A o Kańczudze nic. Żadnych informacji w gazetach. Żadnych dokumentów dotyczących śledztwa. Może miejscowe władze uczestniczyły w zabójstwie i potem wszystko zatuszowały?

Kto w rzeczywistości zabił Żydów? - To pytanie nie dawało mi spokoju. Zapytałem dr. Zbigniewa Nawrockiego, dyrektora rzeszowskiego oddziału Instytutu Pamięci

Narodowej, czy jest szansa, że kiedyś prawda zostanie odkryta. Odpowiedział:

- Gdy w grę wchodzi dokumenty UB, niczego nie można wykluczyć, zawsze może się znaleźć jakiś dokument w teczce, w której być nie powinien.

Postanowiłem więc pójść śladem dokumentów zgromadzonych w IPN.

Dwa dni po opublikowaniu reportażu Witolda Piecucha i wywiadów rozmawiałem z profesorem Ryszardem Nazarewiczem (w czasie wojny żołnierz AL, w pierwszych powojennych latach funkcjonariusz UB, później historyk, m.in. w Instytucie Historii Ruchu Robotniczego w Warszawie).

Powiedział, że napisaliśmy głupstwa.

Wiadomo przecież od dawna: Żydów w Kańczudze zabiło narodowe podziemie. I że wszystko ujawniono w książce „W walce ze zbrojnym podziemiem 1945-

47" (opublikowanej przez wydawnictwo MON w 1972 r. pod redakcją profesor Marii

Turlejskiej).

Znalazłem książkę, zajrzałem. Był tam jednak tylko jeden interesujący akapit: Grupa „Radwana” zamordowała w kwietniu 1945 roku kierownika PUBP w Przeworsku, Józefa Paprockiego. 29 listopada napadła na miasteczko Kańczuga. Tu ofiarą padła grupa ocalałych po wojnie polskich Żydów.

Trochę się zgadzało, trochę nie. Ubek Paprocki rzeczywiście zginął z rąk podziemia. Zastrzelono go przed wejściem do kina, do którego szedł po pracy na film „Biały murzyn”. Ale, jak niedawno udowodnili historycy, zginął w czerwcu, a nie kwietniu 1945 r. Podobnie z Kańczugą: - Żydzi zginęli w marcu, a nie w listopadzie.

Książka ukazała się w latach, kiedy mniej liczyły się fakty, a bardziej ideologia, i była z pewnością poprawna, bo wykazywała zbrodniczość podziemia, szczególnie narodowego.

„Radwan” to Bronisław Gliniak, dowódca oddziału należącego do Narodowej Organizacji Wojskowej, działającego wówczas na Rze-szowszczyźnie. Pod koniec 1945 r. „Radwan” uciekł na Zachód, zamieszkał w Kanadzie.

Zadzwońnięm jeszcze raz do rzeszowskiego IPN, żeby zapytać, co tamtejsi historycy wiedzą o „Radwanie”.

Kilka tygodni później wiedziałem już dużo.

- Pomógł nam trop z „Radwanem” - opowiadał dyrektor Zbigniew Nawrocki. - Przeszukaliśmy dokumenty Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego dotyczące tego oddziału. I trafiliśmy na Eugeniusza P., który okazał się kluczem do sprawy. Figurował w wykazie żołnierzy „Radwana”, co nie znaczy wcale, że był jego żołnierzem. W materiałach MBP jest mnóstwo błędów.

Eugeniusz P. został skazany za zamordowanie Żydów w Kańczudze w 1953

roku.

- Aresztowano go dopiero w sierpniu pięćdziesiątego drugiego, siedem lat po zbrodni - mówi Krzysztof Kaczmarek, naczelnik Biura Edukacji Publicznej w rzeszowskim IPN. Do tego czasu ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem Swirski. Mieszkał w Leżajsku, pracował w spółdzielniach, po czym zapragnął zostać radiowcem. Złożył podanie o przyjęcie do pracy w firmie Radiofonizacja Kraju Przedsiębiorstwa Państwowego Wyodrębnionego Dyrekcja Okręgowa w Rzeszowie. Został w leżajskim radiowęźle mechanikiem dyżurnym.

Zbigniew Nawrocki:

- Ale wtedy ktoś dał cynk do bezpieczeństwa, że gość ma fałszywe nazwisko. I zaczęli koło niego chodzić.

Akt oskarżenia z 1953 r. zarzucał Eugeniuszowi P., wówczas już pracownikowi radiowęźła i członkowi PZPR, iż „wiosną 1945

r., bliższej daty nie ustalono, osk. P. Eugeniusz jako funkcj. M.O., a zarazem członek nielegalnej organizacji «AK» (...) udał się do Kańczugi pow. Przeworsk w celu dokonania morderstw na osobach narodowości żydowskiej".

Według sądu Eugeniusz P. w czasie wojny wstąpił do granatowej policji w Krzywczy koło Przemyśla. Wiosną 1944 r., niedługo przed wyzwoleniem, zdezerterował i uciekł do krewnych w Zarzeczcu, w powiecie Jarosław. Tam, już prawie pod koniec wojny, wstąpił do AK i zdążył jeszcze dwukrotnie uczestniczyć w potyczce z wycofującymi się Niemcami.

Po wojnie wstąpił do Milicji Obywatelskiej. Jak zeznał, na rozkaz podziemia prowadził wywiad w MO.

Sąd uznał za udowodnione, że na początku 1945 r. Eugeniusz P. brał udział w napadzie na majątek państwowy w Mikulicach, gdzie skradziono dwadzieścia krów, siedem świń i osiem koni. Wiosną 1945 r. -napad na

gorzelnię w Zurawiczkach, rabunek spirytusu. I w końcu Kańczuga: „Podczas dokonywanego morderstwa oskarżony P. stał uzbrojony w broń palną na ubezpieczeniu, podczas gdy inni mordowali bezbronne ofiary i rabowali ich mienie" napisano w uzasadnieniu wyroku.

Sąd nie obarczył jednak odpowiedzialnością za mord na Żydach narodowego podziemia. Wyraźnie rozgraniczył okres przynależności Eugeniusza P. do AK i do podziemia narodowego. Według sądu, dopiero po mordzie w Kańczudze, „w kwietniu 1945 r. Eugeniusz P. miał nawiązać kontakt z grupą osób tak zwanej grupy dywersyjnej P.A.S. [Pogotowie Akcji Specjalnej P.L.], oddziałów leśnych N.S.Z." [w rzeczywistości w tym okręgu działał PAS NZW dopiero od 1 II 1946 r. P.L.].

I już jako żołnierz narodowego podziemia miał uczestniczyć w napadzie na bank w Przemyślu (skradziono ok. 11 mln zł).

29 stycznia 1953 r. Eugeniusza P. skazano na 12 lat więzienia.

W aktach przechowywanych dziś w rzeszowskim Archiwum Państwowym zachowała się prośba o ułaskawienie Eugeniusza P. Wysłała ją jego siostra Helena C. Na prośbie był jej wrocławski adres z 1955 r.

Odnalazłem dom we Wrocławiu, w którym wówczas mieszkała, wypytywałem sąsiadów. Lokatorka z trzeciego piętra bardzo dobrze знаła Helenę C. Przyjaźniły się nawet. Ale Helena C. już nie żyje, a ojej bracie sąsiadka tylko słyszała, nigdy go nie spotkała ani nie wie, gdzie mieszkał.

Dzięki protokołom przesłuchań w sprawie Eugeniusza P. można dość dokładnie odtworzyć chronologię wydarzeń w Wielką Sobotę 1945 r. Wciąż jednak nie wiadomo, kim był pomysłodawca napadu.

- Najbardziej tajemniczą postacią jest

organizator akcji, porucznik Staszek, pseudonim „Konar”, z powiatowej komendy MO w Jarosławiu - mówi Zbigniew Nawrocki.

Krzysztof Kaczmarek, naczelnik Biura Edukacji Publicznej w rzeszowskim IPN:

- Akcja zaczęła się od tego, że ów porucznik z komendy MO w Jarosławiu przyjechał do gospodarza w Zarzeczcu, członka PPR i gromadzkiego milicjanta, i zażądał zaprzężenia koni.

9 maja 1949 r., po aresztowaniu przez UB, ów gospodarz Władysław M. zeznawał:

„W marcu 1945 r. daty dnia nie przypominam sobie i godz. popołudniowych do mojego domu przyszli M. Marian zam. w Zarzeczcu wraz z drugim osobnikiem, którego przedstawił mi jako «Konara». Wymienieni byli członkami bandy N.S.Z. grasującej na terenie powiatu jarosławskiego”.

Czy Władysław M. mówił ubekom o tym, co

się naprawdę zdarzyło, czy to, co chcieli usłyszeć? Tego nikt nie wie.

„Będąc w moim domu, zaproponowali mi, ażebym pojechał z nimi furmanką dokąd tego mi nie mówili relacjonował dalej Władysław M.

Ja początkowo nie chciałem jechać z nimi. W końcu jednak uległem. Furmanką razem dojechaliśmy do Rożniatowa, gdzie wsiedli K. Stanisław z Zarzecza pow. Jarosław, G. Tadeusz, K. Bronisław, brat mój Stanisław i B. oraz dwóch N.N. osobników. Wszyscy za wyjątkiem mojego brata posiadali broń palną różnego rodzaju. Wówczas to pod ich kierownictwem dojechałem do miejscowości Kańczuga, gdzie wszyscy wysiedli z furmanki a mnie polecono czekać. Polecenie wydał mi «Konar». Razem ze mną pozostał w niedalekiej odległości G. Tadeusz i brat Stanisław. Reszta udała się do miasta Kańczuga wraz z osobnikami którzy czekali na nich i byli najprawdopodobniej z Kańczugi. Po upływie półtorej godziny wymienieni powrócili

przynosząc ze sobą garderobę oraz patefon i wówczas przekonałem się a raczej domyśliłem, że wymienionych przywiozłem na jakąś robotę. Oczem puźniej przekonałem się (...). Zaznaczam, że początkowo nie widziałem gdzie i w jakim celu ich wiozę. Dopiero strzały które usłyszałem dały mi domyślenia że jest dokonany napad rabunkowy".

Sąd jednak uznał, że obaj bracia M. znacznie wcześniej zorientowali się, że uczestniczą w napadzie. Na podstawie innych zeznań sąd uzasadnił wyrok:

„Pod wsią N.N. dowódca grupy oświadczył zebrany, że będą rabować osoby narodowości żydowskiej tamże zamieszkałe i nadmienił przy tym, aby nie obawiać się strzałów pochodzących ze środka domów, albowiem będą strzelać do żydów (...). Napastnicy następnie zaczęli po kolei podchodzić do domów zamieszkałych przez żydów, którym rabowano mienie ruchome, a

odchodząc pozbawiano ich życia".

Stanisław M., brat Władysława M. z Zarzecza, zeznał:

„Po upływie jednej godziny w. wymienieni powrócili z łupem przynosząc wiejską garderobę, dwa patefony i dwoje skrzypiec. Po przyniesieniu łupu złożyli przy mnie ja pilnowałem wraz z bratem W. i B.

Stanisławem zaś tamci udali się w trzecie miejsce gdzie zrabowali dwoje koni, dwie krowy, jedno cielę i maszynę do szycia".

Władysław dostał za napad 1300 zł, Stanisław 500 i serwetę na nocny stół.

Władysława M. za mord w Kańczudze skazano na trzy lata więzienia. Jego brata, Stanisława M., na dziesięć lat. Skazany cztery lata później Eugeniusz P., ten z radiowęzła, to ich szwagier. Razem napadli wcześniej na gorzelnię w Zurawiczkach i zrabowali trzysta litrów spirytusu. I razem byli w Kańczudze.

Gdyby prześledzić przynależność organizacyjną ludzi, którzy zamordowali Żydów w Kańczudze, okazałoby się, że to towarzystwo przedziwne: wojenni AK-owcy, powojenni żołnierze „Radwana”, granatowy policjant, powojenny milicjant, porucznik MO, członek PPR, a w późniejszych latach członek PZPR. A więc cały przekrój społeczny: od prawicy do lewicy.

Kim na przykład byli bracia M.?

Władysław zeznawał, że należy do PPR. A nawet pewnego dnia (daty w dokumentach nie odnotowano) ludzie od „Radwana” mieli go napaść i pobić. Dlatego, że - jak powiedział w sądzie - należał do PPR i pełnił funkcję granatowego milicjanta. Kiedy indziej Władysław M. przyznał się jednak, że w grudniu 1944 r. został zwerbowany „do bandy N.S.Z.”.

Równie trudno ustalić przynależność jego brata, Stanisława M. Podczas sprawy w sądzie wyrzekął na „Radwana”: „żołnierzowi

niemieckiemu odebrałem karabin, który przechowywałem do 14 maja 1945 roku. Wtedy to «Radwan» podczas mojej nieobecności zabrał mi z domu powyższy karabin i obrabował mienie". Zeznawał też: „Do organizacji AK w Zarzeczu nie należałem, pomimo że z tą organizacją brałem udział w napadach rabunkowych". A kiedy indziej o oddziale „Radwana": „Ja jeden do tej bandy nie zostałem wciągnięty, gdyż nie dałem się do tego nakłonić. Jedynie z członkami tej bandy brałem czynny udział w napadach, rabunkach itd.". Wreszcie 21 marca 1949 r. zeznał: „W porze wiosennej w 1945 roku przyszedł od mnie do domu K. Stanisław wraz z K. Tadeuszem i zaproponował mi ażebym wstąpił do organizacji. Na wysunięte propozycje zgodziłem się. Po wstąpieniu do organizacji przysięgi żadnej nie składałem".

To zeznanie było pewnie wielkim sukcesem miejscowego UB. Stanisław M. wymienił z nazwiska kilkunastu innych rzekomych członków organizacji. Ta lista pojawiała się

potem przy okazji innych spraw i przesłuchań. Tak jakby ubekom służyła za przewodnik po miejscowym podziemiu.

Pojechałem szukać braci M. W Zarzeczu, skąd się wywodzili, usłyszałem: „Był jeszcze trzeci brat, Kazio, ale go zaraz po wojnie partyzanci zastrzelili. Rzekomo, że był donosicielem. Przyszli w nocy, czmychnął do łóżeczka małego dziecka, ale i tak pociągnęli serią”.

A o Staszku M. mówili, że zdobył teczkę z „grubą forszą”. Jeszcze gdzieś na początku wojny, w pociągu, jak ludzie uciekali. Nazywali go „milioner”. I po wojnie gdzieś z tą forszą uciekł, ponoć na Wybrzeże.

W rzeszowskim Archiwum Państwowym znalazłem informację sugerującą, że w 1962 r. jeden z braci mógł rzeczywiście mieszkać w Gdańsku. Pod wymienionym adresem żyje dziś Krystyna M. Nosi to samo nazwisko co obaj bracia, ale twierdzi, że nie są rodziną. Dowiaduję się od niej, że Stanisław i

Władysław umarli rok po roku: w 1982 i 1983 r. O Kańczudze Krystyna M. nie słyszała.

Zarzecze to wieś odległa o 8 km od Kańczugi. Pytałem mieszkańców o kilkunastu członków podziemia z listy Stanisława M. Dziś ludzie kojarzą jedynie innego Stanisława, o nazwisku K. Pamiętają go, bo we wsi do dziś mieszka jego syn.

Syn ma dziś 63 lata - dwukrotnie więcej niż ojciec w okresie, który mnie interesuje. Co może wiedzieć o Kańczudze? Czy słyszał, że ojciec mógł zabijać Żydów?

Pytam, czy ojciec należał do podziemia.

- Był u „Radwana” - opowiada syn. -

Prowadzili działalność poważną, ale za Niemca to nie bardzo się dało, bo jak tylko by coś zrobili,

to w odwecie przyjeżdżali Niemcy i zaraz cała wioska leciała. W Kuryłówce za Jarosławiem Ukraińcy pomordowali polskie dzieci.

„Radwan” tam pojechał, jeszcze widział, jak żywe wiszą na płotach. Z płaczem wrócił i zaraz na tych Ukraińców pojechali.

Syn nie zna żadnego pseudonimu ojca. Nie wie też, kto był jego bezpośrednim zwierzchnikiem, powołuje się tylko na „Radwana”. Ale „Radwan” to legenda, wszyscy w okolicy go znali.

Może Bronisław K. szefował ojcu, bo on chyba miał porucznika -mówi. I jeszcze pamięta, że ojca skazano na 15 lat, ale kiedy, tego już nie wie.

Pytam, czy słyszał o Żydach zamordowanych w Kańczudze. Nie słyszał.

Z Kańczugi to nie, ale dużo było takich Żydów z Jarosławia, co donosili. To „Radwan” jechał, włosy golili, tyłek wybili mówi. Jak mieli mordować Żydów, kiedy tu się Żydzi we wojnę razem z nimi ukrywali? Jeden Muniek, a drugiego imienia nie pamiętam. Mieli jakąś kryjówkę w lesie. Po wojnie gdzieś sobie

poszli.

Ale potem dodaje:

- Coś musiało widocznie być. Bez dania racji to oni się tutaj nie zemścili na nikim. Do mordowania raczej nie dochodzili, mieli co innego na głowie. Oni mogli najwyżej wybić tyłek i ogolić. I najwyżej mogli okraść ostatecznie, a życie im zostawiali.

Mieszkańcy Zarzecza zapamiętali Stanisława K. inaczej niż jego syn.

Osiemdziesięcioletnia kobieta:

- Znienawidzony przez wszystkich.

Rozmaitymi sprawami się naraził. I kradzieżą, i wszystkim. Nie tylko w Zarzeczu, ale naokoło. Tu była i partyzantka, ale przy tym kupa ludzi nieodpowiedzialnych. Oni trochę byli podporządkowani „Radwanowi”, ale trochę robili na własną kieszeń.

Pytam, czy słyszała o zamordowanych Żydach w Kańczudze.

A to nie było tylko w Kańczudze. Takie napady rozmaite były. Panie, a u nas w Kisielowie, obok Zarzecza, Żydy przeżyły całą wojnę, przechowały się. Nikt ich nie tykał, bo to były swoje, wsiowe Żydy. A później, po wojnie, jak wróciły do swojego domu, to potrafili do nich przyjść i wystrzelać. Boże święty, tam były i dzieci. Ona urodziła w czasie wojny dziecko. I potem kazali im polignąć w gwiazdę i wszystkich ich powystrzelali.

- Co to znaczy: polignąć?
- Kazali w taką gwiazdę na ziemi się położyć.
- Kto ich zabił: partyzantka czy bandyci?
- Jak to nazwać partyzantką? Bandyci. To była partyzantka, ale też na własną rękę chodziły, kradły, zabijały.

Historia z Żydami, którym „kazali polignąć w gwiazdę”, brzmi jak wiejska legenda. Ale jest prawdziwa.

Wiadomo o niej z teczki, która znalazła się w rzeszowskim IPN. W 1962 r. Służba Bezpieczeństwa ponownie zainteresowała się mordem w Kisielowie, wsi koło Zarzecza. 14 marca 1962 r. sporządzono dokument: „Wniosek o założenie sprawy operacyjnego rozpracowania na dokonany akt morderstwa rodziny narodowości żydowskiej w miejscowości Kisielów pow. Przeworsk krpt. Mordercy”. W dokumencie odnotowano, że sprawców do tej pory nie wykryto, co wytknął władzom Józef Schlaf, pochodzący z zamordowanej rodziny. W dokumencie napisano:

„Posiadane dotychczas materiały świadczą, że w miesiącu marcu [czyli niedługo przed mordem w Kańczudze - P.L.] na terenie miejscowości Kisielów zostali zamordowani obywatele polscy narodowości żydowskiej, a to Schlaf Saul, Schlaf Tauba, Schlaf Józef, Schlaf Fojga oraz dwoje małych dzieci [co daje sześć osób, ale w kolejnych dokumentach z teczki mowa o siedmiorgu

zamordowanych - P.L.J. Według opinii mieszkańców Kisielowa i okolicznych wiosek morderstwa wymienionych obywateli mogli dokonać członkowie bandy terrorystyczno-rabunkowej «Radwana», który w tym czasie dokonywał napadów rabunkowych z bronią w ręku".

Śledztwo zakończono po czterech latach, w 1966 r. Odnaleziono osobę, która przyznała się do udziału w zbrodni - E.S.

„Pozorowanie iż nie ujawnimy przestępczej działalności" - taką taktykę przyjęli funkcjonariusze SB. Uznali, że najwięcej dowiedzą się „pozorując", że E.S. nic nie grozi. A E.S. obawiał się kompromitacji. Był wówczas szefem lokalnego koła ZBoWiD. Esbecy zapewne łatwo z nim się dogadali - w latach 50. figurował na liście tajnych współpracowników. Słowa dotrzymano: E.S. nie poniósł odpowiedzialności karnej, uznano, że w świetle prawa sprawa uległa przedawnieniu.

E.S. opowiadał, że na podstawie wywiadu, który otrzymano, a który to wywiad przygotowali członkowie organizacji, nauczyciele z Kisielowa, dowiedziano się, że w Kisielowie zamieszkuje rodzina żydowska.

Żydów postanowiono zlikwidować. W morderstwie miało uczestniczyć około dziesięciu osób, część wywodziła się z oddziału „Radwana”. E.S. we własnoręcznie spisany zeznaniu zanotował: „Po rewizji wydałem rozkaz by obecni w izbie Żydzi położyli się na podłodze, gdy Żydzi to uczynili to wydałem rozkaz do otwarcia ognia do Żydów”.

Nie wiadomo, ile prawdy jest w zeznaniach E. S., a na ile chciał się przysłużyć przesłuchującym go esbekom.

E.S. wspominał też, że w mordzie w Kisielowie uczestniczył również pośrednio Bronisław K. ten sam, o którym opowiadał mi w Zarzeczu syn Stanisława K.

Kilka tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego, 5 stycznia 1982 roku, przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej PZPR w Rzeszowie otrzymał pismo od Służby Bezpieczeństwa. Charakteryzowało ono Bronisława K.:

„W okresie okupacji członek ZWZ, a następnie AK. Od wyzwolenia członek bandy NOW Radwan. W bandzie występował pod ps. «Szpak». Posiadał automat MP, pistolet «Nagan» i karabin. Będąc w bandzie «Radwana» wraz z innymi członkami brał udział w morderstwach i napadach terrorystyczno-rabunkowych i tak:

w dniu 31 III 1945 r. uczestniczył w napadzie na kilka rodzin narodowości żydowskiej zam. w Kańczudze. Rodziny te po uprzednim obrabowaniu zostały wymordowane. Do trzech osób osobiście strzelał".

Dalej następują opisy napadów na majątek państwowy, z którego zrabowano konie, krowy i świnie. I ataku na gorzelnię w Żurawiczkach,

z której skradziono spirytus.

„W połowie 1945 r. K. Bronisław zaprzestaje swej przestępczej działalności - informuje pismo - i w dniu 1.07.1945 r. ujawnia się zdając posiadaną broń. Ponieważ w późniejszych latach ujawniono nowe czyny przestępcze, w dniu 10 III 1949 r. został on przez PUBP w Jarosławiu aresztowany i osadzony w tutejszych aresztach. 8.04.1949 r. zbiegł i ukrywał się do swojego ponownego ujawnienia tj. 17.04.1953 r. Z uwagi na to, że K. Bronisław dobrowolnie zaniechał swej przestępczej działalności a czyny jakich dopuścił się do połowy 1945 r. objęło kilka amnestii do odpowiedzialności karnej w ogóle pociągnięty nie był”.

Dziś nie sposób zweryfikować, co w tym piśmie jest prawdą. W 1982 r. z pewnością istniało znacznie więcej dokumentów, zawierających zeznania samego Bronisława K., jego kolegów, świadków napadów, opisy zdarzeń.

Jeden z nielicznych protokołów, jakie się zachowały, pochodzi z 26 III 1949 r.

Bronisława K. przesłuchiowano w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego Jarosław. Zaprzeczał, że strzelał:

„Pyt. Kiedy i z kim braliście udział w morderstwie żydów w Kańczudze powiat Przeworsk.

Odp. W roku 1945 wiosną dokładnej daty nie pamiętam w godzinach popołudniowych przyszedł do mnie do domu M. Stanisław [jeden z dwóch skazanych braci, ten, który potem podał listę członków miejscowego podziemia P.L.] powiadomił mnie bym zgłosił się u niego w domu wieczorem, że pojedziemy na robotę więc ja przed wieczorem zabrałem z domu swoją broń automat MP i udałem się do M. Z chwilą kiedy przyszedłem do M. domu zastałem wówczas u niego B. Stanisława, G. Tadeusza, M. Mariana, osobnika z Kańczugi NN, osobnika z Jarosławia, którego nazwiska nie znam. M. Stanisława, Władysława i

Kazimierza, P. Eugeniusza. Wówczas wszyscy razem odjechaliśmy furmanką do Kańczugi. Na przedmieściu Kańczugi furmanka została wraz z M. Władysławem a myśmy wszyscy udali się do mieszkań w których mieszkali żydzi. Z chwilą kiedy przyszliśmy już pod dom żydów wówczas osobnik z Kańczugi powiedział P. Eugeniuszowi [to ten, który później pracował w radiowęźle i był członkiem PZPR P.L.] jak ma wywołać tego żyda (...) kiedy ten żyd wyszedł wówczas P. przystawił mu pistolet do głowy i kazał mu podnieść ręce do góry, a G. Tadeusz przeprowadził koło niego rewizję podczas której znalazł u niego pistolet Parabellum, który mu zabrał i razem P. Eugeniusz, B. Stanisław, M. Marian, osobnik z Jarosławia NN wraz z tym żydem weszli do mieszkania żyda, natomiast ja - K. Bronisław, G. Tadeusz, M. Stanisław i osobnik z Kańczugi staliśmy w obstawie. Po chwili czasu usłyszałem szereg strzałów w mieszkaniu żyda i po chwili ci w/w, którzy byli w domu

wyszli wraz z rabowanymi rzeczami, tak garderoba, skrzypce i inne rzeczy, których nie pamiętam.

Zrabowane rzeczy odwieziono furmanką do mieszkania M.

W mieszkaniu M. osobnik z Jarosławia powiedział, że rzeczy te idą tylko dla organizacji; lecz ja otrzymałem skrzypce pochodzące z rabunku od tych żydów, natomiast nasi wspólnicy otrzymali pieniądze, lecz juką sumę tego dokładnie wiedzieć nie mogę".

To jedyne zeznanie, z którego może wynikać, że rabunek został dokonany przynajmniej częściowo na rzecz organizacji. Z kilkudziesięciu innych protokołów przesłuchań wynika, że zrabowanymi rzeczami podzielili się uczestnicy mordy.

Bratem bliźniakiem Bronisława K. jest Tadeusz K. W aktach zachowało się oświadczenie ujawnieniowe Tadeusza: „W

1940 r. wstąpiłem do org. ZWZ (...) pełniłem funkcję komendanta placówki w Zarzeczcu. (...) Pełniłem funkcję dowódcy plutonu, pod sobą miałem 12 osób". W zeznaniach pojawia się jako dowódca, który w czasie wojny zaprzysięgał żołnierzy AK.

Tadeusza K. znalazłem we wsi blisko Kańczugi. Dziś ma 84 lata, mieszka samotnie. Jego brat bliźniak Bronisław zmarł dwa lata temu.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku wstąpiłem do wojskowej orkiestry zaczyna swą opowieść. Siedzimy przy stole, wpadające przez okno światło pada na wiszący na ścianie święty obraz z Jezusem Chrystusem. Na klamce od okna różaniec.

Cała rodzina była muzykalna. Kilku braci K. grało w orkiestrach. Potem wojna - AK, ćwiczenia w terenie.

- Nareszcie przyszło to wyzwolenie. Takem się spił jak cholera. Wracam do domu nad

ranem, a dom obstawiony. Co jest? Ja się cieszę, że mnie gestapo nie ściga, a tu ktoś mnie znowu szuka. Matka powiedziała, że to Sowieci.

Wkrótce został aresztowany.

Bili mnie taką linką, grubą, stalową. Jak mnie pierwszy raz uderzył przez krzyże, to ja myślał, że mnie szablą przeciął.

W czasie mordu w Kańczudze siedział w więzieniu. Uciekł z niego po pół roku.

Wypytyuję go o osoby, które znam z akt. Ożywia się przy Stanisławie K. (tym, którego syn mieszka wciąż w Zarzeczu).

- No to mój szwagier. Bandyta, złodziej, więcej nic. I ja go sprął, i brat, ten, co zmarł, też go sprął. Raz, że był cudzołożnik. Brat to go chciał zastrzelić. Uderzył przy nas siostrę. Poleciała na kuchnię. On nie był w moim oddziale, pchał się gdzieś nielegalnie, bohatera robił z siebie, bo strzelał gdzieś z

pistoletu. Z „Radwanem” to on nie miał nic wspólnego. Brat mój też nie był u „Radwana”.

Pytam, czy słyszał o zamordowaniu Żydów w Kańczudze.

- A co tam mnie Żydzi. Każdemu z nas Żydzi tam latali gdzieś.

- Parę osób opowiadało, że pana brat w marcu czterdziestego piątego uczestniczył w akcji na Żydów w Kańczudze. To prawda?

W czterdziestym piątym roku? - Tadeusz K. śmieje się. - Ja nie wiem, co tam było. Żydów wtedy nie było.

Nic więcej już się nie dowiem. Pół wieku temu, w AK, Tadeusz K. dorobił się stopnia kaprała. A w zeszłym roku, jako kombatantowi, dali mu podporucznika.

Tadeusz K. chwali się, że wciąż potrafi grać. Idziemy do drugiego pokoju, bierze skrzypce. Narzeka, że smyczek musiał zrobić z końskiego włosia, a struny wziąć od gitary.

Pytam, czy to stare skrzypce.

- A to nie ma nic do rzeczy odpowiada Tadeusz K. i stojąc na tle meblościanki, tnie czardasza.

Izrael Reitzfeld byłby dziś tylko kilka lat starszy od Tadeusza K. Może też grałby jeszcze na skrzypcach „Wróć do Sorrento” albo inną włoską melodię, które mu szczególnie pięknie wychodziły. Ale 57 lat temu został zamordowany: on, jego żona, ich nienarodzone dziecko. Skrzypce ukradziono.

Jana, syna Bronisława K., znalazłem w jednym z pobliskich miasteczek. Siedzieliśmy przy stole, Jan K. odczytywał mi wiersz swojego ojca o ucieczce z więzienia:

Lecz była to wolność tak się tylko zdawało.

Do prawdziwej wolności to jeszcze za mało.

Pomimo wszystko byłem podniecony.

Szedłem bliżej domu, szedłem do swej żony.

I do swego dziecka, co miało trzy lata,
co się pytało, mamó gdzie jest mój tata.

Jan K. znowu się mocno wzrusza. Sam ma już
56 lat.

- Pamiętam, jak potem ojca szukali, babcia
płakała, mama płakała opowiada. - A ja
miałem trzy, cztery lata, UB-owiec dawał mi
cukierka i pytał: a gdzie jest tata? Ale mi
mama w ogóle wcześniej nie powiedziała, że
mam tatę. Ukrywał się. Pamiętam, dziadek mi
pokazywał ubeckie gaziki i ziły, mówił: Jak
tylko zobaczysz, to przybiegaj i mów: piekło. I
pamiętam do dziś, jak czasami biegłem i
krzyczałem: To piekło, dziadziu, piekło jedzie.
Myślę więc, że tato z mamą spotykali się
potajemnie, uważali na pułapkę. Tata ujawnił
się chyba w pięćdziesiątym trzecim.

Opowiadał, że bili go do nieprzytomności
kablem. Wbijali igły pod paznokcie.

Opowiadał kiedyś o Żydach w Kańczudze?
pytam wreszcie.

- Może i coś wiedział, ale nie mówił. Nie pamiętam, żeby wspominał.

Zapytałem Jana K., jak zapamiętał ojca.

- Ten pierwszy raz, jak go w życiu zobaczyłem, to była wiosna. Topniał śnieg. Jeszcze w latach pięćdziesiątych poszedł do pracy w zakładach chemicznych. Przepracował do emerytury trzydzieści lat. Potem jeszcze piętnaście przeżył na emeryturze, umarł dwa lata temu. Naoglądał się, jak świat się zmienia. To był dobry człowiek, dobry ojciec. Nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń. Pił mało i był spokojny. Papierosy wcześniej rzucił, dla zdrowia, żeby dłużej żyć.

sierpień 2002

CZERWONE DALIE

Ciała owijano w prześcieradła. Na wozach leżały jedne na drugich

kobiety, mężczyźni, dzieci. Dzień wcześniej w Wierzchowinach zabito prawie dwustu Ukraińców. Czy mordowali żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych?

„Nazywam się Tywoniuk Maria. Mam 12 lat. Oni przyszli po pieniądze. Tatuś dał pieniądze, a po tym do brata wołają: oddaj broń. Brat mówi, że nie ma. To on na to, żeby dał ubranie. Wziął ubranie z szafy i z kuferka wziął towar. Potem pyta, gdzie piwnica z kartoflami. Zamknął nas wszystkich w piwnicy. Kłaść się kazał. Potem wszedł jeden i zaczął strzelać. Wszystkich pobił, tylko ja zostałam ranna w głowę. Mamusia mnie sobą przykryła. Mamusię zastrzelili i wszystkich. Potem dziadzia pchnęli do piwnicy, upadł i się zabił”.

Takie zeznania złożyła Maria Tywoniuk w marcu 1946 roku przed sądem wojskowym w Warszawie.

We wsi Wierzchowiny pod Chełmem zabito 194 osoby, w większości Ukraińców. To fakt. Działo się to niespełna miesiąc po kapitulacji Niemiec, 6 czerwca 1945 r. To drugi fakt. Mordu dokonał oddział w polskich mundurach: najeźdźcy gwałcili kobiety, strzelali w głowy dwuletnich dzieci, zrzucali ze schodów osiemdziesięcioletnich starców. To kolejne fakty.

Kim jednak byli najeźdźcy? Propaganda komunistyczna uczyniła Wierzchowiny symbolem „zbrodni Narodowych Sił Zbrojnych”. W ostatnich latach niektórzy historycy wyrazili wątpliwość, czy rzeczywiście odpowiedzialnością należy obarczać NSZ. Historycy o zdecydowanie prawicowych poglądach uznali, że mord w Wierzchowinach dokonały oddziały Wojska Polskiego.

Mord w Wierzchowinach to historia, która już ma własną historię.

Dziś w centrum wsi Wierzchowiny stoi pomnik postawiony w 50. rocznicę tragedii. Jest czarny, niewielki, w kształcie anioła, stolika, na którym w cerkwiach wyklada się Świętą Księgę lub ikonę. Napis głosi: „W tym miejscu spoczywają prawosławni mieszkańcy wsi”; z tyłu stoi metalowy krzyż katolicki. Na pomniku jest krzyż prawosławny.

W 1945 r. w Wierzchowinach mieszkało około dwustu rodzin ukraińskich i pięć mieszanych. Teraz we wsi i okolicach pozostało tylko kilka osób, które widziały mordowanie. Ci mieszkańcy to sami Polacy. Ukraińcy, którym udało się przeżyć, wyjechali w większości do Związku Radzieckiego.

Maria Krzysztoń (imię i nazwisko zmienione) mieszkała wówczas we wsi Zwierzyniec. Miała dziesięć lat i chodziła do szkoły w Wierzchowinach. We wsi były dwie szkoły,

polska i ukraińska. Stały blisko siebie, boisko było wspólne.

Maria Krzysztoń wspomina: Przed południem do wsi zaczęło zjeżdżać wojsko. Żołnierze mieli na sercach przypięte kwiaty, koniom koło uzd też przywiązano bukiety. To były czerwone kwiaty, pewnie dalie, które wtedy kwitły w ogródkach. Żołnierze wyglądali radośnie, jakby wracali z frontu. Wojsko stanęło na boisku. My się jednak baliśmy, bo tyle było tej armii. Kazali dzieciom, było nas ponad dwadzieścioro, to była trzyklasowa szkoła, zebrać się w kącie. Zabronili podchodzić do okien. Zabrali naszego nauczyciela, pana Kazanowskiego. Potem wyjaśniło się, że go wzięli, aby pokazywał, które rodziny są polskie, a które ukraińskie. Ze czterdzieści minut nas trzymali, potem wojskowi odprowadzili nas do końca wsi i kazali iść prosto do domu. Później jeszcze w Zwierzyńcu słyszeliśmy strzały.

Stanisław Cygańczuk miał wówczas 26 lat.

Opowiada: We wsi ktoś przywiesił kartkę, żeby się nie bać, bo będzie wracać wojsko Żukowa na odpoczynek. Pośle tego przed godziną dwunastą wjeżdża wojsko alagancko ubrane, na plecach digtariowy. Najpierwsze to było, że na początku jechała kobieta w bryczce, z tyłu kuchnia polowa i krowę prowadzili, harmonia grała. My siedzimy w starym domu po teściach prawosławnych, ja, ojczym, matka i moja żonka. Wchodzą, każą dowody pokazać i o mleko wołają. Matka mleka dała, a żonka się ze strachu schowała. Oni mówią, żeby się nie bać, matula mówi, że skąd się ma bać polskiego żołnierza? A oni na to, że ich się ludzie boją. Wyszli, pośle tego wrócili i mówią: Tu po sąsiedzku jest maciora z prosiakami, będziecie sobie mogli wziąć. To matka odpowiada: Nie potrzebujemy, mamy swoje. Przestrzegają nas, że jak będzie strzelanina, to żeby się kłaść na podłodze. Wyszli. Ojczym woła sąsiada, Tywoniuka, żeby się u nas w stodole schował, bo to nie jest żadne wojsko, tylko bandziory. A

Tywoniuk, że się nie ma czego bać, bo niczego złego nie zrobił. Pośle tego widziałem, jak go strzelili. Kilku naraz strzelali, jeden się jeszcze ruszał, to go z krótkiej broni dobili. Jeszcze przygonili kobietę z małym dzieckiem, kazali stanąć pod wisznia i trrrach, zastrzelili. Wujek był aparatowym w gorzelni, to opowiadał, że tam było dziesięć schodów i jeden na koniu wjechał po tych schodach i o spirytus woła. Kazał sobie trzy szklanki nalać, dwie im wypić, a sam dopiero trzecią, jak sprawdził, że nie otruta. Tu Ukraińcy co drugi mieli bunkry pod domami albo w piwnicach, ale nie zdążyli się schować. Prawie każdy miał broń, ale strzelać też niewiele zdążyli. Był jeden bogaty dom, w ogóle tam nie weszli. Ale jakiś głupi zaczął za nimi z tego domu strzelać, to wrócili i wszystkich szpadlami zatłukli. Sąsiad potem woził trupy i mówił, że na końcu to jeszcze gwałcili kobiety i wbijali w przyrodzenie flaszkę. Inny sąsiad, który przeżył, bo go akurat nie było w wiosce, potem strasznie się mścił. Był w UB, robił

obławy. Potem się rozpił, zachorował na płuca i umarł na ulicy.

Irena Szymańska (imię i nazwisko zmienione) chodziła wtedy do polskiej szkoły.

- Do końca życia zapamiętam, jak to wyglądało następnego dnia -opowiada. Drabiniaste wozy, na nich poukładane trupy, które niesiono do wspólnego, olbrzymiego grobu w środku wsi. Ciała owijano w białe prześcieradła, na wozach leżały jedne na drugich - kobiety, mężczyźni, dzieci. Było ciepło, jeszcze się krew sączyła.

Ówczesny „Głos Ludu”, organ PPR, ogłosił, że zbrodni w Wierzchowinach dokonały Narodowe Siły Zbrojne. 13 czerwca 1945 r. opisywał: „Niektóre niemowlęta zabijano wystrzałem w usta. Ojciec dziewiętnastoletniej Banasiuk Marii, sześćdziesięcioletni starzec, zginął na Majdanku. Mąż jej został uwięziony w obozie koncentracyjnym i dotychczas do domu nie wrócił. Banasiuk Marię NSZ-owscy bandyci zgwałcili, a potem zabili.

Zamordowano również jej pięćdziesięcioletnią matkę i dwuipółroczne dziecko. W mieszkaniu Pawlaków zabito w kołysce wystrzałem z rewolweru półtoraroczne dziecko. Matce dziecka, która je właśnie kołysała, wepchnięto nóż w szyję. Nóż tak pozostał. Ciało kobiety ma poza tym jeszcze trzy kule.

Dziewięćdziesięcioletniego starca Wilka Leona, unieruchomionego przez starość, zamordowano w łóżku".

Kilka dni później do Wierzchowin skierowano komisję do zbadania przebiegu wydarzeń. W komisji znaleźli się: lekarz, sędzia, dziennikarz „Sztandaru Ludu”, ksiądz i funkcjonariusz UB. Na czterech stronach protokołu komisji najczęściej, dziewięć razy, pojawia się słowo „krew”. „Na podłodze i sprzętach domowych skrzepy krwi, nawet ściany i sufity są zbryzgane krwią, woń okropna”; „szczątki odzieży we krwi”; „na podwórzach zakrzepła krew w takich ilościach, że niewątpliwie były tam poprzednio całe kałuże krwi”.

Komisja dokonała ekshumacji ciał dwóch osób. „U jednej z nich brak jest głowy widocznie została odrąbana, poza tym stwierdzono ślady pochodzące od wystrzałów”.

Trzy dni po mordzie w Wierzchowinach grupa pościgowa U B, KBW i NKWD rozbiła we wsi Huta zgrupowanie NSZ. Zginęło ponad 60 żołnierzy NSZ, wśród nich prawie wszyscy dowódcy. 41 wzięto do niewoli.

Historyków od początku dziwiło, że zakładając odpowiedzialność NSZ za Wierzchowiny oddziały nie „odskoczyły”, lecz dały się rozbić niespełna 30 km od Wierzchowin. We wsi Huta ludzie powiadają, że NSZ-owcy byli pijani.

W Hucie poległ m.in. dowódca całego zgrupowania „Szary”, Mieczysław Pazderski, z zawodu lekarz.

Zygmunt Wolanin „Zenon”, szef Pogotowia Akcji Specjalnej NSZ na Lubelszczyźnie, w raporcie sytuacyjnym po bitwie pisał: „Sowieci

rannych dobijali, zginęła łączniczka «Jacka», którą sowieci złapali przy rannym, po zgwałceniu jej zabili kolbami i butami".

W książce „Za władzę i lud" Ireneusz Caban i Edward Machocki (Lublin 1975) obliczyli, że wśród zabitych w Wierzchowinach było 10 sympatyków i członków byłej KPP, 8 członków PPR i 2 pracowników UB. W „Roczniku Lubelskim" (t. XXV/XXVI, 1983/1984) Ireneusz Caban napisał:

„Ludność wsi Wierzchowiny w większości pochodzenia ukraińskiego - sami mieszkańcy uważali się za ludność «ruską» - znana była z lewicowych poglądów. Podczas okupacji współpracowała z partyzantką radziecką i oddziałami GL i PPR. Po wyzwoleniu powstała tu komórka PPR, a wiele młodzieży służyło w Wojsku Polskim, Milicji Obywatelskiej i organach bezpieczeństwa".

Komisja badająca zbrodnię w Wierzchowinach napisała: „Nie skonstatowano ani jednego wypadku należenia mieszkańca wsi

Wierzchowiny do jakiegokolwiek terrorystycznej organizacji ukraińskiej wypowiedającej się po stronie Niemców i występującej przeciw Polakom. Najlepszym wyrazem antyniemieckiego nastawienia ludności tej wsi jest ta okoliczność, że z mieszkańców jej zginęło z rąk okupanta 30 osób, wieś zapłaciła 55 tysięcy złotych kontrybucji nałożonej przez Niemców".

Roman Jaroszyński, dowódca oddziału NSZ na Podlasiu, w meldunku z 17 VI 1945 r. pisał:

„Mieszkańcy wsi Wierzchowiny byli sami konfidenci, byli tacy, nawet większość, którzy pracowali w resorcie lub NKWD i w postaci wywiadów dostarczali swoim przełożonym bardzo cennych materiałów, a mianowicie praca ich polegała na tym, ażeby jak najwięcej zniszczyć Polaków zdrowo myślących, znaczy się takich, którzy byli i są przeciw obecnemu Rządowi. Tropili za oddziałami NSZ lub za oddziałami AK. Wysyłali meldunki do NKWD i wówczas z ich to poręki odbyły się potyczki

między oddziałami NKWD i resortem a oddziałami AK, gdzie w każdej potyczce ginęli może najlepsi Polacy. Sama wieś służyła jako schronienie dla bandy «Bulbowców», skąd powyższe bandy robiły wypadki, one to czerpały największe wywiady od ukrajnców, oni to nasyłali na wsie polskie, gdzie ludność polska była mordowana, a wsie palone były doszczętnie, to ich praca.

Dowództwo NSZ, aby położyć kres temu i zapobiec dalszemu mordowaniu i ściganiu Polaków i ich rodzin, wydało rozkaz, aby mieszkańców wsi Wierzchowiska [to przejęzyczenie autora meldunku, chodzi o Wierzchowiny - P.L.] co do jednego wymordować. W czasie akcji przede wszystkim strzelano wszystkim mieszkańcom pochodzenia ukrajńskiego, młodych zaś męczono w celu wydobywania broni, która była używana na Polaków, co się okazało słusznie, gdyż wydobyto z nich kilka automatów, amunicji i granatów. W powyższej wsi zostało wymordowane 194 osób pochodzenia tylko

ukrajńskiego".

N.N. Seliwanowski, radziecki doradca w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, informował Berię, że Bolesław Bierut nakazał sprawców mordu w Wierzchowinach sądzić w pokazowym procesie (doniesienie z 15 VI 1945 r. w zbiorze dokumentów „NKWD i polskoje podpolje”, Moskwa 1994).

Początkowo, jak informował „Głos Ludu”, proces miał się toczyć w Lublinie. Później jednak przeniesiono go do Warszawy.

Był to jeden z pierwszych pokazowych procesów w powojennej Polsce. Władza nie doszła jeszcze do pełnej wprawy. Nie wszyscy oskarżeni przyznali się do winy.

Władysław Minkiewicz we „Wspomnieniach 1939-1954”, opublikowanych przez „Zeszyty Historyczne” (Instytut Literacki, Paryż 1987, z. 81), pisał:

„Wielu członków NSZ wpadało w ręce

bezpieki i wielu z nich odpowiadało, zupełnie bezpodstawnie, za udział w akcji na Wierzchowiny. Zapadały wyroki śmierci, często w stosunku do ludzi, którzy mieli wprawdzie na sumieniu rozmaite czyny sprzeczne z obowiązującymi przepisami, ale z Wierzchowinami nie mieli nic wspólnego. Bezpieka musiała się wykazać, że działa sprawnie i że żadne przestępstwo nie ujdzie płazem. Wśród warszawiaków, nie pozbawionych poczucia humoru nawet w najtragiczniejszych momentach, krążyło wówczas makabryczne powiedzenie: «Zginał za Wierzchowiny niepopelnione»".

Zanim jeszcze oskarżeni stanęli przed sądem, przez kilka tygodni prasa zagęszczała atmosferę wokół NSZ.

Miesiąc przed procesem gazety pisały („Głos Ludu" z 8 I 1946):

„Wstrząsająca zbrodnia NSZ w Krasnymstawie. Granaty wrzucone na salę zabaw zabiły trzy osoby poraniły ponad

trzydzieści".

Pięć dni przed początkiem procesu „Głos Ludu” (z 9 II 1946) pisał o mordach i podpaleniach, jakich dopuścił się NSZ w Białostockiem:

„Bandyty zapędzili mieszkańców napadniętych wsi do większych domów, podparli w nich drzwi i podpalili budynki. Gdy nieszczęśliwi, skazani na spalenie żywcem ludzie starali się wydostać z morza płomieni, spotkali się z serią wystrzałów z karabinów maszynowych”.

23 oskarżonych wprowadzono przed sąd 14 lutego 1946 r. o 9 rano.

„Kwadratowe twarze, niskie czoła, złe, zacięte oczy - opisywał oskarżonych „Głos Ludu” (15 II 1946). - Ci ludzie mordowali wyrafinowanie i z zimną krwią”.

Akt oskarżenia stwierdzał:

„W okresie lat ciężkiej okupacji hitlerowskiej, gdy cały naród krwawił w nierównej walce z

najeżdżcą niemieckim, znalazły się w Polsce elementy, które nie tylko tej walki nie podjęły, a wprost przeciwnie, świadomie odrzuciły program walki z okupantem wysuwając hasło walki z ruchem wyzwolenicznym narodu Polskiego, dążącym do wywalczenia Wolnej, Niepodległej i Demokratycznej Polski.

Faszystowskie elementy te zgrupowały się w tzw. Związku Jaszczurczym, przekształconym następnie w NSZ. Oddziały NSZ w czasie okupacji zostały wykorzystane przez wroga, celem prowadzenia walki z oddziałami partyzanckimi i wzniecania walk bratobójczych, szczególnie krwawych w okolicach Lubelszczyzny i Kielecczyzny".

W tym czasie trwał proces zbrodniarzy niemieckich w Norymberdze.

Tego samego dnia, gdy w Warszawie rozpoczął się proces przeciwko dwudziestu trzem z NSZ, w Norymberdze wystąpił radziecki prokurator płk Pokrowski, który jak napisał „Głos Ludu” (15 II 1946) - „omówił

sprawę masowych mordów w Katyniu jesienią 1941 r., za które propaganda hitlerowska chciała uczynić odpowiedzialną Armię Czerwoną. «Przeszło 100 świadków zeznawało przed komisją - stwierdza płk Pokrowski i z zeznań ich wynika, że 10 tys. oficerów i żołnierzy armii polskiej zamordowali hitlerowcy w lesie katyńskim»".

Proces dwudziestu trzech toczył się w sali przedwojennego teatru Malickiej przy ulicy Karowej w Warszawie.

- Sędziowie siedzieli na scenie opowiada Jan Kowalski, najmłodszy z ówczesnych oskarżonych. - My, oskarżeni, poniżej. Przed teatrem stał czołg, w środku było więcej ubeków i wojskowych z KBW niż publiczności. Dowożono nas jedną ciężarówką, siedzieliśmy skuci na podłodze. Przed i za nami jechał wóz pancerny.

Jan Kowalski miał wówczas 16 lat. Za przynależność do NSZ skazano go na dwa

lata więzienia w zawieszeniu. Zarzucono mu też udział w akcji na Wierzchowiny, ale zarzut nie został udowodniony.

- Nigdy tam nie byłem - mówi Jan Kowalski. - Ale i tak wszyscy nazywali nas „wierzchowiniakami”.

W trakcie procesu, zwanego przez prasę „wierzchowińskira”, tylko jednemu z dwudziestu trzech oskarżonych, Romanowi Jaroszyńskiemu, udowodniono, że brał udział w akcji. Sam się przyznał.

„Głos Ludu” codziennie opisywał kolejnych oskarżonych składających wyjaśnienia.

„Pierwszy zeznaje Zygmunt Wolanin. Szczupły, niepozorny. Gdy mówi o rabunkach, likwidacjach, zniknięciach, napadach wyraża się terminologią złoczyńców, oczy mu błyszczą nienaturalnym blaskiem, podnieca się i podnosi głos” (16 II 1946).

„Roman Jaroszyński lubuje się w opisach

zbrodni. Mówi o szczegółach, o jakie nie pyta nawet sędzia. Ten sadysta na miarę oprawców z Gestapo czy SS ma wygląd typowego bandyty: okrągła twarz, małe, przebiegłe oczki z krwawymi błyskami, wielkie, ciężkie ręce" (16 II 1946).

„Kazimierz Łuszczynski. Jest to drobny, mizerny młodzieniec. Drży ze strachu, gdy sędzia pokazuje mu rozkaz zamordowania lubelskiego fryzjera, który sypał ludzi z NSZ" (19 II 1946).

Oskarżony „Zenon” Wolanin w czasie procesu tłumaczył:

„Z chwilą stworzenia Rządu Jedności Narodowej i uznania tego rządu przez państwa sojusznicze postanowiliśmy w ogóle do konspiracji nie należeć. Złożyliśmy na ręce kierownika UB w Lublinie oświadczenie o gotowości dekonspiracji NSZ. Mieliśmy otrzymać odpowiedź, nie otrzymaliśmy do dzisiaj”.

W aktach sprawy znajduje się odręczne pismo oskarżonego Romana Jaroszyńskiego, które ten wysłał do sądu wojskowego. Pisał:

„Jestem synem robotnika rolnego śp. Jaroszyńskiego Piotra, który za swe czyny i przekonania demokratyczne oraz walkę z caratem w ramach PPS skazany został i wywieziony wraz z rodziną na Syberię, gdzie w następstwie odniesionych ran zmarł. Po swojej śmierci został odznaczony medalem Niepodległości”.

Po śmierci ojca matce Romana Jaroszyńskiego udało się zbiec z pięciorgiem dzieci do Polski. W drodze jedno z dzieci zmarło.

„Po powrocie do Polski - pisał Roman Jaroszyński do sądu - matka bez jakiegokolwiek pomocy, jedynie z pracy swych rąk wychowywała pozostałych przy życiu czworo dzieci, z których wszystkie oprócz mnie podczas okupacji niemieckiej, jako uczestnicy walk o niepodległość, zginęły w walce o

wolność. Z braku pieniędzy na dalsze kształcenie już w 17 roku życia jako ochotnik wstąpiłem do Wojska Polskiego, gdzie pozostałem do września 1939 r. Przez cały okres okupacji niemieckiej do lutego 1945 r. byłem czynnym członkiem sekcji dywersyjno-terrorystycznej w Armii Krajowej. Z rozkazu organizacji, jak również w obawie o swoje życie, po zamordowaniu przez okupanta brata i siostry, do roku 1943 byłem zatrudniony w policji granatowej, a następnie w obawie dekonspiracji przez okupanta uciekłem do lasu do szeregów AK".

Roman Jaroszyński zaznaczył, że zabił czterech Niemców. Dalej pisał:

„W marcu 1945 r. AK zostało zlikwidowane, w obawie przed represjami karnymi, chcąc ratować swoje życie, jako jedyny pozostały przy życiu z naszej rodziny, zwerbowany zostałem przez przypadkowo poznanego porucznika Sęka do NSZ, której to organizacji przedtem nie znałem, a której ani myśli

politycznej, ani ideologii partyjnej, względnie programu i sposobu działania nie znałem. Należałem do NSZ li tylko dlatego, żeby zapoznać się z organizacją i sposobem działania NSZ i w ten sposób ich zdemaskować przed władzami demokratycznego państwa. W parę miesięcy po wstąpieniu do NSZ nawiązałem kontakt z zastępcą kierownika Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie i ujawniłem 35 członków NSZ. Zdemaskowałem dowódcę Pogotowia Akcji Specjalnej w Lublinie Grudzińskiego, który utrzymywał kontakt między NSZ a zatrzymanymi przez Urząd Bezpieczeństwa w więzieniu na Zamku w Lublinie członkami NSZ. Podałem opisy i rysopisy 25 członków NSZ od porucznika, którzy są na wolności czynnymi członkami NSZ. Z powodu niesłuchania rozkazu zniszczenia ludności wsi Matcze i Kupytów 2 VI 1945 r. przed akcją wierzchowińską pozbawiony zostałem dowództwa NSZ (70 ludzi), a podczas samej akcji Wierzchowiny

zostałem zawieszony w czynnościach i byłem tylko biernym widzem rozgrywającej się rzezi ludności".

W sądzie Jaroszyński opowiadał:

„Z samej rzezi w Wierzchowinach widziałem kilka wypadków mordowania dzieci, kobiet, starców i mężczyzn, którzy tam żyli. Byłem świadkiem, jak niemowlę wyciągnął jeden z żołnierzy za nogi i wyrzucił przez zamknięte okno na jezdnię. Dziecko brocząc we krwi wilo się z bólu i tak zakończyło życie. Była jedna kobieta w ciąży, jakieś 7 może 8 miesięcy, bo to było już bardzo widoczne. Została również skatowana i zbita, tylko za to, że chciała ukryć męża za szafą. Została zbita, skatowana, a następnie żołnierz oddał do niej serię, kierując w brzuch ze słowami: Ukraińców nam w Polsce nie potrzeba.

Chcę nadmienić, że wszystkich czynnych wykonawców zbrodni wierzchowińskiej, zaraz po akcji, bezpośrednio na Hucie spotkała karząca ręka sprawiedliwości. Jednak zabici

na Hucie nie są głównymi winowajcami. Głównymi organizatorami byli ci, którzy zbiegli w roku 1939 do Anglii, sanacyjni przywódcy. Przykro mi, że muszę się tak wyrazić, nie powinienem się może tak wyrażać o Polakach, ale wyższa konieczność zmusza mnie do tego, żeby ich nazwać złodziejami, bandytami, choćby z tego punktu widzenia, że zrabowany w Polsce skarbiec, zdobyty potem i krwawicą polskiego żołnierza, chłopca i robotnika, trwonili, bawili się i wygodnie żyli pod angielskim parasolem".

19 marca 1946 r. sąd wojskowy skazał 9 spośród 23 oskarżonych na kary śmierci, resztę na więzienie. Po wniesieniu rewizji dwa wyroki śmierci zamieniono na dożywocie.

Wśród skazanych na śmierć znalazł się „Zenon” Wolanin, choć sąd uwolnił go od zarzutu wydania rozkazu pacyfikacji Wierzchowin. Na śmierć skazano również Romana Jaroszyńskiego, jedyne spośród oskarżonych, który był w Wierzchowinach.

Siedem wyroków śmierci wykonano 24 maja 1946 r. w więzieniu na Rakowieckiej. Nie wiadomo, gdzie spoczywają ciała.

W procesie oskarżało dwóch wojskowych prokuratorów: Antoni Trella z Warszawy i Czesław Szpąderski z Lublina.

Pierwszy półtora roku później zastrzelił się. Drugiego w 1949 r. oskarżono o szpiegostwo i skazano na karę śmierci, którą następnie zamieniono na dożywocie.

W 1992 r. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego unieważnił wyrok wobec „Zenona” Wolanina. Uznał, że nie można dopatrzeć się bezpośredniego związku między zarządzoną przez niego koncentracją oddziałów NSZ a dokonaną przez te oddziały kilka dni później zbrodnią w Wierzchowinach. Sąd uznał, że pozostała działalność „Zenona” Wolanina w szeregach NSZ była skierowana „na odzyskanie przez Państwo Polskie pełnej niezawisłości i suwerenności”.

Sąd, unieważniając wyrok, przyznał rodzinie „Zenona” Wolanina dwa miliardy starych złotych odszkodowania.

Sąd wyliczył:

„Do określenia wysokości odszkodowania za szkody wynikłe z faktu skazania Pana Zygmunta Wolanina należy przyjąć kwotę nieznacznie przekraczającą 5 milionów w skali miesięcznej. Za przyjęciem tej kwoty przemawiają następujące okoliczności: pan Zygmunt Wolanin w chwili wybuchu wojny posiadał ukończone trzy lata studiów prawniczych i gdyby nie działania wojenne, zdobyłby wyższe wykształcenie prawnicze i mógłby w tym zawodzie pracować. Również prowadzona przez niego działalność niepodległościowa, a następnie aresztowanie, skazanie i wykonanie na nim wyroku śmierci uniemożliwiło mu zdobycie wykształcenia i podjęcie pracy zawodowej, z której wykonywania otrzymywałby zarobki odpowiadające na dzień dzisiejszy wyżej

określonej kwocie. Biorąc pod uwagę fakt, że gdyby nie skazanie, to Pan Zygmunt Wolanin pracowałby w zawodzie do osiągnięcia wieku emerytalnego, a więc przez okres dalszych 410 miesięcy, gdyż w chwili wykonania kary śmierci miał 31 lat. Zatem przez ten okres otrzymywane przez niego dochody wyniosłyby 2 055 000 000 zł".

Marek Warda, historyk w chełmskim liceum, bada historię mordy w Wierzchowinach. Odkrył, że z kroniki szkoły w Wierzchowinach wyrwano cały 1945 rok. Informacji o mordzie brakuje również w raportach do wojewody lubelskiego.

Marka Wardę interesują Wierzchowiny, bo jego matka przeżyła te wydarzenia.

- Szerzej zacząłem się zajmować Wierzchowinami od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy zaczęły się niesnaski między Polakami a Ukraińcami. Wierzchowiny były wówczas ważnym argumentem - mówi. Zauważył, że w

ciągu ostatnich lat zmieniła się historia Wierzchowin. Emigracyjni historycy NSZ byli zgodni co do tego, kto dokonał napadu na Wierzchowiny. Zbigniew S. Siemaszko („Narodowe Siły Zbrojne”, Londyn 1982) pisał:

„2 czerwca 1945 r. Wolanin przeprowadził koncentrację czterech oddziałów PAS, w sumie około 300 ludzi, i przeprowadził napad na wieś Wierzchowiny”. To samo twierdził Jerzy Pilaciński w swojej wydanej po raz pierwszy na emigracji książce („Narodowe Siły Zbrojne. Kulisy walki podziemnej 1939-1945”, Warszawa 1990, wyd. II). Dopiero historycy piszący w Polsce przedstawili inną wersję wydarzeń.

Maria Turlejska w czasie wojny była zecerem w tajnej drukarni PPR, po wojnie kierowała Wydziałem Historii Partii KC PPR. W 1972 r. w książce „Zapis pierwszej dekady 1945-54” napisała:

„Trzy oddziały NSZ w mundurach WP 6

czerwca w południe wkroczyły do Wierzchowin, podczas gdy dwa («Romana» i «Zemsty») otoczyły wieś. Ludność początkowo sądziła, że to żołnierze powracający z frontu. Ale krótko trwała radość. Bandyci przystąpili do systematycznego rabowania - rzeź trwała trzy godziny. Po wycofaniu się NSZ z 70 wozami zrabowanego dobytku i inwentarzem żywym pozostało na miejscu 197 zabitych, w większości kobiet, dzieci i starców".

Pod koniec lat 70. Maria Turlejska dotarła do akt spraw sądowych, podań o łaskę, wyroków, które nie były dotąd udostępniane historykom. Opublikowała je w książce „Te pokolenia żałobami czarne...”, którą w 1986 r. wydała w drugim obiegu pod pseudonimem Łukasz Socha. W tej książce napisała o oskarżonych w procesie dwudziestu trzech: „Wgląd w akta sprawy jeszcze mocniej przekonuje, że z Wierzchowinami mieli mało wspólnego lub nic. Sprawa została sfabrykowana, by przerzucić winę na innych. Pacyfikacja była niewątpliwie

dziełem wojska lub KBW zemstą na Ukraińcach (...). Dostępny opis wydarzeń w Wierzchowinach, pełen znaków zapytania, też zdaje się przemawiać na rzecz poglądu o prowokatorskim charakterze całej sprawy".

Profesor Maria Turlejska była pierwszym historykiem, który zasugerował, że zbrodni w Wierzchowinach nie dokonali NSZ-owcy.

W 1991 r. w telewizyjnym programie Dariusza Baliszewskiego „Rewizja nadzwyczajna” historycy się zastanawiali, czy mord w Wierzchowinach dokonało NSZ. Ich wątpliwości wzbudził przede wszystkim proces dwudziestu trzech, w czasie którego tylko jeden oskarżony przyznał się, że był w Wierzchowinach.

We wrześniu ubiegłego roku Marcin Zaborski w „Gazecie Polskiej” napisał („Zbrodnia nie popełniona przez NSZ”, 15 IX 1994): „Aktualny stan wiedzy o «wypadkach wierzchowińskich» zdaje się wskazywać innych sprawców Urząd Bezpieczeństwa,

Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, względnie NKWD".

Marcin Zaborski stwierdził, że na Lubelszczyźnie działały tzw. oddziały pozorowane, które mordowały i grabiły, podszywając się pod podziemie.

Przypuszczał, że do Wierzchowin najpierw wszedł oddział NSZ, który wykonał kilkanaście wyroków śmierci wydanych przez podziemie. Po NSZ-owcach miał wkroczyć oddział pozorowany, mordując resztę Ukraińców, aby obarczyć winą NSZ.

- Niebaczenie napisałam o odpowiedzialności wojska - mówi dziś prof. Maria Turlejska o fragmencie swojej książki. - Dziwne historie wokół Wierzchowin zaczęłam dostrzegać od razu, gdy przeglądałam prasę z okresu procesu dwudziestu trzech. W „Głosie Ludu” opublikowano przemówienie Grzegorza Korczyńskiego, który nie wiadomo dlaczego wystąpił w sądzie nie był sędzią, prokuratorem lub obrońcą, lecz wiceministrem

bezpieczeństwa publicznego. Mówił, czym było NSZ, jakich się dopuściło zbrodni. Z góry przesądził, że za Wierzchowiny nie mógł być odpowiedzialny nikt inny, jak tylko NSZ. A były przecież tak zwane oddziały antypartyzanckie, podszywające się pod podziemie. Wreszcie nazewnictwo budziło moje zdziwienie. Mówiło się o Pogotowiu Akcji Specjalnej NSZ, a wcześniej czegoś takiego nie było, w NSZ działały bojówki Akcji Specjalnej. PAS wydało mi się tworem wymyślonym. Poza tym w czasie rozprawy oskarżeni mówili, że chcieli się ujawnić, jeden był rolnikiem, drugi urzędnikiem. Trafiłam też na materiały, z których wynikało, że w okolicy Wierzchowin w tamtym czasie działał też jakiś inny oddział.

- Czy dzisiaj pani profesor podpisałaby się pod twierdzeniem, że to ktoś inny niż NSZ dokonał mordu w Wierzchowinach?

- Nie prowadziłam dalszych badań. Mam za mało danych, aby twierdzić, że to NSZ. Mam też za mało danych, aby winą obciążać KBW,

wojsko. Dziś byłabym ostrożniejsza w sądach.

Dariusz Baliszewski, twórca „Rewizji nadzwyczajnej”, mówi:

- W pierwszym moim programie o NSZ wystąpił m.in. Kazimierz Safita, oskarżony w procesie dwudziestu trzech. On nam otworzył oczy. Był skazany w procesie wierzchowińskim, a w rzeczywistości nigdy nie był w Wierzchowinach. Ja jestem akuszerem historii. Mój program pozwala wyjść na jaw prawdziwej historii. Stawiamy pytania, i odzywają się świadkowie. Tak też było w wypadku Wierzchowin. W pierwszym programie postawiłem pytania i obiecałem wyjaśnić prawdę, jakakolwiek by ona była.

Kilka miesięcy temu Dariusz Baliszewski dotrzymał obietnicy. Poświęcił Wierzchowinom kolejny program. Występujący w nim historycy i świadkowie byli pewni: zbrodni w Wierzchowinach dokonały NSZ.

- Później jeszcze nagrywałem relacje, ale

teraz, po wyborach prezydenckich, ludzie znowu zaczynają się bać opowiada Dariusz Baliszewski.

- Jeden człowiek z AK wycofał z publikacji swoją relację. A mówił o Wierzchowinach niezwykle rzeczy. Ze na Lubelszczyźnie już panował spokój i NSZ postanowiły narobić zamętu. Żołnierze NSZ demonstracyjnie maszerowali przez Lubelszczyznę, atakowali lotniska, prowokowali Rosjan, żeby na nich uderzyli. Wiedzieli, że zginą, wieźli spirytus, chcieli wywołać wojnę.

Po pierwszym programie w 1991 r. list do Dariusza Baliszewskiego napisał członek NSZ o pseudonimie „Lont”. W swoim ostatnim programie Baliszewski odczytał jego wspomnienia o Wierzchowinach:

„Jestem byłym żołnierzem leśnym NSZ, którzy tam byli. Widziałem te straszne wydarzenia i tragedie ludzkie. Wtedy to nie robiło na mnie większego wrażenia, ale dziś mam je wszystkie przed oczyma. Prześladowają mnie.

Bez przerwy proszę Boga, by mi przebaczył, a i wszystkim innym, których los okrutnej wojny na taką drogę rzucił. Wiem, że niewielu z nas przeżyło to piekło, ale ci, co przeżyli, myślą już inaczej i robią inaczej, żeby zasłużyć przed Bogiem na przebaczenie. Chcemy, aby naszych dzieci i wnuków nie wychowywano na przykładach tamtych pseudobohaterów, to były wyczyny barbarzyńskie z naszej strony. Mordowaliśmy ludzi bez powodu, pod wpływem emocji, na bezmyślne rozkazy, często tylko dlatego, że był z innego oddziału, miał innego orzełka. Wszyscy jednak byliśmy ludźmi, chcieliśmy żyć, budować".

Janusz Wrona, historyk z lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie--Skłodowskiej, mówi:

Odpowiedzialność NSZ za Wierchowiny niektórym historykom wydawała się zbyt oczywista. Działy w tedy oddziały pozorowane, to był cudowny kątek: zrobić akcję pod NSZ. Historyk zawsze szuka odpowiedzi na pytanie, komu to najbardziej

służy. Wierzchowiny najbardziej przysłużyły się nowej władzy.

My w historii szukamy racjonalności. Z punktu widzenia NSZ ta akcja była nieracjonalna, potwornie zaciążyła nad ich wizerunkiem. Komunistyczna propaganda to wykorzystała: zobaczcie, co będzie, jeśli to nie my będziemy sprawować władzę.

Ale nasze szukanie racjonalności jest fałszywe, bo nie przeżyliśmy wojny. Wielu z tych NSZ-owców wywodziło się z dwudziestej siódmej dywizji, która operowała na Wołyniu, a powstała dla samoobrony przed Ukraińcami. Widzieli płynące rzekami ciała Polaków pomordowanych przez UPA, wyciągali trupy ze studni. Przeszli przez piekło. Może według nich było to racjonalne, może chcieli pokazać społeczeństwu: wreszcie ukaraliśmy Ukraińców.

Janusz Wrona odebrał relację na temat Wierzchowin od Mieczysława Szczerbatki, członka AK (który zmarł kilka tygodni temu). Z

tej relacji wynikało, że wieś współpracowała z Niemcami w czasie okupacji, a z Rosjanami po wojnie. Mieczysław Szczerbatko opowiadał, że 21 maja podczas wspólnej narady AK (a właściwie Delegatury Sił Zbrojnych) i NSZ wydano wyroki na 19 mieszkańców Wierzchowin za współpracę z okupantami w czasie wojny i po wojnie. Podczas akcji Ukraińcy we wsi zaczęli się bronić i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Szczerbatko dodał, że „Szary”, dowódca akcji na Wierzchowiny, nosił osobistą urazę do mieszkańców wsi, którzy we wrześniu 1939 r. podstępnie go rozbroili, i musiał nocą, aby ratować życie, uciekać ze wsi w samych kalesonach.

Publikacja „Gazety Polskiej” oburzyła kombatantów Armii Ludowej. Tekst Marcina Zaborskiego sugerujący, że zbrodni dokonało Wojsko Polskie, „Gazeta Polska” ozdobiła zdjęciem obecnego prezesa Rady Krajowej Żołnierzy AL.

Stanisław Styk, wiceprezes Rady, opublikował w „Głosie Kombatanta Armii Ludowej” swój tekst polemiczny. Zapytał w nim urzędującego kierownika Urzędu do spraw Kombatantów:

„Czy którykolwiek z żyjących dotychczas eneszetowskich morderców mieszkańców wsi Wierzchowiny został zweryfikowany przez Urząd, którego Pan jest kierownikiem? (...). Zgrupowanie NSZ «Szarego» uciekające po mordzie w Wierzchowinach całkowicie zostało rozbite przez funkcjonariuszy MO i UB oraz podchorążych WP. Czy którykolwiek z funkcjonariuszy MO i UB z Krasnegostawu i Chełma oraz podchorążych WP z Chełma zostali zweryfikowani i są kombatantami, pomimo że «utrwalali władzę ludową w Polsce»?”.

Stanisław Styk napisał też:

„Wszyscy oskarżeni w «Procesie 23» skorzystali z amnestii”.

W rzeczywistości z amnestii skorzystały cztery

osoby, a samych wyroków śmierci wykonano siedem.

- Dlaczego pan tak napisał?

- Przecież to prawda - mówi Stanisław Styk. - Wszyscy skorzystali z amnestii.

- Rozstrzelano Wolanina...

- Wolanin do dziś żyje w Lublinie jest przekonany Stanisław Styk.

Do historyka Janusza Wrony zadzwonił anonimowy człowiek, który przekazał mu rewelacyjną informację: we wsi w okolicach Chełma nadal żyje człowiek, który był zastępcą „Szarego” w akcji na Wierzchowiny. Nazywa się Jan O. Historyk nie miał czasu go szukać, adres przekazał mnie.

Jan O. ma niebieskie oczy. Stoimy w kuchni. Jan O. zamyka drzwi do pokoju żony, gdy mówię, że chciałbym porozmawiać o Wierzchowinach.

Muszę się zastanowić mówi. Zapada długa cisza. - Aresztowali mnie w pięćdziesiątym - podejmuje po chwili. Siedziałem kilka miesięcy.

W czasie wojny był pan w AK czy w NSZ?

Najpierw w NSZ, ale potem scaliliśmy się z AK.

Dlaczego trafił pan do NSZ? Z powodów politycznych?

A skąd, to mnie w ogóle nie interesowało. W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku przyjechało tu dwóch studentów z

Wileńszczyzny, zakładali konspirację. Było mi wszystko jedno, do kogo trafię. Po wojnie zostałem w oddziale. Byliśmy w lesie.

Wierzchowiny do dziś są dla mnie zagadką.

Ja stałem na obstawie, ze mną jeszcze trzech podchorążych. Jak teraz podają, że tylu tam zabitych było, to ja nie wierzę. Nie było słyhać tylu strzałów.

- To nie był pan zastępcą „Szarego”?

- Nie, skąd. Tylko w obstawie stałem.

- Uczestniczył pan w akcji we wsi?
- Nie, z miejsca, gdzie obstawialiśmy, nawet nie było nic widać.
- Po akcji przechodził pan przez wieś?
- Nie.
- Dlaczego NSZ wszedł do Wierzchowin?
- Nie bardzo wiem, ale chyba trzeba było zlikwidować mocno gorliwych, którzy byli w UB i którzy byli komunistami.
- Kiedy pan się dowiedział, ile osób zamordowaliście?
- W gazecie przeczytałem. Kiedy UB rozbiło nas w Hucie, udało mi się prysnąć do domu.
- To prawda, że w Hucie ostro popiliście?
- Skąd, kto w takiej sytuacji miałby głowę do zabawy.

Po bitwie w Hucie członek NSZ o pseudonimie

„Brzechwa” pisał (raport z 24 VI 1945 r., odpis dokonany w Miejskim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie):

„Z rozmów moich z rannymi i rozbitkami dowiedziałem się, że po Wierzchowinach wódzia lała się strumieniami”.

Późnym latem ubiegłego roku w okolicach Wierzchowin postawiono dwa pomniki.

Pierwszy, w samych Wierzchowinach, upamiętnia pomordowanych Ukraińców.

Drugi, we wsi Huta, upamiętnia NSZ-owców, którzy zginęli tu w walce z oddziałami KBW i UB. Tych samych NSZ-owców, którzy wcześniej uczestniczyli w akcji na Wierzchowiny.

luty 1996

TAK MI SERCE PODPOWIADA

Świtało, choć nie było widać świtu. Mgła tylko z granatowoburej zrobiła się nieco bledsza" tak historyk Ewa Kurek zaczęła swoją książkę „Zaporczycy” o jednym z oddziałów powojennego podziemia antykomunistycznego. Pod koniec książki opisała Władysława Siła-No-wickiego, późniejszego znanego obrońcę w sprawach politycznych. Bohaterowie książki mówią o nim „fircyk”, a nawet podejrzewają o współpracę z UB.

Dlaczego?

Wdowa po mecenasie Siła-Nowickim i jego dwie córki wystąpiły przeciwko Ewie Kurek z pozwem o ochronę dóbr osobistych. Zażądały przeprosin i wycofania książki z księgarń. Żołnierze organizacji Wolność i Niezawisłość powołani na świadków pokłócili się w lubelskim sądzie, czy w konspiracji Władysław

Siła-Nowicki nosił garnitur czy bryczesy.

Świadkowie byli podkomendnymi Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, który z kolei podlegał Władysławowi Siła-Nowickiemu „Stefanowi”, lubelskiemu inspektorowi WiN.

Przed sądem jedni świadkowie podkreślali, że po wojnie zaporczycy chodzili w brudnych mundurach, czarnej bieliźnie, we włosach mieli wszy. Siła-Nowicki zaś ubierał się modnie, po cywilnemu, w czysty, elegancki garnitur. Raz nawet przyjechał w długim futrze. To futro tak zdenerwowało jednego z podkomendnych „Zapory”, że chciał wpuścić Siła-Nowickiemu wesz za kołnierz.

Ale według innego świadka Siła-Nowicki wyglądem nie różnił się od innych żołnierzy, nosił bryczesy i kurtkę.

Kiedy Władysław Siła-Nowicki miał zdawać egzamin adwokacki, wybuchła wojna. Zdał go prawie 20 lat później.

W 1939 r. był podporucznikiem rezerwy, dowodził plutonem łączności w 6. Pułku Strzelców Konnych im. Hetmana Wielkiego Koronnego Stanisława Żółkiewskiego, wchodzącym w skład Armii „Łódź”. Został dwukrotnie ranny. Później był w Armii Krajowej Kedywie Okręgu Warszawskiego i w Delegaturze Rządu na Kraj. W domu ukrywał Żydówkę. W czasie Powstania Warszawskiego dowodził plutonem dywersji bojowej na terenie Śródmieścia, w oddziale „Rygiel”. Bardzo ciężko ranny: miał przestrzelone płuco i kręgosłup.

Na początku 1945 r. działał w jawnym Stronnictwie Pracy. Poci koniec roku wrócił do konspiracji. Na Lubelszczyźnie został inspektorem podziemnej organizacji Wolność i Niezawisłość. Wizytował oddział Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, cichociemnego, którego po wyszkoleniu w Wielkiej Brytanii zrzucono do okupowanej Polski. Kiedy rozwiązano AK, „Zapora” podporządkował się komendzie WiN. Siła--Nowicki negocjował

warunki ujawnienia się oddziału „Zapory” - co miało umożliwić żołnierzom powrót do normalnego życia - z najwyższymi urzędnikami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego: dyrektorami Julią Brystygierową i Józefem Czaplickim oraz wiceministrem Romanem Romkowskim. Jako przedstawiciel WiN organizował również ich spotkania z samym „Zaporą”.

Po ujawnieniu się większości żołnierzy „Stefan”, „Zapora” i sześciu innych partyzantów uznało, że pozostanie w Polsce jest dla nich zbyt ryzykowne. Usiłowali uciec na Zachód. Aresztowano ich w Nysie, kilkadziesiąt kilometrów przed granicą. Posługiwali się fałszywymi kenkartami, które dostarczył im wysoki funkcjonariusz WiN. Od jakiegoś czasu człowiek ten był prawdopodobnie prowokatorem Urzędu Bezpieczeństwa.

Wszystkich uciekinierów skazano na śmierć; siedem wyroków wykonano 7 marca 1949 r.

między godziną 19 a 19.30. Bolesław Bierut skorzystał z prawa łaski jedynie wobec „Stefana” Siła-Nowickiego. Siła-Nowicki przesiedział jednak w celi śmierci 112 dni. Wyszedł z więzienia w 1956 r.

Gdy w 1951 r. doprowadzono go z więzienia jako świadka na proces Stronnictwa Pracy, Wanda Odolska pisała w „Trybunie Ludu”:

„A oto zeznaje znany bandyta Władysław Nowicki, który zapytany przez sąd, czy otrzymał pieniądze na cele szpiegowskie, odpowiada, że dane mu pieniądze nie miały nic wspólnego z wywiadem, a były jedynie koleżeńską przysługą. Mrożąca krew w żyłach jest ta solidarność bandyty o łapach ociekających krwią z oskarżonymi”.

W 1957 r. Siła-Nowicki został zrehabilitowany. Kilka lat później zdał egzamin adwokacki.

Był karnistą, bronił w sprawach politycznych. W latach 60. bronił AK-owców oskarżanych o okupacyjną współpracę z Niemcami. Bronił

świadków Jehowy skazywanych za odmowę służby wojskowej i posiadanie nielegalnej literatury religijnej. Bronił w dziesiątkach procesów opozycji, m.in. członków KOR, a w stanie wojennym - w procesie Komisji Krajowej Solidarności. Jacek Kuroń po śmierci mecenasa wspominał:

„W czasach KOR-u byłem pewny, że jeżeli natychmiast jest potrzebny obrońca w Radomiu, to jedynym człowiekiem, który obudzony w nocy natychmiast tam pojedzie, jest właśnie Siła-Nowicki. A przecież wtedy był już starszym człowiekiem”.

W 1980 r. wraz z Janem Olszewskim i Wiesławem Chrzanowskim opracowywał statut Solidarności. W 1987 r. wbrew opinii większości opozycji zgodził się na udział w Radzie Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa, generale Jaruzelskim. Zasiadał w niej m.in. z prof. Krzysztofem Skubiszewskim. W czasie pierwszego posiedzenia, występując jako 16. mówca,

pierwszy wypowiedział słowo Solidarność. „Co można mi zarzucić? - mówił w wywiadzie dla „Głosu Wielkopolski”. - Czy to, że jako pierwszy na jej posiedzeniach mówiłem o Katyniu oraz domagałem się prawdy o Powstaniu Warszawskim? Czy leż może to, że postulowałem umieszczenie portretu Piłsudskiego w Belwederze?”.

W czasie strajku w Gdańsku w 1988 r. pośredniczył w rozmowach między stoczniowcami a generałem Kiszczakiem. W obradach Okrągłego Stołu reprezentował szczecińską Solidarność. W wywiadzie dla „Głosu Wielkopolski” w sierpniu 1990 r. mówił o Okrągłym Stole: „Ta manipulacja, m.in. mająca na celu odsunięcie od demokratycznej walki o władzę innych ugrupowań politycznych, w pełni komunistom się udała. Jej ukoronowaniem były obrady Okrągłego Stołu i utajnione dotychczas przed społeczeństwem układy zawarte w Magdalence”. Tłumaczył, że uczestniczył w obradach, „by demaskować matactwa, by

głośno stwierdzić podczas obrad, że Okrągły Stół nie reprezentuje narodu".

W 1989 r., w pierwszych częściowo wolnych wyborach w powojennej Polsce, walczył bez powodzenia w warszawskiej dzielnicy Żoliborz o mandat ze swoim dawnym klientem Jackiem Kuroń, reprezentującym Komitet Obywatelski Solidarność.

Siła-Nowicki wystartował jako przedstawiciel Chrześcijańsko-De-mokratycznego Stronnictwa Pracy. Uważał, że utworzenie listy Komitetu Obywatelskiego daje tylko pozory demokracji, chciał w wyborach widzieć niezależnych kandydatów. „Teraz 35 proc. posłów zostało mianowanych nie przez partię, ale przez grupę doradców Solidarności -mówił Siła-Nowicki w wywiadzie dla „Kontrastów”. Z tego względu mogę mówić, że byłem jednym z kandydatów opozycyjnych”.

O swoim konkurencie dodawał: „Jacek Kuroń, trzymający stronę Wałęsy, uważa, że w tej chwili demokrację należy odłożyć. Są to

metody dalekie od demokracji. Przypominają mi one dawne metody partyjne".

W 1990 r. chciał kandydować w wyborach prezydenckich, ale nie uzbierał wymaganych 100 tys. głosów. Kilka miesięcy po wyborach występował w imieniu Stanisława Tymińskiego przeciwko telewizji w procesie o zniesławienie. Bronił też Władysława Ciastonia, wiceministra MSW, szefa Służby Bezpieczeństwa, oskarżonego o kierowanie zabójstwem księdza Jerzego Popiełuszki.

Jacek Kuroń wspominał swojego obrońcę i rywala:

„Mecenas był człowiekiem dzielnym i szlachetnym. Nawet to, co często mieliśmy mu za złe, wynikało właśnie z jego dzielności i nonkonformizmu. Potrafił przeciwstawiać się także ludziom, na których mu zależało. A to, o co miewaliśmy do niego pretensję, wynikało nie z małości -jak to czyni wielu z nas ale z wielkości".

Ewa Kurek poświęciła zaporczykom dwie książki: zbeletryzowaną historię oddziału „Zaporczycy. 1943-1949” i zbiór wspomnień żołnierzy „Zaporczycy. Relacje. Tom I”.

W pierwszej książce Ewa Kurek dość często opisuje naturę: „Nad Bęczynem wisiały ciężkie chmury późnego, pochmurnego wieczoru”, „księżycowa poświata, przerywana z rzadka kłakami mlecznobiałych chmur, przydawała ziemi i wodzie tam w dole niesamowitości”, „upiorne cienie drzew w księżycowej poświacie” i tak dalej.

Beletryzuje też opisywane wydarzenia historyczne. Przedstawiając pierwszą wizytę Władysława Siła-Nowickiego „Stefana” u „Zapory”, autorka maluje obraz:

„«Zapora» nie był w stanie słuchać uważnie rozkazów «Stefana», gdyż cała jego uwaga skoncentrowana była w tej chwili na bezskutecznych próbach powstrzymania śmiechu. Stojący bowiem za plecami gościa «Żbik» najpierw wyczyniał przedziwne

wygibasy, a potem trzymając nad kołnierzem inspektora wiesz, pytał na migi «Zaporę», czy może ją wpuścić w eleganckie odzienie przybysza. «Zapora» kręcił wąsa, zagryzał wargi i oczami dawał znać «Żbikowi», żeby się nie wygłupiał".

Po chwili w drzwiach staje „Opal”, którego UB właśnie wypuściło z więzienia (jak wyjaśnia autorka, zjawia się w tym momencie wyłącznie ze względów dramaturgicznych, bo w rzeczywistości wydarzyło się to kiedy indziej). „Zapora” serdecznie wita „Opala”, swojego zastępcę od okupacyjnych czasów. „Stefan” wyczuwa, że jest zbędny. Żąda tylko: „Czy dostanę furmankę i jakąś obstawę?” i odjeżdża. Wówczas „Opal” pyta „Zaporę”: „Powiedz mi lepiej, skąd wytrzasnąłeś tego fircyka”.

W „Zaporczycy. Relacje” mniej jest mgieł i chmur, za to postawa Siła-Nowickiego rysuje się bardziej zdecydowanie: współpracownik UB.

Zawsze można znaleźć dwoje ludzi, którzy powiedzą, że ktoś był łajdakiem mówi Agnieszka Dąbrowska, córka Władysława Siła-Nowickiego, która teraz mieszka w Szczecinie. Mój ojciec spędził przeszło dziewięć lat w stalinowskim więzieniu, z tego trzy lata w pojedynkach, wiele tygodni w karcerach. A Ewa Kurek podaje relację, jakoby miał w więzieniu kancelarię, żył z pisania więźniom podań. Jakoby za to dostawał pęta kiełbasy. Pamiętam, jak z mamą jeździłyśmy na widzenia, stałyśmy godzinami przed bramą. Potem na chwilę spotykałyśmy ojca, wychudzonego, w drelichu. Tak wyglądał dobrze prosperujący adwokat. Książki Ewy Kurek to szyderstwo z tamtych czasów.

Maria Maruszyk, druga córka, mieszkająca w Sopocie, twierdzi: - Prawo pozwala wystąpić nam tylko w obronie dobrego imienia naszego ojca, ale powinno się bronić godności całego dowództwa Lubelskiego Okręgu WiN. Ewa Kurek znieważa i ośmiesza dowódców

okręgu, a z „Zapory”, przytaczając rzekome relacje, robi pijaka i narkomana, dla którego jedynym oparciem jest „Opal”. O zwierzchniku „Zapory” Ewa Kurek pisze:

„Pułkownik «Drugak» z przyjemnością wsłuchiwał się w wygłaszane oszczerstwa. - Nawet jeśli Tataj nie dotrzyma słowa i aresztuje «Zaporę», któż będzie żałował wariata? myślał. I tylko gdzieś na dnie jego duszy, przytłumione, ledwo słyszalne, odzywało się sumienie: Jesteś tchórzem, pułkowniku «Drugak»! Ostatnim tchórzem! Wiesz, że nie dorosłeś temu chłopakowi nawet do pięt!”.

Agnieszka Dąbrowska ocenia:

- W książce tylko zwykli żołnierze są waleczni i dobrzy, a dowództwo WiN ich lekceważy. To dawna komunistyczna teza.

Niektórzy z podkomendnych „Zapory” do tej pory sądzą, że dopiero Ewa Kurek przedstawiła ich światu niejako przestępców,

ale jako żołnierzy - dodaje Maria Marusczyk. Pierwszy raz ktoś zainteresował się bezpośrednio nimi. Przekazanie własnych relacji stało się dla nich szansą, by opowiedzieć o sobie. Znajdują w tym rekompensatę za trudne życie. Nie widzą albo nie chcą widzieć, że ich zaufanie zostało wykorzystane. Zaś niektórzy z dawnych żołnierzy „Zapory” kłamią w sposób świadomy i bezwstydnym.

Po wniesieniu przez żonę i córki Siła-Nowickiego pozwu zaporczycy napisali do nich list:

„Komunistyczne władze, które zamordowały naszego komendanta i wielu naszych towarzyszy broni, zamknęły nam usta na przeszło pół wieku. W wolnej Rzeczypospolitej odzyskałiśmy prawo głosu, w tym także prawo do oceny dowódców i zwierzchników z lat walki o wolność Polski w oddziałach partyzanckich AK, ROAK i WiN. Jest nam niezmiernie przykro, iż nasza ocena

inspektora «Stefana» różni się od oceny męża i ojca Szanownych Pań, Władysława Siły-Nowickiego. W imię prawdy historycznej nie możemy jednak odstąpić od prezentowania opinii dotyczących zwierzchnika, inspektora «Stefana» Władysława Siły-Nowickiego. (...) Proces wymierzony przeciwko autorce książki jest zatem także procesem przeciwko nam, żołnierzom majora «Zapory»".

Izabela Kochanowska, łączniczka „Zapory”, dziś emerytowany radca prawny, mieszka w Sopocie. Na ścianie w głównym pokoju wisi jeden portret ojca i trzy obrazy „Zapory”.

Izabela Kochanowska wspomina wojnę:

- Najpierw nie chcieli mnie przyjąć do konspiracji, bo nie miałam jeszcze szesnastu lat. Zaprzysięgli mnie dopiero w czterdziestym trzecim. Na Lubelszczyźnie zajmowałam się łącznością lokalną. Miałam do dyspozycji konia ze stajni mojego ojca, do dziś zresztą jeżdżę, nawet trochę skaczę. „Zaporę” zobaczyłam pierwszy raz u nas w majątku,

gdy przyjechał po zaopatrzenie. Partyzanci pięknie śpiewali „Rozszumiały się wierzby płaczące”. Sam „Zapora” sprawiał wrażenie trochę zagubionego, wymagającego troski. Zameldowałam „Zaporze”, że z grupą równieśników chcemy dołączyć do jego oddziału. Odpowiedział, że nigdy o nas nie zapomni, ale do połączenia nie doszło.

Po wojnie Izabela Kochanowska była łączniczką „Zapory”, potem wyjechała na Wybrzeże.

- Całą noc „Zapora” mnie przekonywał, że dla własnego bezpieczeństwa powinnam wyjechać opowiada. - Teraz angażuję się w kombatanckie sprawy, bywam na wszystkich zjazdach. Bolało mnie, że nikt nie pisał o zaporczykach, a oni umierali. Aż na sympozjum sybiraków w Gdyni poznałam panią Ewę. Zapytałam, czyby nie chciała napisać czegoś o zaporczykach. Najpierw nie chciała. Brakowało pieniędzy. Bo pieniądze są na rockowe koncerty, a na historię nie ma.

Wtedy właśnie Izabela Kochanowska otrzymała odszkodowanie za więzienie w czasach stalinowskich. Zaproponowała Ewie Kurek, że z odszkodowania będzie jej wypłacać stypendium na zbieranie materiałów do książki.

- Sama też gromadziłam relacje - wspomina. - Kupiłam dobry aparat do wywiadów, ma taki specjalny guzik, że można zaznaczyć fragment nagrania i szybko odszukać każdą minutę na taśmie. Ruszyłam do ludzi, którzy „Zaporę” melinowali. To było wzruszające. Kiedy słyszeli, że chodzi o „Zaporę”, witali mnie ze łzami w oczach. Nie było człowieka, który by powiedział jedno złe słowo. Wreszcie powstała książka

to testament „Zapory”. Pani Ewa tego dokonała. To wspaniała kobieta. Dziś, po tylu latach upodlania zaporczyków, książka pani Ewy to dla nich jak książeczka do nabożeństwa.

- Kiedy zaporczycy zaczęli źle mówić o Siła-Nowickim?

- To się zaczęło w końcu komuny - mówi Izabela Kochanowska. - Najpierw poszedł do Jaruzelskiego, do Rady Konsultacyjnej. Potem w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej rozmawiał z Kiszczakiem. I jeszcze bronił morderców Popiełuszki; jeden kolega mu to nawet kiedyś w oczy wygarnął: Jak pan, oficer AK, może bronić zabójców księdza Jerzego? Odpowiedział, że tu w grę wchodzi grubsza forsa...

- Mecenas Siła-Nowicki powiedział, że w tej sprawie chodzi mu o pieniądze?

- Tak właśnie. Ale dążył do sławy, wszystko inne temu podporządkował.

- Spieramy się o honor mówi mecenas Zbigniew Kokoszyński, lubelski adwokat, który reprezentuje rodzinę Siła-Nowickiego. I o dobre imię, które dla jednych ma wielką wartość, dla innych żadnej.

Zbigniew Kokoszyński poznał Siła-Nowickiego w latach 70., kiedy był sędzią w Wyższym Sądzie Dyscyplinarnym.

- Minister sprawiedliwości co chwilę wytaczał mu sprawę o rzekome przekroczenie wolności słowa w wystąpieniach obrończych opowiada Zbigniew Kokoszyński. Siła-Nowicki był człowiekiem bezkompromisowym, ktoś by mógł nawet fałszywie ocenić: pieniacz. Nie o to jednak chodzi. To był człowiek nieugięty w przekonaniach, o niezwykłej cywilnej odwadze. Ale równocześnie mający wielki dar negocjacji, prowadzenia sporu dla wykazania swoich racji. Chwilami jakby nie zastanawiał się nad konsekwencjami wystąpień dla siebie samego.

Wiesław Johann, warszawski adwokat, który również reprezentuje rodzinę Siła-Nowickiego, wspomina:

Spotykaliśmy się w pensjonacie we Władysławowie. W jego wykonaniu słyszałem

najlepszą chyba deklamację „Reduty Ordona”. Mecenasa Siła-Nowicki był moim nauczycielem, mistrzem. Był dla mnie symbolem niezłomności. Występowaliśmy razem w procesach politycznych. Pamiętam, jak w soboty chodziło się na widzenia do więzienia na Mokotowie. To były niezwykle sytuacje, blisko siebie pojawiali się Adam Michnik, Seweryn Jaworski, Jacek Kuroń i ich obrońcy: Piotr Andrzejewski, Władysław Siła-Nowicki, ja tam też przychodziłem. Po takich przeżyciach książkę Ewy Kurek mogłem przyjąć tylko z obrzydzeniem.

Mecenas Kokoszyński ocenia:

- Siła-Nowicki stał się ofiarą ludzi nieodpowiedzialnych. Książka o zaporczykach to nie opracowanie historyczne, ma się tak do historii, jak disco polo do muzyki poważnej. To, że ludzie chcą sobie przypisać po latach chwałę, niekiedy niezastłużoną, to oczywiste. Gdybym takiego zachowania nie rozumiał, nie byłbym adwokatem czterdzieści lat. Ale

oczerniają kogoś, kto sam się nie może bronić; to przykre.

Mecenas Kokoszyński przeczytał akta sprawy karnej z 1947 r., w której Siła-Nowickiego skazano na śmierć.

Protokoły przesłuchań najwymowniej świadczą, jaki był jego stosunek do UB. Zeznawał: Nazwisk nie podam, niczego nie wskażę -twierdzi.

Sprawdziłem. W protokole przesłuchania Siła-Nowickiego z 26 września 1947 r. kilkakrotnie zanotowano jego odpowiedzi:

„Miejscowości ani nazwiska gospodarza nie podam, ponieważ nie chcę sypać ani ludzi, ani nawet miejscowości”. „«Zapora» przysłał mi zawiadomienie, iż za jakiś tydzień będę go mógł spotkać w pewnej określonej wsi i domu, których to danych nie podam”.

Czy tak zeznaje współpracownik UB? Czy tak trzeba przesłuchiwać współpracownika? dziwi

się mecenas Kokoszyński. Siła-Nowickiemu mają dziś za złe, że tylko on przeżył, że wyszedł z więzienia. - Dobry bohater to martwy bohater. Żywym odbiera się prawo do bohaterstwa.

„Zapora” miał dwóch zastępców: w czasie wojny „Opala” i po wojnie „Wisłę”. Dziś Aleksander Głowacki „Wisła” mieszka w Gdańsku, a Stanisław Wnuk „Opal” pod Lublinem.

„Wisła” mówi o „Opalu”:

- On od dawna należał do ZBoWiD-u, a ja dopiero niedawno uzyskałem uprawnienia kombatanckie.

„Opal” o „Wiśle”:

- Kiedyś nie wiedział, gdzie jest „Zapora”, i razem z UB przyjechał do mnie szukać kontaktu. To co to był z niego za zastępca?

„Wisła” o „Opalu”:

- Nosił listy od UB do „Zapory”, kiedy już nie był w oddziale.

„Opal” ceni książkę „Zaporczycy”.

„Wisła” przeciw niej protestuje.

- Ta książka obraża mojego dowódcę, „Zaporę” - mówi. - Napisałem do Ewy Kurek natychmiast po przeczytaniu. Zrezygnowałem z planowanego zakupu kilku egzemplarzy. To paszkwil.

Napisał już ze 20 protestów, nawet do ROP. Píše w nich: „oburzony ogromem kłamstw, oszczerstw i insynuacji”; „nie mogę opanować wzburzenia”; „demaskuję i piętnuję szereg niegodziwości”.

Aleksander Głowacki pokazuje fragment, który go głęboko poruszył. Rozmawiają ze sobą lubelscy zwierzchnicy „Zapory”:

„Śmietanka lubelskich konspiratorów poprawiała swe samopoczucie zwykłym plotkowaniem. - Podobno «Zapora» był od

dłuższego czasu w opłakanym stanie. -
Mówią, że zapijał się do nieprzytomności i nie
panował nad chłopakami. - Podobno pod
koniec to oni nim dowodzili, a nie on nimi.
Słyszałem z wiarygodnego źródła, że stał się
morfinistą. Ponoć to człowiek psychicznie
chory. - Uciekał gdzieś, a potem jego
żołnierze ganiali go i sprowadzali na miejsce.
Musiał mieć stałych opiekunów. Tyle lat w
partyzantce, to może trudno się dziwić. Ale jak
taki człowiek mógł dowodzić tak dużymi
partyzanckimi formacjami? To skandal, że go
dopuszczono do dowodzenia! To dlatego, że
«cichociemny», skoczek z Anglii. Takich
zawsze forował nie tylko «Marcin» mówili,
wylewając na «Zaporę» całą swoją zazdrość,
zawiść i żal za nie spełnione marzenia o
wielkości".

Napisałem o moim oburzeniu do autorki
opowiada Aleksander Głowacki. I wie pan, co
mi odpisała? Ze to ja jej opowiadałem o
alkoholizmie „Zapory"! I jeszcze dopisała, że
aby mnie nie obciążać tymi opiniami, włożyła

opowieści w usta lubelskiego kierownictwa WiN.

Aleksander Głowacki nie zgadza się też z charakterystyką Władysława Siła-Nowickiego: „Stefan” zawsze przybywał na spotkania dyskretnie. Zwykle piechotą, nieraz docierał kilka kilometrów od dworca kolejowego albo autobusu. Nigdy nie prosił o podwoję. Ubierał się skromnie. Nie chodził jak w książce w futrze i kapeluszu, ale w kurtce, znoszonych bryczesach, butach z cholewami, jak ludzie na wsi. Wielu partyzantów w kożuchach wyglądało lepiej. To nieprawda, że nie zachowywał środków ostrożności. W grudniu czterdziestego szóstego cudem uniknął aresztowania. Przebył czterdzieści kilometrów różnymi środkami lokomocji, głównie na własnych nogach, do Grabówki, aby mnie ostrzec. Bo w czasie rewizji w mieszkaniu, gdzie UB założyło kocioł, mogły w ręce urzędu wpaść materiały, które naraziłyby mnie na aresztowanie.

Ewa Kurek nigdy nie rozmawiała z Władysławem Siła-Nowickim o zaporczykach. Mecenas zmarł w czasie, kiedy zbierała materiały.

Kilka lat temu napisała doktorat o dzieciach żydowskich ratowanych przez polskie zakonnice, który w formie książkowej wydał Znak, a następnie przetłumaczono na angielski i wydano w USA. Tę samą tematykę przedstawiła w lżejszej książce: „Żydzi, Polacy czy po prostu ludzie...”.

- Wiem, że książka naukowa trafia do określonego człowieka, a lżejsza do każdego - wyjaśnia Ewa Kurek. - Po doktoracie szukałam ciekawego tematu. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku zbierałam materiały o żołnierzach AK wywiezionych po czterdziestym czwartym na Sybir. Moi rozmówcy z Lubelszczyzny mówili, że trzeba

o nich pisać, ale przede wszystkim ktoś powinien wreszcie napisać o „Zaporze”.

Zostawiłam więc sybiraków i poszłam tropem majora „Zapory”. Pieniądze prowadzonego przeze mnie Instytutu AK w Lublinie skończyły się w dziewięćdziesiątym trzecim. Wówczas temat wciągnął mnie już na tyle, że w roku następnym badania finansowałam sama, z własnej kieszeni. Szło to dość wolno, bo przecież musiałam na nie zarobić inną pracą. Ponieważ zaporczycy zawsze prosili mnie, bym pisała jak najszybciej, bo oni umierają, a chcieliby mieć pewność, że pamięć o ich komendancie nie zaginie, zgodziłam się na finansowanie moich badań przez panią Kochanowską. Nazwałyśmy to stypendium. Odłożyłam wszystkie moje prace na bok

i w ciągu pół roku napisałam książkę, za którą panie Nowickie wytoczyły mi proces.

Powiedziałam to przed sądem i powtarzam panu: w trakcie zbierania materiałów do książki w związku z osobą Siła-Nowickiego przeżyłam szok. Wcześniej znałam go jedynie jako działacza KOR i obrońcę robotników. Żołnierze lubelskiej AK przedstawili mi go w

zupełnie innym świetle. Z sympatii dla działalności mecenasa, znanej mojemu pokoleniu, oszczędzałam go w książce, ile mogłam. Etyka zawodowa nie pozwalała mi jednak ani pominąć, ani napisać wprost, o co go oskarżają zaporczycy. W żadnym zdaniu nie stwierdziłam, że współpracował z UB. Zacytowałam jedynie słowa mecenasa wypowiedziane przez niego podczas procesu.

Dziwię się:

Przecież na stronie trzysta czterdziestej pierwszej partyzanci mówią o Siła-Nowickim: „Sam słyszałem, jak «Opal» mówił, że «Wir» Żak co to jego sztab mieliśmy osłaniać w akcji «Burza», już podczas tamtej amnestii ręki mu nie podawał, że to niby z UB współpracuje. Przestań wymyślać. Gdzieżby tam znowu taki, co z UB współpracował, został inspektorem. Coś ci się pewnie pokręciło”.

Ja w końcu nie mówię nic złego, to są partyzanckie scenki tłumaczy Ewa Kurek. W tej scence chodzi o to, że oni mu nie wierzyli.

Jeden go broni, drugi oskarża. Tak jak teraz: broni go kapitan „Wisła”, a atakuje stu zaporczyków. Ja te dialogi ustawiłam tak, że sprawa jest otwarta. Oni są przekonani, podejrzewali go od początku. Ich nieufność brała się z tego, że ich wtedy wywozili na Sybir, nie mieli się gdzie podziać, a on miał legalne papiery - dlaczego wchodził w podziemne struktury? Bo w konspirację ludzie wchodziłi dlatego, że ich życie było zagrożone.

Ewa Kurek mówi, że nawet profesor Tomasz Strzembosz, specjalista od historii najnowszej, przysłał jej list komplementujący książkę. List przekazała sądowi.

Profesor Strzembosz napisał: „Czytając Pani książkę odkrywałem nie znany mi dotąd talent pisarski p. Doktor niczego takiego nie potrafiłbym napisać”. A dalej: „Równocześnie jednak - muszę przyznać -nie zawsze odpowiada mi taki model pisarstwa historycznego. Po pierwsze, zbyt mało jest danych, aby przedstawiać myśli i uczucia

człowieka, w tym wypadku «Zapory». Po drugie, myślę, że zbyt krótko styka się Pani z problematyką życia podziemnego, by znać i rozumieć realia, nieraz bardzo twarde i mało sympatyczne".

Ja książkę oparłam na relacjach zaporczyków, to nie są zmyślenia mówi Ewa Kurek. Oni mają prawo po pięćdziesięciu latach powiedzieć, co myślą, bez względu na to, co sądzą o tym córki Siła-Nowickiego. Cokolwiek by się stało, będę dalej gromadzić relacje - zapewnia. -A jak mnie zamkną, to odbiją mnie zaporczycy.

Ewa Kurek napisała:

„Prezydent Bolesław Bierut skorzystał z prawa łaski jedynie w stosunku do inspektora «Stefana» Władysława Siły-Nowickiego, który podczas rozprawy głównej w dniach 3 15 listopada 1948 roku zeznał: «Po 25 stycznia 1945 r. spotykałem się z ludźmi z organizacji, w pierwszym okresie do czerwca 1947 r., za wiedzą władz UB, a następnie w sierpniu i

wrzeźniu tegoż roku bez wiedzy władz. Chodziło mi o to, by jak najwięcej ludzi z organizacji nakłonić do ujawnienia się»".

Ten fragment z akt opublikował już wcześniej Henryk Pająk w książce „«Uskok» kontra UB" wspomina Maria Maruszyk. - Ojciec myślał o wytoczeniu procesu, ale książka ukazała się dwa lata przed jego śmiercią, nie starczyło mu już sił i czasu, by zająć się tą sprawą. Zapis w aktach procesowych to ewidentny błąd protokolanta. Jasno to wynika z dokumentów rozprawy - z treści wyroku, protokołów zeznań i przesłuchań. Zamiast: „po 25 stycznia 1945 r." powinno być zapisane: „po 25 stycznia 1947 r.". Był to okres amnestii i ujawniania członków organizacji Wolność i Niezawisłość, co w oczywisty sposób wiązało się z koniecznością kontaktów z UB. Kilka lat temu, na początku lat dziewięćdziesiątych, ojciec wydobył z archiwów sądowych akta swojej sprawy. Udostępnił je, za moim pośrednictwem, Izabeli Kochanowskiej, która przekazała je dalej żołnierzom „Zapory".

Przecież, na zdrowy rozum biorąc, gdyby mój ojciec uważał, że jest tam coś, co go obciąża w tak obrzydliwy sposób, nigdy by ich nikomu z własnej woli nie pokazywał!

W akcie oskarżenia prokurator napisał:

„Po wyzwoleniu Polski spod okupacji osk. Nowicki Władysław w sierpniu 1945 r. w Lublinie poprzez swojego znajomego z okresu okupacji [tu pada nazwisko osoby, którą prawdopodobnie rok później zwerbowało UB P.L.] nawiązał kontakt organizacyjny z wymienionym związkiem [WiN P.L.]”.

Podczas rozprawy w listopadzie 1948 r. Władysław Siła-Nowicki powiedział:

„Od sierpnia 1945 r. na terenie lubelskim byłem szefem propagandy nielegalnej organizacji”.

W czasie rozprawy rehabilitacyjnej w marcu 1957 r. powtórzył:

„W sierpniu 1945 r. zostałem członkiem WiN”.

Jak mi po aresztowaniu powiedzieli na UB, że byłem w WiN, to zapytałem, co ja komu winien opowiada Marian Pawełczak „Morwa”. Uważałem, że należę cały czas do AK.

Od wojny „Morwa” był w oddziale „Zapory”.

- To był maleńki chłopaczek, zjeżony włos wspomina swego dowódcę. Ale umiał podskoczyć i obalić nogami wyższego. Widać było, że nie na darmo tracił czas w Anglii na kursie dywersyjnym. Miał w małym palcu zagadnienia walki partyzanckiej. Strzelał wspaniale z kolta, kiedyś dał nam pokaz w czasie jazdy sańmi. Odważny. W czasie bitwy nigdy nie chciał się położyć, najwyżej przykucnął.

Przez oddział przewinęło się około 500 osób. Dziś żyje około 140 za-porczyków.

- Marzyliśmy, żeby ktoś spisał nasze dzieje - opowiada Marian Pawełczak. - Badaliśmy różnych historyków. Jeden miał gwałtowny charakter, przesadzał w nienawiści do

komunistów. Przy pierwszym spotkaniu z panią Ewą dostałem jej książkę o ratowaniu Żydów. To bardzo humanitarna książka. Pomyślałem, że dobrze by było, gdyby to ona napisała o losach zaporczyków. Później było trochę nieporozumień. Raz kolega mówił: Ty, popatrz, to Żydówka, bo o Żydach pisze. A dziś patrzy w nią jak w tęczę.

Siła-Nowickiego spotkałem w oddziale „Zapory” chyba trzykrotnie. Raz, w czterdziestym szóstym, szliśmy grupą i robiliśmy sobie zdjęcia.

Wołaliśmy: Panie inspektorze, pan pozwoli do nas. Nie chciał się z nami sfotografować. Zrozumiałem, konspiracja tego wymaga. Drugi raz to jak „Żbik” chciał mu wszę wpuścić. To prawda. „Żbik” uwielbiał żarty. Musiałem go wówczas uspokajać. Trzeci, kiedy Siła-Nowicki namawiał do ujawnienia. Tym sobie nie robił dobrej marki. Nie mieliśmy zaufania do UB. Mam do niego żal, że oficer przedwojenny, adwokat, inspektor WiN,

starszy myślący człowiek, a był naiwny i dał się wmanewrować w pułapkę UB. Pośrednio więc jest winien śmierci „Zapory” i jego żołnierzy.

- „Zapora” tak samo jest winien, też się dał wmanewrować mówię.

„Morwa” chwilę zastanawia się, po czym przyznaje:

Rzeczywiście, nie powinien był tak innym ufać. Za bardzo zaufał Siła-Nowickiemu.

„Wisła” proponował ucieczkę inną drogą. Byłem wtedy żołnierzem, nie znałem tych kulis. Ale nie rozumiem, po co Siła--Nowicki w ogóle trafił do organizacji. Myśmy byli spaleni, wywozili nas na Sybir, nie mieliśmy wyboru, musieliśmy walczyć. A on miał legalne papiery. Po co szedł do organizacji?

Pan chciał walczyć z komuną, a jemu pan odmawiał tego prawa?

Gdybym nie był spalony, tobym nie szedł do

walki.

Dlaczego zaporczycy mówią, że Siła-Nowicki współpracował z UB?

Sam to przyznał na rozprawie. Można przeczytać.

Nie powiedział niczego o współpracy z UB, ale że za wiedzą UB kontaktował się z WiN. Można było przeprowadzać ujawnienie WiN bez wiedzy UB?

Chyba nie. Ale zaporczycy mu nie ufają, bo po skazaniu wszystkich na śmierć tylko jego ułaskawiono.

Życie uratowało mu wstawiennictwo siostry Feliksa Dzierżyńskiego.

- Dwie siostry mojego dziadka wyszły za mąż za braci Feliksa -opowiada Agnieszka Dąbrowska, córka Siła-Nowickiego. - Nie było więc między nami a Dzierżyńskimi pokrewieństwa, tylko powinowactwo. W sprawie ułaskawienia taty wielokrotnie

interweniowała siostra Feliksa Dzierżyńskiego Aldona Kojałłowiczowa i u prezydenta Bieruta, i u ambasadora rosyjskiego Lebediewa, który - porównując do carskich czasów - był tu wtedy namiestnikiem.

Jak wspominał sam Siła-Nowicki, Aldona, siostra jego wuja, wielokrotnie interweniowała u Lebediewa. Miała wówczas 80 lat. Była głęboko wierząca: codziennie modliła się za Feliksa. Dopiero podczas ostatniej, ośmiogodzinnej rozmowy z Lebediewem przekonała go, by wstawił się u Bieruta.

Aldona Dzierżyńska-Kojałłowiczowa sama też napisała do Bieruta prośbę o ułaskawienie Siła-Nowickiego:

„Znam go od dziecka i zawsze ceniłam w nim wielką szlachetność samozaparca, wielkoduszność i ogromne umiłowanie nauki przy wyjątkowych zdolnościach. Kocham go jak własnego syna, a więc przez pamięć niezapomnianego brata mego Feliksa Dzierżyńskiego błagam Obywatela

Prezydenta o łaskę darowania życia Władysławowi Nowickiemu".

Władysław Minkiewicz, więzień Mokotowa, napisał (wspomnienia w „Zeszytach Historycznych” 81/1987) o skazanych zaporczykach: „Mili, dzielni, inteligentni chłopcy otrzymali po dwa czy nawet trzy wyroki śmierci i nie liczyli na ułaskawienie. Jedyną nadzieję pokładali w tym, że Siła-Nowicki jest siostrzeńcem Dzierżyńskiego, że władze uznają, że można go nie zabić, a w takim razie należałoby również zmienić jego podwładnym karę śmierci na dożywocie. Nie spełniły się, niestety, ich nadzieje: wyroki śmierci wykonano na wszystkich z wyjątkiem Siła-Nowickiego. Opowiadano mi później, już w więzieniach karnych, że przeżywał on silny kryzys psychiczny, nie mogąc się z tym pogodzić, że z całej jego sprawy on jeden pozostał przy życiu, natomiast jego podwładni, nie mając takich jak on koligacji, zostali zabici”.

- Gdyby tata zginął tak jak tamtych siedmiu, to

byłby bohaterem mówi Agnieszka Dąbrowska. Jego największym grzechem okazuje się to, że przeżył.

Stanisław Wnuk „Opal”, zastępca „Zapory”, we wspomnieniach opublikowanych w „Zaporczycy. Relacje” stwierdza: „A Siła-Nowicki współpracował z UB od 1945 roku...”. Skąd Wnuk miał tę pewność?

- Siła-Nowicki za bardzo interesował się sprawami organizacyjnymi. Wiele razy wypytywał, co u nas w oddziale słychać - mówi „Opal”.
- Przecież był inspektorem WiN.
- Ale on się dopytywał, kiedy był jeszcze pracownikiem inspektoratu, a nie inspektorem. Powinien się dopytywać dopiero od jesieni czterdziestego szóstego.
- „Zapora” nie kwestionował jego uprawnień?
- „Zapora” nie, ale Żak nie chciał mu podać ręki i niczego powiedzieć, bo go nie znał.

- Co pan rozumie przez współpracę Siła-Nowickiego z UB?

- To, że za ich wiedzą spotykał się z WiN.

- Siła-Nowicki pośredniczył w kontaktach między UB a „Zaporą”. Ale jego zastępca „Wisła” mówi, że pan też pośredniczył w kontaktach między WiN a UB, kiedy już pan nie był w podziemiu. Ze pan przynosił listy od UB po ujawnieniu się, kiedy już pan nie należał do oddziału.

- Pierwszy raz pośredniczyłem, bo mnie prosił „Zapora”, kiedy się ujawniałem w czterdziestym piątym. Później nie dostarczałem na jego żądanie żadnych listów. Raz rzeczywiście dostałem od „Zapory” rozżalony list, że UB nie dotrzymało umowy o spotkaniu i urządziło na niego zasadzkę. Nie rozumiałem, dlaczego o tym do mnie pisze. Uznałem, że chciałby, żebym ten list zaniósł na UB, i tak zrobiłem. Potem jeszcze przeze mnie UB szukało kontaktu z „Zaporą”, bo

„Wisła”, choć był jego zastępcą, nie wiedział, gdzie się ukrywa. Ale w UB nikt nie wiedział, gdzie ja go szukałem, więc nikt nie powie, że spotykałem się z „Zaporą” za wiedzą urzędu.

W książce Ewy Kurek „Opal” opowiada o śledztwie, które w 1949 r. prowadziło przeciwko niemu UB. Mówił wówczas funkcjonariuszom: „Zgoda. Kontaktowałem się z «Zaporą», ale to wy kazaliście mi się z nim kontaktować!”.

„Opal” nie czuje się słusznie - współpracownikiem UB.

Sanitariuszka Barbara Nagnajewicz-Woś „Kryśka” złożyła Ewie Kurek relację, w której powiedziała, że „Siła-Nowicki wszystko przekazywał UB”. Stwierdzenie to pojawiło się w tomie „Zaporczycy. Relacje”.

Barbara Nagnajewicz-Woś siedzi w swoim mieszkaniu z koleżanką, redagują pismo w sprawie powojennego ruchu oporu. Co chwila przypominają sobie:

- A pamiętasz, jak cię samochód poturbował? Trzy dni leżałaś w szpitalu. A pamiętasz, jak przyszło po ciebie NKWD? A pamiętasz, jak zabrakło opatrunków?

Barbara Nagnajewicz-Woś mówi o Siła-Nowickim:

- Nam, zaporczykom, nie podobały się jego okolicznościowe przemówienia. Raz zabawiał się w kaznodzieję i mówił o różnych sprawach, a powinien wspominać „Zaporę”, jego pracę. To znów zabawiał się w kolegę i opowiadał o „Zaporze”. I najgorsze, że bronił morderców Popiełuszki.

- Dlaczego pani, rozmawiając z Ewą Kurek, powiedziała, że Siła--Nowicki wszystko przekazywał UB?

- Tak czuję, że Siła-Nowicki przekazywał UB. Tak mi podpowiada serce. To są moje odczucia, a nie oskarżenia.

A czy spotkała pani kiedykolwiek Siła-

Nowickiego?

- Oczywiście. Przy odsłonięciu tablic pamiątkowych.

- A w czasach „Zapory”?

Nie, wtedy nie. Aresztowano mnie w listopadzie czterdziestego szóstego. Byłam zwykłą sanitariuszką, niewiele wiedziałam.

Barbara Nagnajewicz-Woś mówi o obecnym procesie:

Wszyscy jesteśmy zgodni, że córki Siła-Nowickiego nie powinny kierować sprawą do sądu. Bo czyja mogłabym wiedzieć, co robił mój ojciec, kiedy byłam dzieckiem?

Książka pani Ewy to testament „Zapory” mówi Helena Dekutowska, stryjeczna siostra „Zapory”. On niczego tak nie pragnął, jak uwiecznić walkę. Dwa tygodnie przed aresztowaniem rozmawiałam z nim.

Przeczuwał, że nie przeżyje tego okresu. Był dziwnie smutny. Mówił, że chce upamiętnić

swoich żołnierzy, których strasznie kochał. To, że książka została napisana, to spełnienie jego marzeń. Niektórzy zaporczycy mieli żal, że nie zostali umieszczeni w książce. Ale pani Ewa obiecała, że będą dalsze części. Mnie i pani Kochanowskiej pozwoliła zebrać część relacji, ale najważniejsze zgromadziła sama. Żołnierze dostawali do wypełnienia kwestionariusz, żeby wpisali swoje imię, nazwisko, oddział, akcje, w których brali udział. A potem już mogli mówić wszystko, co tylko chcieli. W pierwszych powojennych latach nigdy z Siła-Nowickim nie rozmawiałam. Ale kilka lat temu na odsłonięciu tablicy w Tarnobrzegu byłam całkiem blisko niego. Po uroczystości ksiądz przeor zaprosił wszystkich do jadalni, mnie posadził w pobliżu Siła-Nowickiego, dobrze go widziałam. Wszyscy zaporczycy mieli szerokie biało-czerwone przepaski na ramieniu, a on taką wąską kokardkę.

PS W maju 2002 r. Sąd Apelacyjny nakazał Ewie Kurek przeprosić rodzinę Władysława Siła-Nowickiego.

styczeń 1998

Z DREWNA I GIPSU

Wybuchło: Robotnikowi naderwało łydkę, Robotnica wciąż dzierżyła ptaka. Był to gołąbek pokoju. Byli jednymi z najmłodszych, którzy postanowili siłą walczyć z komunizmem. W 1953 r. sąd skazał ich na więzienie od roku do dziewięciu lat. Bogusław Rżanek nie miał jeszcze szesnastu lat, Stanisław Siergiej skończył osiemnaście. Dziś mają po sześćdziesiąt lat i w łódzkich sądach starają się o odszkodowania za niesłuszne skazanie.

Ich historia została zapomniana podwójnie. Nikt o niej nigdy nie pisał, a dziś sami zamachowcy niedokładnie pamiętają, co i kiedy wysadzili.

Zamachowcy

Śródmieście Łodzi, 21 października 1952 r., po godzinie dwudziestej.

Bogusław Rżanek, obecnie biznesmen,

wówczas znał wszystkie szczegóły akcji, ale w niej nie uczestniczył.

Jan Jeżyński, teraz emeryt, pilnował, czy ktoś nie nadchodzi od alei Tadeusza Kościuszki.

Kazimierz Florczyk, dziś dozorca na kolei, stał od ulicy Piotrkowskiej.

Wiesław K. (wciąż chce zachować w tajemnicy swoje nazwisko), obecnie urzędnik państwowy, na zmianę z kolegą palił papierosa, od którego odpalono lont.

Stanisław Siergiej (nie żyje od kilku lat) stał na pasażu ZWM, obecnie alei Artura Rubinsteina. To on rzucił ładunek wybuchowy.

Eksplozja

Świadek wydarzenia Czesław Jasiułekwicz zeznał do protokołu: „Udałem się w kierunku pasażu, zauważyłem, że ktoś siedział na ławce koło pomnika. W pewnym momencie usłyszałem wybuch oraz

słup ognia w kierunku pomnika, a w

późniejszym czasie usłyszałem pięć strzałów. Gdy zbliżałem się w kierunku pomnika, zobaczyłem uciekającą kobietę w ciemnym płaszczu".

Szef służb saperskich, kapitan Łyczakowski, sporządził notatkę:

„Melduję, że zgodnie z rozkazem D-cy Pułku z 21 X 52 o godz. 21 wyjechałem na miejsce wybuchu przy ul. Sienkiewicza nr 27 celem zbadania wybuchu.

Po zbadaniu wybuchu okazało się, że wybuch spowodowany jest zapalnikiem lontowym, gdyż odłamki spłonki zostały znalezione w drzewie rosnącym obok wybuchu".

Wysadzony obiekt najczęściej w aktach sprawy nazywano pomnikiem Robotnika i Robotnicy.

Bikiniarze

Kazimierza Florczyka więziono w obozie-kopalni Jaworzno. Gdy zimą wyjechali na

powierzchnię, a strażnik nie miał humoru, trzymał ich na mrozie po kąpieli, aż woda na plecach zamarzała, zamarzały włosy.

Dziś Kazimierz Florczyk mieszka na poddaszu w śródmieściu Łodzi, w ciasnym, zagraconym pokoju. Ścisza czarno-biały telewizor, żeby usłyszeć, o czym chcę z nim rozmawiać. Pierwsze pytanie, które mu zadaję, brzmi surrealistycznie: Był pan bikiniarzem?

Sześćdziesięcioletni gospodarz się ożywia: A skąd, nawet „jaskóły” nie miałem na głowie. Ale chciałem mieć wąskie spodnie, wysokie buty, marynarę, tylko pieniędzy brakowało.

Następna wizyta - u jego kolegi z tamtych lat, Bogusława Rżanka. Zanurzony w wygodnym fotelu, ubrany w elegancki garnitur, bo od dwóch lat zajmuje się handlem odzieżą.

Wspomina:

- Marynarę miałem z tweedu, w kolorze złotobrazowym. Do tego ręcznie malowany krawat, obowiązkowo z panienką. Moja była

beżowa, stała pod zieloną palmą, a wszystko na tle łagodnej czerwieni.

Kolejny z tamtej paczki, Wiesław K., obawia się, czy moja wizyta i wspomnienia jeszcze dziś mu nie zaszkodzą. Dzielnicowy wystawił mu wówczas opinię: „Ustosunkowany do obecnej rzeczywistości i przemian społecznych jest dobrze, gdyż nie stwierdzono, by wyrażał się wrogo”. Wiesław K. mówi:

- Chodziliśmy na szkolne zabawy, a tam Duduś Matuszkiewicz zaczął grać jazz. Atmosfera była bikiniarska, jak we wspomnieniach Tyrmanda.

Czwarty z dzisiejszych sześćdziesięciolatków, Jan Jeżyński, w kolorowej koszuli, częstuje lodami i się zwierza:

- Cyklistowa przepisowo na głowie musiała być. Jeździliśmy do Warszawy pod empik, kombinowaliśmy płyty z tańcami: jive, konga. Wszystko to działo się w czasach, kiedy nie

było jeszcze telewizji. Po cichu marzyliśmy, żeby podpiąć się pod „kołchoźniki” i zamiast przemówień puścić jazz.

Bóg, powstanie, czerwone krawaty

Poznali się w jednej klasie łódzkiej podstawówki, od tej pory trzymali się razem.

- Początek tej historii według mnie? Zastanawia się Jan Jeżyński. Ja zaraz po wojnie zapisałem się do harcerstwa, jeszcze nie było komunistyczne. Któregoś dnia przyszedł do nas nowy instruktor, pokazałem mu konspekt zbiórki, zaczynał się modlitwą. A on był w czerwonym krawacie i mówił, że nie o to chodzi. Więc się rozeszliśmy. Ale krzyż harcerski nadal nosiłem, odebrali mi dopiero UB-ecy przy aresztowaniu.

Kazimierz Florczyk:

- Początek? Matka i ojciec byli przeciwko komunizmowi, trochę się czytało, słuchało Londynu i z tego to wszystko się wzięło.

Bogusław Rżanek wspomina: Mój ojciec został po Powstaniu Warszawskim wywieziony do Niemiec. Po wojnie bał się wracać do komunizmu. Przyjechał do Polski dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym.

Wiesław K.:

- Najważniejszy był Stąsiek Siergiej. Przed wojną mieszkał w Wilnie, dwa razy przeżył wyzwolenie Armii Czerwonej, więc życiowo był od nas bardziej rozwinięty.

W szkole zwalczano w nas religię.

Klasycznym pytaniem było: jeśli Bóg jest wszechmogący, to czy może stworzyć taki kamień, którego sam nie udźwignie?

Za pomnik nie urządzono nam pokazowego procesu, może dlatego, że przed wojną byliśmy kilkuletnimi dziećmi, nie mogła nas skazić „reakcyjna” ideologia. A poza tym wszyscy pochodziliśmy z robotniczych rodzin.

Postępowe płyty

Zanim postanowili wysadzić pomnik, zniszczyli kilka świetlic.

- To był mały sabotaż - wspomina Wiesław K.
- Niszczenie gablot z hasłami, zdjęciami przywódców. Koledzy atakowali świetlice (ja tylko raz). Bezczęścili popiersia, proporce, sztandary.

Według akt sprawy grupa ukradła ze świetlicy Rejonowego Urzędu Telekomunikacyjnego płyty gramofonowe. Kiedy następnego dnia przeglądali je, okazało się, że są wśród nich radzieckie. „Wtedy to oskarżeni - napisał w akcie oskarżenia prokurator chcąc w jakikolwiek sposób okazać swą wrogość do ZSRR i wszystkiego, co postępowe, wspomniane płyty zniszczyli”.

Trotyl

Stanisław Siergiej, przywódca grupy, mieszkał w posesji, w której zakwaterowano saperów rozminowujących Łódź. Zaprzyjaźnił się z nimi.

W jakiś sposób wydobył od nich trotyl, lont, pozostawała kwestia, jak to wykorzystać opowiada Bogusław Rżanek.

Wiesław K. mówi: Siergiej postanowił, że musimy wypróbować materiały, które zdobył: jak długo pali się lont, jaka jest siła wybuchu.

Wybrali dzień wyborów do Sejmu, twierdzi Wiesław K. Siergiej pod lokal na Piotrkowskiej rzucił 250 g trotylu. Wybuch wywołał panikę wśród komisji wyborczej i służb bezpieczeństwa. Kiedy już poznali siłę wybuchu, kilka dni później wykonali akcję na pomnik.

Kazimierz Florczyk chronologię zapamiętał zupełnie inaczej:

- To wszystko było w dzień wyborów. Najpierw wysadziliśmy pomnik, a potem rzuciliśmy ładunek wybuchowy pod lokal wyborczy.

Jeszcze inną wersję przedstawiono w wyroku:

„Wybuch nastąpił koło lokalu wyborczego, z

tym że oskarżeni nie wiedzieli, że tam mieścił się lokal wyborczy".

Robotnik i Robotnica

- Pomnik postawiono na początku lat pięćdziesiątych - opowiada Wiesław K. - Pamięta pan radzieckie filmy? Pomnik wyglądał jak czołówka Mosfilmu. Kobieta i mężczyzna w uniesionych dłoniach trzymali pochodnię i chyba sierp. Mieli około dwóch metrów. Na półtorametrowym cokole napisano: „Naprzód do socjalizmu”.

Bogusław Rżanek zapamiętał inaczej:

W rzeczywistości to była makieta, z zewnątrz przypominająca pomnik. Była z drewna i gipsu, dość trwała, przedstawiająca dziewczynę i chłopaka z sierpem dla uhonorowania planu sześcioletniego.

Bogusław Rżanek prawdopodobnie jednak się myli. Według akt sprawy dla uczczenia planu sześcioletniego postawiono w parku koło zębate, które chłopcy zresztą również

zamierzali wysadzić. Robotnik i Robotnica nie czcili więc planu. Ale co koło zębate miało w ogóle wspólnego z planem?

W cokole były otwory zabezpieczone drucianą siatką, Siergiej ukręcił ją kombinerkami mówi Wiesław K. W otwór włożył dwie kostki, czyli pół kilo trotylu. Poszliśmy w kierunku Piotrkowskiej. Gdzieś tak w połowie drogi spotkaliśmy dwoje młodych ludzi. Zawróciliśmy ich, mówiąc, że przy pomniku zaraz będzie niebezpiecznie.

UB-ek odszedł?

Kiedy zakładaliśmy ładunek, nikogo przy pomniku nie było kontynuuje Wiesław K.

Inaczej zapamiętał to Kazimierz Florczyk:

- Pod pomnikiem był funkcjonariusz UB, który go pilnował. Poprosiliśmy go w delikatny sposób, żeby odszedł.

- Tak po prostu odszedł!

- Bez słowa, bo powiedzieliśmy, że tu będzie

niebezpiecznie - wierzy Kazimierz Florczyk.

Wybuch

Kazimierz Florczyk ocenia efekty wybuchu:

- Pomnik rozsypał się w gruzy, w nocy je sprzątnięto, żeby rano nie było już śladów.

Tak samo efekty wybuchu przedstawia Bogusław Rżanek:

- Wybuch zniszczył pomnik bezpowrotnie. Następnego dnia nic tam już nie było.

Wiesław K. pamięta inaczej. Według niego pomnik następnego dnia rano stał lekko tylko podniszczony. Wiesław K. nie potrafi powiedzieć, kiedy Robotnika i Robotnicę w ogóle zdemontowano.

Tę wersję potwierdza Jan Jeżyński:

- Parę razy próbowali go łątać. Najpierw od razu po wybuchu przez całą noc składali, ściągnęli aresztantów z komendy milicji.

- Skąd pan to wie?

Milicjant mi opowiadał, jak mnie aresztowali.

Dwóch więc sądzi, że wybuch zniszczył pomnik bezpowrotnie, dwóch - że jednak go w nocy odbudowywano.

Robotnikowi naderwało łydkę

Rozleciał się więc Robotnik z Robotnicą czy nie? Sprawę wyjaśnia kilka zdjęć z sądowych akt. Pierwsze eksponują cokół pomnika, który został najpoważniej zniszczony. Widać, że rozpadła się konstrukcja, prawdopodobnie z cegieł, którymi obłożony był drewniany stelaż; ten pozostał nienaruszony. Inne ujęcia wyjaśniają, że Robotnikowi naderwało lewą łydkę.

Wiesław K. przypuszcza, że wszystko przez to, że nie wiedzieli, że cokół jest taki lichej. Podmuch od wybuchu rozniósł się po pustym wewnątrz cokole, gdyby to był granit, prawdopodobnie wszystko ległoby w gruzach.

Na zdjęciach pomnik wygląda nieco inaczej, niż go zapamiętali. Rzeczywiście podobny do czołówki radzieckich filmów, mężczyzna i kobieta trzymają się za podniesione w górę ręce. Ale wspólnie trzymają w nich nie sierp, nie młot, ale łopatę. Poza tym mężczyzna w lewej dłoni dzierży młotek, a kobieta ptaka.

Akta jednak nie wspominają, czy później pomnik odrestaurowano czy do reszty zburzono. Kto to dziś może wiedzieć, jeśli nawet zamachowcy nie są pewni?

Bałtyk i Generał Lucyfer

Wpadli prawdopodobnie przez zaprzyjaźnionego z nimi Mariana O.

Marian O. ukradł instrumenty muzyczne, zaniósł na przechowanie do Siergieja - wspomina Kazimierz Florczyk. - Złapali Mariana O., powiedział, gdzie są instrumenty, zrewidowali mieszkanie Siergieja. Znaleźli materiały wybuchowe i tak trafili na trop nas wszystkich.

Wiosną 1952 r. trafili na UB. Kazimierza Florczyka zatrzymano w fabryce pasmanterii, w której pracował.

Bogusław Rżanek mówi:

- Gdy mnie aresztowano, nie miałem jeszcze szesnastu lat.

Wiesław K. wspomina:

- Zatrzymali mnie w szkole, zawieźli do domu, tam już była rewizja. Pamiętam, że matka smażyła kotlety mielone i wpychała mi gorące do kieszeni płaszcza.

Do aktu oskarżenia przeciw grupie dopisano też kradzież dwóch rowerów marki Bałtyk i Generał Lucyfer.

Jan Jeżyński mówi:

Akurat do Łodzi przyjechał Wyścig Pokoju, Marian W. podprowadził kolarzom rowery. Marian W. i Marian O. nie wysadzali z nami pomnika, ale że byliśmy kolegami, to nam

razem zrobili sprawę.

Stracili kontakt z Marianem W. i Marianem O., nie wiedzą, gdzie ich dziś szukać.

Słyszałem, że Marian W. po wyjściu z więzienia próbował bić torowy rekord Polski w kolarstwie mówi Wiesław K.

Piłkarze

Cała historia rozegrała się na przestrzeni około 300 metrów kwadratowych. Na tym obszarze znalazł się i pomnik, i budynek UB, i gmach sądu.

Bogusław Rżanek i Jan Jeżyński mieszkali w domu naprzeciwko sądu wojskowego, w którym potem wszyscy dostali wyroki. Jan Jeżyński pokazuje zdjęcie w wojskowym mundurze.

Zaprzyjaźniliśmy się wcześniej z chłopakami, którzy pracowali w sądzie. Raz przebraliśmy się w ich mundury, stąd to zdjęcie. Razem graliśmy w piłkę. Jak już byłem aresztowany,

to jeden prokurator mówi do mnie: Cześć, Jasiu, poznajesz mnie, razem kopaliśmy piłkę.

Wiesław K. mówi:

- Po wyroku gotowi byliśmy z radości rzucić się sędziemu na szyję, że tak łagodnie nas potraktował. Ja myślałem, że dostanę czapę, a dzięki amnestii odsiedziałem tylko dwadzieścia dwa miesiące, z tego osiemnaście w kopalni.

Skazał ich sędzia wojskowy, major Wacław Bohatyrowicz, który później został adwokatem.

Wyroki zmniejszono od razu na mocy amnestii nowego Sejmu (który „uczčili”, rzucając ładunek pod lokal wyborczy), łagodzącego kary dla młodocianych. Wyroki odsiadywali, pracując w kopalniach w Sośnicy i Jaworznie, w których poza więźniami nikt nie pracował. Dzień pracy pod ziemią liczył się za dwa dni więzienia.

Egzekutywa i pielgrzymka

Ojca Jana Jeżyńskiego wyrzucono z partyjnej egzekutywy za czyn syna.

Kazimierz Florczyk opowiada o swojej matce: Była dwadzieścia siedem razy w Częstochowie, najpierw w intencji, żebym wrócił, a potem, że zdrowy wróciłem.

Ale kiedy wyszli z więzień, Urząd Bezpieczeństwa nie dał im spokoju.

Bogusław Rżanek mówi: Jeszcze w 1980 roku przesłuchiwali mnie, czy im kłopotu nie zrobię.

Jan Jeżyński wspomina: Sprawdzali mnie nawet po latach, ostatni raz chyba zostałem wezwany na komendę, kiedy wybuchła Rotunda w Warszawie.

Wiesław K. historię wysadzenia pomnika na wszelki wypadek długo trzymał w tajemnicy przed swoimi dziećmi. Opowiedział ją córkom dopiero w 1986 r.

Naga kobieta

Pasaż Rubinsteina, dawniej ZWM krótkie,

kilkudziesięciometrowe przejście łączące centralną w Łodzi ulicę Piotrkowską z aleją Tadeusza Kościuszki. Drzewa, ławki, kobiety z dziećmi w wózkach.

W miejscu, gdzie wtedy stali Robotnik i Robotnica, dziś widać rzeźbę nagiej, pólężącej kobiety.

lipiec 1994

ZAWOŁAJ, PEREŁKO KRASEGO BYKA

Wszyscy na tym zdjęciu (str.230) patrzą w lewo. Ktoś tam musiał stać. Stał, rzeczywiście, ale go wycięto. To był Zenczykowski.

Wycinano go za każdym razem.

Przy domofonie mieszkania Żenczykowskich w Londynie wisi wizytówka z nazwiskiem Zawadzki.

- Tak nazywaliśmy się przez pół wieku po ucieczce z Polski mówi Daromiła Zenczykowska. Dla bezpieczeństwa, bo w kraju została rodzina Tadeusza. Zresztą, czy Anglik potrafiłby wymówić: Zenczykowski?

Tadeusz Zenczykowski najmłodszy poseł ostatniej przedwojennej kadencji Sejmu, jeden z szefów propagandy Armii Krajowej, wicedyrektor polskiej sekcji Radia Wolna Europa, prawnik, autor książek historycznych. Zmarł w zeszłym roku.

Wchodząc do londyńskiego mieszkania Żenczykowskich, mam wrażenie, że przekraczam granicę państwa. Przed domem stoją samochody z kierowcami po prawej stronie, zaraz za progiem rzucające się w oczy - portret Piłsudskiego, zdjęcie Papieża z czasów przedwojennego przysposobienia wojskowego i książki, jak u historyków w Polsce: „Wspomnienia” Berlinga, „Replika” Gierka.

- Przez nazwisko Zawadzki dorobiliśmy się herbu opowiada wdowa. Po wojnie trafiliśmy do domu rehabilitacyjnego dla inwalidów polskich koło Manchesteru. Kiedyś podszedł do nas jakiś młodzieniec i pyta, skąd jesteście. Mówię, że z Warszawy. „Aha, to pani pewnie herbu Rogala. Wszyscy Zawadzcy z Mazowsza są herbu Rogala”.

Teczki popakowano w szary papier, przewiązano sznurkiem. Leżą we Wrocławiu. Zajęły całą samochodową przyczepkę, która przywiozła

je z Anglii do Polski. W końcu maja Daromila Żenczykowska, wdowa po Tadeuszu, przekazała jego archiwum wrocławskiemu Ossolineum.

Rozwiązuję sznurek, wydobywam teczkę z osobistą korespondencją człowieka, którego nigdy nie poznałem. Ostatnia koperta to listy z okazji 90. urodzin.

Od znajomego: „Życzę więc jak najlepszego zdrowia i sił, dalszych pięknych książek i artykułów, które przez dziesięciolecia przecierały szlaki prawdy i sprawiedliwości”.
Od marszałka Józefa Zycha: „Nie ustawał Pan w pracy na rzecz odzyskania suwerenności przez Polskę”. Wcześniejsza koperta z napisem „Złote Gody”: „Złote wesele weselem, trwa jeden dzień, sztuka zaś w tym, by każdy dzień tych pięćdziesięciu i następnych lat był na wagę złota, a tej sztuki Kochani Państwo dokazali”.

Tadeusz Żenczykowski urodził się w 1907

roku. Jako piętnastolatek wstąpił do Związku Strzeleckiego, organizacji dla młodzieży. W 1930 r. skończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, został przewodniczącym Związku Młodych Prawników, zaczął wydawać pismo dla rezerwistów „Podchorąży”. W 1927 r. wstąpił do Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, wkrótce wszedł do jego władz. Po latach w audycji RWE wspominał, że celem związku było takie kształtowanie młodych ludzi, by nie ograniczali się do życia zawodowego, ale byli aktywni w życiu politycznym i pracy społecznej.

Za przeciwnika politycznego uważał prawicową młodzież wszechpolską. W 1931 r. pisał w „Życiu Akademickim”: „Rozwydrzenie wszech-polaków dochodzi do tego, że wykorzystują eksterytorialność murów uczelnianych dla rozprawienia się bezceremonialnego ze swymi przeciwnikami politycznymi przy pomocy własnych bojówek”.

Historyk Andrzej Friszke zastanawiał się, w

czym wyrażała się lewicowość ZPMD: „Przed wszystkim w antyendecckości, otwartości wobec Kościoła, zwracaniu szczególnej uwagi na potrzebę awansu kulturalnego i społecznego warstw plebejskich” („Więź” z sierpnia 1994 r.).

W 1929 r. w ZPMD Tadeusz poznał swą przyszłą żonę Daromiłę. Była córką profesora fizyki w gimnazjum Reya w Warszawie. Pobili się w 1934 roku.

W ZPMD Tadeusz Żenczykowski poznał również Zygmunta Ziółka. Potem obaj walczyli w Armii Krajowej. Po wojnie Żenczykowski opowiadał o Powstaniu Warszawskim w RWE. W kraju Zygmunt

Ziółek także opisywał dzieje AK. W jego książce z 1973 r. „Od okopów do barykad” na stronie 385 zamieszczono zdjęcie z Powstania. Na dziedzińcu Poczty Głównej stoją: porucznik Lech Sadowski „Wasył” (oficer Biura Informacji i Propagandy AK), pułkownik Jan Rzepecki „Wolski” (szef

BIP), Zygmunt Ziółek „Sawa” (autor książki, a wówczas wiceszef wydziału propagandy BIP) oraz pułkownik Antoni Chruściel „Monter” (komendant warszawski AK).

Wszyscy czterej patrzą na lewo, gdzie nikogo nie ma. Wiemy jednak, na kogo patrzyli: na Tadeusza Zenczykowskiego, którego z fotografii wycięto. Wycinano go za każdym razem, gdy zdjęcie publikowano w PRL-owskich wydawnictwach.

Stał z boku, łatwo go było ująć opowiada Daromiła Żenczykow-ska, pokazując oryginał zdjęcia.

W książce Zygmunt Ziółek napisał o przedwojennych latach Zenczykowskiego: „Nawet podejrzewaliśmy, iż należy do dwójki” - czyli wywiadu a o powojennych: „Przeszedł na służbę określonych kół dywersji amerykańskiej, skierowanej na kraje socjalistyczne, prowadząc w rozgłośni Wolna Europa wrogą działalność przeciwko Polsce

Ludowej".

Kiedy „Wojskowy Przegląd Historyczny” opublikował w 1971 r. wspomnienia innego oficera ze zdjęcia, pułkownika Rzepeckiego, w od-redakcyjnym przypisie wyjaśniono, że skłonność „do «małej polityki na boku» doprowadziła T. Zenczykowskiego na manowce zdrady narodowej i przejścia na służbę CIA”.

Dwa lata przed wojną Tadeusz Żenczykowski zaskoczył przyjaciół: został szefem propagandy Obozu Zjednoczenia Narodowego, tzw. Ozonu.

Poznaliśmy się rok wcześniej na Zjeździe Młodych Prawników -opowiada Andrzej Pomian (wówczas Bohdan Sałaciński). - Nasze więzy rozluźniły się, kiedy Żenczykowski trafił do OZN. To była prawicowa organizacja. Wielu piłsudczyków nie chciało mieć z nią nic wspólnego.

Z deklaracji programowej OZN, opublikowanej

w 1937 r. przez pułkownika Adama Koca:
„Gospodarzem w państwie polskim jest naród polski”.

O Żydach: „Zbyt wysoko cenimy poziom i treść naszego życia kulturalnego (...), abyśmy mogli aprobować akty samowoli i brutalnych odruchów antyżydowskich, uchybiających godności i powadze wielkiego narodu. Zrozumiałym natomiast jest instynkt samoobrony kulturalnej i naturalne jest dążenie społeczeństwa polskiego do samodzielności gospodarczej (...) w okresie wstrząsów ekonomicznych i finansowych”. (Z ulotek OZN: „Każdy nowy sklep polski - to szaniec w walce o uniezależnienie się od obcych kapitałów”. OZN uważał też, że Polska potrzebuje kolonii; niektórzy z jego działaczy sądzili, że kolonia na Madagaskarze mogłaby posłużyć jako miejsce osiedlenia Żydów).

O Kościele: „Naród polski, w olbrzymiej większości katolicki, przywiązany jest do swojego Kościoła, dlatego Kościół katolicki

winien być otoczony należytą opieką. W stosunku do innych wyznań stoimy na stanowisku określonym w Konstytucji, a wynikającym z tradycyjnej polskiej tolerancji religijnej".

Andrzej Friszke zastanawiał się w „Więzi”, co Żenczykowski robił w OZN, organizacji odległej od zasad demokratycznych: „Wydaje się, że trudno to zrozumieć bez uwzględnienia ówczesnego klimatu wytwarzanego przez wielką siłę ekspansji totalizmów (...).

Liczebność obrońców demokracji topniała z każdym rokiem, także w Polsce. Przyszłość jak się zdawało należała do państw i systemów autorytarnych. Demokracja była utożsamiana ze słabością. Polska, położona między dwoma potężnymi państwami totalitarnymi, na słabość sobie pozwolić nie może powtarzano z różnych trybun. Siłę państwa i narodu miały powiększyć gospodarka planowa, wyzwolenie się spod wpływu obcego kapitału, ograniczenie wolności własności indywidualnej". Takemu

przeświadczeniu uległ także Żenczykowski.

W 1938 r., w ostatnich przedwojennych wyborach, Tadeusz Żenczykowski kierował ogólnopolską kampanią OZN. W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” (sierpień 1995 r.) opowiadał Annie Kuligowskiej: „Byłem stanowczym przeciwnikiem propagandy ulotkowej, bo stosy ulotek zostawały po każdym wyborach na ulicy. Postanowiłem więc, że należy dotrzeć indywidualnie do wyborców. Zarządziłem napisanie 16-stronicowej broszurki i kazałem odbić miliony sztuk! (...) [Potem] trzeba było znaleźć adresy, pod które trzeba było je wysłać. Zacząłem szperać w rozmaitych instytucjach, bankach, placówkach pocztowych itd. Zdobyłem 700 tys. nazwisk. Musiały być tam pomyłki, bo np. dużo wyborców mieliśmy w Otwocku, gdzie mieszkało sporo Żydów. Niektórzy z nich oburzeni odsyłali te broszurki, uważali, że to jakaś prowokacja, ale po zebraniach, jakie tam odbyłem, dostałem dużo głosów”.

Miał wówczas 32 lata. Został najmłodszym posłem ostatniej przedwojennej kadencji Sejmu.

Wybrano go w okręgu warszawskim, w którym był Rembertów, Otwock, Modlin, Ursus. Po latach swoją książkę „Dwa komitety 1920 1944” zadedykował „Robotnikom Ursusa, dzielny «Warcho-łom», których ojcowie wybrali mnie do ostatniego Sejmu Niepodległej Rzeczypospolitej”.

Charakteryzował go typowy dla piłsudczyków szacunek dla robotników, prostych ludzi opowiada profesor Władysław Bartoszewski, wieloletni przyjaciel Żenczykowskiego. Kiedy kilka lat temu, pod koniec życia, przyjechał do kraju, odnalazł w Pruszkowie swoich przedwojennych wyborców. Chwalił się, że wybrali go robotnicy, a nie pięknoduchy.

W Sejmie Żenczykowski działał m.in. w komisji pracy. Organizował bezpłatne bilety do teatru dla robotników rozprowadzane przez związki zawodowe.

„Chciałem, aby robotnik siedział w teatrze jak hrabia opowiadał Annie Kuligowskiej. Aby każdemu równą dać szansę na najlepsze miejsce, dopiero z ustawionej w hallu teatru skrzynki robotnicy losowali numer miejsca”.

Niedługo przed wojną usłyszał, że Niemcy i Włosi urządzają robotnicze wycieczki na statkach. Sam więc w 1939 r. zorganizował dwie wycieczki po polskim Bałtyku, każdą dla przeszło 700 osób. Wspomina w „Tygodniku”:

„Wierzyłem, że chłopci będą się dobrze czuli w Danii, gdyż zobaczą, jak wysoko stoją żłoby w oborze, a robotnicy przyjrzą się, jak pracują robotnicy szwedzcy. (...) Podczas wycieczki nasi robotnicy przekonali się, że są traktowani jak normalni obywatele, że nie tylko dygnitarz czy burżuj może jechać nad morze. (...) Tylko tumany robią propagandę przez gadanie”.

- Mieszkaliśmy na wprost teatru Ateneum - opowiada Daromiła Zenczykowska. -
Pierwszego września o piątej rano zaczęły

koło nas latać bomby. Tadeusz włączył radio, usłyszeliśmy: „Wojna”. Mąż pojechał do Sejmu.

2 września na specjalnym posiedzeniu Sejmu zgłosił w imieniu OZN poprawkę umożliwiającą posłom ochotnicze wstępowanie do armii:

„Niezależnie od normalnej pracy publicznej my wszyscy posłowie i senatorowie chcemy dzielić z żołnierzami trudy wojny, (...) jesteśmy normalnymi żołnierzami”.

Gdy tylko poprawkę przyjęto, zgłosił się do swojego 21. Pułku Piechoty. W kampanii wrześniowej odznaczono go Krzyżem Walecznych.

W czasie okupacji powrócił do wcześniejszych sympatii politycznych. Zerwał z tradycjami OZN, współorganizował Związek Odbudowy Rzeczypospolitej, polityczną organizację złożoną z dawnych członków ZPMD, która później połączyła się z konspiracyjnym

Stronnictwem Demokratycznym.

W 1940 r. został zaprzysiężony w Związku Walki Zbrojnej. Doprowadził do scalenia w 1943 r. ZOR z Armią Krajową. ZOR przekazał AK ok. 10 tys. żołnierzy.

Ze względu na doświadczenie propagandowe Zenczykowskiego pułkownik Rzepecki, szef Biura Informacji i Propagandy, zaproponował jego kandydaturę na kierownika akcji „N”. W jej ramach AK przygotowywała druki udające oficjalne niemieckie dokumenty albo ulotki niemieckiego podziemia. Kiedyś na przepisowych czerwonych plakatach zarządzono ewakuację wszystkich Niemców z Generalnej Guberni. O jednej z ulotek kolportowanych przez polskie podziemie wśród żołnierzy Wehrmachtu opowiadał Żenczykowski w 1991 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim podczas swej pierwszej od pół wieku wizyty w Polsce:

„Dużego rozgłosu nabrała «Instrukcja zdrowotna Narodowo-Socjalistycznego

Związku Lekarzy». Na czterech stronicach omawia skargi żołnierzy z frontu o niewierności ich żon, utrzymujących stosunki bądź z członkami partii, bądź z robotnikami obcej narodowości. Lekarze rozumieją nastroje żołnierzy, którzy od dawna nie mieli urlopu i nagle otrzymują wiadomość o ciąży swoich żon. Po słowach współczucia lekarze pouczają żołnierzy, że muszą te wiadomości oceniać «z pozycji narodowego socjalisty. Musimy być mocni i twardzi. Problem urodzin dzieci w Rzeszy musimy też rozważać w sposób chłodny i rzeczowy... Rozkaz Fiihrera brzmi: Więcej dzieci! Posiadanie dzieci jest obowiązkiem, a w czasie wojny obowiązkiem podwójnym». Nietrudno sobie wyobrazić, jak reagowali na te słowa żołnierze od dawna oderwani od swoich rodzin".

Z kolei w niemieckich koszarach w Toruniu, gdzie szkolono rekrutów na front wschodni, podrzucono instrukcję przeciw odmrożeniom, podpisaną nazwiskiem berlińskiego lekarza, która, jak pisał Jan Nowak-Jeziorański w

„Kurierze z Warszawy” - „budziła przerażenie przed okropnościami (...) rosyjskiej zimy. Największą perfidią tej dywersji były zalecenia różnych maści i leków, które nie były w Wehrmachcie dostępne”.

Generał Tadeusz Bór-Komorowski oceniał:

„Pojawienie się chociażby tylko jednego wydawnictwa tej niby-prasy podziemnej alarmowało Gestapo całego okręgu (...). Nigdy jednak Niemcy nie odważyli się przyznać, że (...) jakikolwiek z ujarzmionych narodów mógł z powodzeniem wymierzyć im cios w dziedzinie, którą uważali za swoją specjalność: w propagandzie” (z książki „Armia podziemna”).

Akcja „N” to szczytowy punkt życia Zenczykowskiego uważa Nowak-Jeziorański, który w AK był jego podkomendnym, a w RWE szefem.

Grzegorz Mazur w książce „Biuro Informacji i Propagandy” obliczył, że w ramach akcji „N”

wydano druki o łącznym nakładzie miliona egzemplarzy. Niektóre były tak rozchwytywane przez Niemców, że ich czarnorynkowa cena sięgała 50 marek.

Akcję zakonspirowano również wobec żołnierzy AK.

„Generał Rowecki śmiał się szczerze ubawiony, gdy kiedyś wspomniałem o raportach wywiadu AK, donoszących o szerzeniu się propagandy rozkładowej w wojsku niemieckim - pisał Żenczykowski w książce „Generał «Grot» u kresu walki”. - Były w nich dołączone jako dowód jakieś nasze ulotki lub periodyczne wydawnictwa «N»”.

Jeszcze w 1961 r. na Międzynarodowym Kongresie Historii Ruchu Oporu w Mediolanie przedstawiono kilka wydawnictw akcji „N” jako dokumenty prawdziwego niemieckiego podziemia.

W 1942 r. żonę Żenczykowskiego aresztowało gestapo.

W kocioł, który założyli gestapowcy, wpadł Teofil Wrona opowiada Daromiła Żenczykowska. Miał ze sobą korektę niemieckiego pisma przygotowanego w ramach akcji „N”. Torturowali go. Nie znał naszego prywatnego adresu, ale wiedział, że pracuję w magistracie. Znaleźli mnie w biurze. Bicie zaczęło się już w samochodzie. Myślałam: „Najważniejsze, żebym nie podała adresu, żeby Tadeusz zdążył uciec”. Nie zdradziłam. Na Szucha już mnie porządnie zbili. Dopiero następnego dnia - gdy Tadeusz już wiedział, że zostałam aresztowana, zaczęłam w czasie przesłuchiwania udawać ciotkę-idiotkę. Z Pawiaka wywieźli mnie na Majdanek, później do Oświęcimia.

- Teofil Wrona, który mnie wydał, to była tragiczna postać - ciągnie Daromiła Żenczykowska. - Kiedy go wezwali na konfrontację, udałam, że się nie znamy. Patrzyłam na niego z pogardą. Wyprowadzili go, chwilę potem rzucił się ze schodów.

Odwozili nas potem razem więzienną budą, on leżał na noszach nieprzytomny. Wzięli go do więziennego szpitala na Pawiak.

Wyzdrowiał. A chyba w maju rozstrzelali go w Palmirach, już nie był potrzebny. Miałam do niego pretensję, po co im mówił? Mnie też pytali, a nie powiedziałam. Tylko widzi pan, podobno mężczyźni są mniej odporni na ból.

Po aresztowaniu żony Żenczykowski musiał się ukrywać.

- Miał prawie dwa metry wzrostu - opowiada Andrzej Pomian. -Bardzo się wyróżniał na ulicy, baliśmy się, że Niemcy go rozpoznają.

Organizował wydział BIP, który zajmował się propagandą antykomunistyczną. Jako kierownik wydziału „Rój” przygotowywał propagandę AK-owską na czas Powstania. Zorganizował dwunastoosobowy zespół filmowców, fotografów, reporterów, radiowców. Dzięki tym przygotowaniom w czasie Powstania nadawała radiostacja Błyskawica.

Tadeusz i Daromiła odnaleźli się po trzech latach. Kiedy kończyła się wojna, ona uciekła z oświęcimskiego transportu w głąb Niemiec, a on z oflagu Grossborn, do którego trafił po Powstaniu. Kilka miesięcy później znowu uciekali - tym razem z Polski.

- W Krakowie Tadeusz wydawał nielegalny „Głos Wolności” - opowiada Daromiła Żenczykowska. Ludzie z AK ostrzegali nas, że grozi mu aresztowanie przez UB, a nawet skrytobójcza śmierć.

Wyjechali w listopadzie 1945 r., posługując się dokumentem Polskiego Czerwonego Krzyża wystawionym na fikcyjne nazwisko Zawadzcy. PCK zaświadczał, że: „Ob.ob. Zawadzcy udają się na poszukiwania swego dziecka na terenie Niemiec, Czechosłowacji i Austrii”.

Wyjeżdżaliśmy normalnie, bez przygód opowiada Daromiła Żenczykowska. W Lubawce pod Wrocławiem posterunek milicji w całości składał się z nieujawnionych akowców

z okręgu krakowskiego. Komendant, jedyny producent bimbru na okolicę, był bardzo uprzejmy. Miałam akurat gorączkę, on mnie tym bimbrem podlewał. W hotelu w Pradze płaciliśmy słoniną i papierosami. Potem Norymberga, Frankfurt, Paryż. A sylwestra spędzaliśmy w Nicei. Pamiętam, że mieliśmy tylko jedną bagietkę na dwoje. Na szczęście kino wojskowe było za darmo. Z Nicei pojechaliśmy do Włoch, do II Korpusu generała Andersa. Stamtąd Tadeusz usiłował przedostać się do Sztabu Generalnego w Londynie. Ale musiał długo czekać na wyjazd, bo akurat wszyscy oficerowie jechali na urlop. Stosunek niektórych oficerów z Londynu do AK-owców był bardzo nieuprzejmy. Uważali nas za pospolite ruszenie, a nie wojsko. Mówili: „To ci, którzy podpalili Warszawę”.

Studium Polski Podziemnej na londyńskim Ealingu zawsze było magicznym miejscem dla historyków zajmujących się dziejami II wojny. Zgromadziło materiały niedostępne w Polsce.

Jesienią czterdziestego szóstego w Londynie generał Tadeusz Bór-Komorowski zaprosił piętnaście osób, które miały utworzyć instytucję archiwizującą dokumenty AK. Wśród nich był Żenczykowski - opowiada Jadwiga Olszewska, obecnie kierownik Studium.

Wśród zaproszonych byli także generałowie Antoni Chruściel i Tadeusz Pełczyński oraz kpt. Jan Nowak-Jeziorański i podporucznik Andrzej Pomian.

W czasach PRL niewielu historyków z kraju dostało się do SPP. W protokole z posiedzenia zarządu SPP z 1972 r. zapisano, że aby „uniknąć penetracji do archiwum czynników komunistycznych, a reżymowych w szczególności należy zachować ostrożność w dopuszczaniu ludzi, których nie znamy, (...) konieczne będą referencje osób godnych zaufania”.

Żenczykowskiego poznałem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym -

opowiada historyk Andrzej K. Kunert. To on wydawał zgodę, by udostępniono mi materiały Studium. Pracownicy Studium byli ostrożni w stosunku do ludzi z kraju. Chcieli mieć listy polecające albo wyrabiali sobie opinię, dzwoniąc do zaprzyjaźnionych osób. Mnie pewnie pomogło to, że byłem już autorem książki o generale Roweckim „Grocie”, a to była ważna postać dla Żenczykowskiego.

„Informator Studium Polski Podziemnej” podaje, że kiedy o dostęp do materiałów poprosił profesor Eugeniusz Duraczyński, pracownik PAN i członek PZPR, „odbyto burzliwą dyskusję, czy i co udostępnić”. Żenczykowski zaproponował - i propozycję przyjęto aby pokazano te materiały, które miały się ukazać w II tomie „AK w dokumentach”.

Tuż po wojnie Tadeusz Żenczykowski znalazł się w emigracyjnej partii Niepodległość i Demokracja.

Jan Radomyski w wydanej w Londynie broszurze „Polski Ruch Wolnościowy «Niepodległość i Demokracja» pisał, że NiD powstał jako ruch młodego pokolenia wychowanego w przedwojennej Polsce, „które widziało nie tylko zdradę Polski przez sojuszników, ale i konieczność poddania gruntownej rewizji wielu założeń polskiej myśli politycznej”. Do NiD trafili ludzie, którzy nie widzieli dla siebie miejsca w „kontynuującej przedwojenne tradycje Polskiej Partii Socjalistycznej, ze względu na jej doktrynalny dogmatyzm, ani w Stronnictwie Narodowym, z uwagi na ciasny nacjonalizm i antysemityzm, od Chadecji odstręczał ich klerykalizm, a od ludowców klasowość”.

Wielu członków NiD wywodziło się z przedwojennego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej.

W 1949 r. trzy emigracyjne partie polityczne Stronnictwo Narodowe, PPS i NiD - zawiązały wspólną Radę Polityczną. Żenczykowski,

reprezentujący NiD, został wiceszefem Działu Krajowego Rady. Drugim wiceszefem był Franciszek Białas z PPS, a kierownikiem Edward Sojka z SN. Dział Krajowy miał organizować kontakty emigracji z krajem.

„Rok 1950 przyniósł wydarzenia, które zapowiadały prawdopodobieństwo rychłego wybuchu wojny między Zachodem i Wschodem -opisywał ówczesną atmosferę Andrzej Friszke w „Więzi”. - Do wojny szykował się Stalin, w Korei gen. MacArthur brał pod uwagę możliwość użycia bomby atomowej przeciwko nacierającym z północy Chińczykom Mao i Koreańczykom Kim Ir Sena. Generał Anders rozważał problem odtworzenia armii polskiej na Zachodzie”.

Dział Krajowy, w którym pracował Żenczykowski, po kilku miesiącach negocjacji podpisał z amerykańskim wywiadem umowę o współpracy. Rada zobowiązała się do „współdziałania z akcją zimnej wojny Stanów Zjednoczonych”, „podtrzymywania w Kraju

ducha oporu", „dostarczania wiadomości z Kraju". Amerykanie mieli finansować „utrzymanie aparatu łączności z Krajem", „rozbudowę i utrzymanie grup informacyjnych w Kraju", „utrzymanie centrali w Londynie" („Sprawozdanie do rozpatrzenia spraw łączności z krajem" z 1956 r.).

Utworzono w Niemczech dwie bazy: „Północ" w strefie brytyjskiej i „Południe" w Bawarii, w miejscowości Berg od niej współpracę polskich stronnictw politycznych z amerykańskim wywiadem nazwano „sprawą Bergu".

Kiedy „sprawa Bergu" stała się znana emigracji, Stanisław Mackiewicz - od dawna polityczny przeciwnik Żenczykowskiego napisał w paryskiej „Kulturze" (w 1954 r.): „Berg to system polityczny, przy którym pewne stronnictwa polityczne uważały za możliwe i stosowne wydzierżawić swoje firmy polityczne pewnym wywiadam obcym. System ten nie tylko naraża kraj na wielkie

niebezpieczeństwa, ale uniemożliwia rządowi, który by był oparty na współpracy z tymi stronnictwami, jakiegokolwiek poważne zabieranie głosu wobec mocarstw zachodnich imieniem kraju. Nie można przecież być jednocześnie łapsem używanym do posług szpiegostwa wojennego i reprezentantem interesów kraju i swego narodu".

- Z powodu Bergu, przez Żenczykowskiego, wystąpiłem z NiD -opowiada Józef Garliński, autor książki „Oświęcim walczący”, opisującej obozowy ruch oporu. - Żenczykowski był politykiem, chciał manipulować ludźmi. Na centralnym kongresie wykonawczym NiD przekonywał, że kontakty między emigracją a krajem finansowały amerykańskie związki zawodowe. Nie było wówczas mowy o zbieraniu materiałów szpiegowskich, o bazach „Północ” i „Południe”. Po czym okazało się, że pieniądze dawał amerykański wywiad. A ja nie zgadzam się, żeby ktoś mnie oszukiwał. Możemy się umówić, że włamujemy się do banku, ale ja to muszę wiedzieć wcześniej,

zanim nagle znajdę się w skarbcu.

- Czy Żenczykowski mógł nie wiedzieć, że to wywiad finansuje kontakty z Polską? - pytam.

- Nie wierzę - odpowiada Garliński. - Był zbyt doświadczonym politykiem. Dla mnie nie byłoby nic zdrożnego we współpracy z amerykańskim wywiadem, ale musiałbym o tym wcześniej wiedzieć.

Dlaczego miałby ukrywać prawdę o współpracy z wywiadem?

Bo w przedwojennej Polsce, jak się o kimś powiedziało „dwójkarz”, to znaczyło łotr, łaps. Polacy uważają, że dżentelmen nie pracuje dla wywiadu. To błędne pojęcie. Tutaj, w Wielkiej Brytanii, wiadomo, że jak Brytyjczyk mieszka za granicą, to pewnie wspomaga wywiad. Graham Greene pracował dla wywiadu i nikt mu tu nie ma tego za złe. A niech pan sobie wyobrazi, co by ludzie powiedzieli, gdyby okazało się, że Sienkiewicz pracował dla wywiadu, nawet polskiego?!

Jak się okazało, „sprawa Bergu” była kontrolowana przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Polsce.

W grudniu 1952 r. Polskie Radio podało, że do konsulatu w Berlinie zgłosiło się dwoje pracowników ośrodka wywiadowczego w Bergu: Jan Choma i Wanda Weber. Poprosili o umożliwienie powrotu do Polski. Później wyszło na jaw, że oboje już wcześniej byli agentami MBP. Polskie komunistyczne służby specjalne przez długi czas kontrolowały wszystkie materiały trafiające z Polski do USA.

W kraju rozpoczęły się aresztowania osób, którym zarzucono szpiegostwo. Na emigracji obliczono, że w Polsce po „sprawie Bergu” aresztowano kilkaset osób.

Pułkownik Kazimierz Iranek-Osmecki wystąpił w Londynie przeciw Żenczykowskiemu. W liście do generała Tadeusza Pełczyńskiego, prezesa Studium Polski Podziemnej, postawił Żenczykowskiemu „zarzut” prowadzenia

wywiadu dla zaspokojenia interesów niepolskich, działalności, w której wyniku „setki naszych Braci w Kraju straciło życie lub wolność”. Władze Studium ustaliły jednak, że Żenczykowski, „jakkolwiek był z ramienia NiD członkiem kierownictwa Działu Krajowego Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej, to jednak warunki tak się złożyły, że nie miał wpływu ani na organizacyjną stronę Działu Krajowego, ani na działalność placówki Berg”.

- Berg był dla Żenczykowskiego ciężkim przeżyciem - opowiada Eugeniusz Smolar, współzałożyciel „Aneksu”; - Jeszcze po latach, kiedy w czasie jakiejś kolacji żona albo ja pytaliśmy o szczegóły związane z tą sprawą, zapadał chłodny mur milczenia. Dla emigracji było to bardzo ważne doświadczenie.

Poprzednia wizja opierała się na przekonaniu, że Polskę zdradził Churchill. Po Bergu londyńska emigracja nabrała dystansu wobec Amerykanów.

Niektórzy znajomi Żenczykowskiego uważają,

że po „sprawie Bergu” stał się kozłem ofiarnym. Odsunęły się od niego środowiska, stracił pracę w „Dzienniku Polskim” i musiał wyjechać do Monachium, do Radia Wolna Europa.

Daromiła Żenczykowska twierdzi jednak: Wyjazd do Niemiec nie był związany z Bergiem. Tadeusz rzucił pracę w „Dzienniku Polskim”, bo zakazano dziennikarzom pisać do innych pism i radia. Uznał zakaz za idiotyzm i odszedł.

Na pewno jednak po sprawie Bergu zerwał z emigracyjną polityką i zajął się pracą w Radiu Wolna Europa, w którym został wiceszefem sekcji polskiej.

Tadeusz Kryśka-Karski poznał Żenczykowskiego w połowie lat 50. w RWE. - Mieszkaliśmy w tym samym domu mówi. Kiedy winda była przesiąknięta zapachem wody lawendowej, wiadomo było, że niedawno zjeżdżał do pracy. To był dżentelmen starej daty. Nigdy go nie

widziałem w kapciach, zawsze pod krawatem. Był bardzo skrupulatny, każdą rzecz kazał sprawdzać kilka razy. I miał rację, bo np. kiedyś jakaś agencja podała, że Eisenhower pojechał do Tokio. Wszystkie sekcje to nadały oprócz naszej, bo Żenczykowski kazał sprawdzić. Okazało się, że w ostatniej chwili wizytę odwołano.

Jan Mierzanowski, współpracownik z RWE, opowiada: Był koleżeński, miał humor nieco sztubacki, nie bardzo pasujący do dorosłego. Kiedy szedł coś zjeść, mówił, że idzie na zupę. Stąd jego przydomek: „Zupa”. Gdy ktoś szedł na zakupy, nazywało się, że „idzie po majtki”, gdy wyjeżdżał na weekend, to „szedł w krzaki”. Samochód służbowy nazywał ogierem, kawa to była narkomania.

Danuta Gamarnikow przez 13 lat była sekretarką Żenczykowskiego.

- Na maszynistki mówił hurysy, na sekretarki - perełki. Czasami prosił: „Zawołaj, perełko,

jakiegoś krasiego byka", czyli poproś redaktora.

W RWE Żenczykowski był znany jako najlepszy na emigracji znawca PRL-owskich personaliów. W 1956 r. wydał liczącą 151 stron „Obsadę personalną stanowisk publicznych w Polsce”. Przedstawił z nazwisk obsadę okręgów wojskowych, skład Rady Państwa, a nawet osoby z Centralnego Urzędu Szkolenia Zawodowego, Centralnego Urzędu Wydawnictw, Przemysłu Graficznego i Księgarstwa, wojewódzkich rad narodowych.

Interesował się historią wojenną i bieżącą polityką. Na teczках przekazanych do Ossolineum widnieją tytuły: „AK piosenki”, „Literaci 1957-1960”, „Dąbrowszczacy”, „Beck Józef”, „Gomułka Władysław”, „Wrzesień 1939”, „KOR”, „Sprawa Szesnastu”, „KPN i inne”, „Obozy pracy w PRL”, „Unia Demokratyczna”.

Dla Tadeusza było bardzo ważne, aby propaganda opierała się na faktach - mówi Daromiła Żenczykowska. - W czasie okupacji

mogła głosić nieprawdę; to była wojna. Ale jeśli ktoś w RWE proponował, by coś przekłamać, bo komuniści i tak nie wykryją fałszerstwa, Tadeusz się nie zgadzał.

W radiu opowiadał historię AK, prowadził cotygodniową audycję „Z dziejów PRL”. Mówił w niej o wyborach 1946 r.:

„Stosowano najróżniejsze formy pogróżek i szykan, zdając sobie sprawę, że w odległych wsiach - w obecności wojska - trudno spodziewać się jawnego sprzeciwu czy głośnych na cały kraj protestów”.

Po interwencji w Czechosłowacji:

„Nasza wiekowa tradycja (...) wyraża się w (...) haśle «Za naszą wolność i waszą». Tym boleśniej wszyscy musimy odczuwać fakt, że przeciwko nawet temu wąskiemu zakresowi wolności, do jakiego obecnie chciała zmierzać Czechosłowacja, użyto sił zbrojnych, wśród których znaleźli się Polacy (...).

Współodpowiedzialność za dzisiejszą agresję

na Czechosłowację spada nie na naród polski, lecz na PZPR, a w szczególności na Władysława Gomułkę, który był jednym z najbardziej zaciekle przeciwników przemian zachodzących w kraju naszego południowego sąsiada".

Pod koniec lat sześćdziesiątych moczarowcy usiłowali omamić AK-owców patriotyzmem opowiada Eugeniusz Smolar. Próbowali uzyskać współpracę środowisk AK-owskich. Moczar wręcz odwoływał się do AK-owskiego romantyzmu, sugerował, że nie ma różnicy między żołnierzami AK a żołnierzami spod Lenino. Ta gra służyła w gruncie rzeczy postępującej sowietyzacji. Nabrało się na to wielu akowców - Żenczykowski nie uległ tej grze. Wykpiwał taką postawę.

Kiedy pułkownik Jan Mazurkiewicz „Radosław”, słynny żołnierz AK, a po wojnie wiceprezes ZBoWiD-u, zaproponował w lutym 1966 r. integrację kombatanckich środowisk AK-owskich i komunistycznych, Tadeusz

Żenczykowski wystąpił w RWE z listem otwartym. Przekonywał „Radosława”:

„Mówiąc wówczas o akowcach, stwierdził Pan, że w tzw. minionym okresie ponieśli oni «ciężkie ofiary na równi z grupami komunistycznymi^ Protestuję, Panie Pułkowniku, przeciwko takiemu sformułowaniu (...). Prawdą jest, że w latach stalinowskich tysiące akowców zapełniały więzienia. Setkom z nich zadawano najwymyślniejsze tortury. A iluż to komunistów katowano w tym okresie lub zabijano w Mokotowie tak jak akowców - strzałem w tył głowy? (...) Nie może być mowy o integracji. Niech się nikt tym nie łądzi, choć niejeden będzie chciał tym frazesem operować na własny użytek polityczny. Niejeden, to znaczy - powiedzmy wyraźnie - Moczar i jego frakcyjni towarzysze. Tego im właśnie potrzeba w grze o władzę wewnątrz partii, takiej legitymacji, że zdołali osiągnąć rzekomą jedność kombatancą, że potrafili zmontować coś bardziej zwartego i konkretnego, nie efemeryczny, oficjalny Front

Jedności Narodu. (...)

Wiem, Panie Pułkowniku, że jest Pan żołnierzem, a nie politykiem. Jest Pan prostolinijny i dlatego może Pan nie dostrzegać machinacji, w których Pana akowska przeszłość jest ważnym atutem do rozgrywek".

Władysław Bartoszewski poznał Tadeusza Zenczykowskiego w czasie Powstania Warszawskiego. Chodził na prowadzone przez niego codzienne konferencje prasowe, które sugerowały, jakie informacje mogą się pojawić w powstańczych pismach, a jakie ze względu na bezpieczeństwo są niepożądane. Wówczas Bartoszewski znał tylko pseudonim Zenczykowskiego - „Kania”.

Wysoki, postawny, przystojny blondyn opowiada Bartoszewski.

Sprawiał wrażenie zawodowego wojskowego, wystawiał się zwięźle, ruchy miał zdecydowane.

Jego nazwisko Bartoszewski poznał dopiero po wojnie, kiedy Żenczykowsky przed wyjazdem z Polski przyszli na pożegnalne - choć takie słowo nie padło spotkanie do wspólnych znajomych.

Później usłyszałem go chyba w pięćdziesiątym czwartym wspomina Władysław Bartoszewski. Wyszedłem akurat na urlop z więzienia, nastawiłem Radio Wolna Europa i usłyszałem głos Żenczykowskiego. W sześćdziesiątym trzecim pierwszy raz w życiu dostałem pozwolenie na wyjazd za granicę. Jechałem do Izraela na zaproszenie Yad Vashem. W Atenach miałem przesiadkę, poszedłem na pocztę i stojąc na tej poczcie, bo nie miałem pieniędzy na kawiarnię, napisałem pierwszy w życiu list na Zachód. Napisałem: „Drogi panie Tadeuszu, to ja, «Teofil» (to był mój okupacyjny pseudonim). Proszę o pytania, jeśli coś pana interesuje”. I podałem mój adres na najbliższe tygodnie w Tel Awiwie. W Izraelu dostałem od niego list.

Umówili się na spotkanie w Wiedniu, gdzie Bartoszewski mógł się krótko zatrzymać w powrotnej drodze do Polski.

To było niezwykle wzruszające spotkanie - wspomina. Zamieszkałem w małym hoteliku, gdzie nie było Polaków. Spotkaliśmy się na schodach: wracałem z miasta, on właśnie szedł do mojego pokoju. Potem zapraszał mnie na całe dni do swojego lepszego hotelu. Zadawał setki pytań, zamawiał lunch do pokoju, żeby nas nikt razem nie zobaczył, i rozmawialiśmy do wieczora. Potem zamawiał kolację, bo cały czas mnie żywił. To były trzy dni intensywnej rozmów. Zostałem tajnym współpracownikiem RWE; współpraca trwała dwadzieścia pięć lat. Ustaliliśmy metodę kontaktów: skrzynki u obcych ludzi, u jakiejś starszej pani, która nie mieszała się do polityki, lecz tylko przesyłała wiadomości dalej. Ja wciągałem jeszcze jedną osobę, której charakteru pisma nie znało SB.

Podawałem do radia informacje, ale też, jak ludzie w Polsce przyjmują program, jakie są

luki, co jest do niczego, co trzeba ostrzej, co lepiej ominąć.

W RWE, oprócz Żenczykowskiego, wiedział o mnie Nowak-Jeziorański i dyrektor amerykański opowiada Władysław Bartoszewski.

Czasami, gdy byłem za granicą, przychodził do mnie jakiś redaktor z RWE, chciał się czegoś dowiedzieć, a ja mu mówiłem: „Z Wolną Europą to ja nie współpracuję”. Potem meldowałem o tym Żenczykowskiemu. On się bawił konspiracją, to była dla niego gra, stacje przerzutowe w trzecim kraju, zmiany pseudonimów z męskich na żeńskie. Ale miał świadomość, że nas w Polsce może wiele kosztować ta misja.

Chociaż mieszkał na emigracji, to połową serca żył w Polsce, w Warszawie uważa Bartoszewski.

Prenumerował mnóstwo gazet, nawet „Trybunę Ludu”. Niewielu emigrantów tak

znakomicie orientowało się w bieżącej sytuacji w Polsce. Byli z Darką niezwykłym małżeństwem. Nie mieli dzieci i coraz bardziej się ze sobą zrastali w starszym wieku. Ona gromadziła archiwum, pisała na maszynie jego teksty, praktycznie je współtworzyła. W rozmowie była łagodna w formie, kategoryczna w treści. Zaczynała: „Tadeuszu, mnie się zdaje, ja nie jestem pewna”, a dalej już zdecydowanie mówiła, jak ma być.

W 1972 r. Żenczykowski przeszedł na emeryturę i wrócił z Monachium do Londynu. Opublikował sześć książek historycznych, ale nigdy nie spisał własnych wspomnień.

- Romantyczna interpretacja historii była dla niego nadrzędną sprawą - opowiada Eugeniusz Smolar. - To była wizja umęczonej ojczyzny, którą trzeba wyzwolić czynem zbrojnym; Powstanie Warszawskie było niezbędne. W połowie lat osiemdziesiątych zrobiłem w BBC audycję z udziałem

Żenczykowskiego w studiu i Michnika przy telefonie. Michnik akurat opublikował artykuł, że naród trzeba krytykować z miłością, nie można posuwać się za daleko w krytyce, bo traci się więź emocjonalną, duchową z narodem. Żenczykowskiemu bardzo odpowiadała ta teza.

Książki dedykował: „Żonie mojej Daromile, towarzyszce walki i pracy, żołnierzowi AK, więźniowi Pawiaka, Majdanka i Oświęcimia...” („Dramatyczny rok 1945”); „Pamięci żołnierzy AK, którzy zginęli za Polskę w latach wojny i później” („Generał «Grot» u kresu walki”).

W połowie lat 80. Żenczykowski znalazł się w Komitecie redakcyjnym szóstego tomu wydawanego przez Studium Polski Podziemnej zbioru „AK w dokumentach” - najważniejszego zbioru materiałów o AK, jaki ukazał się w Polsce i za granicą.

Na zebraniach każdy walczył o swój dział opowiada Jadwiga Olszewska, kierowniczka

SPP. Opracowywałam sprawy żydowskie, one interesowały Żenczykowskiego, ale uważał, że ważniejsze są stosunki między komunistami a AK. Najlepiej z nas wszystkich w Komitecie redakcyjnym znał historię AK. Był urodzonym wodzem. Z trudem przyjmował odmienne zdanie, występował w przyjemny, ale bardzo zdecydowany sposób.

Wciąż żył polityką w Polsce. W połowie lat 70. zakładał w Londynie Komitet Pomocy Ofiarom Wydarzeń Czerwcowych.

Kiedy był na emeryturze, wspierał działalność opozycyjną w Polsce opowiada Eugeniusz Smolar. - Na emigracji powstał Apel na rzecz Polskich Robotników. Pomagał KOR-owi. Wytworzyła się ciekawa sytuacja, kiedy w Polsce zaczął działać Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Żenczykowski potraktował ROPCiO nieufnie, jako rozbijanie wspólnego frontu. Uważał, że front KOR jest niepolityczny, przeciwstawiał się więc wspieraniu finansowemu ROPCiO, bo uważał,

że to organizacja konkurencyjna dla KOR. Bywał sarkastyczny wobec opozycyjności kościelnej, W komunizmie łatwo było zamówić mszę na rocznicę, trudniej realizować rozłożony na lata program społeczny, kulturalny, pomocy. Choć Żenczykowski jako historyk bywał romantykiem, nie odpowiadał mu KPN-owski romantyzm pozbawiony zaplecza społecznego. Wolał pozytywistyczną pracę KOR.

Był zwolennikiem Okrągłego Stołu. Pod koniec życia wsparł londyński komitet wyborczy Tadeusza Mazowieckiego. Od prezydenta Lecha Wałęsy dostał Order Orła Białego.

- Tadeusz nigdy nie pełnił żadnych rządowych funkcji na emigracji - opowiada Daromiła Żenczykowska. - Zawsze uważał, że ważniejszy jest kraj. I męża też bardziej ceniono w kraju niż na emigracji, która mu wiele razy dopiekła. Już w czterdziestym piątym do II Korpusu we Włoszech przyjechał jakiś kapitan z donosem, że Tadeusz jest

agentem Bieruta i ma ze swoją kochanką rozkładać obóz. Z kolei Stanisław Mackiewicz w piśmie „Lwów i Wilno” napisał o Tadeuszu, że w NiD działa mały Goebbels propagandy czy coś takiego. Tadeusz wytoczył mu proces o zniewagę i wygrał. W Polsce czytano książki Tadeusza, a w Londynie ludzie nieraz nawet nie wiedzieli, że pisał.

Włada Majewska przed wojną pracowała w Lwowskiej Fali, po wojnie w angielskiej sekcji RWE. Produkcowała audycje Żenczykowskiego, kiedy wrócił z Monachium do Londynu.

Skrypty miał wyliczone co do sekundy opowiada. Ważne sentencje zaznaczał na zielono. Miejsca, gdzie miał podnieść głos, zaznaczał czerwonym ołówkiem, a gdzie miał mówić spokojnie czarnym.

Był dziennikarzem, historykiem, politykiem, nie wyobrażam go sobie, jak idzie na szaniec i zabija gestapowca. Miał kulturę wrodzoną: szarmancki, całował panie w rękę, otwierał

drzwi, podsuwał krzesło. Inni, którzy tego się nauczyli, robią to z przesadą, on był naturalny. Staroświecki, z tradycją, dziś już nie ma takich.

W archiwum przekazanym Ossolineum znajduję jeszcze jeden list do Tadeusza Żenczykowskiego. Na początku lat 70. współpracownicy RWE ułożyli dla niego wierszyk:

Miło jest zawsze, gdy on zauważy, Komu w jakich majtkach do twarzy, A serca wszystkich kobiet porywa pozatem Krojem ubrania i pięknym krawatem. Więc w dniu imienin życzeń cała kupa: Zdrowia i by dziś smakowała zupa.

lipiec 1998

PIĄTA KOMENDA

W tej historii nie ma nic pewnego. Prawie każdy okazuje się kimś innym. Lis udaje tygrysa, a być może w rzeczywistości jest kameleonem.

Ludzie, którzy znają prawdę, nie żyją. Albo nie chcą mówić. Albo w ogóle nie ma już prawdy, stała się gąszczem pomówień, którego dziś nikt nie rozwikła.

Wielu bohaterom tej historii tworzono fałszywe życiorysy. W końcu pewnie sami w nie uwierzyli.

To historia największej prowokacji komunistycznego kontrwywiadu w Polsce.

We wrześniu 1945 r. powstało Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość, największe antykomunistyczne ugrupowanie w podziemnej Polsce. Wkrótce powołało swoje zagraniczne przedstawicielstwo zwane

Delegaturą WiN.

Do grudnia 1947 r. działały cztery kolejne zarządy, częściej zwane komendami WiN. Ich historia to dzieje setek aresztowań, dziesiątków wykonanych wyroków śmierci.

W 1950 r. przed sądem postawiono IV Komendę. Komendanta Łukasza Cieplińskiego skazano na pięciokrotną karę śmierci i 30 lat więzienia. Adama Lazarowicza, zastępcę komendanta, na czterokrotną karę śmierci i 33 lata więzienia.

Jednego dnia, 1 marca 1951 r., stracono na Mokotowie prawie całą IV Komendę WiN: siedem osób.

Ostatni żyjący członek IV Komendy WiN to Ludwik Kubik. Nie chce wracać do tamtych wydarzeń, mówi, że ciągle przeżywa śmierć kolegów.

Aresztowanych członków IV Komendy WiN jeszcze przesłuchiowano na Mokotowie, gdy w

1948 r. powstała V Komenda WiN. Była mistyfikacją. Stworzył ją III Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Celem tej prowokacji, zwanej grą „Cezary”, było ostateczne rozbitcie WiN w Polsce i infiltracja zagranicznej Delegatury WiN, a za jej pośrednictwem zachodnich wywiadów.

Była to największa prowokacja komunistycznego kontrwywiadu w Polsce. Według danych MBP kierowało nią 67 funkcjonariuszy UB. Według danych Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu po zakończeniu prowokacji „Cezary” aresztowano 139 WiN-owców, na więzienie skazano 55, na śmierć - 15. Dane są prawdopodobnie niepełne. Historycy sądzą, że represje mogły objąć ponad pół tysiąca osób.

Ostatni kurier

Adam siedział w Rawiczu, Strzelcach Opolskich, na koniec we Wronkach. W sumie czternaście lat, do tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątego siódmego roku.

Trzy razy zakładał głodówkę, miał bliznę po pobiciu na czole, opowiadał, jak wrzucali go nagiego do celi z zimną wodą, świecili po oczach lampami. Kazali mu się rozbierać, szufladą ściskali narządy.

Józefa Adamczyk nie kryje wzruszenia, gdy opowiada o Adamie Boryczce. Towarzyszyła mu przez ostatnie lata jego życia.

Adama Boryczkę aresztowano w 1954 r., zarzucono współpracę z Niemcami. Skazano na dożywocie.

Rzecz jasna prawdziwy powód uwięzienia był zupełnie inny.

Adam Boryczko, „cichociemny”, był szefem Kedywu okręgu Wilno AK, zastępcą dowódcy VI Brygady Wileńskiej. Po wojnie co dla tej historii najważniejsze był kilkakrotnie kurierem Delegatury WiN do kraju.

W 1967 r. Radę Państwa zasypały listy z

prośbą o uwolnienie Boryczki. Pod listami dziesiątki nazwisk i pseudonimów AK-owskich: „Wiking”, „Rojec”, „Warta”, „Kruk”, „Grzmot”, „Agaton”. Pisali też Antoni Pajdak, działacz PPS, były zastępca Delegata Rządu RP na Kraj, pisarze Melchior Wańkiewicz, Stanisław Strumph Wojtkiewicz, Jan Dobraczyński.

Wojciech Żukrowski oceniał: „Polskę Ludową stać na wielkoduszność, jest zbyt mocna, by musiała aż po zgon trzymać pod kluczem Boryczkę”.

W okolicach 1956 r. uwolniono większość osób niesłusznie skazanych. Boryczko był chyba ostatnim więźniem politycznym okresu stalinizmu. Czyżby wiedział coś, co należało długo trzymać w tajemnicy?

Koniec 1952 roku. Za kilka miesięcy umrze Stalin. W warszawskim Arsenale trwa wystawa „Oto Ameryka”.

Marek Hłasko w „Pięknych dwudziestoletnich”

wspomina:

„Nazbierano do cholery i trochę eksponatów: pistolety dla szpiegów, bomby napalmowe, komiksy zrobione z «Braci Karamazow» i trupy jakichś Murzynów. Skutki wystawy były straszliwe; godzinami czekało się w kolejce na wejście, gdyż ludzie chcieli zobaczyć cokolwiek amerykańskiego (...). Jest to miłość nieszczęśliwa; miłość bez cienia wzajemności; i już chyba ostatnia”.

Gdy ludzie zwiedzali wystawę „Oto Ameryka”, rozgrywał się ostatni wielki dramat powojennego podziemia.

28 grudnia 1952 r. Polska Agencja Prasowa doniosła o ujawnieniu się V Komendy WiN. J. J. Kowalski „Kos”, komendant WiN, i Stefan Sieńko „Wiktor”, jego zastępca, przekazali władzom bezpieczeństwa broń, radiostacje, szyfry oraz ponad milion dolarów. Dolary - zaznaczyła prasa - otrzymali od wywiadu USA.

Gazety podały treść oświadczenia „Kosa” i

„Wiktor”:

„Kierowaliśmy organizacją wtedy, kiedy na naszych oczach w Warszawie rosły nowe dzielnice mieszkaniowe, dziesiątki nowych fabryk, kiedy zaczęto wznosić Nową Hutę, kiedy odbudowywał się stary Gdańsk (...). Będziemy organizację stopniowo likwidowali”.

Po opublikowaniu oświadczenia o ujawnieniu się Komendy WiN Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zbadało nastroje społeczne. Według MBP „robotnicy kopalni” oceniali, że „Naród polski widzi swoje osiągnięcia, nawet małe dzieci rozmawiają o tym, jak było dawniej, a jak jest dzisiaj. Nasyłanie szpiegów przez imperializm amerykański z dnia na dzień ukraca się”.

MBP odnotowało także:

„Silne poruszenie wywołało «oświadczenie» wśród b. członków wrogich organizacji - AK, WiN, NSZ, UPA, w środowiskach klerykalnych, prywatnej inicjatywy itp. (...).

Najbardziej absorbowały te środowiska zagadnienia, czy kierownicy WiN-u zgłosili się dobrowolnie, czy i od kiedy byli agentami UB, dlaczego mając do dyspozycji milion dolarów nie uciekli za granicę, czy zostaną aresztowani, a nawet otruci".

Potwierdziły się obawy tych „środków”. Zaczęły się procesy. Wystawa „Oto Ameryka” wzbogaciła się o nowe eksponaty: hełmy, pasy z kieszonkami na pieniądze i rewolwery, ampułki z trucizną i tzw. beacon, czyli przyrząd do naprowadzania samolotów na miejsca zrzutów. Wyposażenie to odebrano Stefanowi Skrzyszowskiemu i Dionizemu Sosnowskiemu. Obaj uciekli z Polski, trafili do Delegatury WiN, zostali przeszkoleni na Zachodzie i zrzućeni do Polski z amerykańskiego samolotu.

W 1953 r. urządzono im pokazowy proces, nagłośniony jako ostateczna rozprawa z WiN-owskimi dywersantami. „Trybuna Ludu” piórem Zygmunta Broniarka pytała: „Kim są ci

podrzedni giermkowie amerykańskiego wywiadu?". I odpowiadała: „Szumowiny wywabiane na wierzch przez amerykańskie dolary”.

Skrzyszowskiego i Sosnowskiego skazano na trzykrotne kary śmierci. 15 maja 1953 r. wyroki wykonano. Nie przeszkodzi w tym fakt, że Skrzyszowski i Sosnowski w rzeczywistości byli nieświadomymi wysłannikami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Prasa wciąż nie donosiła o procesach dwóch osób: komendanta „Kosa” i jego zastępcy „Wiktora”. Archiwa sądowe również nie zawierają żadnych materiałów dotyczących ich spraw.

Po latach zaczęło wychodzić na jaw, że V Komenda WiN nie istniała.

„Kos” - J.J. Kowalski, czyli fikcyjny komendant FIKCYJNEJ komendy, był oficerem MBP. Nazwisko Kowalski jest prawdopodobnie również fikcyjne.

Jego zastępca „Wiktor” Stefan Sieńko to AUTENTYCZNY członek IV Komendy WiN, który zgodził się na współpracę z UB. Grę rozpoczęto od oszukania Adama Boryczki, kuriera Delegatury WiN do kraju, który spotkał się z Sieńką, wówczas już przedstawicielem fikcyjnego WiN. Trudno rozstrzygnąć, czy pierwszy raz spotkali się w grudniu 1947 r. czy w kwietniu 1948 r.

Gra skończyła się w grudniu 1952 r., kiedy w prasie ukazało się oświadczenie o „ujawnieniu” WiN.

Nieco ponad rok później, w 1954 r., Adam Boryczko, tym razem na własną rękę, bez wiedzy Delegatury, przyjechał do Polski. Chciał odbudowywać rozbite przez UB podziemie. Został aresztowany i skazany.

Adam Boryczko na pewno znał „Wiktora”, był też jedną z niewielu osób, które mogłyby rozpoznać „Kosa”. Czy dlatego trzymano go w więzieniu aż do 1967 r.?

Po zakończeniu gry J.J. Kowalski „Kos” i S. Sieńko „Wiktor” zmienili nazwiska.

Czy „Kos” i „Wiktor” żyją? Gdzie są dziś?

Gra „Cezary”

Czesław Naleziński, żołnierz WiN od początku, mówi:

- Nie wiem, kto był „Kosem”, ale Sieńkę znałem od przed wojny, razem chodziliśmy do szkoły. Całą okupację konspirowaliśmy razem.

Po wojnie byłem ścigany, wolałem się ukrywać, niż siedzieć w kiciu piętnaście lat. Nie dostałem wyroku żadnego, ujawniłem się dopiero w pięćdziesiątym czwartym roku. Ukrywałem się w całej Polsce, spałem po strychach, stodołach, po kupkach siana. Sieńko, kiedy rozmawialiśmy w czterdziestym siódmym, nawet się nie zaciekał, czy mam gdzie mieszkać, a ja żyłem we Wrocławiu na ulicy, bez grosza w kieszeni. A potem przekazał bezpieczeństwo milion dolarów.

Dziś najsprawiedliwsi są ci, którzy nie wiedzą, co to jest kryminał i bezpieka. Sieńko siedział, spalili mu chałupę w Błażowej podobno. Może go zmusili do kapowania. Ale z drugiej strony nie wyobrażam sobie, jak można było przez lata prowokować i nie dać znać, że jest się kapusiem. To jest draństwo i zbrodnia.

Zbrodniarzy stalinowskich ściga Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu - Instytut Pamięci Narodowej. W Warszawie zatrudnia mniej prokuratorów, niż ma liter w nazwie -dziesięciu.

Mieczysław Sosiński, naczelnik wydziału w Komisji, mówi, że w sprawie prowokacji „Cezary” wszczęto śledztwo. Naczelnikowi jest jednak przykro, niczego więcej nie mogą się dowiedzieć.

- Akta sprawy przekazał nam Urząd Ochrony Państwa, ale odtajnił je tylko na potrzeby śledztwa - mówi. - Nie możemy ich nikomu udostępniać.

Komisja nie może zdradzić nowych nazwisk „Wiktora” i „Kosa”.

Akta sprawy „Cezary” widziałem w połowie lat osiemdziesiątych opowiada Henryk Piecuch, autor książki „Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą”. Odtajnił je Władysław Pożoga. Przy mnie łamał pieczęcie na kopertach z aktami.

Wiedza generała robiła wrażenie; opowiadał: „Delegatura WiN, naciskana przez wywiady anglosaskie, zażądała od WiN dostarczenia namacalnych dowodów siły, jaką reprezentuje. Przeprowadziliśmy swoistą demonstrację naszej potęgi. Wybrano obszerną polanę w dużym kompleksie leśnym województwa białostockiego, przygotowano aktorów - kilka kompanii KBW i powiadomiono Delegaturę, że oczekujemy jej wysłanników, by przyjęli defiladę naszych winowskich pododdziałów. Zabawa była pierwszorzędna. Chłopcy maszerowali przed zdumionymi wysłannikami Zachodu nie znajdującymi słów uznania dla

wyszkolenia i prezencji naszych oddziałów".

Dzwonię do generała Władysława Pożogi, wiceministra spraw wewnętrznych (IX 1980 r. - X 1989 r.), szefa wywiadu i kontrwywiadu.

- Panie generale, chciałbym pomówić o operacji „Cezary”.

- Ja się już wyłączyłem. Skąd pan wie o operacji?

- Z książki.

Wiele się zmieniło, ja się wyłączyłem.

- Dlaczego? Kto był „Kosem”?

Nie ma odpowiedzi. Dziś generałowi widocznie nie zależy już na rozgłosie. Chociaż w wywiadzie dla autora książki, opowiadając o operacji, używał zaimka „my”, w rzeczywistości operację znał z akt. Jego walka z WiN polegała na aresztowaniu we Wrocławiu WiN-owca, u którego w willi przyszły generał był sublokatozem.

- Za komunizmu odtajnili akta, a za demokracji znowu utajnili? -sugeruję Komisji Badania Zbrodni itd.

Naczelnik Mieczysław Sosiński obiecuje sprawdzić, czy nie dałoby się jednak udostępnić mi akt. Sprawdzi w katowickim oddziale Komisji, który prowadzi śledztwo.

Tymczasem piszę do szefa Urzędu Ochrony Państwa, by udostępnił mi dwa dokumenty: tajne „Opracowanie funkcjonariuszy Departamentu III dotyczące sprawy kryptonim «Cezary»" i równie tajną broszurę z 1972 r., sygnowaną inicjałami J.Ł. i M.S. „Z doświadczeń pracownika operacyjnego SB. Sprawa kryptonim «Cezary»”.

Generał Konrad Świetlik, wiceminister bezpieczeństwa publicznego (I 1949 r. XI 1954 r.), który mówił o grze „Cezary” na posiedzeniu tajnej partyjnej komisji w 1956 r., dziś milczy.

Nie chcę się spotykać, nie chcę rozmawiać,

bo nie mam zielonego pojęcia.

- Nadzorował pan III Departament?

Może i nadzorowałem, nie pamiętam. Ja mam dziewięćdziesiąt trzy lata, jestem po wylewie.

Pan referował sprawę „Cezary” przed komisją partyjną.

Operacja „Cezary”, nic, absolutnie nic. Nawet gdybym wiedział, tobym nie podjął się dociekać, bo nie jestem zdolny fizycznie.

- Kto był „Kosem”?

Nie ma odpowiedzi.

Grą „Cezary” zajmuje się katowicki oddział Komisji Badania Zbrodni itd.

Stefan Sieńko wysłał Komisji pisemną relację o swojej roli w grze. Komisja nie przesłuchała go, bo nie miała pieniędzy na podróż z Katowic na Rzeszowszczyznę.

Raport Komisji jako głównych podejrzanych

wymienia 11 osób. Pięć z nich nie żyje, o czym Komisja nie wie. Dwie (agenci Choma i Weber) ze sprawą nie mają nic wspólnego, brali udział w innej grze, tzw. Bergu. Jedna mieszka w USA, czego Komisja też nie wie.

To dotychczasowe efekty rocznej pracy Komisji Badania Zbrodni itd. nad historią V Komendy WiN.

Komisja nie dysponuje opracowaniem „Cezary”.

Ponad trzy tygodnie czekałem na odpowiedź z Urzędu Ochrony Państwa, czy uzyskam oficjalny dostęp do opracowań o grze „Cezary”. UOP się nie odezwał. Jedno z tajnych opracowań wydobyłem więc od Henryka Piecucha, który chce je opublikować w aneksie do swojej książki „Gry wywiadów”.

Dokument nazywa się „Opracowanie funkcjonariuszy Departamentu III dotyczące sprawy kryptonim «Cezary»”. Choć ściśle tajny, nie jest suchą relacją o faktach. Zawiera

zdania typu „antypolskie knowania wywiadu amerykańskiego”. O Józefie Maciołku, szefie Delegatury WiN, pisze się: „Dla mentalności tego imperialistycznego agenta i awanturnika” charakterystyczne było to, że chciał „utrzymać się za wszelką cenę jako wpływowa osoba przy żłobie amerykańskim”.

Według „Opracowania...” MBP wybrało Sieńkę na agenta przede wszystkim ze względu na jego bliską znajomość z Józefem Maciołkiem, szefem Delegatury WiN. Maciołek i Sieńko pochodzili z tej samej części

Rzeszowszczyzny. Sieńko był od 1942 r. pod bezpośrednią komendą Maciołka. W IV Komendzie WiN kierował „Biurem Studiów”, opracowującym materiały wywiadowcze. I utrzymywał kontakt ze „skrzynkami” (Jelenia Góra i Prudnik), do których miała trafić informacja o terminie przybycia Adama Boryczki, kuriera Delegatury.

W dokumencie nie ma nazwisk oficerów MBP, nie sposób więc ustalić, kto był „Kosem”.

Dzięki prowokacji MBP przechwytywało oddziały WiN. Najpoważniejszą akcją było aresztowanie „Huzara”, działającego na Białostoc-czyźnie.

W sierpniu 1951 r. informator UB uzyskał kontakt z osobą udzielającą pomocy winowskiemu oddziałowi „Głuszca”. Po kilku tygodniach udało mu się dotrzeć do samego „Głuszca”, któremu przedstawił się jako wysłannik dywersyjnej organizacji. zaproponował, aby „Głuszc” jej się podporządkował. Do gry wprowadzono agenta UB, który występował jako zwierzchnik informatora. Agent na spotkaniu z „Głuszcem” zażądał kontaktu z „Huzarem” i - dla uwiarygodnienia - przekazania spisu agentów UB.

Kolejne spotkania, kolejni agenci. „Huzar” powoli nabiera zaufania, oddelegowuje do kontaktów własną łączniczkę, która jeździ do Warszawy na spotkania z agentem UB, nieświadoma, z kim się widuje.

„Chodziło o to - napisano w „Opracowaniu...” - by «Huzar» oswoił się z myślą, że można do Warszawy jechać i się z Warszawy wraca”. MBP w imieniu WiN mianowało „Huzara” dowódcą okręgu i wysłało do niego na inspekcję komendanta obszaru.

„Komendanta wyuczono roli - relacjonuje „Opracowanie...”. -Przygotowanie spotkania było tak dalece przemyślane i w takich szczegółach opracowane, że przewidzieliśmy moment spotkania i poleciliśmy agentowi nie podawać «Huzarowi» ręki, póki ten nie złoży mu raportu.

Po tym spotkaniu agent powiedział nam, że ten szczegół bodajże zadecydował o przebiegu rozmowy. Gdy przyszedł, «Huzar» szedł naprzeciw z otwartymi ramionami. On przyjął pozycję zasadniczą i powiedział: Panie komendancie, czekam meldunku. «Huzar» speszył się, ale natychmiast stuknął obcasami i zameldował. Wtedy serdecznie i po staropolsku się przywitali, po czym usiedli do

stołu. «Huzar» przez cały czas kilkugodzinnej rozmowy był pełen szacunku dla swego gościa, a już zupełnie go sobie agent kupił, gdy przy kolacji niby niechcący odśłaniał pewne tajemnice swej kariery wojskowej, opowiadając o legionach, o 1920 r., sypiąc dowcipem wojskowym, a szczególnie kawaleryjskim («Huzar» służył w kawalerii)".

Po roku gry udało się „Huzara" i jego głównych żołnierzy ściągnąć do Warszawy. „Huzar" kilka miesięcy mieszkał w Warszawie pod kontrolą MBP. Tymczasem jego łączniczka wciąż jeździła w teren, informując, że dowódca miewa się dobrze.

Wreszcie „Huzara" aresztowano. Łączniczkę, która nie miała nic wspólnego z MBP, pozostawiono na wolności.

„Mając na względzie dalszą konspirację metody rozpracowania - napisano w „Opracowaniu..." - nie aresztowaliśmy łączniczki, którą pokazaliśmy ławie oskarżonych wśród publiczności na sali

sądowej. «Huzar», kiedy zobaczył ją, powiedział: Teraz wszystko rozumiem, u mnie takiego ładnego palta nie miała".

„Opracowanie...” milczy o prawdopodobnej próbie werbunku więzionego na Mokotowie generała „Nila”, która się MBP nie powiodła.

Generał August Emil Fieldorf „Nil” był w czasie wojny komendantem Kedywu Komendy Głównej AK. Sprawę przeciwko niemu prowadził III Departament. Fieldorf byłby znakomitym kandydatem na ewentualnego szefa V Komendy WiN. Mógłby zastąpić „Kosa”, oficera MBP o nieustalonej tożsamości.

W Warszawie Główna Komisja Badania itd. zajmuje się sprawą osób, które przygotowywały proces przeciwko generałowi „Nilowi”. Jej pracownik Mieczysław Sosiński, który w sprawie „Cezary” skierował mnie do Katowic, mówi:

Z akt nie wynika, że „Nila” usiłowano

zwerbować. Agenci UB też temu zaprzeczają.

Maria Fieldorf, siostrzenica generała, wraz z mężem Leszkiem Zachutą autorka biografii „Generał Nil”, tłumaczy:

Nic o tym nie wiem. Żadne źródła nie wspominają, żeby stryj był w WiN.

Delegatura WiN musiała być jednak przekonana, że generał Fieldorf stoi na czele Wydziału Wojskowego V Komendy WiN. Józef Maciołek, szef Delegatury WiN, pisał w 1953 r. w sprawozdaniu dotyczącym infiltracji V Komendy WiN:

„Najgroźniejsze uderzenie nastąpiło w październiku 50 r.; wpadło wtenczas z kadry 100 ludzi. Między innymi został aresztowany «Nil» z Wydz. Wojsk.; miał ten pseudonim w AK”.

Wytłumaczenie wydaje się jedno: MBP dezinformowało Delegaturę o pracy „Nila” w Wydziale Wojskowym WiN.

W przygotowywanej do druku książce Henryka Piecucha „Gry wywiadów” pułkownik Julia Brystygierowa mówi:

„Sprawa z «Nilem» była nadzwyczaj delikatna. Chodziło o przeciągnięcie generała na naszą stronę lub, w ostateczności, zneutralizowanie go. Dawało mu to szansę przeżycia kosztem niewielkiego wyroku. Powiedziałam to w oczy Fieldorlowi, proponując mu równocześnie podpisanie ulotki, odezwy do swoich żołnierzy. Spotkałam się z kategoryczną odmową. Sprawę przejął III Departament (...). Fieldorf to był człowiek nie do złamania. Mimo to mógł żyć. Ale moi koledzy nie wytrzymali. Im się bardzo spieszyło. Chcieli wspaniale się rozwijającą grę uczynić jeszcze błyskotliwszą. Pragnęli zaszokować Delegaturę Fieldorfem (...). Zagrali z generałem w otwarte karty. Wiedzieli, że taki fachman jak «Nil» nie da się wykorzystać w ciemno. Do tej pory grali Sieńką, czyli «Wiktorem». Tym facetem trudno było zaimponować Amerykanom. A w nich celowano.

Gdy Fieldorf zdecydowanie odrzucił propozycję współpracy, sprawa stała się groźna dla bezpieczeństwa ludzi biorących udział w grze. W pewnym momencie «Nil» wiedział za dużo, aby żyć. Musiał umrzeć".

Maria Fieldorf i Leszek Zachuta w książce „Generał Nil" napisali: „W czasie widzenia w dniu 3 lutego 1953 r. generał wyjawiał żonie, co w jego przekonaniu było powodem skazania go na karę śmierci. «Czy wiesz, dlaczego mnie skazali? Bo odmówiłem współpracy z nimi»".

Generała „Nila" powieszono w lutym 1953 r., dwa miesiące po zakończeniu prowokacji „Cezary".

Specjalista wywiadu: Werbowanie „Nila" wydaje mi się mało prawdopodobne. Człowiek o takiej twarzy i kręgosłupie byłby niewygodny. MBP do końca nie miałoby pewności, czy nie robi ich w konia.

To, co MBP nie udało się z „Nilem”, powiodło się z księdzem Stanisławem Kluzem, którego wmanipulowano w prowokację „Cezary”. MBP w imieniu WiN wysłało księdza do Delegatury WiN.

Ksiądz Kluz należy do najbardziej znanych osób związanych z WiN. Napisał pierwszą, wydaną na Zachodzie, książkę o WiN.

Wydana w 1978 r. nosiła tytuł „WiN na szlaku AK”. Opisał w niej również dzieje prowokacji, jakiej uległ.

Delegatura WiN planowała, że w 1952 r. ksiądz zabierze łódź podwodna, która miała wpłynąć na jezioro Jamno koło Mielna. MBP zaś zamierzało po wpłynięciu łodzi zasypać wejście do kanału, aby uwięzić łódź. Wycofało się jednak z tych planów, być może z obawy, że taka akcja grozi konfliktem zbrojnym.

Postanowiło wysłać księdza pociągiem, na dokładkę w towarzystwie kobiety, którą miał przedstawiać jako narzeczoną.

Ksiądz napisał w swojej książce, że

propozycję wyjazdu złożyła mu łączniczka Sieński „Wiktor”. Ksiądz „Wiktorowi” ufał, znał go jeszcze z wojny.

Do płaszcza wszyto mu fałszywy paszport, marki, dolary, dokumenty drukowane na jedwabnym płótnie i szyfrowane na japońskiej bibule. Kiedy wszedł do pociągu, miał wrażenie, że w przedziale otaczają go ubecy. Wyszedł do toalety, materiały wypruł, podarł i spuścił wodę.

„Gdzie jest płócienko drukowane i papier japoński?” - brzmiało pierwsze pytanie na UB w Węglińcu, gdzie księdza aresztowano. Płaszcz pocięto. Płócienko i japońska bibuła groziły karą śmierci.

Ksiądz dostał dwanaście lat, zamienione potem na osiem.

Trzydzieści razy przenoszono go z celi do celi.

Późnym latem 1955 r. ksiądz zaryzykował na fali odwilży: zażądał ołówka i papieru. Napisał

do naczelnego prokuratora prośbę o natychmiastowe zwolnienie. „Uzasadniłem, że ponieważ przyczyną mojego aresztowania była prowokacja, ja jako sprowokowany powinienem być zwolniony, a prowokator powinien być ukarany. Po raz pierwszy dałem do zrozumienia władzom UB, że wiedziałem i wiem o prowokacji”.

Z „Opracowania...” wynika, że Stanisław Kluz był współpracownikiem UB. Ksiądz miał współpracować z Wojewódzkim Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu. Jednak potem kontakt z UB zerwał.

„Ksiądz K. od dawna już uchylał się od współpracy” napisano w „Opracowaniu...”. Jego autor opisuje historię księdza jako przykład niedbałej pracy funkcjonariuszy MBP. Twierdzi, że MBP w chwili przygotowywania jego wyjazdu do Delegatury nie wiedziało jeszcze, że współpracował on z UB. Ustalono to dopiero przed aresztowaniem księdza w Węglińcu.

Co jednak wynika z tego opracowania?

Dlaczego ksiądz poszedł na współpracę? Na czym ona polegała? Czy może z księdzem zwyczajnie rozmawiał pracownik UB, a później wciągnął na listę współpracowników?

Czy wreszcie ten fragment opracowania nie jest fałszywką?

Specjalista wywiadu: Nawet w tajnym opracowaniu mogły być zawarte dezinformacje. Mogły być dwie wersje opracowania „Cezary”. Jedna, prawdziwa, przeznaczona dla kilku osób i druga, częściowo fałszywa, napisana z myślą o „przecieku”. Czyli po to, aby trafiła na Zachód i jeszcze bardziej zagmatwała obraz operacji.

Szukam żyjących, którzy mogli uczestniczyć w prowokacji „Cezary”. Jan Ptasiński, wiceminister bezpieczeństwa publicznego (XII 1952 - XII 1954), twierdzi, że nie zna szczegółów operacji „Cezary”.

- Nie ciekawiły mnie losy WiN-owców - mówi. -
Interesowałem się tylko planem „Wulkan”.

W archiwach Delegatury WiN znajduje się
pudło z szyframi.

„Bzura” - bezpieczeństwo.

„Dyrekcja lasów” - Watykan.

„E” - źródło informacji udzielanych
nieświadomie.

„Kokos” - zrzut.

„Mrówki” - Delegatura WiN.

„Słonie” USA.

„Przyjaciele” - USA.

„Środki lecznicze” - pieniądze.

„Tan” dywersja.

„Mrówki” z wywiadem „Słoni” podpisały
umowę o pracy. Celem był „Tan”.

Historia planu „Wulkan” zaczęła się w listopadzie 1950 r., kiedy Józef Maciołek w imieniu Delegatury WiN podpisał umowę z „Eugeniuszem”, szefem wywiadu amerykańskiego na Europę. WiN zobowiązał się do zbierania informacji szpiegowskich, przygotowywania dywersji i sabotażu. Wywiad amerykański zobowiązał się finansować tę działalność i dostarczać sprzęt.

Do Polski z Delegatury popłynęły instrukcje, jakie materiały należy zbierać. Pytania były bardzo szczegółowe, np. o Ursus i FSO na Żeraniu:

„Czy fabryka została powiększona lub też zmieniona w jakikolwiek sposób w ciągu ostatniego roku? Czy jest ogrodzona? Czy jest bocznica kolejowa? Podać nazwisko dyrektora fabryki oraz nazwiska osób, które zajmują kluczowe stanowiska w tych fabrykach”.

Plan „Wulkan” trafił do Polski w 1951 r.

„Podstawą planu jest założenie pisała

Delegatura WiN że naród polski powinien wziąć udział w ogólnym wysiłku wolnych narodów w walce z komunizmem w czasie konfliktu".

Plan przewidywał w momencie wybuchu wojny dywersję na liniach komunikacyjnych w kraju, aby oderwać armię radziecką stacjonującą na Zachodzie od jej zaplecza na terytorium ZSRR. Dywersantami mieli być WiN-owcy, a w razie potrzeby oddziały amerykańskich komandosów zrzucać z samolotów. WiN w kraju powinien osiągnąć stan gotowości bojowej do czerwca 1952 r.

Józef Maciołek informował Amerykanów, że na razie należy finansować działalność 500 osób w kraju, a w sześć miesięcy po rozpoczęciu konfliktu zbrojnego WiN wystawi w Polsce stu tysięczną armię.

Prowokatorzy

Rok 1948. Jeśli wierzyć oficjalnej propagandzie, cały kraj żył powstaniem PZPR.

Jeśli wierzyć podziemi, wszyscy czekali na III wojnę światową.

Wtedy właśnie powstawała fikcyjna V Komenda WiN. Działała pięć lat. Dwa razy dłużej niż cztery poprzednie, autentyczne komendy.

Pięć lat MBP oszukiwało Delegaturę WiN, a za jej pośrednictwem Amerykanów! Jak to możliwe, że mało doświadczeni pracownicy komunistycznych służb specjalnych wywiedli w pole polskich oficerów i doświadczonych Amerykanów? Jedno jest pewne: oficerowie i współpracownicy MBP doskonale znali psychikę oficerów AK pracujących w Delegaturze WiN. Trzy główne postacie prowokacji: „Kos”, „Wiktor” i „Artur” byli wcześniej żołnierzami AK.

„Artur”, emisariusz WiN, przywiózł do Polski plan „Wulkan”. „Artur”, czyli Ryszard Czernik. Opisał to w książce „Sam wśród obcych”.

Ryszard Czernik (nazwisko fikcyjne) posiadał

wówczas dowód osobisty na nazwisko Marian Różyński.

Marian Różyński to też fikcja, stworzona dla Delegatury WiN.

Książka „Sam wśród obcych” podpisana jest nazwiskiem Marian Reniak. To pseudonim literacki.

Prawdziwe nazwisko tych wszystkich bohaterów prawdopodobnie brzmi: Marian Strużyński.

Był agentem MBP przynajmniej to jest w miarę pewne.

Szpieg Marian Reniak vel Strużyński vel Różyński vel Czernik zgadza się na spotkanie, oczywiście w kawiarni („Dochowałem się maleńkiej wnuczki, więc rozgardiasz w domu” - uzasadnia).

Ustalamy znaki rozpoznawcze. On:

- Ja mam charakterystyczny znak, opadającą

powiekę w prawym oku.

Marian Reniak jako szpieg MBP podający się za kuriera WiN trafił do Berlina Zachodniego. Przejęli go agenci CIA. Pierwszy posiłek z agentami opisał tak:

„Amerykanie popijali mięso mlekiem. Też gust. Poprosiłem o butelkę coca-coli. Tego jeszcze w życiu nie próbowałem. Żadna rewelacja, a tyle reklam wymalowanych co kilkanaście kilometrów przy autostradzie”.

„W dobre ręce oddałeś, najmito napisał o Józefie Maciołku, szefie Delegatury WiN - wasz plan «Wulkan». Chcielibyście cudzymi rękami wysadzać polskie mosty, niszczyć obiekty kolejowe. Nie znajdziecie w Polsce tych rąk, wasz «Wulkan» nie wybuchnie”.

Podczas pierwszej rozmowy Marian Reniak mówi o książce:

- Oczywiście połowa to fikcja.

Marian Reniak, dla MBP „Karol”, dla

Delegatury „Artur”. Spotkanie ze szpiegiem. Kawiarnia, Marian Reniak siedzi w kącie, przodem do sali. Uśmiecha się często, ofiarowuje mi swoją książkę „Mitra” („walka wywiadów, intrygi i skrytobójstwa, piękne kobiety i romanse”). Dedykuje: „Z nadzieją na trochę wyrozumiałości”.

Czytałem inną dedykację szpiega. Kiedy Reniak wydał jedną ze swych książek, podarował zwierzchnikowi egzemplarz z dedykacją: „Nie potrafię wyrazić wzruszenia, jakie przeżywam przedstawiając Wam Towarzyszu Generale te wspomnienia. Praca pod Waszym kierownictwem w tamtym okresie zadecydowała o wyborze mojej drogi życia drogi do Partii”.

Marian Reniak mówi: Nie szkolono mnie na agenta. Byłem zdany na własny zmysł orientacji i na pętlę, która by mi się zacisnęła na gardle, gdybym się pomylił. Teraz pętlę oddaję w pana ręce.

Notuję, mam zajęte ręce. Nadal się pan czuje

komunistą? Nigdy nim nie byłem. Pracowałem dla komunistów, ale postawiłem warunek, że nie będę działał przeciwko ludziom, którzy byli ze mną w partyzantce. Wysłano mnie więc na rozpracowanie do oddziału, który mordował wszystkich, nawet AK-owców.

Marian Reniak urodził się w Sandomierzu. W rodzinie miał działacza PPS, endeka, profesora KUL. Jest wnukiem Andrzeja Struga, pisarza, socjalisty, Wielkiego Mistrza Łoży Narodowej, który w masonerii osiągnął najwyższy, 33. stopień wtajemniczenia.

Gdy wybuchła wojna, zgłosił się do wojska. Dali mi żołnierski płaszcz, ale broni nie było. W czterdziestym czwartym wstąpiłem do AK. Po wojnie wyjechałem z Krakowa na Śląsk, pracowałem w urzędzie repatriacyjnym jako inspektor osadnictwa. Jako AK-owiec ujawniłem się w czterdziestym siódmym, ukończyłem studia, Akademię Handlową. Znalazł mnie człowiek, zwerbował...

- Mieli coś na pana?
- Nie było żadnego przymusu.
- Jak to możliwe, że człowiek z AK staje się współpracownikiem UB?
- Wiąże się to z fragmentem życia, już po wojnie, który będzie puentą książki, którą piszę. Nie mogę więc zdradzić puenty.
- Kiedy była ta puenta?
- Na nielegalnym etacie byłem od czterdziestego ósmego. Moja rola w operacji „Cezary” zaczęła się w pięćdziesiątym. Od oficera MBP dostałem kontakt na Kraków, na osobę z WiN. Ta osoba dała mi warszawski adres ważnej osoby z WiN, która miała mnie skierować na poważną operację. Od osoby ważnej w WiN dostałem polecenie, żeby jechać jako emisariusz do Delegatury WiN. Dostałem instrukcje. Poszedłem do Leona Andrzejewskiego, który kierował III Departamentem MBP. On zmienił instrukcje,

tak żeby pasowały kontrwywiadowi.

Po latach dowiedziałem się, że tą ważną osobą z WiN był Henryk Wendrowski, też pracownik MBP. To logiczne. Gdybym wpadł, wiedząc, że to wszystko jest fikcją, tobym rozszyfrował całą operację. A tak przyznałbym, że jestem agentem, ale potwierdziłbym, że WiN rzeczywiście istnieje. Pracowałem w przekonaniu, że działam przeciwko amerykańskiemu wywiadowi.

Z „Opracowania...”: „Doskonały, sprawdzony i oddany agent «Karol» aż do likwidacji rozpracowania nie orientował się co do charakteru gry, mimo że był nawet emisariuszem WiN za granicą. Pracował on w przeświadczeniu, że jest agentem w autentycznym WiN-ie”.

- Co pan dziś myśli o swojej akcji?

- Wiedziałem, że zostaję przerzucony do organizacji zagranicznej kierowanej przez obcy Polsce wywiad. Gdyby mi dzisiaj

zaproprowowano pracę przeciwko ludziom, którzy w Polsce przygotowują cele dla rakiet, pomógłbym ich zwalczać.

Do tej pory nie udało mi się zdobyć tajnej broszury „Z doświadczeń pracownika operacyjnego SB. Sprawa kryptonim «Cezary»”.

- Mógłby mi pan ją pożyczyć? - zapytałem Reniaka.

- Nie mam jej - odpowiedział.

Postanowiłem blefować:

- Jak to? Przecież pan ją napisał?!

- No tak, napisałem - przyznał - ale mi jej nie dali, bo była tajna.

Drugie spotkanie ze szpiegiem. Dziś nie jest w formie, ciśnienie opadło: 90/50.

Jest po drugim zawale. Wydziela sobie papierosy, łamie na pół. Wylicza, że w czasie naszej dwugodzinnej rozmowy wypalił

tygodniową dawkę.

- Co pan robił po powrocie z Monachium w pięćdziesiątym pierwszym? - pytam.

- Dalej wykorzystywano mnie w operacji „Cezary”. Leon Szymański, oficer MBP, na konspiracyjnym mieszkaniu przekazywał mi materiały, a ja je dawałem Sieńce „Wiktorowi”. Nie wiedziałem, że Sieńko współpracuje.

Potem, na polecenie rezydentury amerykańskiego wywiadu, przekazane przez Delegaturę WiN, miałem budować kanał do przerzucania kurierów z Polski do Związku Radzieckiego. Dostałem kontakty na WiN-owców w Hajnówce, w Bielsku. Kiedy zbudowałem kanał, okazało się, że ci wszyscy ludzie byli już wcześniej współpracownikami UB.

- Co pan wie o Stefanie Skrzyszowskim i Dionizym Sosnowskim?

(Czyli o skoczkach z amerykańskiego

samolotu, których po zakończeniu prowokacji skazano na śmierć. Ich wyposażeniem wzbogacono wystawę „Oto Ameryka”).

Kiedy ich przerzucono, składali mi sprawozdania. Rozmawialiśmy na zakonspirowanym mieszkaniu na ulicy Kopińskiej w Warszawie. Wybrano mnie do tych kontaktów, żeby ich utwierdzić, że trafili w dobre ręce. Oni mnie poznali na kursie dywersyjnym w Heidelbergu. W Warszawie opowiadali o programie kursu, myśleli, że ja to przekazuję kierownictwu WiN. A ja pisałem sprawozdania dla MBP.

- Kto był „Kosem”?

- Nie wiem. Mówiło się o jakimś starszym panu, łysawym.

Reniak wie jednak, że w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego

były dwie osoby, które odegrały najważniejszą rolę w grze: Leon Andrzejewski i Henryk

Wendrowski.

Po latach los ich rozdzielił: Andrzejewski prowadził kiosk „Ruchu”, Wendrowski został ambasadorem.

Leon Andrzejewski nie żyje. O Henryku Wendrowskim mówiło się później, że to ten, który kilka razy wcielał się w postać „Kosa”.

Stefan Sieńko - „Wiktor” - główny prowokator w WiN, później został dziennikarzem. Starzy WiN-owcy znają jego nowe nazwisko. Pozostańmy przy dawnym, nowego postanowiłem nie ujawniać.

Telefon do Sieńki. Czy człowiek, którego WiN-owcy nazywają „arcy-zbrodniarzem”, zechce rozmawiać?

Stefan Sieńko mówi:

- Dobrze, spotkajmy się. Porozmawiamy, żeby pan coś zrozumiał. Nie chcę rozpętywać kolejnej wojny. Nie powiem nic złego o swoich towarzyszach walki.

Nie rozumiem, pytam: O kim pan mówi? O UB-ekach?

Sieńko odpowiada:

- O towarzyszach z WiN oczywiście.

Stefan Sieńko „Wiktor” do tej pory nic opowiadał o grze „Cezary” żadnemu historykowi ani dziennikarzowi.

Sieńce wyraźnie zależy, aby się nie zdekonspirować wśród ludzi, wśród których teraz żyje. Kilka razy powtarza, który guzik domofonu mam nacisnąć, jakby bał się, że trafię do sąsiadów i będę szukał człowieka o innym nazwisku niż to, które teraz nosi.

WiN-owcy mają do pana pretensje już nie o to zaczynam że pan poszedł na współpracę, ale że przez pięć lat nie potrafił przekazać Delegaturze WiN ostrzeżenia o grze.

- Kiedy Józef Maciołek w czterdziestym szóstym wyjeżdżał z Krakowa na Zachód,

umówiliśmy się, że jak coś będzie się działo, posłużę się haselkiem związanym z handlowymi zamiłowaniem jego brata: „Wincenty kupił drugi sklep”. Kiedy pierwszy raz podejmowałem Adama Boryczkę w kwietniu czterdziestego ósmego, rozmawialiśmy też o prywatnych sprawach, o rodzinie Maciołka. Powiedziałem Boryczce: „Brat podobno kupił drugi sklep”. Nie mogłem mówić „klerem”, czyli otwartym tekstem. Musiałem użyć słowa „podobno”, bo był podsłuch, bezpieczeństwo mogło sprawdzić i zacząć podejrzewać.

To jedno zdanie „brat podobno kupił drugi sklep” ma być według Sieńki wytłumaczeniem jego pięcioletniego udziału w prowokacji. Nie sposób nawet sprawdzić, czy Sieńko je rzeczywiście wówczas wypowiedział. Adam Boryczko nie żyje.

Rozmawiamy delikatnie, unikamy dosłowności. Nie padają słowa „współpracownik”, „konfident”.

- Dlaczego pan się zgodził?

- Aresztowano mnie w grudniu czterdziestego siódmego w Katowicach, nazajutrz rano przewieziono samolotem do Warszawy.

Trafiłem na Koszykową, przesłuchiwał mnie pułkownik Ta taj. Nie stawałem okoniem.

Byłem otwarty, myślałem, że i tak dostanę w czapę. Bicia, straszenia nie było.

W „Opracowaniu...” zanotowano:

„Wybór kandydata na agenta był uzasadniony również tym, że w śledztwie od pierwszej chwili, od momentu aresztowania zachowywał się on w pełni lojalnie, dokładał nawet starań, by ułatwić śledztwu zadanie, nie starał się niczego ukryć ze swojej działalności, podawał wszystkie znane mu szczegóły działalności WiN-u, nie uchylał się od żadnych stawianych mu pytań, nawet gdy dotyczyły one ludzi mu najbliższych i członków rodziny”.

Stefan Sieńko:

Rozmawialiśmy o ujawnianiu AK-owców. Śmiali się, że żaden AK-owiec nie oddaje całej broni. I rzeczywiście. Ja na amnestii w czterdziestym siódmym ujawniłem się z kalibrem sześć, a w lesie miałem magazyn broni.

Czułem, że podziemie nie ma już sensu.

Najważniejsze jednak było to, że w IV Komendzie miałem dostęp do szpiegowskich materiałów „Sondy”. To był ktoś z KC, a przynajmniej z KW w Katowicach.

Przekazywał nam informacje. Z tych informacji wynikało, że cały WiN jest już rozpracowany. Jedynym sensownym rozwiązaniem było więc ujawnić się. Uznałem, że z bezpieczeństwem jest mi po drodze. Mieliśmy wspólny cel: ujawnić WiN i zablokować zagraniczną penetrację.

Wartość materiałów z „Sondy” jest trudna do zweryfikowania. Część z nich, tę, która dotarła na Zachód, oglądał krakowski historyk Janusz Kurtyka. Twierdzi, że nie było tam żadnych

rewelacji o WiN, raczej materiały polityczne.

Sieńko:

- Trzymali mnie na Mokotowie, kilka miesięcy dojrzewały we mnie różne myśli. W marcu czterdziestego ósmego przewieźli do tajnej willi. Tam Andrzejewski przygotowywał moje pierwsze spotkanie z Adamem Boryczką. Zgodziłem się na zranienie nożem nogi, żeby wyglądało na postrzał przy ucieczce z więzienia.

Chronologia „dojrzewania” mi się nie zgadza. Według materiałów Delegatury Sieńko spotkał się z Boryczką pierwszy raz w grudniu 1947 r., zaledwie kilka dni po aresztowaniu.

- Kiedy spalili panu dom? - pytam.

- To już było między moimi spotkaniami z Boryczką. Pożar wybuchł w nocy poprzedzającej Boże Ciało w czterdziestym ósmym. To na pewno było podpalenie. Mój brat przyrodni, półtora roku miał, poparzył się.

Kilka dni później zmarł w szpitalu, mam zdjęcie w trumience. To najmłodsza ofiara wojny domowej. Dom mogła spalić Warszawa, żeby mi wybić z głowy jakąkolwiek niesubordynację. Mógł to być też odwet ze strony jakiejś grupy podziemia. Był straszny mord na AK-owcu, córka zamordowanego różnych podejrzewała. Ja z tym nie miałem nic wspólnego, ale mnie też mogli podejrzewać. Mógł się mścić Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa w Rzeszowie, który znał moje grzechy. Jako jedyny w tej okolicy miałem starcie z NKWD. Szedłem na spotkanie z naszym dowódcą obwodu, a nagle pojawia się ich dwóch. *Ru ki w wierch*, pepesza wycelowana w mój brzuch. Obmacują, w kieszeni wyczuli granat...

Kiedy rozmawiam z Sieńką, mam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Używa takich samych argumentów jak w oświadczeniu o „ujawnieniu” WiN. „Odbudowa”, „awans społeczny”, „Nowa Huta”.

Drugie spotkanie z Sieńką.

- Czy pan spotkał Stefana Skrzyszowskiego i Dionizego Sosnowskiego, skoczków, których skazano na śmierć?

- Tylko raz, odprawiałem ich za granicę. Powiedziano mi, że są w jakiejś podziemnej organizacji i chcą uciekać na Zachód. Nie przypuszczałem, że wrócą i zginą. Myślałem, że uda im się zostać. Odprawiałem przecież też innych kurierów, którzy zostawali na Zachodzie.

- Pan wiedział, co robiła bezpieka. Nie przeszkadzało to panu?

- Leon Andrzejewski to była inna klasa, to był człowiek komputer. Codziennie spotykałem się z Andrzejewskim na konspiracyjnym mieszkaniu. Nabrałem do niego zaufania, bardzo mi pomógł, kiedy chorowałem. A przecież mogli wówczas pomóc mi zniknąć.

- Nie czuje się pan odpowiedzialny za

aresztowania i śmierć wielu ludzi? Sosnowski zginął, gdy miał dwadzieścia trzy lata...

- Rachunek zysków i strat uważam za korzystny. O „ujawnieniu” dowiedziałem się z radia. Do dziś nie rozumiem aresztowań ludzi, którzy uczestniczyli w grze. Podejrzewam, że była to decyzja z zewnątrz. Andrzejewski po zakończeniu gry załatwił mi pracę, skończyłem polonistykę. Za okres pracy dla MBP nie dostaję emerytury.

- W postać „Kosa” podobno wcielał się Wendrowski.

- Mógł nim być, każdy w zależności od sytuacji grał inną rolę. Ja Wendrowskiego kojarzę z rolą „Zygmunta”, towarzyszył mi przy spotkaniach z Boryczką.

Kto dla pana był „Kosem”?

Starszy pan, miał już wtedy sześćdziesiąt parę lat, piegowatą twarz. Dwukrotnie miałem kontakt na „Kosa”, przypuszczałem, że jest

autentycznym WiN-owcem. On mi wydawał zlecenia. Raz pokazano go Adamowi Boryczce. Potem słyszałem, że to był ktoś z II Komendy WiN albo emerytowany oficer MBP. Później często spotykałem go na Nowym Świecie. Szedł, jakby mnie nie znał.

Telefon do Henryka Wendrowskiego, najważniejszego spośród żyjących organizatorów operacji „Cezary”. Odbiera żona. Waha się, czy poprosić. Mówi, że mąż jest chory, leży.

Urodzony 101 1916 r. Pochodzenie robotnicze, narodowość polska, wykształcenie wyższe. PPR-PZPR.

We wrześniu 1945 r. zaczął pracę jako starszy referent powiatowego UB w Olecku. W sierpniu 1946 r. awansował do Warszawy, do III Departamentu MBP. Prawdopodobnie jako konfident przeniknął do NSZ-owskiego oddziału „Bartka”. Finałem tej operacji było zaginięcie bez śladu ponad stu żołnierzy NSZ. W marcu 1947 r. został kierownikiem sekcji w

III Departamencie. Od lutego 1950 r., kiedy operacja „Cezary” rozwijała się błyskawicznie, Wendrowski znalazł się w „stanie nieczynnym do odwołania”. Może to oznaczać, że żył jak konspirator-członek WiN. W grudniu 1953 r., po zakończeniu operacji „Cezary”, awansował na naczelnika wydziału w III Departamencie. Po rozwiązaniu MBP został naczelnikiem wydziału w MSW. Od maja 1962 do zwolnienia w 1968 r. z MSW w dyspozycji dyrektora Departamentu I. W tym czasie był wicedyrektorem departamentu konsularnego w MSZ, później (1965-66) szefem misji wojskowej w Wietnamie w randze ambasadora. W 1968 r. został ambasadorem w Danii, w 1979 r. w Islandii. Od 1981 r. na emeryturze.

Podobno to kulturalny pan, który włada kilkoma językami, w domu ma mnóstwo książek, a na ścianie grafikę Norwida.

Prawdopodobnie to człowiek, który bywał „Kosem”.

W rolę „Kosa” prawdopodobnie wcielało się również kilku innych funkcjonariuszy MBP. A może „Kosem” był ktoś z WiN?

Żona Wendrowskiego po długim namyśle prosi go do słuchawki.

- Chciałbym porozmawiać o operacji „Cezary”
- mówię.

- Spóźnił się pan. Czekam na operację, ale nerek. Miałem już operowany pęcherz. Nie wiem, czy przeżyję. To bardzo poważna operacja.

Kroków siedem do końca

Kilka tygodni później napisał do mnie nieznamy człowiek, Jan Szymański. Pisał, aby poinformować, że jego ojciec Zdzisław był prowokatorem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Jan Szymański ostatnio zakładał w Łodzi szkolne koła Earthaction Network, Akcji Ziemia, międzynarodowej organizacji

zajmującej się ekologią, prawami człowieka i wyższą technologią.

„Jak Pan się może domyślić pisał interesuje mnie przyszłość i z wielką niechęcią wracam do przeszłości. Musiałem pokonać wewnętrzny opór, aby napisać ten list dla spokoju sumienia”.

Jan Szymański powiadomił mnie, że jego ojciec WiN-owiec także zgodził się na współpracę. Miał odegrać rolę podobną jak Stefan Sieńko, główny prowokator w V Komendzie, WiN-owiec, który po aresztowaniu zgodził się na współpracę z UB. Ojciec Jana Szymańskiego w przeciwieństwie do Sieńki od razu zaczął jednak ostrzegać swoich kolegów, że jest konfidentem.

Zdzisław Szymański zmarł miesiąc przed podpisaniem porozumień sierpniowych w 1980 r. Cenzura wykreśliła wtedy z nekrologu informacje o jego funkcjach w AK i pobycie w więzieniu.

Ród Szymańskich od początku otaczała tajemnica. Do dziś nie wiedzą, kim są. Po powstaniu listopadowym ich przodek uciekł z zaboru rosyjskiego do Galicji. Zmienił nazwisko, a dawnego nigdy dzieciom nie zdradził. Przed śmiercią przepowiedział: Polska odzyska niepodległość w piątym pokoleniu Szymańskich, gdy na Wschodzie zabłyśnie czerwony piołun, na Zachodzie zapanuje zaraza, której nikt nie opanuje, a z Krakowa wyjdzie król, któremu pokłoni się cały świat.

Janowi, który jest piątym pokoleniem, wszystko się zgadza. Z Krakowa wyszedł Papież, na Zachodzie panuje AIDS, a w Rosji wybuchł

Czarnobyl, którego nazwa wywodzi się od czerwonego piołunu, trawy rosnącej w tamtej okolicy.

Ale jego ojcu Zdzisławowi, urodzonemu na 21 lat przed odzyskaniem niepodległości - choć był czwartym pokoleniem, też wszystko się

zgodziło: już w 1918 r. Z Krakowa wyszedł Piłsudski, którego szanował świat, w Rosji wybuchła czerwona rewolucja, a na Zachodzie zapanowała epidemia hiszpanki.

Zdzisław w wieku 16 lat zaciągnął się do 2. Brygady Legionów. Potem został prawnikiem. Jako wicedyrektor Państwowego Urzędu Kontroli Ubezpieczeń nadzorował prywatne firmy ubezpieczeniowe. Pewnego dnia przyszedli do niego koledzy z Legionów, powiedzieli, że trzeba pomóc ojczyźnie.

Ojciec zaczął pomagać: dostarczał informacje „dwójce”, przedwojennemu wojskowemu kontrwywiadowi. Informował o niewielkich prywatnych firmach ubezpieczeniowych, z których wiele było przykrywkami dla niemieckiego i komunistycznego wywiadu.

Z powodu współpracy z „dwójką” zaraz po wybuchu wojny zaczęli go szukać Niemcy. Ukrył się na Rzeszowszczyźnie, udawał rolnika. Trafił do AK, która załatwiła mu jako

przykrywkę pracę inspektora ubezpieczeniowego w Rzeszowie. Codziennie z Tyczyna, w którym mieszkał, chodził 10 km do Rzeszowa i z powrotem.

Tymczasem syn Jan koniecznie chciał walczyć. Z kolegami urządzał wojskowe ćwiczenia. Zdobyli nawet pistolet bez amunicji. Gdy ojciec się dowiedział, dla bezpieczeństwa zaprzysiął trzynastoletniego Jana jako AK-owca.

Ojciec prowadził niebezpieczną robotę. Zajmował się kontrwywiadem. Spotykał się ze swym zwierzchnikiem, zakonspirowanym jako folksdojcz. Kiedy powstała PPR, znalazł w niej informatora, sekretarza komitetu okręgowego. Ani wtedy, ani później Zdzisław nie chciał jednak mówić o szczegółach.

Syn pamięta:

Przychodzili do ojca różni ludzie z organizacji, siadali w pokoju. Dla pewności, że nikt nie podsłucha, rozmawiali przez metalową rurę.

Jeden koniec rury przykładali do ust, drugi do ucha.

Po wojnie Zdzisław Szymański, doktor praw, wykładał na uniwersytetach Jagiellońskim i Łódzkim. Opublikował pionierską pracę „Ubezpieczenie od kradzieży z włamaniem oraz ubezpieczenie szyb”.

I nadal konspirował. W WiN zajął się wywiadem gospodarczym. Zbierał informacje o wywożeniu przez Rosjan z Polski fabryk, torów kolejowych, przewodów elektrycznych. Miał swoje wtyczki w Komitecie Centralnym PPR.

Wyjechał do Szwajcarii na konferencję prawniczą. Wywiad brytyjski zaproponował mu współpracę, ale odmówił. Wrócił w marcu 1948 r., a miesiąc później zniknął z domu na całą noc.

Wrócił rano zmięty, jakby go tramwaj przejechał - mówi syn.

Okazało się, że poprzedniego dnia, gdy ojciec wracał po egzaminowaniu studentów, złapało go na ulicy dwóch cywilów. Wsadzili go do samochodu bez numerów rejestracyjnych i zawieźli do tajnej willi. Posadzili za biurkiem. Dali do czytania grubą teczkę.

Ojciec czytał. Materiały dotyczyły WiN. Informacje go przeraziły. Wyglądało na to, że WiN jest dokładnie rozpracowany.

Zdzisław pamiętał, jak kiedyś nie wszedł do mieszkania kontaktowego w Krakowie, bo naprzeciwko siedział żebrak, który wzbudził jego podejrzenia. O przebiegu tego spotkania dowiedział się teraz z materiałów UB.

Przeczytał, że koledzy śmiali się z niego, że przestraszył się żebraka. UB musiało więc mieć na spotkaniu wtyczkę albo podsłuch. A żebrak, jak się okazało, rzeczywiście obserwował wszystkich, którzy wchodzili.

Rozpracowanie było możliwe przez niechlujstwo konspiratorów -twierdzi Jan. Ojciec już w AK nie cierpiał podporuczników,

czyli rezerwistów po maturze, którzy stali się trzonem AK. Było w nich mnóstwo niepotrzebnej buty: chodzenie w oficerkach, akcje na własną rękę, wygadywanie się przed babami.

UB-ecy mamili ojca: „Pomoże pan, ułatwimy karierę uniwersytecką. Zrobimy pana rektorem, potem ministrem oświaty może”.

Ta historia była dotąd nieznaną. Akta sprawy Zdzisława Szymańskiego odtajniono dopiero w końcu ubiegłego roku.

Zdzisław zgodził się na współpracę. UB-ecy ostrzegali, że inaczej zabiją jego i syna. Opowiedział wszystko żonie. Powiedziała tylko, że skoro Rosjanie rozgrabili ich majątek, dzieciom mogą pozostać jedynie nazwisko. Takie, którego nie okryje niesława.

Ojciec ruszył w Polskę. Ostrzegał kolegów z WiN, że jest konfidentem.

UB-ecy kazali mu kontynuować działalność

WiN-owską, liczyli, że zgłosi się do niego ktoś ważny z organizacji. Zdzisław ostrzegł więc rodzinę, by nie wpuszczano do domu żadnej z osób znanych z konspiracji. Obawiał się wsypy.

Kiedy do domu przyszedł Stefan Sieńko, Zdzisław nie wytrzymał i ostrzegł go. Byli w AK i WiN na tym samym terenie, na Rzeszowszczyźnie. Sieńko był znany z brawury. Ojciec nie chciał, by wpadł w ręce bezpieki.

Tymczasem Sieńko już od kilku miesięcy donosił UB. Po spotkaniu ze Zdzisławem Szymańskim doniósł też na niego.

Na usprawiedliwienie Sieńki: mógł podejrzewać Zdzisława Szymańskiego, że ten jest prowokatorem, który sprawdza prowokatora.

Zdzisław Szymański zniknął z domu znowu w październiku 1948 r. w Łodzi, gdy wracał z uniwersytetu po egzaminach. Kilka dni później

jego zwierzchnik, profesor Tadeusz Kotarbiński, wystosował pismo do UB:

„Wobec tego, że dr Zdzisław Szymański nie powrócił do domu, zapytuję, czy władzom Wojewódzkim Bezpieczeństwa nie jest wiadome, co się z nim stać mogło”.

Sąd wojskowy „bez udziału obrońcy i prokuratora na rozprawie bez udziału publiczności” skazał w styczniu 1949 r. Zdzisława Szymańskiego na dwukrotną karę śmierci.

Punkt 4. wyroku uznał go za winnego tego, że „w pierwszej połowie czerwca 1948 r. będąc zobowiązany do współpracy z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego i zachowania tajemnicy oraz meldowania o wszelkich działaniach i osobach nielegalnej organizacji WiN, po skontaktowaniu się z członkiem nielegalnej organizacji WiN «Stefanem» nie zameldował o powyższym organom MBP, a tylko ostrzegł «Stefana», że jest na usługach MBP, przez co wprowadził w błąd powyższe

władze, wyrządzając szkodę interesom Państwa Polskiego".

Zdzisław siedział osiem lat. Przeważnie w pojedynczej celi, bez prawa czytania gazet, posiadania ołówka, papieru. Zaczął układać wiersze. Uczył się ich na pamięć. Powtarzał:

Jak ma rósć to, co nie żyje,
w głuszy śmierci dni tu bieżą.

Rośnie tylko to, co gnije,
w inne wzrosty tu nie wierzą.

Pisał w pamięci:

Wkoło ściana biała.

Kroków siedem do końca.

To ma przestrzeń cała,
przeźrenie snu bez słońca.

Syn Jan po latach opracował wiersze. Wyszło tego 150 stron. Ojciec nosił więc w pamięci

cztery i pół tysiąca wersów. Albo inaczej: około dwudziestu siedmiu tysięcy słów.

Gdy ojciec po kilku latach dostał papier, zaczął wiersze spisywać. Ze strażnikami też rozmawiał wierszem.

Władze więzienne pisały do niego prozą: „Odmowa zezwolenia na doręczenie witamin”, „Odmowa zezwolenia na pracę naukową”, „Odmowa zezwolenia na doręczenie flanelowego ocieplacza”, „Zezwolenie na doręczenie skarpet”.

Ponieważ pisał wiersze, wysłano go na badania psychiatryczne. Lekarze jednak nie dopatrzyli się choroby. Diagnoza brzmiała: symuluje chorobę psychiczną.

Kiedy ojciec zaczął wszystkich zawiadamiać, że jest konfidentem, UB-ecy musieli oszaleć - mówi syn. Żeby taki neurasteniczny, zamyślony intelektualista, gubiący przez roztargnienie parasole i kapelusze, zepsuł robotę asom kontrwywiadu!

UB-ecy obiecali ojcu karę śmierci i sąd rzeczywiście ją orzekł. Pozostawały starania o ułaskawienie. Rodzina знаła radzieckie przysłowie *blat wysze sownarkoma* (łapówka ważniejsza od władzy).

W Warszawie znaleźli adwokata, dawnego sędziego wojskowego, który wiedział, komu trzeba dać łapówkę.

- Skierował matkę do warszawskiej piekarni, w której zaopatrywała się sekretarka i kochanka Bieruta - opowiada syn Jan. - Sekretarka powiedziała matce, ile kosztuje dożywocie. Wyrok piętnastu lat kosztował dwa razy więcej. Rodzinnych oszczędności starczyło akurat na piętnaście lat.

Syn od końca wojny należał do WiN. Spotkał kolegę, który był w wojsku. Zamówił u niego materiały wybuchowe. Kolegę złapano, gdy zabierał materiały z jednostki.

Jan dostrzegł przed domem samochód bez numerów rejestracyjnych. Uciekł. Zaczął się

ukrywać. Chował się u chłopów, mieszkał w stajni, na strychu, w bunkrze.

Koło 1952 r. ojciec dostał zgodę na używanie materiałów piśmiennych. Mógł wysyłać listy.

Pisał do domu zawsze wierszem:

Rok za rokiem ulata, rok za rokiem ginie.

Zapominam o świecie, wrastam w mą pustynię.

Niebogata, jak wiecie, przestrzeń ma życiowa.

Mała izdebka jak klatka, w górze okno chowa.

Tymczasem prasa opublikowała oświadczenie z podpisem Stefana Sieńki, wedle którego WiN postanowił się ujawnić. Sieńko odbywał podróże na Rzeszowszczyznę, do rodzinnej wsi, by opowiadać, jak imperialiści chcieli bombardować polskie wioski. Przyjeżdżał w towarzystwie UB-eków.

Syn Jan wciąż się ukrywał. W stajniach, szopach, na strychach myślał o zmianach

globalnych.

- Interesowały mnie przemiany w społeczeństwie i w przyrodzie na całej planecie opowiada. To był ciekawy okres, myślałem o przyszłości. Przedwojenny świat już się kończył.

Przemyślał prawdopodobnie wiele: ukrywał się pięć lat. Ujawnił się w 1955 r., przesiedział rok w areszcie UB, uwolniła go „odwilż”.

Syn myślał nawet, żeby zabić Sieńkę. Człowieka, przez którego ojciec przesiedział w więzieniu osiem lat. Odkrył jego nowe nazwisko i w jakim piśmie jest dziennikarzem.

Syn zrezygnował. Został radcą prawnym, a w wolnych chwilach oddawał się rozmyślaniom o przyszłości.

Należę do dwóch związków kombatanckich, ale chodzę raz w roku zapłacić składki i uciekam, bo tam mówią tylko o przeszłości - mówi syn Jan.

Założył fundację dla ludzkiego przeżycia i odrodzenia. Wpisuje do komputera tłumaczenia angielskich raportów organizacji Akcja Ziemia. Potem je powieliła i rozdaje.

O proszę mówi. Niech pan zajrzy do raportów. Amerykańscy uczeni twierdzą, że w ciągu sześciuset milionów lat ginęło rocznie nie więcej niż dziesięć gatunków biologicznych, a od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku ginie codziennie jeden gatunek. To okropne!

Czytam. Raporty kończy apel: „Młodzi przyjaciele! Nie oglądajcie się na starsze pokolenie! Przyszłość należy do was”.

Spokojna jesień prowokatora

Trzy lata później odnalazłem w archiwum MSW dwa niepublikowane dotąd dokumenty pokazujące niezwykle koleje osób, które wplątano w prowokację V Komendy WiN. Oba przechowywane są w teczce o sygnaturze MBP 490.

Pierwszy nosi datę 4 czerwca 1953 r.

Sporządził go Stanisław Zarakowski, wówczas naczelny prokurator wojskowy. Dotyczy ostatnio aresztowanych i skazanych.

Zarakowski zauważa:

„Charakterystyczne jest dla wszystkich spraw, że przestępcza działalność oskarżonych zaczyna się w latach 1949 -1952, gdy kontaktują się oni z osobami z kierownictwa WiN”.

Pisze, że wcześniej, po wyzwoleniu, skazani nie działali w podziemiu. Wymienia kilka nazwisk: Franciszek Blok i Aleksander Gruba skazani na śmierć, Jan Kruk, Władysław Moykowski i Wilhelmina Targowska - na dożywocie.

Ich sprawy toczyły się osobno, ale w każdej przewijały się te same pseudonimy szefów WiN: „Tadeusz” i „Andrzej”. Prokuratura zaczęła badać związek między sprawami. Wtedy otrzymała informację z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, że skazanych

wplątano w operację MBP. Jak ich karać? - pytał Zarakowski. Wykonywali rozkazy „Tadeusza” i „Andrzeja”, a jak się okazało, pod oboma pseudonimami ukrywał się agent Stefan Sieńko.

Drugi niepublikowany dokument z archiwum MSW to pojedyncza kartka. Konstanty Rokossowski, wówczas marszałek Polski, wiceprezes Rady Ministrów i minister obrony narodowej, pisze do prezydenta Bolesława Bieruta. Przedstawia pismo Zarakowskiego i wyraża opinię: „Zdaniem moim zagadnienia poruszone w raporcie zasługują na uwagę i osobistego wglądu i dyrektyw Towarzysza Prezesa”.

Bolesław Bierut skreślił swoje uwagi na tej samej kartce czerwonym atramentem. Zaadresował je do wiceministrów bezpieczeństwa Konrada Świetlika i Romana Romkowskiego: „Sporządzona i zatwierdzona na areszt lista winna być utrzymana. Resztę aresztowanych ze śledztwa a nie

przewidzianych w liście zwolnić". Dalej nakazał dyrektorom Departamentu Śledczego i III MBP, aby zaproponowali „zgodnie z tą listą każdemu wyrok w granicach do 5 lat. Wyjątkowo gdy uzasadnione jest wyższy wyrok". Na koniec polecił: „Wszystkie dotychczas wydane wyroki nie zgodne z wnioskami odpowiednio zmniejszyć".

Z osób, między którymi krążyła wówczas ta korespondencja, żyją dzisiaj tylko Stanisław Zarakowski i Konrad Świetlik.

Zarakowski jest już zbyt stary i zbyt chory, żeby stanąć przed sądem.

Świetlik też jest stary i chory. Wymiar sprawiedliwości się nim nie interesuje. On sam milczy. Nie odpowiada na żadne pytania.

Stefan Sieńko był najważniejszym agentem w V Komendzie. MBP aresztowało go w 1947 r., kiedy wpadła cała IV Komenda WiN i jak sam twierdzi pozyskało wówczas do współpracy. Należał do Armii Krajowej od kiedy powstała.

Był więc wiarygodny. Ufał mu zagraniczny delegat WiN Józef Maciołek.

Sieńko twierdzi, że został agentem z powodów ideologicznych: uznał, że dalsze działanie podziemia antykomunistycznego nie ma sensu. Według Sieńki podziemie zaczynało służyć zachodnim wywiadam.

Według „Opracowania...” MBP wybrało Sieńkę na agenta przede wszystkim ze względu na jego bliską znajomość z Józefem Maciołkiem, szefem Delegatury WiN. Maciołek i Sieńko pochodzili z tej samej części

Rzeszowszczyzny. Sieńko był od 1942 r. pod bezpośrednią komendą Maciołka. WIV Komendzie WiN kierował „Biurem Studiów” opracowującym materiały wywiadowcze. I utrzymywał kontakt ze „skrzynkami” (Jelenia Góra i Prudnik), do których miała trafić informacja o terminie przybycia Adama Boryczki, kuriera Delegatury.

Sieńko spotykał się z kurierami

przyjeżdżającymi z Zachodu. Przekonywał ich o potędze WiN. W Polsce wydawał rozkazy ludziom, którzy byli pewni, że działają w autentycznym WiN-ie.

Byłem pierwszym dziennikarzem, któremu Sieńko trzy lata temu opowiadał swoją historię. Mówił chętnie, długo tłumaczył własny punkt widzenia. Potrafił wzbudzać zaufanie słuchacza. Właśnie tę jego zdolność odkryto i wykorzystano kilkadziesiąt lat wcześniej.

Sieńko tłumaczył:

- Zgodziłem się na współpracę, bo chciałem zakończyć działalność podziemia, które zaczynało pracować dla zachodnich wywiadów.

Twierdził jednak, że ostrzegł swoich kolegów. W rozmowie z przysłanym z Zachodu kurierem Adamem Boryczką miał powiedzieć, że „brat Józefa Maciołka podobno kupił drugi sklep”. Przekonywał mnie, że przed wyjazdem Maciołka uzgodnili to zdanie jako ostrzeżenie.

Adam Boryczko, jedyny, który mógłby potwierdzić, czy to zdanie w ogóle padło, nie żyje jednak od wielu lat. Józef Maciołek również dawno zmarł.

Kiedy Sieńko opowiadał mi o motywach swojego działania, wciąż podkreślał znaczenie wypowiedzianego zdania o bracie i sklepie. Miałem wrażenie, że traktuje je jak magiczne hasło, którym usiłuje zaczarować całą sytuację. Jakby uważał, że w momencie, kiedy je wypowiedział, zrzucił z siebie odpowiedzialność za los innych.

Miałem też wrażenie, że nie chce pamiętać nazwisk tych innych. Trzy lata temu niewiele mogłem mu „przypomnieć”. Miałem wówczas tylko kopie wyroków Stefana Skrzyszowskiego i Dionizego Sosnowskiego. Przerzuceni na Zachód, po przeszkoleniu w ośrodku dywersyjnym w Langen pod Erzhausen w Niemczech zostali z powrotem przerzuceni do Polski. Od razu złapało ich UB. Wykonano na nich wyroki śmierci.

Na przeszkolenie w Langen wysłał ich Sieńko. Nie czuł się odpowiedzialny za ich śmierć.

„Byłem pewny, że zostaną za granicą” - tłumaczył, jakby znowu przypominał: „Brat podobno kupił drugi sklep”.

Trzy lata po pierwszym spotkaniu chciałem znowu porozmawiać ze Stefanem Sieńką. Pokazać mu dokument odnaleziony w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i pomówić o losach pięciu ludzi, które odtworzyłem na podstawie akt sądowych.

Południe Polski, miejscowość B. Stefan Sieńko zmienił nazwisko pół wieku temu. Pozostawił jednak prawdziwe imiona rodziców. Jakby chciał zerwać tylko ze sobą.

Pokazuje miejsce, w którym w tamtych latach spłonął jego dom.

Stał frontem na północ - opowiada. - Z tyłu pozostał stary orzech.

Dom podpalamo pozostały ślady rozlanej ropy.

Sieńko pochyła się nad grządką buraków.

Zapytałem:

Czy mówią coś panu pseudonimy „Andrzej”, „Tadeusz”?

Bez chwili wahania odpowiedział:

Nie, nie znam ich...

Pan ich nie używał?

Nie, nigdy.

Ale tak wynika z dokumentu, który znalazłem w MSW.

Nie, nie nosiłem takich pseudonimów. „Tadeusz”... To mi się zaczyna z kimś kojarzyć. Był jakiś „Tadeusz” na południu kraju. Ktoś go widocznie podesał na kontakt, żeby markować na Rzeszowszczyźnie istnienie WiN.

- To może zna pan nazwisko Jan Kruk?

Gdzieś je słyszałem, ale nie kojarzę z osobą.

Akta mówią, że pseudonim „Tadeusz” oprócz Sieńki nosił również Jan Kruk. Działał na Rzeszowszczyźnie. Pisał raporty szpiegowskie.

Jan Kruk walczył w wojnie roku 1920. Potem dostał 12 hektarów ziemi, które puścił w dzierżawę, a sam został urzędnikiem pocztowym. W czasie wojny - AK. Później - rosyjski łagier do 1948 r.

Krukowi przedstawiono wiele dowodów jego działalności szpiegowskiej. Prostokąt składający się ze stu pól, których położenie - jak figur na szachownicy - opisywały litery. Sześć i trzy oznaczało literę „t”, siedem i pięć - „ż”. Raport: w porcie lądowym w Żurawicy przeładowują pszenicę, żyto, ryż i sprzęt wojskowy. Meldunek:

„Jeden z gospodarzy przy koszeniu zbóż znalazł w swoim polu w zbożu karabin (nie członek spółdzielni produkcyjnej), ponieważ karabin był jak wskazywały ślady niedawno

podrzucony, co wskazywało na prowokację więc karabin odniósł do sołtysa".

Raporty przekazywał człowiekowi noszącemu ten sam co on pseudonim: „Tadeusz”, który polecił mu organizowanie siatki szpiegowskiej. Wyrok sądowy wypomniał mu udział w wojnie 1920 i walkę w AK:

„Przyjmując tę okoliczność jako szczególnie obciążającą sąd mając na uwadze podeszły wiek oskarżonego doszedł do przekonania, że należyta i słuszną represją karną będzie w stosunku do niego kara bezterminowego więzienia”.

Oprócz dożywocia zasądzono przepadek mienia.

W 1953 r. więzienni lekarze alarmowali, że rozedma płuc, miażdżyca naczyń krwionośnych, przewlekły nieżyt oskrzeli, zwyrodnienia mięśnia sercowego mogą wkrótce doprowadzić do śmierci Kruka.

Mieczysław Widaj, szef Wojskowego Sądu Rejonowego, odrzucił (12 XI 1953) wniosek lekarzy o zwolnienie.

Kolejne pismo (121 1954) w sprawie Kruka to zawiadomienie o jego śmierci w więzieniu.

Ostatnie pismo w aktach sądowych. Z Wojskowego Sądu Rejonowego do Wydziału Finansowego. Siedem miesięcy po śmierci: „Komunikuję, że w sprawie należy bezwzględnie wykonać przepadek mienia”.

Rozmowa z Sieńką.

Pamięta pan Franciszka Bloka?

Nic mi nie mówi to nazwisko.

To był według Zarakowskiego człowiek zwerbowany dopiero w czterdziestym dziewiątym. Wcześniej nie działał w WiN.

Nieemożliwe, nie znam przypadków, żeby w roku czterdziestym dziewiątym wciągać do roboty ludzi, którzy nie mieli garbu przeszłości.

- Jakiej przeszłości?

Musieli na przykład wcześniej być w AK.

- Skoro pan mówi, że byli w AK, to znaczy, że działali w czasie wojny, a nie w powojennej konspiracji?

- Tak, właśnie taka wisiała nad nimi przeszłość.

Świerszcze i dzwony

Franciszka Bloka, skazanego na śmierć, uratowały świerszcze. Odezwały się pół wieku temu. Świerszcze coraz wyraźniej brzęczały w jego głowie. Coraz głośniejsze dudniły dzwony. Nasilało się uczucie kłucia i łaskotania mózgu.

Lekarz więzienny 9 XII 1954 orzekł:

„Wnoszę o przerwę w karze, względnie umieszczenie w zakładzie psychiatrycznym. Obawa samobójstwa. Pilne!”.

Kiedy Blokowi udzielono urlopu zdrowotnego, jego żona napisała do Aleksandra

Zawadzkiego, przewodniczącego Rady Państwa (9 I 1956). Informowała:

„Mój 11 letni syn tak bardzo kocha ojca, tak wierzy w Ciebie, Ob. Przewodniczący, że już kilkakrotnie chodził do Pałacu Kultury słysząc, że Ciebie, Dostojny Obywatelu, tam spotkać można na choince dla dzieci, aby Cię prosić o przebaczenie dla ojca”.

Antoni Blok, syn Franciszka, nie pamięta, by chodził do Pałacu Kultury, do przewodniczącego Zawadzkiego, prosić o łaskę dla ojca. Z Pałacu pamięta pływalnię i przedstawienia kukielkowe.

Ojca zatrzymano w Wigilię mówi. - Niósł nam prezenty: dla mamy miał chustkę na głowę, a dla synów zabawkę i dziecięcy pistolet. Kiedy go wypuszczali z więzienia, pistoletu nie oddali, „żeby się twoje dzieci nie chowały na takich jak ty skurwysynów”.

Znajdujący się w aktach sądowych protokołów rewizji zatrzymanego (24 XII 1953) nie

wspomina o prezentach. Wymienia inne przedmioty odebrane Blokowi: dwa wieczne pióra, zegarek niklowy, przedwojenne piętnaście złotych, trzy kluczyki, pięć lichterzyków choinkowych. Czy pistolet dziecięcy to wytwór późniejszej fantazji?

Antoni Blok pamięta, że po aresztowaniu matka chodziła dowiadywać się o los ojca.

Mówili, że zabrali go amerykańscy skoczkowie.

Kiedy sąd wymierzał Blokowi karę śmierci, uzasadnił:

„Oskarżony jako oficer sanacyjnego wojska, a następnie jako działacz Armii Krajowej na kierowniczym stanowisku dopuszczając się do wymienionych wyżej zbrodni działał pod wpływem nienawiści do swej ojczyzny”.

Później jeszcze mamie przysłał porzeczeki. Pewnie z dobrego serca, bo przecież nie w ramach rekompensaty.

Rozmowa z Sieńką.

- Czy kiedy zgadzał się pan na współpracę, pomyślał, że kiedyś, może po latach, ktoś nazwie pana prowokatorem?

- Przecież nie było żadnej prowokacji, sam byłem najbardziej zainteresowany, żeby jej nie było. Ludzie nawet mało co robili, tyle żeby powstawało złudzenie podziemnej organizacji.

Pamięta pan Wilhelminę Targowską?

- Nie.

Nosiła pseudonim „Hanna”. Według akt była pana łączniczką.

„Hanna”? Chyba rzeczywiście była taka łączniczka. Ale nic więcej nie pamiętam.

Skazani już nie żyją, lecz ich akta nadal krążą. Między sądami wojskowym i cywilnym, archiwum stołecznym, państwowym, sądowym.

Franciszek Blok odnalazł się w warszawskim Sądzie Wojewódzkim. Czekają na

unieważnienie wyroku; sprawę wniósł syn.

Aleksander Gruba i Jan Kruk spoczywają w archiwum Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Kruk leży tu już nieruszany od kilkudziesięciu lat, ale Grubę właśnie zwrócił sąd wojskowy, który unieważnił jego wyrok.

W tej pośmiertnej wędrówce zaginęła Wilhelmina Targowska.

Przewija się tylko przez akta innych jako krótkie, kilkuzdaniowe zeznanie.

Z tych informacji można odtworzyć fragmenty życiorysu. Pochodzenie: robotnicze.

Wykształcenie: siedem klas. Już w 1945 r. skazano ją na pięć lat więzienia. Po wyjściu na wolność w 1950 r. nawiązała kontakt z WiN-em.

Z akt wynika też, że już po wyroku wożono ją w wiele miejsc Polski, aby zeznawała na rozprawach sądowych. W konspiracji była łączniczką. Dlatego jej akta dziś mogą być

wszędzie - jej życie splotło się z losami tylu ludzi, że teczki z jej sprawą mogą tkwić gdziekolwiek, doczepione do cudzej sprawy.

Przyszła na świat w Boże Narodzenie 1922 roku, bez wątpienia więc mogłaby jeszcze żyć. W protokołach zeznań zanotowano jej adres sprzed aresztowania: Warszawa, ulica Grójecka. Dziś jednak w tym budynku nie ma żadnych mieszkań, są tylko biura: notariat, gospodarka komunalna. Starszy pracownik pamięta, że ostatni lokatorzy wyprowadzili się najmniej trzydzieści lat temu.

W warszawskiej książce telefonicznej osiemnaście razy występuje nazwisko Targowscy. Przez telefon nikt nie przyznaje się do pokrewieństwa z Wilhelminą.

Poszukiwania należało zacząć w warszawskim biurze adresowym, ale długotrwała awaria komputerów uniemożliwiała odnalezienie kogokolwiek. Wreszcie komputery ruszyły Wilhelmina Targowska zmarła w 1963 r. Czy miała dzieci?

Tego biuro nie wie.

Rozmowa z Sieńką.

Po ujawnieniu śledził pan losy swoich podkomendnych z WiN-u?

Tyle co do mnie napływało prywatnymi kanałami. Początkowo nie wiedziałem, czy kogoś aresztowano. Na początku operacji zapewniano mnie, że nikt nie trafi do więzienia.

I pan im ufał? Siedmiu pana kolegów z IV Komendy WiN-u stracono jednego dnia na Mokotowie.

Dowiedziałem się o tym później, stracono ich w 1951 r. Byłem bezbronny, jakie ja miałem możliwości?

Znał pan Władysława Moykowskiego?

Nie pamiętam.

- On miał opracowywać plany dywersyjne.

A, zaraz, to mi się przypomina, bo coś takiego

powinien robić oficer. Był taki.

- Zeznawał, że pan go zawiózł pod Jelenią Górę i znalazł mu nocleg w Perle Zachodu.
- Rzeczywiście, chyba gdzieś z nim byłem.
- Mówił w sądzie, że przed wyjazdem na Zachód jako rekompensatę za pomoc finansową zostawił panu kufer z odzieżą. Co się stało z tym kufrem?
- Nie widziałem się z Moykowskim przed odjazdem.

Rodzina Moykowskich nie mieszka już w domu, który jako adres Władysława podają akta sądowe. Syn Moykowskiego, skazanego wówczas na dożywocie, wyprowadził się pod Warszawę.

Kiedy aresztowano jego ojca, był już dorosłym mężczyzną, po doktoracie. Chętnie opowie o ojcu. I o sobie. Bo też znał Stefana Sieńkę. I też został wówczas aresztowany i skazany po tym, jak Sieńko przekazał mu rozkaz wyjazdu

za granicę.

Najpierw Janusz Moykowski kładzie na stół zdjęcia swego ojca.

Pierwsze z legionów. Władysław na koniu, z szablą, w czapce ułańskiej. Był wówczas w 1. Pułku Ułanów Beliny, miał piętnaście lat.

Na następnym zdjęciu ojciec razem z synem idą wileńską ulicą. Ojciec w mundurze Korpusu Ochrony Pogranicza, syn w mundurku gimnazjum jezuitów. Syn ledwie o pół głowy niższy od ojca. Lekko uśmiechnięci. Kroczą noga w nogę, na pobrązowiałym zdjęciu wyglądają, jakby wychodzili z przeszłości i wkraczali do świata, w którym żyje oglądający to zdjęcie.

Władysław Moykowski, herbu Jastrzębiec, oprócz Virtuti Militari został siedmiokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych: trzy razy w roku 1920, raz we wrześniu 1939, trzykrotnie w czasie wojennej konspiracji.

- Ja nie wiedziałem, że ojciec należy do WiN-u, a on, że ja - opowiada Janusz Moykowski. Sieńko, którego znałem pod pseudonimem „Andrzej”, przekazał mi rozkaz kierownictwa WiN: Wyjeżdżaj za granicę. Miałem zostać przeszkolony w ośrodku dywersji, ale gdybym nie chciał wracać do Polski, obiecano mi studia. Sieńko, pewnie żeby wzmocnić moją wolę ucieczki, powiedział, że poszukuje mnie UB. Ukrywałem się pół roku. Jak się później okazało, mój ojciec w tym czasie również przygotowywał się do ucieczki; ukrywał się już rok. Miał być delegatem WiN na Zachodzie. Opiniował plany dywersyjne. Znał dobrze Sieńkę jeszcze z okupacji. Znał Wilhelminę Targowską, jego łączniczkę.

Janusz Moykowski zna dalsze losy Targowskiej: po wyjściu z więzienia zachorowała na raka; umarła bezdzietnie, nie miała męża.

- Po wojnie działałem do czasów III Komendy WiN - wspomina. -Później dopiero w

pięćdziesiątym albo w pięćdziesiątym pierwszym zgłosiła się do mnie Targowska, skontaktowała z Sieńką.

Moja trasa przerzutu prowadziła przez Zgorzelec. Tam na dworcu spotkałem się z kobietą, która czekała z „Przekrojem” albo „Życiem Warszawy”. Zaprowadziła mnie do kawiarni. Pamiętam, że zjadłem jajecznicę.

Wieczorem podjechała ciężarówka z plandeką. Pojechaliśmy nad Nyse, tam załadowano mnie do pontonu i przeprawiono na drugą stronę. Na brzegu czekało auto i dwie łączniczki. Kiedy odeszły, otoczyli mnie mężczyźni i skuli w kajdanki. Kiedy zawieźli mnie na most graniczny, żeby wydać polskim ubekom, zobaczyłem skutego ojca. Musiał być przerzucany tą samą drogą kilka dni wcześniej. Trzymali nas osobno.

Z akt sądowych można wyczytać, że ojca, Władysława Moykowskiego, aresztowano w NRD w nocy z 11 na 12 marca 1952 r. Przekraczał zieloną granicę zaopatrzony w

niemiecki paszport na nazwisko Paul Heinrich Schmidt oraz fiolkę z cyjankiem potasu.

Janusz Moykowski wspomina:

- W śledztwie obchodzili się z nami delikatnie, w białych rękawiczkach, ja dostałem dożywocie, które zaraz zamienili na dziesięć lat. Nie bili. Uważam, że to dzięki Sieńce. Wszystko im powiedział, to po co mieliby nas bić?

Później z więzienia Władysław Moykowski pisał, jak inni, prośby o ułaskawienie.

Tłumaczył swoją przeszłość legionową:

„Służyłem lubiąc fach wojskowy, uznawałem jedynie wartość człowieka, nie łącząc się z partią rządzącą, do której jako legionista mógłbym mieć łatwy dostęp”.

Pisał:

„Po wojnie zerwałem całkowicie (i odseparowałem się nawet towarzysko) ze środowiskiem ludzi z b. AK i wzywałem b. AK-

owców do ujawnienia się i do przystąpienia do lojalnej pracy dla Państwa".

Potem, współpracując z UB w Krakowie, przewodniczył komisji ujawniającej AK-owców.

„W tym czasie (styczeń 1946) jakaś banda napadła w Krakowie moje mieszkanie, pobiła sekretarkę, ograbiła z pieniędzy i akt. Herszt bandy oświadczył, że to «za współpracę z obecnymi władzami». Przez parę miesięcy Urząd Wojewódzki Bezpieczeństwa dał mi ochronę do czasu zlikwidowania bandy i zastrzelenia jej herszta".

Kiedy Moykowskiemu udzielono przerwy w odbywaniu kary ze względu na gruźlicę, komunikował, że mimo choroby podjął pracę jako referent:

„Ze praca moja spotkała się z uznaniem dowodzi fakt, iż szybko awansowałem z grupy VII do VI oraz otrzymałem dyplom uznania i nagrodę pieniężną".

Janusz Moykowski wspomina Sieńkę:

- To był sympatyczny człowiek. Lubił wypić, ja wówczas też lubiłem. Jakbym go teraz spotkał, to bym powiedział: Co Andrzejku, wrobiłeś nas. A on by przedstawił jakieś wytłumaczenie, na przykład: szantażowano mnie.

Pan popatrzy, mój ojciec, konspirator przez całą wojnę, a się na nim nie poznał. To była koronkowa robota. Wszystkich potrafił zwieść.

Pokazałem Sieńce kserokopię dokumentu z archiwum MSW. Byłem ciekaw, czy po lekturze „przypomni” sobie ludzi, którym według dokumentu wydawał rozkazy.

Przeczytał i orzekł:

- To pismo jest moim sojusznikiem. Proszę przeczytać: nawet Różański optuje, żeby dawano im najwyżej do pięciu lat więzienia. To potwierdza, że były wcześniej ustalenia, że mi obiecano, że ludzie nie pójdą do więzień.

Stefan Sieńko nigdy już nie był w centrum wydarzeń. Niedługo po zakończeniu operacji z V Komendą został dziennikarzem gazety rolniczej.

Kiedy w marcu 1968 r. jego gazeta informowała, że z Uniwersytetu Warszawskiego usunięto profesora Leszka Kołakowskiego, Stefan Sieńko w tym samym numerze pisał:

„Po wielu dyskusjach zrodziła się myśl, że opryskiwacze i opylacze baz i kótek mogą być wykorzystane znacznie skuteczniej”.

W grudniu 1970 roku pisał o „małej retencji”. Wyjaśniał:

„Jest to «magazynowanie» wód powierzchniowych oraz zwiększanie zasobów wód gruntowych dla produkcji rolnej”.

Później małą retencję zastąpiła Korea. W czerwcu 1976 r. pisał:

„Nasz kraj od 1952 r. występował aktywnie i

konsekwentnie w obronie słuszných praw narodu koreańskiego".

W pierwszych miesiącach stanu wojennego przypomniął o prawach człowieka:

„Na posiedzeniu Komisji Praw Człowieka w Genewie przedstawiciel Pakistanu oskarża Indie o pozbawianie swobód politycznych muzułmanów indyjskich w Kaszmirze”.

PS Serdecznie dziękuję za pomoc Tomaszowi Honkiszowi, Andrzejowi Krzysztofowi Kunertowi, Januszowi Kurtyce, Grzegorzowi Mazurowi i Henrykowi Piecuchowi.

Źródła: Stanisław Kluz „WiN na szlaku AK”, Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn 1978; Marian Reniak „Sam wśród obcych”, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1978; Henryk Piecuch „Siedem rozmów z generałem Pożogą”, Czytelnik, Warszawa 1987; Henryk Piecuch „Gry wywiadów” (maszynopis); Tomasz Honkisz, „WiN” (praca doktorska, maszynopis); Janusz Kurtyka „Rozbicie IV Zarządu Głównego i początek prowokacji w świetle dokumentów z Archiwum Delegatury Zagranicznej WiN”, „Zeszyty Historyczne WiN” nr 4, Kraków 1993.

maj—lipiec 1994 listopad 1996

GREENHORN W IMPERIUM

Tęsknił za ojcem. Był rok 1945. Miał dziewięć lat. Ojca wywieźli Rosjanie.

Uczył się i czytał książki Karola Maya. O szlachetnym Winnetou, który poradzi sobie ze wszystkimi przeciwnościami losu, a każda trudność staje się przygodą.

Był rok 1956. Miał dwadzieścia lat. Pojechał na Wschód, w stronę Workuty, szukać zaginionego ojca.

Dziś już wiadomo, że był jedynym Polakiem, który poważył się na taki czyn.

To z ogromnej tęsknoty za ojcem - tłumaczy Stefan Dacenko.

Po ojca NKWD przyszło w lutym 1945 roku. Czterech w płaszczach i jeszcze jakiś oficer. W domu płacz. Strach kilkuletniego dziecka przed obcymi.

Dlaczego przyszli? Przed wojną ojciec Stefana miał garbarnię. Ale to chyba za mało, żeby aresztować kogoś jako burżuja. W czasie wojny był piekarzem, zwykłym robotnikiem w kaliskich Zakładach Cukierniczych Mystkowskiego. Nigdy nie był w żadnej konspiracji. Ale pod koniec wojny przez kilka dni przechowywał w domu dwóch żołnierzy z Powstania Warszawskiego. Może więc dlatego? Albo dlatego, że walczył w wojnie 1920 roku? To chyba najbardziej prawdopodobne.

Matka została z trojgiem dzieci - dwiema córkami i Stefanem. Musiała pójść do pracy w fabryce. W 1948 roku przyszedł pierwszy list od ojca. Z Kirowa. Gdzie to jest? W atlasie sprawdzili, że to radziecka Republika Komi.

Ale ojca w Kirowie nie było - list podał przez kogoś, kto odważył się go wysłać. Ojciec pisał tylko, że żyje, martwi się o żonę i dzieci. I to było wszystko.

Następny list w 1950 roku. Z miasta Gorki.

Też tylko pozdrowienia - ani słowa o tym, gdzie jest, co robi, jak żyje.

I ostatni, w 1952 roku, wysłany z Syktywkaru, stolicy Autonomicznej Republiki Komi. Ojciec pisał, że mieszka w osadzie Noszul-Baza, pracuje w piekarni. Potem już żadne listy nie przychodziły.

W 1956 roku w Polsce trwała polityczna odwilż. Stefan właśnie skończył technikum mechaniczne, zdał maturę. Postanowił: jedzie do Poznania, do Urzędu Bezpieczeństwa. Złożył podanie o paszport. Napisał, że w Związku Radzieckim mieszka jego ojciec i chce go odwiedzić. Nic więcej. I choć wydaje się to niewiarygodne po dwóch tygodniach paszport dostał. Czy pomogła odwilż? Czy niedomówienie, że ojciec tam po prostu mieszka? Czy nieuwaga jakiegoś urzędnika? Czy świadoma nieuwaga? Czy może zamieszanie, jakie wówczas panowało? Albo ktoś, kto rozumiał ogromną tęsknotę za ojcem?

Stefan się cieszył, a matka rozpacziała. Mówiła: „Nie dość, że straciłam męża, to mogę stracić jedyne syna. Pojedziesz, a nie wiadomo, czy wrócisz. I nie wiadomo w ogóle, czy ojciec jeszcze tam żyje”.

Ale Stefan był uparty, miał przecież dopiero dwadzieścia lat.

Na dworcu w Warszawie kupił bilet do Moskwy. Nigdy dotąd nie wyjeżdżał za granicę, ale był dobrej myśli. Z domu zabrał trochę wymienionych rubli, kabanosy i kaszmirowe chusty na sprzedaż albo podarunki. I wyrwaną z atlasu stronę z Republiką Komi.

W pociągu poznał nieco starszego od siebie Polaka, który studiował w Moskwie, ożenił się z Rosjanką. Radził, by Stefan zaczął też studiować w Moskwie. A na razie zaproponował nocleg u siebie. Stefan miał więc gdzie spędzić pierwszą noc w imperium. Ale przed nowym znajomym nie odkrywał się nadmiernie. Wspomniał tylko, że jedzie do

ojca, nic więcej.

Stefan jeszcze w domu posprawdzał nazwy miejscowości w atlasie. Przez Republikę Komi, skąd przyszły listy, nie prowadziły żadne linie kolejowe. Najbliższa stacja od Noszulu, w którym ostatnio mieszkał ojciec, to było Muraszczzi. A żeby dojechać do Muraszczzi, trzeba było z Moskwy wyruszyć Koleją Transsyberyjską, która dalej jechała aż do Pekinu. I przesiąść się w Kirowie.

- Z biletami nie miałem żadnych kłopotów - opowiada - chociaż kolejki przy kasach były olbrzymie. Na stacjach przeważnie było dużo milicjantów, podchodziłem do jednego, mówiłem, że jestem inostraniec i że chcę kupić bilet. Milicjant szedł do kasy, wszyscy się odsuwali, a on kazał sprzedać bilet dla mnie. A ludzie czekali na pociąg po kilkanaście godzin.

Stefanowi pomagał młodzińczy brak wyobraźni. Ktoś starszy przede wszystkim

unikalby jakichkolwiek milicjantów i przedstawicieli radzieckiej władzy. A Stefan był w Związku Radzieckim kimś takim jak na Dzikim Zachodzie opisywany przez Karola Maya „greenhorn”, po polsku mówiąc, żółtodziób. Niewiele wiedział, z trudem porozumiewał się z miejscowymi.

Rosyjski znałem słabo, tylko ze szkoły. Więcej się nauczyłem w czasie tej trzymiesięcznej podróży wspomina.

W Kirowie kończyły mu się ruble. W restauracji na krześle obok siebie położył kaszmirową chustę taką w kwiaty, jak nosiły dziewczyny z Mazowsza. Zauważył, że zainteresowała się nią kelnerka. Ale nie podeszła. Dopiero gdy wyszedł z restauracji, wychyliła się zza węgła. Pierwszy raz udało mu się zarobić na dalszą podróż.

Wsiadł do pociągu, wszędzie zajeżdżało wódką. Pomyślał, że te wagony są prawie bydlęce z ławami na górze i dole. Przeładowane: starymi, młodymi, dziećmi.

Wszyscy patrzyli na niego nieufnie. Wdrapał się na górną półkę i zasnął.

Spał pewnie pół doby. Obudziła go kobieta sprzątająca wagony. „*A wy tu zaczem?*” spytała. Powiedział, że jedzie do Muraszczki. A ona, że dawno już dojechał, wszyscy wysiedli.

Była pierwsza w nocy, dookoła las. Zobaczył kolejarza. Zapytał, gdzie tu milicja (znowu ta młodzieńcza ufność). Kolejarz wskazał światełko. Stefan zawinał nogawki i ruszył na przełaj przez błoto po kolana.

Zastukał w oświetlone okno. Milicjant zapytał, kto tam, a Stefan odpowiedział po prostu: „Z Polski”. Zaspany milicjant z pięć razy powtarzał pytanie: „*Otkuda?*”

Wreszcie otworzył. Stefan przemówił:

- Mam komandировkę, delegację. Muszę jechać do Noszulu.

Milicjant pokiwał głową:

- Za miesiąc, dwa, jak droga zamarźnie, powinno coś jechać w tamtą stronę.

Ale Stefan nie mógł czekać na zimę.

- Muszę jechać jutro.

Milicjant roześmiał się:

- Tam nie ma żadnej możliwości dojechania. Nie ma dróg. *Panimajesz: nikakoj dorogi.*

Milicjant poszedł po oficera; sprawa, jak widać, poważniejsza. Stefan powtórzył oficerowi, że ma komandirówkę. Oficer przejrzał paszport i pyta, w jakiej sprawie ta delegacja.

- A ja mu odpowiadam, że w dyskretnej - wspomina Stefan Dacenko. - Sam się dziś zastanawiam, skąd mi do głowy przychodziły takie pomysły. On mówi, że rozumie.

Dyskretnej, czyli to jakaś tajemnica. Ja wtedy nie rozumiałem, dlaczego oni się ze mną jakoś tak obchodzą, jakbym był z milicji albo z wojska. Potem zrozumiałem. Byłem ubrany w

popelinowy płaszcz z pagonami. Tam jak ktoś był w armii, nosił płaszcz z pagonami, a jak ich nie miał, znaczyło, że jest rezerwistą. Ale mimo płaszcza z pagonami oficer powtarzał to samo: „Wcześniej niż za dwa, trzy miesiące pojechać się nie da”.

Stefan więc dopytuje, ile jest kilometrów do Noszulu. Słyszy, że sto dwadzieścia. Oficer mówi: „My cię teraz zaprowadzimy do hotelu, prześpisz się”. Hotel okazał się domem kołchoźnika. Miejsc nie było, ludzie spali na podłodze, niesamowicie śmierdziało wódką. Oficer wyrzucił z pokoju czterech lokatorów. Stefan padł na łóżko w ubraniu, pod drzwiami pilnował go milicjant.

Po kilku godzinach z ciemności wyrwał go głos:

- Wstawaj, wstawaj, natychmiast wstawaj krzyczał mu do ucha milicjant. - Ty masz szczęście, jedzie samochód przez Noszul i możesz się z nimi zabrać.

Stefan zerwał się z łóżka, biegną z milicjantem do samochodu. Czeka na nich oficer. Mówi, że zabrał kierowcy dokumenty, jeśli Stefan dojedzie, to ma kierowcy podpisać bumagę. Jak kierowca będzie wracać, to dostanie z powrotem swoje papiery. Życzą mu szczęśliwej drogi.

Samochód to był olbrzymi ził. Stefana zapakowali do szoferki, a konwojenta na skrzynię. Auto miało konwojenta, bo wiozło bardzo ważny towar: wódkę Moskowskaja.

Kierowca spoglądał na Stefana spode łba. Zaczynała się tajga, kompletna głusza.

- A droga była taka: jak się karczuje tajgę, to bale padają na dwie strony obok siebie - wspomina Stefan Dacenko. - Gałęzie są obcinane i po tych balach jedzie samochód. Ale jak on jedzie: kilka kilometrów na godzinę, za to bez przerwy. Kierowca śpi na kierownicy, a auto się toczy. Gdzieś pojawili się jacyś ludzie, wsiedli na pakę, żeby ich też podrzucić. Wszyscy wrogo patrzyli na Stefana.

Pomyślał, że już trzeba trochę zacząć mówić.
Kierowca spytał:

- Ty jesteś z NKWD z Polski? Nie.

- To po co tam jedziesz, jesteś wojskowy?
Prawdopodobnie tam mieszka mój ojciec,
został aresztowany

i wywieziony.

Kierowca nagle zahamował. Wyskoczył z
szoferki, woła ludzi, żeby szybko wszyscy
zeszli:

Słuchajcie, to nie enkawudzista, to nasz
człowiek!

I wszyscy zaczynają Stefana ścisnąć, witać
się z nim. Ściągają z paki wódkę i częstują
Stefana.

Nazajutrz dojechali do zapory w tajdze.
Kobieta w kufajce przybiła na dokumentach
stempelek. Kierowca mówi do Stefana:

Jesteśmy już u nas. Tu są ludzie dobrzy.

Ruski człowiek niechoroszy, mnogo, mnogo tam żulików. A tu cię nikt nie okradnie, tu nic złego ci się nie może stać, bo to jest Komi.

Stefan nie bardzo rozumiał.

- To ty nie jesteś Ruski? - zapytał.

A jakby tobie ktoś powiedział, że jesteś Ruski?

- tłumaczył kierowca. - Że Polska to republika, tobyś mówił, że jesteś Ruski? Ja Polskę znam

- ciągnął kierowca. - Byłem w czasie wojny na froncie. Byliśmy pod takim miastem, tam ludzie modlą się do czarnej postaci.

Ustalili, że chodzi o Madonnę i Częstochowę.

- Ich język jest zupełnie niepodobny do naszego - opowiada Stefan Da-cenko. - Z ugrofińskich, jak potem przeczytałem.

Pamiętam, że „pij” to jest „ju”, a „mówi” to „szornite”. Jak już dojechałem do Noszulu, to tam wisiał głośnik i przez półtorej godziny wieczorem, jak był prąd, nadawało Radio Syktywkar. Przed wiadomościami witali się:

„Szornite Syktywkar”.

Po drodze co jakiś czas samochód wpadał w dziury między balami. Wszyscy wysiadali i wyciągali go linami. Wszyscy oprócz Stefana.

- Kierowca nie pozwalał mi wyjść - opowiada. - „Ty jesteś gość”, mówił.

Był lipiec, ciepło. Jechali trzy dni i trzy noce.

W końcu samochód wpadł między bale tak, że żadną ludzką mocą nie udało się go wyciągnąć.

- Jutro, może pojutrze będzie tędy jechał staliniec i nam pomoże - powiedział kierowca. Staliniec to ciągnik gąsienicowy, który ciągnął karczowane drzewo do rzek.

Wszyscy wysiedli, zostawili swoje rzeczy, bo w tajdze nikt nie kradnie. Ruszyli po balach - za parę kilometrów powinna być jakaś chata.

- Kiedy szliśmy, jedna dziewczyna, piętnasto-, może szesnastoletnia, powiedziała mi ważną

rzecz wspomina Stefan. Wiedziała już, że mój ojciec był aresztowany. Ona więc mówi: „Zapamiętaj to na całe życie, tu gnali twojego ojca. Tutaj co drugie drzewo to trup. Ci, co już nie mieli siły iść w kolumnie, padali pod drzewami. A tamci ich rzucali w chaszczę i wilki dokonywały reszty”. Nawet byłem zdziwiony, że mówi tak otwarcie.

Szli w ciszy dwie, trzy godziny. Była już noc, kiedy dotarli do chaty. Kierowca obudził gospodarzy.

To byli niesamowicie gościnni ludzie opowiada Stefan Dacenko.

Dzieci gospodarzy spały na piecu, ale chcieli je wygonić, żeby mi zrobiły miejsce. Nie chciałem, powiedziałem, że kierowca to mój kolega, będę z nim spać na podłodze na niedźwiedzich skórach. Nastawili samowar, pierwszy raz piłem z niego herbatę. Nalali herbaty na talerzyki i dali nam kombinerki; nie wiedziałem po co. Okazało się, że do rozkruszania cukru z takich sporych głów.

Trzeba było rozkruszyć, położyć cukier na talerzyku i na to się lało herbatę z samowara. Kobieta nakroiła ziemniaków w grube plastry, przełożyła słoniną z grzybami i prażyła w piecu. W życiu nic mi tak nie smakowało.

Nazajutrz staliniec wyciągnął samochód. Po drodze jeszcze wzięli benzynę - samemu nalewało się z beczek pod zbitym z desek zadaszaniem, nikt nie płacił.

Wreszcie dojechali do Noszulu. Stefan podpisał kierowcy bumagę. Wyczałowali się na pożegnanie.

- On wiózł wódkę jeszcze dalej - wspomina Stefan Dacenko. - Kiedy dojeżdżała dostawa, wszyscy przestawali pracować i pili dotąd, póki w magazynie, w sklepie, była wódka. Mieli czym płacić, bo zesłańców zwolniono już z łagrów, ale pracowali przy karczowaniu tajgi.

Stefan odnalazł w Noszulu pocztę, drewnianą szopę na podwyższeniu, do środka wchodziło się po kilku schodkach.

Przyjechałem z Polski, szukam ojca -
powiedział.

A gdzie jest twój ojciec? - zapytał urzędnik.

W Noszulu-Bazie.

To trzy kilometry stąd. Jak się nazywa?

Dacenko.

Tam takiego nie ma - machnął ręką urzędnik. -
A ja znam wszystkich.

Może w piekarni pracuje, coś takiego
wspominał w ostatnim liście powiedział Stefan.

Urzędnik chwilę pomyślał i nagle go olśniło:

A to ja go znam, Anton Semenowicz.

Wszystko się zgadzało ojciec miał na imię
Antoni, a jego ojciec Szymon.

Urzędnik zakręcił korbką w telefonie. W
piekarni ktoś odebrał.

Ojciec Stefana usłyszał od kogoś, że był

telefon z poczty, że przyjechał jego syn. Nie uwierzył. Przecież żadnych listów od rodziny nie dostawał. Pomyślał, że ktoś pewnie ma do niego jakąś sprawę i wymyślił tego syna. Albo sobie żarty stroi. Na pocztę poszedł z kolegą.

Stefan zobaczył z daleka idących dwóch mężczyzn. Zapytał urzędnika z poczty:

Który to mój ojciec?

Ten popatrzył ze zdziwieniem.

- Co ty, swojego ojca nie znasz?

Stefan wyjaśnił, że miał dziewięć lat, jak ojca zabrali.

Pocztowiec wskazał:

- Twój ojciec to ten niższy.

Kiedy ojca aresztowali, ubrany był w garnitur i krawat. Zona wcisnęła mu jeszcze czapkę i szalik, bo było zimno. Ten niższy nadchodzący mężczyzna człapał w walonkach, ubrany w kufajkę, na głowie

sterczała mu wielka czapa.

Ojciec zaniemówił na dwie godziny. Tylko obejmowali się, a ojciec płakał.

- Potem zaczął mówić, ale po rosyjsku - wspomina Stefan. - Ja na to: „Ojciec, jeżeli nie zapomniałeś, to mów do mnie po polsku, bo ja wszystkiego po rosyjsku nie rozumiem”.

Poszli do chaty, w której ojciec wynajmował pokój. Ludzie mieszkali na górze, na dole kozy i kury. Na dole była też studnia - zimą było blisko do wody i nie zamarzała.

Wszyscy przyjmowali go jak członka rodziny. Był pierwszym Polakiem, który do nich po wojnie zawitał. Niczego nie wiedzieli. Czy Polska jest siedemnastą republiką? Czy używa się języka polskiego? Czy są polskie szkoły?

Ojciec w piekarni miał pomocnika, warszawiaka, który w czasie Powstania przeszedł na Pragę Rosjanie go aresztowali i

wywieźli. Stefan podarował mu album „Warszawa. Wczoraj i dziś” ze zdjęciami ruin i odbudowywaną stolicą. Pomocnik pierwszy raz po 12 latach zobaczył

Warszawę.

Ojciec zaczął opowiadać, co się z nim działo przez tych 11 lat.

Po aresztowaniu najpierw kilka dni trzymali go w Kaliszu. Potem przewieźli do Poznania. Nigdy nie dowiedział się, za co został uwięziony.

Transport z więźniami krążył po Polsce, aż wreszcie dotarł do Związku Radzieckiego.

Wielu więźniów po drodze zmarło. Była zima, niektórzy tylko w garniturach, płaszczach. Po jakimś czasie transport dojechał na miejsce, pod Workutę. Łagier, baraki, żadnej nazwy. Do jedzenia dostawali kromkę chleba i miskę zupy: trochę kapusty, woda, a jak się trafił ziemniak, to było szczęście.

..Zwolniono ich na początku lat 50., skierowano do karczowania tajgi. Wtedy tata trafił do miejscowości Noszul-Baza. Kiedy uruchamiano piekarnię, ojciec zgłosił, że jest piekarzem.

- Tata opowiadał mi, że z kilograma mąki da się upiec nawet dwa kilogramy chleba opowiada Stefan. A Rosjanie myśleli, że tylko kilogram i tak się z nimi rozliczał. Dzięki reszcie mógł przeżyć: handlował, rozdawał, jak ktoś nie miał pieniędzy.

Nikt stamtąd nie próbował uciec. Wokół była tajga. Podobno do wojny nie było kluczy, zamków, kłódek. Jak gospodarz wychodził z domu, opierał o drzwi miotłę na znak, że go nie ma. Dopiero kiedy zaczęły się zsyłki, przyszły rozboje, kradzieże, pijaństwo.

Po kilku dniach Stefan uznał, że nie ma co dłużej siedzieć w Noszulu: ojcu trzeba załatwić paszport. Ojciec miał szczęście wciąż pozostawał polskim obywatelem. Było tak: jak po opuszczeniu łagru ktoś przyjął

obywatelstwo radzieckie, było mu lepiej mógł się poruszać w granicach Republiki Komi. Ale potem nie miał, jak się okazało, żadnej szansy powrotu do Polski. Ojciec na szczęście obywatelstwa nie przyjął. Przez to nie wolno mu było ruszyć się na krok z Noszulu. Ale teraz miał szansę powrotu do Polski. Choć nie wierzył, że się to uda. „Synek, nie ma możliwości powrotu”, mówił. „Nikt stąd jeszcze nie wyjechał”.

Stefan musiał wydostać się z Noszulu. Samochód już żaden nie jechał. Pozostawała przeprawa czólnem na drugą stronę rzeki, a stamtąd samochodem do Obiaczewa, gdzie znajdowało się lotnisko polowe.

Lotnisko to był pas ziemi i budka. Stefan zapytał o najbliższy samolot do Kirowa. Kobieta z budki wytłumaczyła, że tu nie ma „kiedy”. Jak ktoś chce lecieć, to ona dzwoni po samolot i trzeba czekać. Po kilku godzinach przyleciał kukuruźnik.

- Przeżycie było niesamowite - opowiada Stefan. - Pierwszy raz leciałem samolotem. Pilot z przodu był w reniferowym, futrzanym kombinezonie, a ja w popelinowym płaszczu i z gołą głową. Zmarzłem okropnie. Bałem się. Jak tylko wystartowaliśmy i samolot się przechylił, myślałem, że wypadnę z kabiny. Siedem godzin kurczowo trzymał się ławeczki. Kompletnie ogłuchł. Pilot od czasu do czasu pytał: „Choro-szo?”. Stefan odpowiadał: „Choroszo”. A co miał mówić? Samolot trzeszczał, jakby się miał rozpaść. Czasem spadał dziesięć metrów w dół. Z góry widać było tajgę poprzecinaną rzekami, strumieniami.

Wylądowali w Kirowie. Pilot zajrzał na tylne siedzenie, czy mu Stefan nie nawymiotował. Ale Stefan okazał się gierojem.

W Kirowie kupił bilet na pociąg Pekin - Moskwa. Każdy wagon miał swojego konduktora-kelnera, który sprawdzał bilety, przynosił herbatę i pościel do spania. W przedziale Stefan jechał z radzieckim

wojskowym.

- Jaki twój stopień? - zapytał Stefana. Bo masz same pagony, bez gwiazdek.

Stefan powiedział, że młodszy lejtnant, tak jak jego towarzysz podróży. Wojskowy tylko się uśmiechnął, bo jak się później okazało, Stefan źle odczytał jego stopień był pułkownikiem. Zapytał, dlaczego Stefan nie nosi munduru. A Stefan przekonywał, że w Polsce jak wojskowy jedzie na urlop, to nie nosi munduru, tylko płaszcz z pagonami.

Wojskowy zaproponował, że w Moskwie podwiezie Stefana do polskiej ambasady. Pod dworcem czekała już na niego służbowa wołga z kierowcą. Stefan zajechał więc pod ambasadę z pełną pompą, pilnujący milicjanci salutowali.

Ambasada obiecała wystawić ojcu paszport konsularny; w Noszulu na wszelki wypadek zrobili ojcu zdjęcia, więc Stefan miał co wkleić do paszportu. Ale to jeszcze nie oznaczało, że

ojcu uda się wrócić do Polski. Potrzebował radzieckiej wizy wyjazdowej. Kobieta w ambasadzie powiedziała, że Stefan po tę wizę musi jechać do Syktywkaru, stolicy Komi:

Tam niech się pan zgłosi do pułkownika Sukorina. Tylko niech pan nie mówi, że przyjechał z prośbą, bo nie wiadomo, czy pan w ogóle coś załatwi. Niech pan się powołuje na wszystkich: ambasadę, rząd.

Stefan w Moskwie czekał dwa dni na paszport. Potem większym samolotem, na 30 osób, poleciał do Syktywkaru. Na miejscu odnalazł NKWD i pułkownika Sukorina.

W sowieckim prawicielstwie powiedzieli, że pan wszystko załatwi.

- Tak wam skazali? Znają moje nazwisko? Nu, choroszo. Składajcie podanie, zdjęcia. Może za miesiąc, dwa, trzy wyślemy odpowiedź.

I znowu tłumaczenie, że Stefan nie może tyle czekać, że musi mieć dla ojca wizę jutro,

pojutrze. Bo mu się urlop kończy.

- Niech ojciec napisze podanie o wizę wyjazdową - powiedział pułkownik.

Stefan przeraził się - znowu trzeba by jechać do Noszulu. Ale wymyślił:

- Ojciec starik, niepiśmienny, ja za niego napiszę.

- Jak on starik, to po co chce gdzieś wyjeżdżać? Niech tu już mieszka.

Stefan tłumaczył, że ojciec w Polsce ma dzieci, żonę, rodzinę. Pułkownik uległ. Dyktował i pisał na brudno, a Stefan przepisywał podanie.

Zakwaterowali go w zabytkowym hotelu, w apartamencie miał sypialnię i gabinet ze skórzanymi fotelami. Po trzech dniach zadzwonił telefon: jest wiza wyjazdowa.

Ojciec tymczasem stracił już nadzieję, że syn wróci. Potem nie chciał wierzyć, że uda się

wyjechać. Mówił: „Mnie władze miejscowe nie puszczą”. Ale skoro Syktywkar puszczają, to władze miejscowe nie miały już nic do gadania.

Załatwili samochód, by dojechać do najbliższej stacji kolejowej.

Załadowaliśmy tobołki ojca - opowiada Stefan. Usiadłem z tyłu, na pace, w szoferce zmieścił się tylko ojciec i kierowca. Jedziemy. Bagaż się obluzował, więc walę w szoferkę. Kierowca pomógł mi przymocować liny, wszyscy poszliśmy na bok za potrzebą. Chaszcze przy drodze były po pas, po paru metrach nie widać było drogi.

Wrócili do auta i jadą dalej. Po jakichś dwóch, trzech godzinach znowu stają. Na górę zagląda kierowca i pyta:

- A ojciec gdzie?

- Jak to, gdzie? W szoferce.

Ale w szoferce ojca nie było. Kierowca myślał, że ojciec po ostatnim postoju wsiadł ze

Stefanem na pakę, a Stefan sądził, że wrócił do szoferki. Co robić? Na wąskiej drodze nie było jak zawrócić olbrzymią ciężarówką.

Postanowili czekać, a nuż ojciec nadejdzie?

Wreszcie widzą: jedzie beczkowóz. Ojciec miał szczęście, że się nim zabrał. Dojechał splotakany, myślał, że kierowca specjalnie Stefana wywiózł, żeby go okraść.

- Kiedy dojechaliśmy do miasta, musiałem ojca prawie za rękę prowadzić - wspomina Stefan. - Jedenaście lat był w tajdze.

W Moskwie wsiedli do pociągu do Polski i bez żadnych przygód przekroczyli granicę. Na dworcu w Białej Podlaskiej ojciec dostał zapomogę dla repatriantów.

A potem ich okradli i drugi raz się zgubili. Stefan ładował bagaże do pociągu, ojciec pilnował reszty. Kiedy skład ruszył, Stefan wskoczył w ostatniej chwili do wagonu; mało brakowało, żeby wpadł pod koła.

Wskakiwał niepotrzebnie. Pasażerowie,

widząc, że syn i ojciec nie zdążą wsiąść, wyrzucili ich bagaże.

I tak na stacji został ojciec z bagażami, ale bez pieniędzy i biletu, a w pociągu Stefan z biletami, ale bez ojca.

Odnaleźli się w Warszawie. Na Dworcu Wschodnim ojciec przez kilka godzin siedział na wózku bagażowym ze swoimi dwiema walizeczkami.

Dalej obyło się już bez przygód. Dotarli do Kalisza, do domu.

- Ojciec nie wiedział, jak się zachowywać - wspomina Stefan. Był w domu po jedenastu latach. Wszyscy wydorośleli. Moje dwie siostry były już mężatkami.

Antoni Dacenko przeżył w Kaliszu jeszcze 20 lat. Wciąż był piekarzem. Nigdy nie chciał rozmawiać na tematy polityczne.

A Stefan też rzadko opowiadał historię swoich poszukiwań. Znała ją tylko rodzina i kilkoro

bliskich znajomych.

Bo czy to w ogóle jest dziś dla kogoś ciekawe? - zapytał, kiedy jak dzieci jeździliśmy palcem po mapie.

Stefan ze Związku Radzieckiego oprócz ojca przywiózł jeszcze dwie ślubne obrączki. Oboje z żoną, wówczas narzeczoną, noszą je do dziś.

maj 2003

Pod bokiem NKWD

W Ośrodku Karta, dokumentującym losy zsyłanych Polaków, nigdy nie słyszano o żadnym Polaku, który w 1956 r. wyruszyłby do ZSRR na poszukiwanie zaginionego członka rodziny. Podobna historia zdarzyła się tylko w czasie wojny. Pułkownik Aleksander Kłotz z polecenia polskiego podziemia wyruszył wraz ze swoją łączniczką Eleonorą Wandą Ptaszek na poszukiwanie uwięzionego przez NKWD pułkownika Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego. Wysłannicy przebyli w sumie

28 tys. kilometrów przez Lwów, Czelabińsk, Taszkient, Baku, Syktywkar, Irkuck, Charków i znowu Lwów. Podróż i swoje dzieje opisał sam Aleksander Klotz; „Zapiski konspiratora 1939-1945” wydała w ubiegłym roku krakowska Fundacja Dokumentacji Czynu Niepodległościowego.